

CIA

TAJNA WOJNA AMERYKI

MARK MAZZETTI

Szpiedzy, tajna armia i wojny na krańcach świata. Ameryka od ponad dekady prowadzi równoległą, sekretną wojnę będącą mrocznym odbiciem wielkich globalnych konfliktów. W tej wojnie cieni żołnierze wykonują szpiegowskie misje, a szpiegzy stają się żołnierzami.

CIA

TAJNA WOJNA AMERYKI

MARK MAZZETTI

WARSZAWA 2014

Dia Lindsay i Maxa

NAJWAŻNIEJSZE
OSOBY WYSTĘPUJĄCE
W KSIĄŻCE

CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA (CIA)

Charles E. Allen – zastępca dyrektora Agencji w latach 1998–2005

Joseph Cofer Black – dyrektor Centrum Antyterrorystycznego (CTC) w latach 1999–2002

Dennis C. Blair – zastępca dyrektora Biura Spraw Wojskowych w latach 1995–1996, szef wywiadu w latach 2009–2010

Richard Blee – w latach 1999–2001 szef „Alec Station”, jednostki wchodzącej w skład Centrum Antyterrorystycznego zajmującej się tropieniem Osamy ben Ladena

William J. Casey – dyrektor Agencji w latach 1981–1987

Duane „Dewey” Clarridge – założyciel (w 1986 roku) i pierwszy szef Centrum Antyterrorystycznego

Raymond Davis – pracownik kontraktowy CIA, aresztowany w Pakistanie w 2011 roku

Porter J. Goss – dyrektor Agencji w latach 2004–2006

Robert L. Grenier – szef placówki CIA w Islamabadzie w latach 1999–2002, dyrektor Centrum Antyterrorystycznego w latach 2004–2006

Michael V. Hayden – dyrektor Agencji w latach 2006–2009

Stephen R. Kappes – zastępca dyrektora Agencji w latach 2006–2010

Art Keller – oficer operacyjny w Pakistanie w 2006 roku

Mike – dyrektor Centrum Antyterrorystycznego od 2006 roku

Ross Newland – oficer operacyjny Agencji w Ameryce Łacińskiej i Europie Wschodniej, później zajmował wysokie stanowisko w kwaterze głównej

Leon E. Panetta – dyrektor Agencji w latach 2009–2011

James L. Pavitt – zastępca dyrektora do spraw operacyjnych w latach 1999–2004

generał David H. Petraeus – dyrektor Agencji w latach 2011–2012, wcześniej dowódca sił koalicyjnych w Iraku i wojsk amerykańskich w Afganistanie

Enrique Prado – oficer operacyjny w Centrum Antyterrorystycznym, później pracownik firmy Blackwater

Jose A. Rodriguez – w latach 2002–2004 dyrektor Centrum Antyterrorystycznego, później, do 2007 roku, zastępca dyrektora Agencji do spraw operacyjnych

George J. Tenet – dyrektor Agencji w latach 1997–2004

DEPARTAMENT OBRONY

Robert E. Andrews – p.o. zastępcy sekretarza obrony do spraw operacji specjalnych i konfliktów o niskiej intensywności w latach 2001–2002

Stephen A. Cambone – podsekretarz obrony do spraw wywiadu w latach 2003–2007

Michael Furlong – urzędnik Departamentu Obrony zaangażowany w akcje wywiadowcze, nadzorował prywatną siatkę szpiegowską

Robert M. Gates – sekretarz obrony w latach 2006–2011

generał Stanley A. McChrystal – w latach 2003–2008 szef Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych (JSOC)

admiral William H. McRaven – przewodniczący Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych (JSOC) od 2008 do 2011 roku

admiral Michael Mullen – przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów (dowódca sił zbrojnych USA) w latach 2007–2011

Thomas W. O’Connell – sekretarz obrony do spraw operacji specjalnych i konfliktów o niskiej intensywności w latach 2003–2006

Leon E. Panetta – sekretarz obrony od 2011 do 2013 roku

Donald Rumsfeld – sekretarz obrony od 2001 do 2006 roku

BIAŁY DOM

John O. Brennan – zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego i antyterroryzmu w latach 2009–2013, od 2013 roku szef CIA

Richard A. Clarke – koordynator do spraw terroryzmu w latach 1998–2001

PAKISTAN

Szakil Afridi – pakistański lekarz i agent zwerbowany przez CIA

generał Mahmud Ahmed – szef pakistańskiego wywiadu (Inter-Services Intelligence – ISI) w latach 1999–2001

generał Ali Jan Aurakzai – dowódca sił zbrojnych odpowiedzialny za operacje przeprowadzone na Terytoriach Plemiennych Administrowanych Federalnie (FATA)

Generał Ehsan ul-Hak – szef ISI w latach 2001–2004

Dżalaluddin Hakkani – szef powiązanej z talibami siatki z siedzibą na pakistańskich terytoriach plemiennych, która prowadziła ataki wymierzone w amerykańskie wojska stacjonujące w Afganistanie

generał Aszfak Perwez Kajani – szef ISI w latach 2004–2007, później dowódca pakistańskiej armii

Bajtullah Mehsud – przywódca pakistańskich talibów po śmierci Neka Muhammada Wazira

generał Asad Munir – szef placówki ISI w Peszawarze w latach 2001–2003

Cameron Munter – ambasador USA w Islamabadzie w latach 2010–2012

generał Ahmed Szudżaa Pasza – szef ISI w latach 2008–2012

Hafiz Muhammad Sajjed – przywódca organizacji militarnej Laszkar-e Taiba („Armia Pobożnych”)

Nek Muhammad Wazir – przywódca pakistańskich talibów na terytoriach plemiennych

JEMEN

Ibrahim al-Asiri – główny konstruktor bomb dla Al-Kaidy na Półwyspie Arabskim (AQAP)

Abdulahman al-Awlaki – syn Anwara al-Awlakiego

Anwar al-Awlaki – radykalny kaznodzieja, członek AQAP i obywatel USA, zabity podczas nalotu amerykańskich dronów w 2011 roku

Ali Abdallah Salah – prezydent Jemenu w latach 1990–2012

SOMALIA

Aden Haszi Faradz Ajro – przywódca Asz-Szabab („Młodzież”), zbrojnego ramienia Związku Sądów Islamskich

Szejk Hassan Dahir Awejs – przywódca Związku Sądów Islamskich

Michele „Amira” Ballarin – amerykańska bizneswoman i rządowy pracownik kontraktowy

Saleh Ali Saleh Nabhan – kenijski członek wschodnioafrykańskiej komórki Al-Kaidy, zabity w 2009 roku

Sojusz dla Przywrócenia Pokoju i Przeciwdziałania Terroryzmowi (ARPCT) – koalicja finansowanych przez CIA somalijskich watażków

PROLOG

WOJNA OD ŚRODKA

„Dobra robota wywiadowcza, jak zawsze prawil Kontrola, musiala opierac sie na drobnych kroczkach i polegac na pewnej delikatnosci. Lowcy skalpów byli wyjatkiem od jego własnej reguly. Mieli w nosie delikatnosć i nie dbali o to, gdzie stawiają kroki...”

John le Carré, Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg

Pakistańscy policjanci wprowadzają do zatłoczonego pokoju przesłuchań krzepkiego faceta. Jedno wiedzą o nim na pewno: to szpieg. Zaczyna się przesłuchanie. Funkcjonariusz, który je prowadzi, próbuje łączyć fakty. Nie jest łatwo: dookoła brzęczą komórki i rozmawiają gliniarze, którzy posługują się mieszaniną urdu, pendzabskiego i angielskiego.

– Ameryka? Jest pan z Ameryki?

– Tak.

– Więc jest pan z Ameryki i pracuje dla amerykańskiej ambasady?

– Tak – podenerwowany głos przebija się przez hałas. – Mój paszport... Na miejscu pokazywałem go policjantowi... Chyba go zgubiłem...

Na niewyraźnym nagraniu z przesłuchania widać, jak mężczyzna sięga za połą flanelowej koszuli w kratę. Z wiszącej na szyi smyczy odpina kilka identyfikacyjnych plaketek. To jedna z niewielu rzeczy, jakie udało mu się ocalić z chaosu, który sam wywołał.

– To stary identyfikator, z Islamabadu – pokazuje plastik mężczyźnie po drugiej stronie biurka, a potem sięga po jeszcze jeden, bardziej aktualny, który potwierdza, że jest pracownikiem amerykańskiego konsulatu w Lahore.

Dzwoni telefon. Jeden z funkcjonariuszy natychmiast sięga po słuchawkę.

– Aresztowaliśmy człowieka z ambasady. Oddzwonię – mówi.

Padają kolejne pytania.

– Pracuje pan w konsulacie generalnym w Lahore?

– Tak.

– Jako...?

– Jestem... jestem tam konsultantem.

– Konsultantem? – mężczyzna za biurkiem nie dowierza. Milknie na moment, odwraca się do swojego kolegi i pyta go w urdu: – Jak on się nazywa?

– Raymond Davis – odpowiada policjant.

– Raymond Davis – potwierdza Amerykanin. – Czy mogę usiąść?

– Proszę bardzo. Może wody? – pyta funkcjonariusz.

– Macie wodę? Mogę dostać butelkę wody? – prosi Davis.

Stojący pod ścianą policjant wybuchła śmiechem.

– Chcesz wody? Nie masz kasy, nie ma wody.

Za plecami Davisa, który właśnie usiłuje usiąść na krześle, pojawia się jeszcze jeden policjant.

– Czy on zrozumiał? Czy dotarło do niego, że zabił dwoje ludzi?

Raymond Allen Davis: gwiazda szkolnej ligi futbolowej, wzięty zapaśnik z Wirginii Zachodniej, emerytowany żołnierz zielonych беретów (oddziałów specjalnych amerykańskich wojsk lądowych) i niegdysiejszy pracownik słynnej firmy ochroniarskiej Blackwater. Obecnie: tajny wysłannik CIA w Pakistanie. Kilka godzin wcześniej to potężne chłopisko ściśnięte na przednim siedzeniu białej hondy civic przebijało się przez wieczne korki na ulicach Lahore. Dlaczego właśnie tam? Bo drugie co do wielkości miasto Pakistanu, którym rządili niegdyś Mogołowie, Sikhowie i Brytyjczycy, a które później stało się kulturalną i intelektualną stolicą Pakistanu, od niemal dekady jest również areną, na której rozgrywa się tajna wojna Ameryki. Dziesięć lat po zamachu na World Trade Center, który ją zapoczątkował, doszło na owej arenie do istotnego przegrupowania sił. Islamistyczne ugrupowania i frakcje, które jeszcze niedawno nie miały ze sobą żadnego kontaktu, scementowały sojusze, żeby wspólnie stawić czoło ofensywie CIA i jej nowej broni: dronom, bezzałogowym, uzbrojonym latającym maszynom wysyłanym w niedostępne górskie tereny. Bojownicy, którzy koncentrowali się dotąd przede wszystkim na planowaniu krwawych ataków wymierzonych w Indie, zaczęli sympatyzować z Al-Kaidą i innymi organizacjami marzącymi o globalnym dżihadzie. Niektóre z tych grup zapuściły korzenie właśnie w Lahore. Dlatego też Raymond Davis i cała ekipa z CIA właśnie stamtąd, z bezpiecznej kryjówki, kierowała tajnymi operacjami. Bezpiecznej aż do chwili, gdy Davis trafił w ręce pakistańskich policjantów po zastrzeleniu dwóch młodych mężczyzn.

Podjechali na czarnym motocyklu do jego samochodu, który stał na skrzyżowaniu zapchanym autami, rowerami i rikszami. Byli uzbrojeni. Davis sięgnął po półautomatyczny pistolet marki Glock. Strzelił kilkukrotnie w ich kierunku przez przednią szybę, rozbijając ją w drobny mak. Trafił jednego z napastników w brzuch, ramię i tors. Drugi zaczął uciekać. Davis wysiadł z hondy, strzelił mu w plecy. Przez radio poprosił amerykański konsul o pomoc. Po paru minutach na horyzoncie pojawiła się jadąca pod prąd toyota land cruiser. Jednak po chwili samochód zderzył się z młodym motocyklistą. Chłopak zginął na miejscu, a auto z konsulatu uciekło z miejsca wypadku. Davisa zatrzymali pakistańscy policjanci. Znaleźli w jego samochodzie aparat fotograficzny. W pamięci zapisane były robione ukradkiem zdjęcia pakistańskich obiektów militarnych.

Kilka dni po tych wydarzeniach dyrektor CIA w czasie rozmowy telefonicznej z szefem pakistańskiego wywiadu ISI skłamał. Upierał się, że Davis nie pracował dla Agencji. Prezydent Barack Obama w trakcie konferencji prasowej też zataił faktyczną rolę Davisa, zwracając się do pakistańskich władz z prośbą o „uwolnienie naszego dyplomaty”. Szef komórki CIA w Islamabadzie, który przybył tam z Rosji zaledwie kilka dni przed strzelaniną, wdał się w otwartą wojnę z urzędującym ambasadorem,

twierdząc, że Stany Zjednoczone nie pójdą na żadne kompromisy w sprawie zwolnienia Davisa. Mówił, że zmieniły się zasady gry i przyjacielskie relacje pomiędzy CIA a pakistańskim wywiadem ISI należą już do przeszłości. Od tej pory wszystko miało się odbywać według „zasad moskiewskich” – niepisanej, bezlitosnej etykiety szpiegowskiej przestrzeganej w czasie zimnej wojny.

Krwawe zajście wydawało się dowodem potwierdzającym wszelkie spiskowe teorie, które przekazywano sobie szeptem zarówno na zatłoczonych bazarach, jak i w korytarzach siedziby pakistańskiego rządu: Stany Zjednoczone wysłały do Pakistanu swoją liczną tajną armię. Ma siać ferment i nawoływać do przemocy. To część sekretnego planu rozpętania w Pakistanie wojny domowej. Żona jednego z mężczyzn zastrzelonych przez Davisa, przekonana, że zabójca jej męża nigdy nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności, połknęła śmiertelną dawkę trutki na szczury.

Ale sprawa Davisa mówiła znacznie więcej. I o czymś innym. Były żołnierz zielonych beretów, zwerbowany przez CIA do prowadzenia w Pakistanie obławy na wrogów Ameryki, stał się twarzą odmienionej przez dekadę „wojny z terrorem” amerykańskiej agencji wywiadowczej. Zadania CIA przestały się ograniczać do klasycznych zadań szpiegowskich polegających na wykradaniu tajemnic innych rządów. Agencja stała się maszyną do zabijania. Organizacją pochłoniętą polowaniem na ludzi.

Ale kiedy CIA przejęła obowiązki do tej pory należące do armii, zaś szpiegowie stali się żołnierzami, nastąpiło również zjawisko odwrotne. Amerykańskie siły zbrojne zabrnęły gdzieś w mroczne rejony polityki zagranicznej. Zaś oddziały komandosów zaczęły zajmować się misjami szpiegowskimi, o których przed zamachami z 11 września 2001 roku nawet się w Waszyngtonie nie śniło. Wcześniej Pentagon praktycznie nie maczał palców w szpiegostwie, zaś CIA nie miała oficjalnej licencji na zabijanie. W następnych latach i jedni, i drudzy rozszerzyli swoje kompetencje. W efekcie powstał istny konglomerat wywiadu i wojska zajmujący się prowadzeniem wojny w nowym amerykańskim stylu.

Jaki przebieg miały konflikty w Afganistanie i Iraku, to wiemy. Ale przez przeszło dekadę trwała osobna, równoległa wojna, mroczne odbicie „wielkich konfliktów”, w które zaangażowała się Ameryka po atakach z 11 września. Ta wojna cieni rozgrywała się na całym świecie – wrogów Ameryki poszukiwano przy użyciu zabójczych dronów i specjalnie wyszkolonych jednostek. Opłacano ludzi, którzy zakładali siatki szpiegowskie, polegano na kaprysach nieprzewidywalnych dyktatorów i niewiarygodnych sprawozdaniach obcych wywiadów oraz sponsorowano pozbierane naprędce lokalne oddziały partyzanckie. Tam, gdzie Stany Zjednoczone nie mogły wysłać wojsk lądowych, pojawiali się ludzie znikąd wyznaczeni do zadań, które nierzadko przekraczały ich możliwości.

Ta wojna rozciągała się na kilka kontynentów – od pakistańskich gór po pustynie Jemenu i Afryki Północnej. Od wiecznie rozognionej z powodów klanowych konfliktów Somalii do gęstych dżungli Filipin. Fundamenty tajnej wojny zostały wylane przez konserwatywnego republikańskiego prezydenta i uklepane przez kolejnego, liberalnego demokrate, którego oczarowało to, co zastał po poprzedniku. Prezydent Barack Obama zobaczył w tajnej wojnie alternatywę dla kosztownych i bałaganiarskich wojenek, które

potrafią przynieść lub wręcz obalić rząd i które wymagały wieloletniej amerykańskiej okupacji. Jak to ujął John Brennan, jeden z najbliższych doradców prezydenta Obamy, zamiast na „młocie” Ameryka polega teraz na „skalpelu”.

Ta analogia sugeruje, że nowy sposób prowadzenia wojny, bez ponoszenia gigantycznych kosztów (także strat w ludziach), jest jak chirurgiczna operacja bez komplikacji. Nie wygląda to jednak aż tak dobrze. Ta „strategia skalpela” przysparza Ameryce nowych wrogów tak samo prędko, jak równała starych z ziemią. Wśród byłych sojuszników wzbudzała i wzbudza rozgoryczenie. Wywołuje chaos, choć miała wprowadzać ład. Służy do obchodzenia zasad regulujących w Stanach Zjednoczonych kwestie wojny i pokoju. Nadaje amerykańskiemu prezydentowi uprawnienia arbitra decydującego o życiu i śmierci mieszkańców dowolnego kraiku położonego na krańcach świata.

Ten nowy przepis na prowadzenie wojny, owszem, przyniósł wymierne efekty. Przede wszystkim śmierć Osamy ben Ladena i jego zauszników. Ułatwił również Stanom Zjednoczonym prowadzenie operacji mających na celu likwidację niewygodnych osób nawet w odległych zakątkach świata. Ta książka jest opowieścią o tym trwającym od przeszło dziesięciu lat eksperymencie. I o jego efektach, które wypęły z laboratorium.

Sir Richard Dearlove ujrzał zarys tej nowej, tajnej wojny już kilka tygodni po atakach z 11 września. Szef brytyjskiego Secret Intelligence Service (SIS), tajnych służb wywiadowczych MI6, przyleciał do Stanów Zjednoczonych z paroma innymi prominentnymi urzędnikami, żeby okazać swoją solidarność z najbliższym sojusznikiem Zjednoczonego Królestwa. Dearlove przybył do kwatery głównej CIA w Langley w stanie Wirginia, by osobiście zapewnić, że brytyjscy szpiegowie gotowi są zdobyć się na niezwykle rzadki gest i udostępnić kolegom zza oceanu swoją dokumentację dotyczącą członków Al-Kaidy.

Brytyjczycy szkolili amerykańskich agentów w czasie II wojny światowej, ale tak naprawdę zawsze mieli zupełnie inne podejście do szpiegowskiej gry. W roku 1943 jeden z członków Zarządu Operacji Specjalnych narzekał, że „temperament każe Amerykanom wymagać natychmiastowych i spektakularnych rezultatów, podczas gdy my polegamy na starannym planowaniu i ustalaniu celów długoterminowych”. Wyłuszczył też niebezpieczeństwa wynikające z działań Biura Służb Strategicznych, poprzednika utworzonej w 1947 roku CIA, które polegały na wysadzaniu w powietrze składów broni, przecinaniu linii telefonicznych i podminowywaniu szlaków komunikacyjnych. Ostrzegał, że Amerykanie mają więcej pieniędzy niż rozumu, zaś Biuro „tęskni za zabawą w Indian i kowbojów”, co może prowadzić do wzajemnych nieporozumień.

Dearlove wychował się w starej brytyjskiej tradycji szpiegowskiej. Ukończył Queens' College na Uniwersytecie w Cambridge, gdzie tajne służby szczególnie chętnie rekrutowały nowych członków. Służył na placówkach w Afryce, w Europie i w Waszyngtonie. Podobnie jak jego poprzednicy jako szef MI6 wszelką wewnętrzną korespondencję podpisywał kryptonimem „C” – oczywiście, jak nakazywała tradycja,

zielonym tuszem.

Niedługo po lądowaniu samolotu w Waszyngtonie Dearlove znalazł się w Centrum Antyterrorystycznym, w kwaterze CIA. Na wielkim ekranie oficerowie Agencji oglądali białą ciężarówkę mitsubishi mknącą przez Afganistan. Dearlove wiedział, że Amerykanie nauczyli się prowadzić wojnę za pomocą pilota zdalnego sterowania, ale nigdy wcześniej nie widział w akcji prawdziwego drona, predatora.

Minęło kilka minut, zanim mitsubishi zostało schwycone na komputerowy celownik pośrodku monitora. Rozbłysk wybuchającej rakiety zalał ekran bielą. Parę sekund później powrócił wyraźny obraz i oczom oglądających ukazał się płonący, poskręcany wrak ciężarówki.

Dearlove odwrócił się do oficerów CIA, w tym weterana Agencji Rossa Newlanda, który kilka miesięcy wcześniej zgodził się przystąpić do grupy nadzorującej program „Predator”, i uśmiechnął się drwiąco.

– Trochę to nie fair, prawda?

Rozdział pierwszy

LICENCJA NA ZABIJANIE

„Macie zabijać tam terrorystów, a nie robić sobie wrogów”

**prezydent Pakistanu do ambasador Stanów Zjednoczonych
Wendy Chamberlin, 14 września 2001**

Światła w pokoju dowodzenia w Białym Domu przygasły i ludzie z CIA rozpoczęli prezentację. Każde z rzucanych na ekran zdjęć – zwykle przedstawiających mężczyzn wsiadających do samochodów lub idących ulicą – ewidentnie zostało zrobione w pośpiechu. Były ziarniste i do tego nieostre.

Ta scena rozgrywająca się w zaciemnionym pokoju przypominała fragment filmu gangsterskiego, w którym agenci FBI sączą kawę i przeglądają fotografie mafijnych bossów. Jednak w tym wypadku slajdy przedstawiały ludzi, których Agencja zamierzała zlikwidować.

Przy stole zgromadzeni byli wszyscy ludzie wiceprezydenta Dicka Cheney, łącznie z radcą prawnym Davidem Addingtonem i szefem sztabu I. Lewisem Libbym, starym waszyngtońskim wygą znanym jako „Skuter”. Na honorowym miejscu zasiadał sam wiceprezydent. Z rosnącym zainteresowaniem przyglądał się wyświetlanej na slajdach galerii lotrów.

To była późna jesień 2001 roku, mroźny dzień. Zaledwie kilka tygodni wcześniej prezydent George W. Bush podpisał tajny dokument, na mocy którego CIA odzyskała utraconą w latach siedemdziesiątych realną władzę nad życiem i śmiercią. Seria przerażających, a nierzadko również komicznych rewelacji na temat podejmowanych przez Agencję prób politycznych zamachów zmusiła Białe Białe do wprowadzenia zakazu: CIA nie mogła dłużej zajmować się eksterminacją wrogów Ameryki. Ale teraz wszystko „wróciło do normy”. W pokoju dowodzenia ludzie Agencji przedstawiali swoim zwierzchnikom plany, w których wyjaśniali, jak mają zamiar wykorzystać odzyskaną właśnie licencję na zabijanie.

Dwaj oficerowie CIA prowadzący prezentację, Jose Rodriguez i Enrique Prado, opowiadali zgromadzonym w Białym Domu słuchaczom, w jaki sposób Centrum Antyterrorystyczne rekrutuje agentów CIA do nowego, ściśle tajnego programu. Projekt ten przewidywał wysłanie niewielkich grup zabójców do wybranych państw. Miały tam zająć się łapaniem i likwidacją osób, które administracja Busha wpisała na swoją listę proskrypcyjną.

Wśród mężczyzn na fotografiach był Syryjczyk Mamoun Darkazanli. CIA wierzyła, że brał udział w organizowaniu ataków z 11 września. Aktualnie mieszkał w Niemczech. Inne zdjęcie przedstawiało doktora Abdula Kadira Chana, twórcę pakistańskiego

programu budowy bomby atomowej, przez Zachód uznanego za wroga i podejrzewanego o przemykanie technologii nuklearnych do Iranu, Libii i innych państw. Prezentując zrobione z bliska fotografie, CIA w nieco dziwny, za to dobitny sposób sugerowała jedno: skoro możemy podejść do tych ludzi na tyle blisko, żeby pstryknąć zdjęcie, możemy z równie bliska ich zabić.

Ale pod płaszczykiem brawury kryło się mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Jak grupy uderzeniowe CIA mają zamiar przeniknąć niezauważenie do Niemiec, Pakistanu i innych krajów? Czy ekipa amerykańskich zabójców naprawdę będzie zdolna zbudować na miejscu siatkę szpiegowską, a potem, w wyznaczonym czasie, wpakować swojemu celowi kulkę w łeb? Agencja musiała opracować całą tę logistykę. Na razie Rodriguez i Prado nie byli na tyle przygotowani, żeby odpowiadać na szczegółowe pytania dotyczące operacji. Przyszli po pozwolenie.

Cheney powiedział im, żeby wzięli się do roboty.

Prezydent George W. Bush, syn byłego szefa CIA^[1], odziedziczył po poprzednikach zbieraninę zdemotywowanych szpiegów – zaledwie cień tego, czym była legendarna amerykańska agencja szpiegowska w epoce zimnej wojny. Jednak pod koniec 2001 roku Bush junior właśnie CIA postawił na czele globalnego polowania na terrorystów. Zaś szybkie i spektakularne wyniki pracy Agencji podbudowały jej wizerunek jako sprawnej komórki żywo reagującej na polecenia szefa – istna antyteza ociężałego, przeżartego biurokracją Pentagonu.

CIA prowadziła tajną wojnę pod patronatem Białego Domu, a niegdyś ignorowane, wchodzące w skład Agencji Centrum Antyterrorystyczne stało się stanowiskiem dowodzenia z prawdziwego zdarzenia. Jego rola była długo marginalizowana także wewnątrz samej CIA. Langley widziało w nim jedynie zbieraninę podstarzałych nadgorliwców, którzy zostali tam zesłani, ponieważ zawaliли poprzednie, bardziej prestiżowe zadania. Jednak po atakach z 11 września Centrum Antyterrorystyczne rozpoczęło ekspansję na niespotykaną wcześniej skalę. W ciągu zaledwie dekady stało się sercem CIA.

Setki tajnych agentów i analityków wyrwano z urzędniczych biur gdzieś w Azji i Rosji. Przeniesiono ich do labiryntu wzniesionych naprędce boksów, ustawionych gęsto, jeden przy drugim, w antyterrorystycznym centrum operacyjnym. Układ kabin był tak skomplikowany, że pracownicy mieli kłopot z odnalezieniem kolegów. Postawiono więc wycięte z kartonu drogowskazy, żeby ułatwić odszukanie właściwych boksów, zaś wąskie alejki ponazywano „Usama Bin Lane” czy „Zawahiri Way”. Nad głównymi drzwiami wejściowymi przyczepiono znak, który miał nieustannie i dobitnie przypominać, że kolejny atak terrorystyczny to kwestia dni, a może nawet godzin. Napisano na nim: DZISIAJ JEST 10 WRZEŚNIA 2001.

Nad rozgardiaszem panującym w Agencji w pierwszych miesiącach po 11 września próbował zapanować J. Cofer Black. 11 września, kiedy obawiano się, że ostatni z porwanych samolotów może zmierzać w kierunku kwatery głównej CIA, Black nie zezwolił oficerom Centrum Antyterrorystycznego na ewakuację z Langley. Ten ekstrawagancki oficer od dawna ogarnięty był obsesją ujęcia Osamy ben Ladena. Kiedyś

był już blisko: w latach 1993–1995 stał na czele komórki CIA w Chartumie, stolicy Sudanu, gdzie przywódca Al-Kaidy żył wtedy na wygnaniu. Wiedział o nim więcej niż inni ludzie Agencji, więc to on tworzył wizerunek Osamy jako hybrydy szalonego naukowca i generała George'a Pattona. Dyrektor Agencji George Tenet w ciągu kilku kolejnych miesięcy po zamachach rzadko zaglądał do Białego Domu bez Blacka. Narodził się mit, że jego głównym celem jest zabicie jak największej liczby członków Al-Kaidy.

Podczas spotkania w Gabinetcie Ovalnym, na dwa dni przed uderzeniem na Afganistan, Bush zapytał Blacka, czy CIA poradzi sobie z wyznaczonym zadaniem, które wymagało przemycenia oddziałów specjalnych do tego kraju. Miały one sprzymierzyć się z tamtejszymi watażkami i wodzami plemiennymi w walce przeciwko talibom. Black, używając makabrycznej hiperboli, oświadczył, że kiedy CIA skończy już z Al-Kaidą, ben Laden i jego świta „nie odgonią się od much żerujących na ich oczach”.

Właśnie takie słowa chciał usłyszeć Bush. Natychmiast polubił bombastycznego szefa antyterrorystów. Tylko niektórzy członkowie prezydenckiego gabinetu skrzywili się, słysząc tę maczystowską gadkę. Blacka zaczęto nazywać „facetem od much na oczach”.

Black dorobił się statusu figury liczącej się w Białym Domu. Było to powodem tarć w samej CIA oraz ciągłych batalii Blacka z Jamesem Pavitem, którego miał za pozbawionego wyobraźni słabeusza. Dla odmiany Pavitt, który stał na czele Dyrektoriatu Operacyjnego, komórki zajmującej się wszystkimi zagranicznymi misjami szpiegowskimi, miał Blacka za pozera i kowboja. Krytykował jego chęć wciągania CIA w zagraniczne awantury, które zamiast oczekiwanych efektów ściągną Agencji na głowę masę kłopotów. Zresztą skakali sobie do oczu jeszcze przed zamachami z 11 września, nie mogąc osiągnąć porozumienia w sprawie wykorzystania dronów do polowania na ben Ladena w Afganistanie.

Sukcesy, które po przyjęciu nowej strategii CIA odniosła w Afganistanie pod koniec 2001 roku, oznaczały zwycięstwo Blacka oraz Centrum Antyterrorystycznego. Nawet sceptycy musieli przyznać, że niezbyt liczna kadra oficerska Agencji zdolna była poprowadzić skuteczną kampanię przeciwko Al-Kaidzie i być może trwale ją unieszkodliwić. Dowódcy związanych z CIA jednostek specjalnych, do których później dołączyły zielone berety, z rozproszonych partyzanckich oddziałów i milicji utworzyli w Afganistanie regularną armię, która wygrywała potyczkę za potyczką. I choć do dyspozycji mieli konie oraz przerdzewiałe wozy pancerne pamiętające jeszcze wojnę ze Związkiem Radzieckim, Afgańczycy z pomocą Agencji wypędzili talibów z Kabulu i Kandaharu.

Nadciągał jednak kolejny, dziwaczny konflikt. Tym razem wewnętrzny. Chodziło o sposób prowadzenia wojny. Tradycyjny łańcuch decyzyjny – rozkazy wychodzące z Białego Domu trafiają do sekretarza obrony, a potem do najwyższych stopniem dowódców oraz ich liczących setki ludzi sztabów, i to oni muszą nakreślić i wyegzekwować wojenną strategię – przestał działać. Dyrektor CIA stawał się dowódcą wojskowym. Prowadzącym do tego tajną, globalną wojnę. Miał przy sobie tylko niezbędny personel i praktycznie nikogo, kto patrzyłby mu na ręce.

Tenet zaczął wywierać coraz mocniejszy nacisk, żeby zwiększyć liczebność oddziałów

CIA w Afganistanie. Do tego udało mu się przekonać Biały Dom do programu wyłapywania terrorystów, osadzenia ich w tajnych więzieniach i poddania brutalnym przesłuchaniom rodem z prozy Orwella. Jedynie Bush, Cheney i niewielka grupa ludzi z Białego Domu podejmowali decyzje, kto powinien zostać pojmany, kto zabity, a kto oszczędzony.

Dla Teneta była to nie lada zmiana – przed 11 września raczej przekonywał swoich szefów z Białego Domu, że oficerowie CIA powinni zostać wyłączeni z procesu podejmowania decyzji politycznych. Sam roztaczał wokół siebie mniemającą wręcz aurę i taki właśnie klasztorny obraz szpiega z Langley wykreował: to bezstronny urzędnik wypluwający z siebie kolejne raporty i szacunki, podczas gdy ci „po drugiej stronie rzeki”, w Białym Domu i w Kongresie, podejmują na ich podstawie kluczowe decyzje. James Pavitt powiedział później członkom komisji śledczej powołanej w sprawie zamachów z 11 września, że skandal Iran–contras w latach osiemdziesiątych, kiedy to CIA stworzyła skomplikowany łańcuszek pozwalający finansować działalność nikaraguańskiej partyzantki, nauczył go jednego: „Nie należy uprawiać polityki pod dyktando tego, co mówią [ludzie z Langley]...”.

O ile taka „apolityczna” wizja pracy Agencji już wcześniej była czymś w rodzaju wygodnej legendy, to pod koniec 2001 roku CIA nie mogła już dłużej obstawać przy tym, że nie jest odpowiedzialna za podejmowanie decyzji o wojnie i pokoju. Bush domagał się od Teneta codziennych wizyt w Białym Domu i udziału w prezydenckich odprawach – po raz pierwszy od początku istnienia Agencji to jej dyrektor, a nie niższy stopniem analityk spowiadał się regularnie z tego, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami CIA.

Podobnie jak jego poprzednicy Tenet chętnie naradzał się z prezydentem, żeby mieć do niego dostęp. Dlatego każdego ranka wraz z Coferem Blackiem zjawiał się w Białym Domu z całym zestawem opowieści o knowaniach terrorystów i katalogiem ludzi, którzy za nimi stali. Potem opowiadali przejętym słuchaczom o podjętych przez CIA działaniach mających na celu bezpieczeństwo państwa. Codzienne audiencje Teneta i Agencji u prezydenta sprawiły, że stali się nieodzowni dla Białego Domu. Bo jego apetyt na informacje o potencjalnych zagrożeniach był wręcz niezaspokajalny.

Szacunek ze strony wysoko postawionych oficjeli zaczął jednak rozpraszać analityków CIA przygotowujących raporty dla polityków – obejmowały one coraz węższe spektrum tematów, w coraz większym stopniu dotyczyły nie strategii, ale taktyki. Setki zatrudnionych w Agencji specjalistów głowiły się nad rozwiązaniem problemu terroryzmu, co było zrozumiałe w obliczu niedawnego ataku, w którym zginęło prawie trzy tysiące Amerykanów. Ale niemal natychmiast stało się również oczywiste, że jedyną ścieżką kariery dla analityka w CIA była praca „przy terrorze” i napisanie w raporcie czegoś, co być może któregoś ranka przeczyta, siedząc w swoim fotelu w Gabinetcie Ovalnym, sam prezydent. A Biały Dom był zainteresowany przede wszystkim informacjami o miejscach pobytu poszczególnych członków Al-Kaidy. Nie chciano tam słuchać długich wypracowań na bardziej skomplikowane tematy, takie jak poparcie dla terrorystów w świecie muzułmańskim czy wpływ amerykańskich działań wojennych i wywiadowczych na radykalizację poglądów nowego pokolenia bojowników.

CIA profilowała swoje działania zgodnie z oczekiwaniami zwierzchników. Nawet szpiegowski język stopniowo ulegał zmianie. Na przykład pojęcie „brać na celownik”. Oficerowie prowadzący i analitycy zwykli używać tego terminu, podejmując decyzję, którego z rządowych oficjeli obcego państwa warto wziąć pod uwagę przy zbieraniu informacji lub namierzaniu potencjalnych tajnych informatorów. Jednak dla analityków przeniesionych do Centrum Antyterrorystycznego „branie na celownik” miało zupełnie inne znaczenie. Chodziło o wyśledzenie jednostki stanowiącej zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych. Pojmanie jej lub zabicie.

Starcia pomiędzy Coferem Blackiem i Jamesem Pavitemm stawały się coraz ostrzejsze. Na początku 2002 roku Black postanowił odejść z tajnych służb i podjąć pracę w Departamencie Stanu^[2]. Zastąpił go Jose Rodriguez, jeden z czołowych oficerów Centrum Antyterrorystycznego, ale też swoisty kontrapunkt dla Blacka.

Cofer Black zdobył doświadczenie na Środkowym Wschodzie – obszarze obejmującym Bliski Wschód oraz Irak, Turcję, Arabię Saudyjską i Egipt. Był jednym z niewielu oficerów CIA z dogłębną wiedzą na temat siatki terrorystycznej, na której czele stał Osama ben Laden. Rodriguez nie miał za sobą służby na muzułmańskiej ziemi, nie mówił po arabsku i trzymał się tak blisko Pavitta, że niektórzy tajni agenci podejrzewali, że został przez niego zatrudniony po to, by miał na oku Blacka.

Rodowity Portorykańczyk, syn nauczycieli, Rodriguez dołączył do CIA w połowie lat siedemdziesiątych, po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Stanowym na Florydzie. Większą część kariery tajnego agenta spędził w sekcji zajmującej się Ameryką Łacińską, która w latach osiemdziesiątych kierowała operacjami CIA w Nikaragui, Salwadorze i Hondurasie. Stał wówczas zbyt nisko w hierarchii, żeby zostać wciągniętym w dochodzenie w sprawie Iran–contras, które spowodowało, że przez kilka kolejnych lat sekcja była w rozsypce.

Co prawda koledzy lubili Rodrigueza, ale nigdy nie odznaczył się on niczym szczególnym i trudno uznać go za najlepszego agenta swojego pokolenia. Służył w kilku różnych placówkach CIA w Ameryce Łacińskiej, łącznie z Boliwią i Meksykiem, gdzie dorobił się opinii buntownika wodzącego za nos biurokratów z Langley, którzy planując operacje w terenie, dzielili włos na czworo. Lubił jeździć konno i kiedy został szefem placówki w Meksyku, swojego ulubionego konia nazwał Interes, instruując przy tym podwładnych, by w razie telefonu od szefów z Langley na pytanie o miejsce jego pobytu odpowiadali „wyjechał w interesach”.

Kiedy w 1995 roku przejmował kierownictwo całej sekcji CIA do spraw Ameryki Łacińskiej, znowu przeżywała ona ciężkie czasy. John Deutch, drugi dyrektor Agencji za kadencji prezydenta Clintona, wywalił z roboty kilku oficerów prowadzących za – jak to eufemistycznie określano w Agencji – „bliskie i przedłużające się kontakty z obywatelami obcego państwa”. Innymi słowy stacjonujący w Ameryce Łacińskiej ludzie z CIA dopuszczali się niedozwolonych romansów i pojawiły się obawy, że ich rozwiązłość otwiera wrogom drogę do łatwego szantażu.

Rodriguez wkrótce sam wpadł w kłopoty. Kiedy jego przyjaciel z dzieciństwa został aresztowany na Dominikanie za przemyt narkotyków, interweniował, żeby tamtejsza policja nie znęcała się nad nim. Był to klasyczny konflikt interesów: oficer CIA

kontaktuje się z obcym rządem w sprawie przyjaciela. Inspektor generalny Agencji skarcił Rodrigueza za „kompletny brak umiejętności właściwego osądu”. Usunięto go ze stanowiska.

Ale do 2001 roku Rodriguez zdażył podnieść się z klęczek. Wraz ze swoim przyjacielem Enrique Prado znalazł się wśród tej części latynoamerykańskiego personelu CIA, którą oddelegowano do prowadzonej przez Agencję nowej wojny. Zaczął pojawiać się regularnie na popołudniowych spotkaniach zwoływanych punkt piąta przy stole konferencyjnym w biurze Teneta. Starsi oficjele otrzymywali tam codzienne raporty bojowe z Afganistanu i innych terenów, gdzie prowadzono operacje. Podczas jednego z takich spotkań Rodriguez bezceremonialnie rzucił sugestię, która doprowadzi do brzemiennej w skutkach decyzji podjętej przez administrację Busha.

Pytanie brzmiało: co zrobić z talibami pojmanymi w Afganistanie przez amerykańskie wojska i oficerów CIA? Gdzie ich przetrzymywać na dłuższą metę? Spotkanie przekształciło się w burzę mózgow. Poszczególni oficerowie sugerowali, że niektóre kraje będą skłonne przyjąć zatrzymanych. Jeden z nich zaproponował więzienie w mieście Ushuaia na argentyńskiej Ziemi Ognistej, odosobnioną placówkę na końcu świata. Inny – Wyspy Kukulczydziane, dwie małe połacie lądu na Morzu Karaibskim, niedaleko nikaraguańskiego wybrzeża. Żaden z pomysłów nie spotkał się jednak z aprobatą. Uznano je za niemożliwe do realizacji.

Aż wreszcie Rodriguez, niby żartem, powiedział: – Zawsze możemy ich zamknąć w Guantanamo.

Odpowiedział mu śmiech. Wszyscy poweseleli na myśl o tym, jak bardzo wkurzyliby Fidela Castro, gdyby Stany Zjednoczone osadziły złapanych w trakcie nowej wojny więźniów w amerykańskiej bazie wojskowej na Kubie. Jednak im dłużej o tym myśleli, tym bardziej Guantanamo wydawało im się rozsądną opcją. Był to obiekt amerykański, więc odpadało ryzyko związane z placówką w innym kraju, gdzie po wyborach nowy rząd mógłby chcieć wykopać ze swojego terytorium niechcianych gości. Z drugiej strony, jak wykombinowali oficjele CIA, więzienie w zatoce Guantanamo nie podlegałoby jurysdykcji amerykańskich sądów. Perfekcyjna lokalizacja.

Kuba stała się więc faworytem Agencji i wkrótce w jednym ze skrzydeł kompleksu Guantanamo zaczęto budować tajne więzienie. Obiekt o zaostrzonym rygorze oficerowie CIA nazwali żartobliwie „Truskawkowymi polami”, bowiem zatrzymani mieli tam zostać zamknięci, jak śpiewali Beatlesi, „na zawsze”.

Ale na polu walki oddalonym o ponad dziesięć tysięcy kilometrów od Waszyngtonu pierwsza wojna XXI wieku okazywała się znacznie bardziej skomplikowana, niż wydawało się to stłoczonym w płątanie boksów agentom. Na początku 2002 roku konflikt w Afganistanie nie przypominał ani tradycyjnej strzelaniny, ani nie zwiastował rychłego pokoju – trwały tam głównie wewnętrzne przepychanki wywołane niezdrową rywalizacją pomiędzy żołnierzami i agentami niezdolnymi wzajemnie sobie zaufać.

Planowanie amerykańskich misji odbywało się często na podstawie szczątkowych informacji pochodzących z niepewnych źródeł. Któregoś razu oddziały komandosów Navy SEALs i marines spędziły osiem dni na rozkopywaniu grobów w kompleksie jaskiń Zhawar Kili we wschodnim Afganistanie. Powodem była informacja, jakoby Osama

ben Laden został zabity w niedawnym nalocie na działającą tam bazę Al-Kaidy. Amerykanie mieli nadzieję ekshumować jego zwłoki i tym samym zyskać pretekst do zakończenia działań wojennych po zaledwie trzech miesiącach. Co prawda odnaleziono kilka ciał, ale oczywiście nie trafiono na to, którego szukano.

Czasem dziury w komunikacji i nieporozumienia pomiędzy wojskiem a CIA miały naprawdę opłakane skutki. 23 stycznia grupa zielonych beretów pod osłoną nocy przyspuściła atak na dwie placówki w Hazar Kadam, oddalone o przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów od Kandaharu. Składało się na nie kilka budynków przycupniętych na stoku wzgórza. Samoloty wsparcia piechoty AC-130 krążyły nad nimi, a żołnierze wpadli jednocześnie do obu kompleksów.

Kiedy tylko amerykańskie oddziały wybiły dziurę w zewnętrznych murach, gruchnęło staccato serii z kałasznikowa. Żołnierze odpowiedzieli ogniem, przeskakując błyskawicznie z pomieszczenia do pomieszczenia. Musieli walczyć wręcz z ludźmi, których mieli za talibów. Pod koniec misji okazało się, że Amerykanie zabili ponad czterdzieści osób. Na koniec rakiety z AC-130 zrównały budynki z ziemią.

Po powrocie do bazy żołnierze dowiedzieli się jednak, że kilka dni wcześniej ludziom z CIA udało się przekonać stacjonujące w obu kompleksach oddziały, żeby zerwały z talibami. Na jednym z budynków wisiała nawet flaga nowego rządu afgańskiego, na którego czele stał prezydent Hamid Karzaj. CIA nie poinformowała jednak grup uderzeniowych, że mieszkańcy tych placówek to od niedawna ich sojusznicy.

Tragedię spowodował po części zwyczajny wojenny chaos. Miała jednak również inne źródło: Pentagon i CIA, bezpardonowo walczące o supremację w nowej amerykańskiej wojnie, zwyczajnie podkładały sobie świnię. Sekretarz obrony Donald Rumsfeld oburzył się, że to oddziały specjalne CIA jako pierwsze znalazły się w Afganistanie. Nie chodziło tylko o logistykę, choć było faktem, że plutony zielonych beretów trafiły tam z opóźnieniem z powodu złych warunków pogodowych oraz kłopotów z dostępem do baz wokół Afganistanu.

Rzecz w tym, że całą inwazję zaplanowała CIA, a w dodatku poprowadziła jej pierwszą fazę; wojsko miało pełnić jedynie funkcję wspomagającą. Zdolność Agencji do szybszego przemieszczania się, mimo że dysponowała zaledwie ułamkiem budżetu Pentagonu, dodatkowo złościła Rumsfelda. Żeby podobna sytuacja nie powtórzyła się nigdy więcej, rozpoczął restrukturyzację administracji Pentagonu, która jego zdaniem była zacofana i przesadnie skoncentrowana na ochronie swoich drogocennych systemów uzbrojenia.

To był powrót Rumsfelda do polityki po sukcesach w biznesie (wcześniej sprawował funkcję sekretarza obrony za rządów prezydenta Geralda Forda). Jako jeden z szefów firmy farmaceutycznej G.D. Searle zgromadził ogromny majątek, więc kiedy przejmował Pentagon, postawił sprawę jasno: w Departamencie Obrony mają rządzić te same zasady co w każdej prywatnej firmie.

Miał już sześćdziesiąt dziewięć lat, został więc najstarszym sekretarzem obrony w historii Stanów Zjednoczonych. Jego codzienne rytualne narzekania na wszystko przypominały współpracownikom opowieści ich dziadków o życiu w czasach wielkiego kryzysu. Zaś jego próby reformowania Pentagonu prowokowały do porównań

z Robertem McNamara, sekretarzem obrony za Kennedy'ego i Johnsona. Przybył on do Waszyngtonu prosto z Ford Motor Company i sprowadził ze sobą „Whiz Kids” (genialne dzieciaki), przy pomocy których chciał radykalnie zmienić sposób funkcjonowania Pentagonu. Generalowie, którym nie podobała się strategia Rumsfelda, szybko zaczęli nazywać ekipę biznesmenów, których przyprowadził ze sobą nowy sekretarz obrony, „Wheeze Kids” (sapiące dzieciaki).

Do 11 września 2001 roku, kiedy to samolot American Airlines uderzył w zachodnią fasadę Pentagonu, wojskowym udało się udaremnić wiele z ambitnych planów Rumsfelda. W tym także próbę pozbycia się części drogiego w utrzymaniu, nieefektywnego wyposażenia jeszcze z czasów zimnej wojny. Niemal otwarcie mówiono w Waszyngtonie, że Rumsfeld może być pierwszym z grona najważniejszych urzędników administracji Busha, który zostanie zmuszony do rezygnacji ze stanowiska.

Jednak w ciągu następnego roku Rumsfeld stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych i popularnych członków gabinetu prezydenta. Do grudnia 2001 roku dzięki innowacyjnym strategiom wojskowym Amerykanie wypędzili talibów z afgańskich miast. Pochwały zebrał właśnie Rumsfeld. Jego bezceremonialne i szeroko znane komunikaty prasowe uczyniły go twarzą administracji Busha, tym człowiekiem, którego utożsamiano z odwetem na terrorystach za ataki na Nowy Jork i Waszyngton. Rumsfeld nie bawił się w staranny dobór słów i nie kłopotał wojskowym żargonem, kiedy opowiadał o celach tej wojny. Mówił po prostu o „zabijaniu talibów”. Dość wcześnie zorientował się, że nowy konflikt będzie prowadzony w mrocznych zakątkach świata i że w niczym nie będzie przypominał dziewiętnastowiecznych starć pomiędzy oddziałami piechoty, ostrzałów prowadzonych z okopów podczas I wojny światowej ani starć czołgów z II wojny. Pentagon musiał zacząć wysyłać żołnierzy do miejsc, gdzie – zgodnie z prawem i tradycją – wstęp mieli wcześniej tylko szpiedzy.

Przed 11 września w Pentagonie nie istniała osobna komórka zajmująca się zwalczaniem terroryzmu – odpowiednik działającego przy CIA Centrum Antyterrorystycznego. Ale już parę tygodni po atakach Rumsfeld zaproponował utworzenie takiej instytucji – tylko większej. W memorandum wystosowanym do szefa CIA napisał: „Z tego, co wiem, Centrum Antyterrorystyczne jest zbyt małe, żeby działać okrągłą dobę”, i przedstawił mu propozycję, w której opisał utworzenie nowej instytucji, która mogłaby dać Pentagonowi pełną kontrolę nad prowadzoną właśnie wojną – Połączonego Wywiadowczego Centrum Operacyjnego do spraw Walki z Terroryzmem.

Cztery dni później Rumsfeld przesłał swoje spostrzeżenia na temat nowej wojny w ściśle tajnym memorandum adresowanym do prezydenta Busha. Konflikt powinien mieć zasięg globalny, twierdził, zaś Stany Zjednoczone powinny skoncentrować się na jego kluczowych celach. „Jeśli wojna nie doprowadzi do znaczących zmian na politycznej mapie – napisał do prezydenta – USA nie osiągną tego, co sobie założyły”.

Pentagon nie dysponował jeszcze odpowiednią machiną, żeby móc taką globalną wojnę prowadzić. Rumsfeld doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Pozostało jeszcze wiele do zrobienia.

Była bezchmurna noc na początku lutego 2002 roku. Trzech dorosłych Afgańczyków i jeden chłopiec wyskoczyło z białej furgonetki prosto w ciemność. Ich ubrania marszczyły się targane powiewami wiatru wznieszanego przez wirniki amerykańskiego śmigłowca, które wzbijały w powietrze kłęby kurzu. Afgańczycy machali energicznie do komandosów, którzy zbliżali się do nich z bronią gotową do strzału.

Sześćdziesiąt parę kilometrów na północ, wewnątrz prowizorycznego centrum dowodzenia postawionego przy zbombardowanym pasażerskim terminalu lotniska w Kandaharze, oddział do zadań specjalnych dzięki należącemu do CIA dronowi oglądał transmisję z operacji. Dowódca jednostki kapitan marynarki Robert Harward wziął do ręki specjalnie zabezpieczony telefon i zadzwonił do swoich szefów w Kuwejcie, żeby powiadomić ich, kim są pojmani. Poinformował, że w jego rękach znajduje się mułła Chairullah Chairchwa, jeden z najbardziej poszukiwanych przywódców talibów.

Po drugiej stronie przez dłuższą chwilę trwało milczenie. W końcu generał Paul Mikolashek zapytał: – A jeśli to nie są ci ludzie, będziemy w stanie odstawić ich na miejsce?

Harward rzucił zdziwione spojrzenie pozostałym oficerom zebranych w centrum dowodzenia. Chcąc ochłonać, wziął głęboki oddech i dopiero wtedy zapewnił generała, że jego więźniowie, którym właśnie założono na ręce kajdanki i wprowadzono do helikoptera lecącego prosto do bazy w Kandaharze, mogą być w każdej chwili odesłani tam, skąd ich zabrano. Oczywiście jeśli to będzie konieczne. Harward nie wiedział jednak, że dosłownie przed chwilą Mikolashek dostał informację, że w śmigłowcu wcale nie siedzi mułła Chairchwa i jego ludzie. Talibski minister spraw wewnętrznych jechał inną białą furgonetką, która właśnie przekroczyła granicę Pakistanu. I CIA dobrze o tym wiedziała.

Mijał czwarty miesiąc wojny w Afganistanie i amerykańskie oddziały masowo wlewały się do tego kraju. Nowy rząd właśnie sadowił się w Kabulu, zaś mułła Chairchwa spędzał całe dni na negocjacjach z przyrodnim bratem nowego prezydenta Afganistanu Ahmedem Walim Karzajem w sprawie swojej kapitulacji. A także zostania informatorem CIA. Sam Ahmed Wali był na liście płac Agencji – układ ten za parę lat stanie się kością niezgody pomiędzy CIA i rządem w Kabulu. To za jego pośrednictwem amerykańscy szpiedzy mogli przekazać mułła Chairchwie, w jaki sposób jest w stanie uniknąć aresztowania i długiego pobytu w nowo wybudowanym więzieniu w zatoce Guantanamo.

Po paru dniach rozmów mułła Chairchwa nadal nie był jednak pewien, czy to propozycja godna zaufania. Zatelefonował do innego dowódcy talibów i oświadczył, że ma zamiar uciec do Pakistanu. Połączenie przejęli amerykańscy szpiedzy wojskowi, oficerowie wywiadu powiadomili Mikolasheka, a ten rozkazał stacjonującemu w Kandaharze kapitanowi Harwardowi przechwycić talibskiego ministra, zanim zdoła przekroczyć granicę. Śmigłowce udały się na południe w celu złapania Chairchwy, zaś predator śledził białą furgonetkę.

Ale CIA miała inne plany. Wojna w Afganistanie wymusiła na Agencji bliską współpracę z pakistańskim wywiadem ISI. Oficerowie CIA uznali, że to właśnie

Pakistańczycy powinni przechwycić mułłę Chairchwę i uczynić go informatorem. Jeśli to nie wyszło, odpowiednio nagłośnione aresztowanie talibskiego przywódcy przez pakistański wywiad pomogłoby rządowi w Islamabadzie zdobyć kilka plusów u waszyngtońskiej administracji.

Niedługo po starcie wojskowych śmigłowców dron CIA odpuścił śledzenie furgonetki Chairchwy. Załoga helikoptera straciła więc z oczu swój cel. Oficerowie wywiadu stacjonujący w centrum operacji specjalnych wydzielali się do telefonów i żądali wznowienia obserwacji. Po kilku minutach w okolicy pojawił się kolejny predator. Podążał jednak za inną białą furgonetką.

CIA z rozmysłem naprowadzała komandosów na błędny cel. Tymczasem mułła Chairchwa i jego obstawa pędzili w kierunku pustynnej granicy w Spin Boldak. Parę dni później, po jeszcze dłuższych i równie bezowocnych rozmowach mających na celu namówienie Chairchwy do współpracy, pakistańskie służby bezpieczeństwa zatrzymały go w domu w wiosce Chaman, gdzie się ukrywał. Potem przekazały go oficerom CIA w pakistańskiej Kwecie i Chairchwa rozpoczął długą podróż do Guantanamo. Był jednym z pierwszych więźniów nowej placówki.

Troje mężczyzn i chłopiec, których aresztowano i przewieziono do ośrodka odosobnienia w Kandaharze, zostało z powrotem załadowanych do śmigłowca, który odstawił ich sześćdziesiąt kilometrów dalej na południe – dokładnie w miejsce, gdzie zostawili swoją furgonetkę i zostali napadnięci przez amerykańskich komandosów. Odesłano ich z kilkoma kartonami konserw. Z szacunku dla wyznania aresztowanej przez pomyłkę czwórki z paczek wyjęto dania z wieprzowiną.

Rozdział drugi

SZPIEGOWSKI

WĘZEŁ MAŁŻEŃSKI

„Pakistan zawsze widział te sprawy czarno-biało”

**generał broni Mahmud Ahmed,
szef pakistańskiego wywiadu ISI,
12 września 2001**

Całe pokolenia oficerów CIA terminowały na „Farmie”. Tak zwykło się nazywać należący do Agencji ośrodek treningowy w stanie Wirginia. Jedną z elementarnych prawd wpajanych tam adeptom brzmiała: nie istnieje coś takiego jak „zaprzyjaźniona służba wywiadowcza”. Służby innych krajów mają być penetrowane i rozpracowywane, a ich oficerowie „odwracani”, tak by współpracowali ze Stanami i donosili na swoich. Zagraniczne służby wywiadowcze mogą być użyteczne, ale nigdy nie wolno im w pełni ufać. Im większa zależność od ich udziału w misji, tym większe ryzyko, że weźmie ona w łeb.

Taka filozofia sprawdzała się doskonale podczas zimnej wojny, kiedy Agencja koncentrowała się na jednej tylko misji – wykradaniu tajemnic Związku Radzieckiego oraz państw z nim sprzymierzonych – i korzystała z tradycyjnych technik szpiegowskich. Szefowie z Langley wiedzieli, że Sowieci robili dokładnie to samo. Zdawali sobie sprawę, że Moskwa ulokowała w amerykańskich strukturach szpiegowskich agentów, by zapewnić sobie stały dostęp do sekretów Stanów Zjednoczonych. Głównym motywem, by zbliżyć się do szpiegów obcych wywiadów, były działania kontrwywiadowcze: próby dowiedzenia się, jak głęboko służby innych państw spenetrowały struktury CIA. Przy okazji można było wyłapać krety, zanim okopią się na swoich pozycjach.

Strategie prowadzenia nowej wojny zmieniły zasady szpiegowskiej gry. Priorytetem CIA nie było już zbieranie informacji o obcych rządach i obcych państwach, ale polowanie na ludzi. Położono nacisk na szczegółową inwigilację pojedynczych osób i mało kogo obchodziło, w jaki sposób odbywa się gromadzenie danych. W efekcie Agencja stała się znacznie bardziej zależna od obcych służb wywiadowczych. Zwłaszcza tych, które poświęciły całe lata na rozbudowę kartotek organizacji terrorystycznych. Rozpaczliwie poszukując informacji, które pozwoliłyby zapobiec kolejnym atakom, CIA nie była specjalnie wybredna w doborze przyjaciół. Wystarczył rok od zamachów z 11 września, by zacieśniła więzi z wywiadami, które słynęły z brutalnych technik operacyjnych – egipskim Muchabaratem, jordańskim Generalnym Departamentem Wywiadu, a nawet z libijskimi służbami szpiegowskimi Muammara Kaddafiego.

Przywódcy niektórych państw rozkoszowali się możliwością udzielania Stanom Zjednoczonym lekcji na temat polowania na terrorystów. Podczas kolacji w Kairze na początku października 2001 roku egipski prezydent Hosni Mubarak tłumaczył Donaldowi Rumsfeldowi, że bomby w tej wojnie nie zdadzą się na wiele i że USA powinny „wyłożyć trochę pieniędzy na kupno sojuszników w Afganistanie”.

Mubarak, współczesny faraon, któremu udało się umocnić władzę w dużej mierze dzięki zdławieniu w Egipcie ruchów islamskich, z pewnością zdawał sobie sprawę, że może sporo zyskać na sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Przecież błędziły one po omacku, szukając skutecznej strategii walki z terroryzmem. Popisywał się więc przed Rumsfeldem swoim krasomówstwem, mówiąc, że ta walka jest konieczna, by „uratować planetę”.

Dla CIA w stanie wojny nie było jednak ważniejszego partnera od pakistańskiego wywiadu ISI. Związek tych dwóch służb przez całe lata przypominał wielką małżeńską kłótnię: obie strony już dawno straciły do siebie zaufanie, lecz nie wyobrażały sobie rozvodu.

Relacje wywiadów były miniaturą stosunków amerykańsko-pakistańskich. Bliskie więzi CIA z ISI w latach osiemdziesiątych, kiedy agenci obu państw przerzucali broń do Afganistanu i uczyli mudżahedinów strzelać do sowieckich helikopterów, rozluźniły się w kolejnej dekadzie. Waszyngton stracił zainteresowanie postsowieckim Afganistanem i narzucił na Islamabad ostre sankcje, które miały być karą za prace nad tajnym programem nuklearnym. Pakistan zaczął więc wspomagać talibów, grupę pasztuńskich półanalfabetów wywodzącą się z południowej części Afganistanu. Mieli oni stanowić przeciwwagę dla frakcji tworzących afgański Sojusz Północny, od dawna wspierany przez Indie.

ISI uznawało talibów za swoich pasztuńskich sojuszników. Bo choć to fanatycy, stanowili jednak bufor bezpieczeństwa – potrafili powstrzymać Sojusz Północny przed przejściem całego Afganistanu i utworzeniem sprzymierzonego z Indiami państwa. A tego Islamabad obawiał się najbardziej. Pakistańscy przywódcy wojskowi uznali, że skoro przyczynili się walnie do wypędzenia oddziałów radzieckich z Afganistanu, to właśnie do ich rąk powinny trafić sznurki, pociągając za które można kierować rządem w Kabulu.

Pakistański wywiad pomagał talibom, zapewniając im finanse i doradztwo w zakresie strategii. Za to kurek z amerykańskimi pieniędzmi płynącymi z Waszyngtonu do Islamabadu został zakręcony. Stacjonujący tam w latach dziewięćdziesiątych amerykańscy oficjele nie mieli więc dość mocnych argumentów w rozmowach z ISI. A domagali się wiele: pakistańscy szpiedzy mieli przekonać talibów do wydania Osamy ben Ladena.

Stany Zjednoczone nasiliły naciski pod koniec 1998 roku, po ataku bombowym Al-Kaidy na amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii. Jednak pakistańskie służby okazały się niewzruszone. Amerykanie dawali wyraz swojej frustracji w depezach słanych do Waszyngtonu. Jeden z komunikatów z Islamabadu, datowany na grudzień 1998 roku, opatrzone suchym nagłówkiem: „Osama ben Laden: Pakistan odmawia wsparcia”. Kiedy jeden z amerykańskich generałów wspominał imię ben Ladena

podczas spotkania z generałem Ehsanem ul-Hakiem, przyszłym szefem ISI, Pakistańczyk zasępił się. – Nie potrafię zrozumieć, czemu wy, Amerykanie, tak bardzo przejmujecie się Afganistanem – syknął.

Wszystko zmieniło się rankiem 11 września 2001 roku. Generał Mahmud Ahmed, szef ISI, przebywał wtedy akurat w Waszyngtonie. Miał spotkanie z kongresmenami. Odbywało się ono w specjalnie zabezpieczonym pomieszczeniu stałej specjalnej komisji do spraw wywiadu.

Ahmed, niski, krępy mężczyzna z krzaczastym siwym wąsem zasłaniającym oba policzki, przejął ISI po przewrocie wojskowym w 1999 roku, który zapewnił prezydencki stołek generałowi Perwezowi Muszarrafowi. Nie krył się ze swoją sympatią do talibów. Raz zrugął nawet pakistańskiego analityka wojskowego, który powiedział Muszarrafowi, że polityka wobec talibów stawia jego kraj w niekorzystnym świetle. – Talibowie – odpowiedział szef ISI – są przyszłością Afganistanu.

Tego ranka na Kapitolu Ahmed prowadził przyjacielską rozmowę z Porterem Gossem, najważniejszym republikaninem zasiadającym w komisji, zadziwiając kongresmenów szczegółową wiedzą na temat wojny secesyjnej. Goss miał zamiar wręczyć Ahmedowi poświęconą jej książkę, lecz przyjemna konwersacja została nagle przerwana, gdy do pokoju obrad wbiegli urzędnicy, by powiadomić kongresmenów i szefa ISI, że drugi samolot uderzył właśnie w World Trade Center. – Mahmud zbladł – wspomina Goss. Pakistańczyk poprosił o wybaczenie i pobiegł do czekającego na niego auta. Książkę, nadal zawiniętą w ozdobny papier, zostawił na stole.

Następnego poranka Ahmed został wezwany do gabinetu Richarda Armitage'a, zastępcy sekretarza stanu, który nie był w nastroju do dyplomatycznych pogadanek utrzymanych w tonie politycznej poprawności. Poprzedniej nocy prezydent Bush ogłosił, że Stany Zjednoczone będą traktowały jednakowo terrorystów i tych, którzy ich wspierają. Armitage bez ogródek przedstawił szefowi ISI iście manichejską ofertę: – Pakistan stanął przez jasnym wyborem: albo jesteście z nami, albo przeciwko nam.

Dodał, że odpowiedzią ma być jasne „tak” albo „nie”, bez żadnych „może”.

Urażony tą bezpośredniością Ahmed odpowiedział, że choć Pakistan od dawna oskarżany jest o „sypianie z terrorystami”, nie ma to nic wspólnego z prawdą. Dodał, że jego kraj bez wahania poprze Stany Zjednoczone. A o swojej lojalności zapewnił takimi słowami: – Pakistan zawsze widział takie sprawy czarno-biało.

Armitage ostrzegł go, że USA przygotowywały długą listę żądań, które zapewne zmuszą Islamabad do „głębokiej introspekcji”.

Warunki ożenku CIA i ISI przedyskutowano następnego dnia. Armitage zażądał od Ahmeda nieograniczonego dostępu do pakistańskiej przestrzeni powietrznej oraz możliwości prowadzenia operacji wojskowych i wywiadowczych na terenie całego kraju. Ameryka chciała również dostępu do pakistańskich portów, lądowisk i baz w górach położonych przy granicy z Afganistanem. Na koniec upomniała się o zgromadzone przez ISI materiały na temat Al-Kaidy – miały zostać natychmiast przekazane CIA.

Ahmed zapewnił Armitage'a, że prezydent Muszarraf otrzyma listę żądań. Dodał jednak, że Pakistan chce czegoś w zamian: gwarancji, że zostanie odpowiednio wynagrodzony za pomoc w kampanii wymierzonej w Al-Kaidę. Jeśli jego kraj ma

wystąpić przeciwko talibom i zgodzić się na prowadzenie działań wojennych przy swojej zachodniej granicy, nie zrobi tego za darmo.

Tak zostały ustalone zasady związku Waszyngtonu i Islamabadu w nowej epoce, która nastąpiła po 11 września: Stany Zjednoczone chciały zezwolenia na wszczęcie tajnej wojny na terenie Pakistanu, a Pakistan oczekiwał w zamian pieniędzy.

Prezydent Muszarraf zgodził się na większość warunków Waszyngtonu. Jednak nie na wszystkie. Określił na przykład wyraźnie granice poruszania się amerykańskich samolotów w pakistańskiej przestrzeni powietrznej. Obawiał się bowiem, że USA mogą próbować prowadzić loty rozpoznawcze nad bazami z bronią atomową. Odmówił także Amerykanom dostępu do większości baz wojskowych, pozwalając U.S. Army stacjonować jedynie w dwóch bazach lotniczych: Shamsi w południowo-zachodnim rejonie Beludżystanu i Dżakobabad w północnej prowincji Sindh.

Po tym odnowieniu więzi pomiędzy Waszyngtonem a Islamabadem obie strony uznały, że dały ze swej strony więcej, niż otrzymały w zamian. To było niewysychające źródło wzajemnych żalów i oskarżeń.

Retoryka Waszyngtonu była prosta i jednoznaczna. Prezydent Muszarraf zdawał sobie z tego sprawę. Człowiek, który spędził kawał życia w armii, brał pod uwagę wszystkie opcje rozwoju wydarzeń. Napisał później w pamiętniku, że jeśli zdecydowałby się poprzeć talibów, Stany Zjednoczone uznałyby Pakistan za państwo opowiadające się za terroryzmem i, jak można przypuszczać, amerykańskie wojska wkroczyłyby na terytorium kraju, zgniotły jego armię i przejęły arsenał nuklearny.

Tym bardziej że Indie wyraziły gotowość do udostępnienia swoich baz na czas wojny w Afganistanie. Gdyby Amerykanie przyjęli tę propozycję, mogliby ulokować swoje samoloty w bazie w Amritsar w północno-wschodnich Indiach. Bombowce przelatywałyby przez terytorium Pakistanu po drodze do Afganistanu i z powrotem, już po zrzućeniu śmiertelnościanego ładunku. Ale co gorsza, Hindusi mogliby wykorzystać okazję, by – z błogosławieństwem Ameryki – przeprowadzić ofensywę w Kaszmirze, którego podział od dawna był przedmiotem sporu między Islamabadem a Delhi. Doprowadziłoby to do zachwiania równowagi w tej części Azji, gdzie od dawna Pakistan i Stany Zjednoczone stały po tej samej stronie. Ich przeciwnikiem były Indie ze swoim tradycyjnym sojusznikiem – Rosją. W konsekwencji Islamabad stałby się krajem ubogim i bezsilnym, wyrzuconym na margines.

Wieczorem 19 września Muszarraf poinformował swoich współobywateli, w jaki sposób ustosunkował się do żądań Waszyngtonu. Odezwę wygłosił ubrany w nieskazitelny mundur, lecz na jego twarzy malowało się zmęczenie i napięcie, efekt niekończących się narad z generałami, politykami, przywódcami religijnymi i amerykańskimi dyplomatami. Emitowane w telewizji wystąpienie nie było denuncjacją Al-Kaidy czy talibów. Muszarraf nie potępił też ataków na World Trade Center i Pentagon. Decyzję o pomocy Ameryce motywował kwestiami obiektywnymi. Dużo mówił o dobru kraju. Indie zdążyły już zaoferować Ameryce pełną pomoc. A do tego, jak powiedział Muszarraf, władze w New Delhi są zdeterminowane, aby zdobyć gwarancje, że „kiedy zmieni się rząd w Afganistanie, będzie to antypakistański rząd”. Dlatego też uznał, że Pakistan ma przed sobą cztery zadania: bezpieczeństwo własnych granic,

rozwiązanie kwestii kaszmirskiej, odnowę gospodarki i obronę swoich „obiektów strategicznych”.

Ostatni punkt dotyczył nie tylko arsenału nuklearnego, który rozbudowywano przeciwko Indiom. Pakistan miał w zanadru inne „środki walki”. Jeszcze w 2001 roku grupy takie jak afgańscy talibowie czy oddziały dowodzone przez jednego z przywódców mudżahedinów, Dżalaluddina Hakkaniego, uważano właściwie za niezbędny element pakistańskich sił zbrojnych. Dlatego Muszarraf wyraził się w swoim przemówieniu jasno – nadal uznawał talibów za swoisty wał chroniący jego kraj przed Indiami. I choć naciskał na mułłę Mohammeda Omara, przywódcę talibów, by wydał ben Ladena, powiedział swoim rodakom, że była to jedna z dróg do celu. A celem było wyjście z sytuacji po 11 września „bez szkody dla Afganistanu i talibów”.

Tydzień po atakach z 11 września, w noc poprzedzającą przemówienie prezydenta Busha w Kongresie, w którym oskarżył talibów o „zachęcanie do terroryzmu i wspieranie morderczych działań”, Muszarraf wciąż miał nadzieję, że uda się afgańskich ekstremistów utrzymać przy władzy. Waszyngton wydawał się z kolei uspokojony tym, że prezydent Pakistanu wyłożył wszystkie swoje karty na stół, a wszystkie żetony postawił na administrację Busha. Jednak w rzeczywistości przyjął on bardziej skomplikowaną strategię. Strategię, której nawet po latach wojny w Afganistanie wielu amerykańskich oficjeli nadal nie jest w stanie pojąć.

ISI miało nadzieję, że uda się uniknąć kolejnej długiej i krwawej wojny w Afganistanie. Szczególnie takiej, której celem byłoby zastąpienie talibów sprzymierzonymi w Sojuszu Południowym Tadżykami i Uzbekami. Po powrocie do Islamabadu generał Ahmed rozpaczliwie próbował przekonać amerykańską ambasadorkę Wendy Chamberlin, że Stany nie powinny wszczynać konfliktu powodowanego czystym pragnieniem zemsty. Prawdziwe zwycięstwo w Afganistanie, argumentował, można odnieść tylko dzięki skutecznym negocjacjom. – Jeśli talibowie zostaną wyeliminowani – powiedział – Afganistan rozedrą lokalni watażkowie.

Żeby przekonać talibskiego przywódcę mułłę Mohammeda Omara do wydania ben Ladena, generał Ahmed poleciał do Kandaharu samolotem wynajętym przez CIA. Omar, dowódca mudżahedinów podczas wojny z Sowietami (stracił wtedy oko), szdyził jednak z pakistańskiego generała, nazywając go chłopcem na posyłki Busha. Odrzucił wszelkie żądania, udzielając przy tym zjadliwej reprimendy swojemu wieloletniemu dobroczyńcy z ISI. – Ty chcesz zadowolić Amerykanów, ja chcę zadowolić Boga – powiedział.

Przyjęta przez CIA strategia działań w Afganistanie już od początku wywołała konflikty w agencji. Wkrótce oficerów w Langley i tych stacjonujących w Islamabadzie dzieliła przepaść. Cofer Black, szef CTC, naciskał na natychmiastowe dozbrojenie Sojuszu Północnego i rajd na południe, w stronę Kabulu. Jednak Robert Grenier, szef komórki w Islamabadzie, był przeciwny takiej strategii. Ostrzegał, że każda próba udzielenia wsparcia oddziałom wspomaganym przez Indie i Rosję mogłaby wpłynąć negatywnie na relacje z Pakistanem – a akurat, po latach wzajemnego patrzenia sobie na ręce, Amerykanie i Pakistańczycy odzyskiwali szanse na odbudowę zaufania. Te

wewnętrzne przepychanki zebrały szeroką publiczność trzy tygodnie po atakach z 11 września, kiedy oficerowie CIA zjawili się w Pentagonie, aby wziąć udział w telekonferencji pomiędzy Waszyngtonem, Islamabadem a kwaterą główną Centralnego Dowództwa USA w Tampie na Florydzie.

Podczas konferencji Grenier powiedział, że każda planowana ofensywa lądowa z udziałem Sojuszu Północnego musi zostać wstrzymana, żeby dać ISI więcej czasu na wywarcie odpowiednich nacisków na talibów w sprawie wydania ben Ladena. Poza tym udzielenie wsparcia Sojuszowi mogło doprowadzić do kolejnej krwawej afgańskiej wojny domowej – twierdził Grenier, i dodawał jeszcze, że być może wystarczy kampania lotnicza, by zmusić talibów do negocjacji.

Z kolei Hank Crumpton, oficer Centrum Antyterrorystycznego wyznaczony przez Cofera Blacka do kierowania wojną w Afganistanie, miał Greniera za naiwniaka, który nie potrafi właściwie ocenić stanowiska ISI i cierpi na ciężki klientelizm. Po konferencji Crumpton powiedział Rumsfeldowi, że według niego Grenier śmiertelnie się myli.

Grenier starał się jednak przekazać wątpliwości ISI, a nie były one wcale wysrane z palca. Przez całe tygodnie pakistańscy szpiedzy przekonywali swoich przebywających w Islamabadzie kolegów z CIA, że wojna w Afganistanie może wymknąć się spod kontroli, zaburzyć i tak już chwiejną równowagę w regionie, a nawet pchnąć Indie i Pakistan do wojny zastępczej na terenie Afganistanu.

Negocjacje zaczęły się przeciągać i z września zrobił się październik. Ale CIA po cichu przerzucała już oddziały specjalne do Afganistanu, żeby nawiązały kontakt z przywódcami walczącymi pod sztandarem Sojuszu Północnego. Tymczasem do Centrum Antyterrorystycznego z placówek CIA na Środkowym Wschodzie i w Azji Południowej napływały strumieniem informacje o nadciągającym zagrożeniu. 5 października, dwa dni przed zrzuceniem przez Stany Zjednoczone pierwszych bomb na Afganistan, Armitage przesłał ambasador Chamberlin wiadomość do rąk własnych. Nakazał jej natychmiast spotkać się z generałem Ahmedem. Chciał przekazać mulle Omarowi prostą informację – i miał to zrobić właśnie on. Brzmiała następująco: jeśli kolejny atak zostanie powiązany z Afganistanem, odpowiedź Ameryki będzie miażdżąca. Napisał: „Każda podpora talibskiego reżimu zostanie zniszczona”.

Dzień po rozpoczęciu amerykańskich działań wojennych w Afganistanie Muszarraf zwolnił generała Ahmeda ze stanowiska. Takie posunięcie wymusili szefowie CIA w Waszyngtonie, zaś wybór jego następcy okazał się kontrowersyjny. Został nim generał Ehsan ul-Hak, który stał na czele garnizonu w Peszawarze i był jednym z dowódców, którzy w 1999 roku pomogli dojść Muszarrafowi do władzy. Ale co ważniejsze, w przeciwieństwie do Ahmeda nie żywił specjalnej sympatii do talibów. Parę tygodni po nominacji siedział u boku Muszarrafa w siedzibie ONZ, gdzie prezydent Pakistanu po raz pierwszy od ataków z 11 września spotkał się z George'em W. Bushem, żeby przedyskutować amerykańskie plany co do Afganistanu.

Aby przygotować Busha do rozmów, sekretarz stanu Colin Powell napisał memorandum dla prezydenta, w którym chwalił Muszarrafa i mówił wyraźnie, że pakistański rząd „odciął się od talibów”. „Decyzja Muszarrafa o podjęciu bliskiej

współpracy ze Stanami Zjednoczonymi po wydarzeniach z 11 września była naznaczona sporym politycznym ryzykiem i zmieniła oblicze naszej, dotychczas stojącej w miejscu, współpracy”, rozpoczął swoją notatkę. Z perspektywy czasu okazało się, że analiza Powella była naiwna i zawierała wszystko to, co chcieli usłyszeć amerykańscy oficjele i w co było im łatwo uwierzyć. W rzeczywistości Muszarraf nie zdecydował się na diametralną zmianę polityki zagranicznej, lecz raczej odnowił umowę, którą zawarł ze Stanami Zjednoczonymi jeszcze w latach osiemdziesiątych prezydent Zia ul-Hak. Muszarraf obiecał pomóc Amerykanom w osiągnięciu celów w Afganistanie, zaś w zamian za to na konto Pakistanu miała wpłynąć przyzwoita suma.

Muszarraf nie zdołał zapobiec wojnie, ale podjął starania, żeby była jak najkrótsza – chciał, aby Stany Zjednoczone możliwie szybko opuściły jego podwórko. Taką wiadomość przekazał Bushowi podczas spotkania w ONZ: róbcie wszystko to, co jest wam potrzebne do wypędzenia Osamy ben Ladena i jego popleczników z Afganistanu, lecz nie waźcie się rozbijać tam obozu na długo.

Jak się okazało, Pakistańczycy źle odczytali słowa Amerykanów – i wzajemnie. Po atakach z 11 września przez parę kolejnych miesięcy z kwatery głównej ISI nieustannie wpływały wiadomości kierowane do pakistańskich ambasad w Stanach i innych krajach. Tamtejsi analitycy uznali, że Stany Zjednoczone nie mają żadnych długofalowych planów wobec Afganistanu – oprócz zdławienia Al-Kaidy. Podpieraną się lekcją historii: wszak Waszyngton stracił zainteresowanie Afganistanem niemal od razu po wyparciu Sowietów z kraju. Tak wyglądała sytuacja zdaniem Asada Durrani, emerytowanego pakistańskiego generała broni, który w latach dziewięćdziesiątych stał na czele ISI. Durrani pełnił potem funkcję ambasadora w Arabii Saudyjskiej i odbierał nadawane przez ISI do pakistańskich placówek dyplomatycznych wiadomości. Nowa amerykańska wojna w Afganistanie, powiedział po latach, „zapowiadała się wówczas na krótki epizod”.

Pakistańscy szpiegowie nadal próbowali znaleźć dowody na potwierdzenie tej tezy. W listopadzie oraz grudniu 2001 roku zorganizowali serię tajnych spotkań z przywódcami plemiennymi, próbując tym samym określić, ilu dotychczasowych popleczników talibów są w stanie odciągnąć od fanatycznego rdzenia ugrupowania. Podczas jednej z narad generał Ehsan ul-Hak, nowy szef ISI, spotkał się w Islamabadzie z Dżalaluddinem Hakkanim. Generał wezwał Hakkaniego do stolicy, żeby wy badać, po której stronie opowie się pomarszczony dowódca, który w trakcie wojny przeciwko Sowietom był najzagorzalszym sojusznikiem CIA, ale po zakończeniu konfliktu opowiedział się po stronie Al-Kaidy i tkwił przyczajony w swojej bazie w Miranszahu w Waziristanie Północnym.

W trakcie rozmowy stało się jasne, że Hakkani nie ma zamiaru przejść na stronę pakistańską. Powiedział generałowi ul-Hakowi, że według niego amerykańska inwazja nie różni się niczym od agresji radzieckiej. Z zaskakującą pewnością zapowiedział, że nowa wojna będzie wyglądała dokładnie tak samo jak poprzednia. Hakkani przyznał, że nie jest w stanie zatrzymać amerykańskich bombowców, ale w końcu Stany Zjednoczone zostaną zmuszone do wysłania wojsk lądowych do Afganistanu. A kiedy to się wydarzy – oświadczył szefowi ISI – stanie przeciwko Amerykanom.

– Mogą okupować nasze miasta, ale nie pójdą za nami w góry – miał stwierdzić Hakkani. Tak przynajmniej zapamiętał to generał ul-Hak. – Ukryjemy się w jaskiniach i tam będziemy się bronić. Tak jak przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Wieści o wizycie słynnego dowódcy w Islamabadzie szybko dotarły do amerykańskiej ambasady. Szef tamtejszej komórki CIA Robert Grenier natychmiast pojechał do generała ul-Haka z prośbą o dokładniejsze informacje. Dowiedział się, że Hakkani nie tylko naprawdę pojawił się w stolicy, ale nawet spotkał się z ul-Hakiem. Ale Grenier nie został o tym powiadomiony, bo negocjacje spęły na niczym. – I tak nie oczekiwałem, że będzie pomocny – podsumował ul-Hak.

Muszarraf, choć posadził na stołku szefa ISI nowego, antytalibskiego generała, wcale nie miał zamiaru oczyszczać całego wojska z islamistów. Kiedy ul-Hak przejął obowiązki szefa wywiadu, prezydent powołał generała broni Alego Jana Aurakzaiego, swojego bliskiego przyjaciela i sympatyka talibów, na stanowisko zwolnione przez ul-Haka – dowódcy korpusu w Peszawarze.

Peszawar, tętniące życiem miasto handlowe, było stolicą Północno-Zachodniej Prowincji Granicznej, terytorium nazwanym tak przez Brytyjczyków ze względu na jego umiejscowienie na krawędzi zamieszkanym wówczas ziem^[3]. Nowe stanowisko dawało generałowi Aurakzaiemu możliwość zorientowania się w sytuacji na tak zwanych Terytoriach Plemiennych Administrowanych Federalnie – chodzi o trudno dostępne górskie tereny rządzone przez plemiona Wazir i Mehsud, gdzie prawo stanowione przez rząd znaczyło naprawdę niewiele.

Brytyjczykom nigdy nie udało się podporządkować tych terenów. Winston Churchill jako dwudziestotrzyletni dziennikarz w 1897 roku przez sześć tygodni podróżował z wojskiem po dystrykcie Malakand, skąd wysyłał korespondencje do „The Daily Telegraph”. Opisywał w nich pokryte czapami śniegu góry: „łańcuch za łańcuchem, ciągną się aż do wzburzonego Atlantyku; pokryty śniegiem szczyt pobłyskuje w oddali bielą, wyższy od pozostałych”.

„Rzęsiste deszcze spadają tutaj każdego roku – ciągnął Churchill – i zmywają ziemię z górskich stoków, stopniowo żłobiąc w nich bruzdy, szlifowane przez kolejne ulewy, odkrywając prastary czarny kamień”. Krajobraz ten nie zmienił się wiele od czasu podróży Churchilla, a i zamieszkujący te ziemie ludzie nadal pozostawali hardzi i nieufni wobec przybyszów. Jak zauważył przyszły premier Wielkiej Brytanii, to miejsce, gdzie „pięść każdego człowieka wymierzona jest w innego, a wszystkie w obcych”.

Generał Aurakzai już dawno udowodnił swoją lojalność względem Muszarrafa, tak jak zresztą każdy konspirator uczestniczący w zamachu stanu z 1999 roku. Według niektórych relacji to właśnie Aurakzai zjawił się w domu prezydenta Nawaza Szarifa, przyłożył mu lufę do skroni i oświadczył, że władzę w kraju przejmuje wojsko. Jako dowódca wychowany na terenach plemiennych spędził wystarczająco dużo czasu w górach, żeby wiedzieć, iż regularna armia pakistańska nie jest w stanie skutecznie tam walczyć. Ale nie sądził też, że jest ku temu powód, bo zapewne tylko garść ludzi Al-Kaidy przeniknęła do Pakistanu. Tego samego zdania był prezydent Muszarraf.

Jednak oficerowie CIA stacjonujący w Islamabadzie myśleli inaczej. Kilka miesięcy

po wkroczeniu wojsk pakistańskich na tereny plemienne zaczęli karmić agentów ISI raportami o obecności arabskich bojowników w górach. Jednak patrole wysyłane przez generała Aurakzaiego nie trafiły na żaden ich ślad. Grenier, szef komórki CIA w Islamabadzie, mówił, że Aurakzai i pozostali pakistańscy oficjele z którymi rozmawiał, obawiali się, że ekspedycja wojskowa w góry może wywołać plemienne powstanie. Nie chcieli też wierzyć informacjom CIA, że Al-Kaida ma w Pakistanie nową placówkę – ledwie sto sześćdziesiąt kilometrów od baz w Afganistanie, gdzie zaplanowano ataki z 11 września. Jak mówił Grenier, była to dla pakistańskiego rządu „bardzo niewygodna myśl”.

Aurakzai dowodził w Peszawarze aż do swojej emerytury w 2004 roku i przez następne lata konsekwentnie zaprzeczał, jakoby na terenach plemiennych ukrywali się Arabowie szkoleni przez Al-Kaidę. Powiedział też – w rozmowie z dziennikarzem w 2005 roku – że nigdy nie zetknął się z dowodami poświadczającymi obecność arabskich bojowników w górach, a podejrzenia, iż Osama ben Laden zaszył się w Pakistanie, zbył jako zwyczajne domysły. Polowanie na ben Ladena i Al-Kaidę na terenie swojego kraju uznał za bezcelowe.

Nie wszyscy byli jednak tego zdania.

Generał brygady Asad Munir przejął stanowisko szefa komórki ISI w Peszawarze mniej więcej równolegle z atakami z 11 września. Niedługo potem zaczęli się tam zjeżdżać Amerykanie. Z początku niewielu, zaledwie garstka, co nie przeszkodziło im w ufortyfikowaniu peszawarskiego konsulatu. Działo się to pod koniec 2001 roku, więc oficerowie CIA nie mieli wyjścia i w celu pochwycenia agentów Al-Kaidy wymykających się z Afganistanu musieli współpracować ze swoimi kolegami z ISI i ich szefem.

– Wcześniej nie znałem nikogo z CIA. Ale wkrótce byliśmy jak przyjaciele – wspomina Munir, zaciągając się papierosem Benson & Hedges. Wstęga szarego dymu od czasu do czasu przysłańiała jego twarz starzejącego się bollywoodzkiego gwiazdora. Jego myśli wędrują do okresu tuż po 11 września, kiedy szpiedzy z Pakistanu i Stanów Zjednoczonych wydawali się walczyć przeciwko temu samemu wrogowi. Amerykanie pod wodzą oficera CIA nazwiskiem Keith, z początku podejrzliwi, już po jakichś dwóch tygodniach, jak mówił Munir, zaczęli mu ufać. Peszawar był najdalej wysuniętym na zachód miastem, w którym CIA mogła założyć swoją kwaterę, i do połowy 2002 roku Agencja przemieniła amerykański konsulat w przyczółek operacji szpiegowskich. Na dachu zamontowano anteny, zainstalowano nowe komputery, kolejni tajni agenci przybywali pod przykrywką dyplomatów. Była to po prostu szpiegowska baza udająca placówkę dyplomatyczną.

Munir przypomina sobie również ludzi, których nazywano „technicznymi”. Nie miał wówczas pojęcia, że byli to członkowie komórki utworzonej wewnątrz Pentagonu o kryptonimie „Szary lis” – oficjalnie była to wojskowa jednostka czynnego wsparcia wywiadu z siedzibą w Fort Belvoir w stanie Wirginia. Rozsyłała ona po świecie tajnych agentów dysponujących specjalnym sprzętem zdolnym monitorować i przechwytywać informacje. Po ich przybyciu zwiększyła się drastycznie liczba numerów telefonicznych

uznanych za podejrzane. Z dwunastu numerów zrobiło się sto, ze stu – dwieście. Na liście ich posiadaczy znalazły się nazwiska Algierczyków, Libijczyków, Arabów i innych, o których nikt z CIA czy z ISI nigdy wcześniej nie słyszał, a teraz byli podejrzani o kontakty z Al-Kaidą. Kolejne imiona dodawano „jak w gorączce” – powiedział Munir. Spora część obcokrajowców, na których polowali Munir i Amerykanie, przeniosła się do Pakistanu między grudniem 2001 a kwietniem 2002, uciekając przed amerykańskimi bombardowaniami jaskiń Tora Bora i doliny Szah-i-Kot we wschodnim Afganistanie. Byli pośród nich Arabowie, Uzbegy i Czeczeni oraz obywatele innych państw Azji Środkowej. Niektórzy próbowali przedostać się do krajów arabskich leżących w Zatoce Perskiej; inni po prostu szukali nowego miejsca do życia i zapuścili w Afganistanie korzenie, żeniąc się z pasztuńskimi kobietami.

Codziennie agenci ISI i CIA w Peszawarze przekopywali się przez stosy wydrukowanych tłumaczeń przechwyconych rozmów i wykorzystywali zgromadzone w ten sposób informacje przy planowaniu nalotów i chwytania bojowników w Peszawarze i okolicach. Uzyskane w ten sposób dane były częstokroć niepełne i z tego powodu – a także z powodu zawężonej perspektywy patrzenia na sytuację wojenną – dokonano wielu niepotrzebnych aresztowań.

Któregoś dnia w czerwcu 2003 roku podsłuchano rozmowę telefoniczną algierskiego obywatela Adila Hadiego al-Dżazairiego, który dzwonił z miejskiej pływalni pod Peszawarem. Na miejsce wysłano agentów, lecz w basenie kąpała się ponad setka mężczyzn i bez fotografii Dżazairiego nie było mowy o dokonaniu aresztowania. Jeden z agentów ISI zadzwonił na numer, który miał należeć do podejrzanego, i obserwował, który z brodaczy popłynie odebrać dzwoniącą komórkę. Ekipa peszawarskich policjantów pobiegła więc aresztować ociekającego wodą mężczyznę. Okazało się, że niechcący przechwycono podwójnego agenta. Nie wiedziano bowiem, że Dżazairi od dawna szpiegował Al-Kaidę dla MI6. Algierczyka odesłano do więzienia w zatoce Guantanamo i brytyjski wywiad stracił jednego ze swoich cennych informatorów.

Jednak nawet po latach Munir większość opowieści szpiegowskich zatrzymuje dla siebie. Trzyma się niepisanych wywiadowczych zasad i ma przy tym nadzieję, że jego amerykańscy koledzy zrobią to samo.

Sukces operacji w okolicach Peszawaru i innych pakistańskich miast, które doprowadziły do złapania bliskich współpracowników ben Ladena, jak Chalid Szejk Mohammed, główny organizator zamachów z 11 września, i Ramzi Binalszib, pośrednik między zamachowcami przebywającymi w Stanach i Al-Kaidą, przekonał ludzi Busha, że współpraca między wywiadami procentuje. Zatrzymani członkowie Al-Kaidy byli wywożeni do Afganistanu, Tajlandii, Rumunii i innych krajów, które pozwoliły CIA na uruchomienie tajnych więzień na swoim terytorium. Agencja posyłała miliony dolarów na konto ISI za każdym razem, kiedy Islamabad wystawiał Stanom rachunki za swoją pomoc. Umowa była dla Pakistanu tak lukratywna, że krążył tam dowcip, iż na miejsce każdego aresztowanego terrorysty należałoby wypuszczać dwóch innych, bo interes musi się kręcić.

Asad Munir widział to w sposób następujący: jeszcze w 2001 roku ISI miało ambicje utrzymać dobre relacje z afgańskimi talibami i ugrupowaniami podległymi Hakkaniemu,

ale w 2003 i 2004 roku stało się jasne, że pakistańskie analizy okazały się błędne. Konflikt w Afganistanie wcale nie okazał się krótkotrwały. Po drodze był jednak rok 2003 i decyzja administracji Busha o inwazji na Irak. Wielu pakistańskich dowódców – również wyższych oficerów wywiadu – uznało to za dowód, że Waszyngton stracił zainteresowanie Afganistanem i wkrótce wycofa się z kraju. A co wtedy?

– Amerykanie weszli do Afganistanu bez konkretnego planu – opowiada Munir. – Nie byli zainteresowani talibami, lecz Al-Kaidą. Pakistan miał spore wątpliwości co do amerykańskich możliwości ustabilizowania sytuacji w Afganistanie. Pomyśleliśmy sobie: „Oni odejdą, a my? Będziemy musieli żyć dalej z ogarniętym gorączką Afganistanem tuż obok”.

Przerwa, zaciąga się papierosem, i po chwili dodaje: – Mieliśmy tam swoje interesy i musieliśmy się o nie zatroszczyć w imię naszego własnego bezpieczeństwa.

Rozdział trzeci

PŁASZCZ I SZTYLET

„Nie potrzeba nam regimentu tajniaków, którym śpieszno do kolejnych medali – i, co za tym idzie, awansów – żeby planować kolejne wyczyny. To jest samowystarczalna firma”

senator Frank Church, 1976

Jeszcze nie tak dawno CIA wcale nie chciała licencji na zabijanie.

Kiedy Ross Newland w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaczął pracować w Agencji, CIA nie szukała pretekstów do występów poza granicami Stanów. Newland był wówczas świeżo po studiach, zaś Langley lizało rany po ciosach, które otrzymało od komisji Kongresu prowadzących śledztwo w sprawie tajnych operacji inicjowanych przez agencję od 1947 roku, czyli od momentu jej powstania. Kongres zacieśnił swoją kontrolę nad tajnymi misjami, a skarceni szefowie CIA zaczęli z powrotem profilować swoje działania na wykradnie sekretów będących w posiadaniu obcych reżimów – czyli tradycyjne szpiegostwo – zamiast bawić się w zamachy stanu czy eliminację dyktatorów.

Prezydent Jimmy Carter, który już wcześniej postulował zakończenie przez CIA operacji poza granicami kraju, umieścił w Langley admirała Stansfielda Turnera. Miał zaprowadzić porządek w Agencji, w której, jego zdaniem, panował kompletny chaos. Newland i jego rówieśnicy, którzy w tym samym okresie wstąpili do CIA, zostali powiadomieni, że jeśli Agencja znów zacznie zlecać zabójstwa, wpadnie w poważne tarapaty. Ale jeszcze przed zakończeniem swojej kariery w Agencji Newland był świadkiem, jak rządowe wytyczne zataczają koło. Miał więc okazję zakwestionować decyzję, która na powrót zmieniała Agencję w swoistego kata wrogów Ameryki. I trzeba przyznać, że ta nowa/stara rola bardzo się CIA spodobała.

U swojego zarania Agencja otrzymała stosunkowo proste zadanie: zbieranie i analiza informacji, które pomogą kolejnym prezydentom Stanów Zjednoczonych w ocenie zagrożeń, przed którymi stoi kraj. Prezydent Truman nie zamierzał robić z CIA tajnej armii. Jednak mocno niekonkretny zapis w „Narodowym akcie bezpieczeństwa” z 1947 roku dawał Agencji pozwolenie na „wszelkie działania związane z pracą wywiadowczą mające na celu wzmocnienie bezpieczeństwa narodowego”. Amerykańscy prezydenci wielokrotnie korzystali z możliwości wysłania CIA na tajne misje sabotażowe czy propagandowe. Pozwalali sobie także na angażowanie Agencji w ustawianie wyborów czy próby zamachów.

Od samego początku istnienia CIA słyhać było głosy kwestionujące zasadność utrzymywania osobnej organizacji szpiegowskiej. Działał przecież Departament Obrony, zwany potocznie od kształtu swojej siedziby Pentagonem. Dyrektorzy CIA, chcąc chronić niezależność Agencji, dowodzili więc, że mają coś, czego Pentagon nie posiada:

kadre tajnych agentów, którzy mogą wykonywać misje zagraniczne pod przykrywką. Dzięki temu Stany Zjednoczone mogą skutecznie ingerować w politykę innych państw, same pozostając w cieniu. Poza tym, ciągnęli, CIA odpowiada bezpośrednio przed prezydentem, wobec czego może – w przeciwieństwie do wojska – sprawniej i po cichu wykonywać jego rozkazy. Zasiadający w Gabinetcie Ovalnym politycy setki razy postanawiali, że rozwiążą swoje problemy za pomocą tajnych operacji CIA. I często tego żalowali. Pamięć bywa jednak zawodna, zwłaszcza że co cztery lub co osiem lat w Białym Domu pojawiali się nowi prezydenci i ponownie odgrywali ten sam scenariusz. Przez całą drugą połowę XX wieku prezydenci najpierw akceptowali agresywne operacje prowadzone przez CIA, po czym zaczynały się chaotyczne dociekania Kongresu na temat szczegółów tych sekretnych misji. W konsekwencji tajne szczegóły operacji były ujawniane, a Langley wznosiło wokół siebie jeszcze wyższe fortyfikacje i zaczynało zachowywać się ostrożniej. To z kolei budziło głosy krytyczne wobec „niechętnemu podjęciu ryzyka CIA”. Wszystko wieńczyła kolejna seria tajnych prezydenckich inicjatyw. Czasami cykl ten rozpoczynał się zaraz po przejściu fotela przez nowego prezydenta. Na przykład John F. Kennedy już w pierwszym tygodniu sprawowania urzędu powiedział swoim doradcom, że CIA działa w Wietnamie bez determinacji. W ten sposób wprawił w ruch trybiki sekretnej wojny przeciwko Hanoi, która zostanie zapamiętana jako największa i najbardziej skomplikowana tajna misja tamtego okresu.

Ambiwalentny stosunek CIA wobec politycznych zleceń dokonywania zamachów ma długą historię i dotyczy również poprzednika agencji – Biura Służb Strategicznych. Utworzone w 1942 roku i kierowane brawurowo przez Williama J. Donovana BSS zaczynało jako organizacja paramilitarna. Działania szpiegowskie znalazły się na drugim miejscu listy jej priorytetów. „Wspaniali amatorzy” Donovana sporą część II wojny światowej spędzili na wysadzaniu torów kolejowych i mostów oraz dostarczaniu broni organizacjom ruchu oporu w okupowanej Europie. Jednak nawet sam Donovan nie był przychylny uruchomieniu pod koniec wojny programowi szkolenia zabójców, którzy mieli zostać wysłani za linię frontu z misją zlikwidowania niemieckich przywódców. Ale i tak do 1945 roku Biuro wytrenowało około stu dezertersów z Wehrmachtu. Ich zadaniem miała być fizyczna eliminacja wszystkich nazistowskich dowódców powyżej stopnia kapitana, łącznie z Adolfem Hitlerem i Hermannem Göringiem. Agenci zrzeszeni w „Projekcie krzyż” mieli dostawać honorarium w wysokości dwustu dolarów za wykonanie każdego zlecenia. Jednak nigdy nie wysłano ich do Niemiec. Donovan napisał do swoich ludzi, że taki „hurtowy zamach” to „początek kłopotów dla Biura”. Zamiast zabijać najwyższych stopniem nazistów, doradzał ich porywać i przesłuchiwać. Wojna skończyła się jednak, zanim zdążył wdrożyć swój plan.

Kilkadziesiąt lat później została powołana komisja senacka z Frankiem Churchem z Idaho na czele. Pierwotnie miała się zająć nadużyciami w CIA, przede wszystkim zakładaniem nielegalnych podsłuchów. Lecz na początku 1975 roku prezydent Gerald Ford wspomniawszy mimochodem podczas rozmowy z dziennikarzami, że dokopano się głębiej – do informacji, jakoby CIA kilkakrotnie podejmowała próby zamachów na przywódców obcych państw. Kiedy jego słowa przedostały się do opinii publicznej, komitet Churcha uczynił sprawę zabójstw politycznych swoim priorytetem.

Przez sześć miesięcy senatorowie słuchali zeznań na temat przygotowań do zamachu na Patrice'a Lumumbę w Kongu i planowaniu podłożenia muszli z materiałami wybuchowymi w pobliżu miejsca, gdzie zwykł nurkować Fidel Castro. Symbolicznym obrazkiem z przesłuchań stał się moment, kiedy członkowie komisji przekazywali sobie z rąk do rąk pistolet na zatrute strzałki skonstruowany na zlecenie CIA, a senator Barry Goldwater przyłożył go do oka i zaczął z niego celować. Dyrektor CIA William Colby próbował wyjaśnić, że ta broń nigdy nie została użyta, lecz niewiele wskórał. Zanim komitet zakończył swoją pracę, prezydent Ford podpisał w 1976 roku dokument zabraniający rządowi organizowania zamachów na przywódców obcych państw i zagranicznych polityków.

Zakaz ten był ze strony prezydenta Forda przede wszystkim próbą związania rąk jego następcom w Gabinetcie Ovalnym – nie chciał, żeby zabawy z tajnymi misjami stały się dla kolejnych prezydentów zbyt proste. Komitet Churcha podkreślił, że wszystkie szemrane i karkołomne akcje CIA przeprowadzone w pierwszych kilkudziesięciu latach istnienia Agencji – jak zamachy stanu czy eliminacja głów państw – były inicjowane przez Biały Dom. CIA oferowała pełną dyskrecję, a amerykańscy prezydenci lgnęli do Agencji i jej sekretnych planów jak pszczoły do miodu.

Senator Church napisał w ostatecznym raporcie komisji: „Skoro zostały już ustalone procedury dotyczące planowania tajnych operacji, presja ciężąca na prezydencie chcącym skorzystać z takiej możliwości jest ogromna”. Church wyraził też swoje wątpliwości co do sensu dalszego istnienia CIA. Zamiast utrzymywać „regiment tajniaków” na użytek prezydenta, lepiej będzie, uważał Church, jeśli to Departament Stanu weźmie odpowiedzialność za poprowadzenie tajnej misji, jeśli już zostanie podjęta decyzja o jej rozpoczęciu. A powinna być podejmowana jedynie w razie absolutnej konieczności, takiej jak „zapobieżenie wojnie nuklearnej lub wyginięciu cywilizacji”.

Życzenie Churcha co prawda się nie spełniło, ale CIA dostała należytą reprimendę. Tymczasem Ross Newland pod koniec lat siedemdziesiątych kończył akurat Trinity College w Connecticut. Jako syn biznesmena działającego na rynku międzynarodowym spędził większość życia w Ameryce Łacińskiej i Hiszpanii, mówił więc płynnie po hiszpańsku. Biorąc pod uwagę środowisko, w jakim się wychował, oraz zainteresowanie polityką, Newland uznał, że jego przeznaczeniem jest kariera dyplomatyczna. Wcześniej chciał jednak zdobyć dyplom słynnej London School of Economics.

W 1978 roku przyleciał z Londynu do Madrytu, żeby spotkać się z mieszkającymi tam rodzicami. Trafiał na huczną imprezę świąteczną w rezydencji amerykańskiego ambasadora. W trakcie przyjęcia podszedł do niego mężczyzna po pięćdziesiątce i powiedział, że pracuje dla ambasady. Po kwadransie wymiany uprzejmości zarówno po angielsku, jak i po hiszpańsku Newland został poproszony o rozmowę na osobności w okalających posiadłość ogrodach.

Człowiek ten nazywał się Nestor Sanchez. Był szefem placówki CIA w Madrycie oraz weteranem tajnych operacji. Jako zagorzały antykomunista Sanchez dołączył do CIA niedługo po powstaniu Agencji i uczestniczył w wielu akcjach, którymi zajmował się

komitet Churcha. Był jednym z architektów udanego przewrotu w Gwatemali, gdzie w 1954 roku obalono Jacoba Arbenza Guzmána. To również on wręczył kubańskiemu agentowi pełną trucizny, wyglądającą jak długopis strzykawkę w celu pozbycia się Fidela Castro.

Sanchez w ogrodach ambasadorskiej rezydencji skutecznie przekonał Newlanda, że będzie doskonałym agentem CIA. Przekazał jego nazwisko londyńskiemu oddziałowi Agencji. Trzy miesiące później Newland siedział już w jednym ze skąpo wyposażonych pokoi w tamtejszej kwaterze CIA, oczekując na test, który miał ocenić jego predyspozycje psychiczne do zawodu szpiega. Do pokoju wszedł mężczyzna, usiadł i zadał Newlandowi tylko dwa pytania:

- A więc dorastał pan w Meksyku?
- Owszem.
- Jaka jest różnica pomiędzy enchiladą a tostadą?

Newland był nieco zaskoczony, ale mimo to wyjaśnił różnicę pomiędzy dwiema potrawami. Po krótkiej wymianie zdań na temat kuchni meksykańskiej grzecznie upomniał swojego rozmówcę, że czas zacząć test psychologiczny, bo musi zdążyć na kolejne spotkanie.

– I wtedy powiedział, że już skończyliśmy – wspomina Newland. W ten sposób dostał się do CIA.

Ukończył London School of Economics i 5 listopada 1979 roku oficjalnie wstąpił do Agencji. Było to zaledwie dzień po szturmie irańskich studentów przypuszczonym na amerykańską ambasadę w Teheranie i początku jej okupacji. A jednocześnie sześć tygodni przed lądowaniem sowieckich spadochroniarzy w Kabulu, stanowiących jedynie bojowy zwiad – w ciągu kilku kolejnych miesięcy tysiące żołnierzy Armii Czerwonej miało najechać Afganistan. Oba wydarzenia wstrząsnęły Agencją, a w szczególności liczącą pięćdziesięciu trzech członków grupą szkolonych właśnie agentów, w której był i Ross Newland. Szefowie CIA nakazali natychmiast przydzielać ich do grup wykonujących zadania na Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej. Z wyjątkiem tych, którzy nie władali płynnie żadnym z języków używanych w świecie islamskim.

Ponieważ Newland mówił po hiszpańsku, znalazł się wśród tuzina stażystów, którzy zostali wyłączeni z „poboru”.

Zanim ukończył swój trening na oficera prowadzącego, prezydentem został Ronald Reagan, zaś CIA zainteresowała się Ameryką Łacińską. Przez południową granicę Stanów Zjednoczonych przelewała się kokaina, a poza tym administracja Reagana była głęboko zaniepokojona rosnącymi w siłę lewicowymi ugrupowaniami partyzanckimi w Ameryce Środkowej. Newland miał mentora w osobie Nestora Sancheza, który zdążył już wyjechać z Madrytu i przejął struktury agencji w Ameryce Łacińskiej. Ze swojego biura był w stanie kierować karierą Newlanda. Wrzucił swojego protegowanego w sam środek wydarzeń.

Najpierw Newland został wysłany do Boliwii, wówczas uznawanej za światowe centrum handlu kokainą. Miał tam stworzyć kanały dojścia do szefów narkotykowych karteli. Spędził sporo czasu pośród boliwijskich nizin społecznych, pozując na amerykańskiego biznesmena i próbując znaleźć przyjaciół wśród handlarzy

narkotyków w Santa Cruz. Pił z nimi, poznawał ich żony i kochanki, jeździł za miasto do rozlatujących się bungalów stojących przy drogach prowadzących wprost do dżungli na kaczce z mango i ananasm.

Czas dzielił między Santa Cruz a siedzibę rządu La Paz, czekając na kolejny przewrót. Choć było to specyficzne oczekiwanie, bowiem boliwijska komórka CIA chełpiła się umiejętnością przewidywania zamachów stanu, zanim one faktycznie się dokonywały. Tamtejsi oficerowie Agencji nie zamierzali psuć sobie statystyk. Piąty, udany zamach stanu w czasie pobytu Newlanda w Boliwii doczekał się niedużej wzmianki na dalszych stronach „New York Timesa”. Poprzednie cztery próby nie doczekały się nawet tego.

Administracja Reagana uznawała rząd Boliwii za swojego partnera w walce z handlem narkotykami. Jednak penetrując narkotykowe szlaki, Newland zbierał coraz więcej dowodów na panoszącą się w La Paz korupcję. W swoich raportach opisywał urzędników będących na listach płac karteli. Nawet boliwijski minister spraw wewnętrznych chronił narkotykowych bossów, a oni odwodzili się pieniędzmi, klejnotami i kolejnymi ranczami. Nie o takich rzeczach chciał czytać amerykański ambasador w La Paz.

Dzięki doświadczeniom wyniesionym z Boliwii Newland przekonał się, że waszyngtońska polityka udzielania finansowego wsparcia skorumpowanym rządóm, by osiągnąć założony wcześniej cel – w tym wypadku było to oczywiście zwycięstwo w wojnie z narkotykami – mogła tak naprawdę podminować amerykańskie interesy. Zaczął też zastanawiać się, czy faktycznie CIA powinna stać na czele antynarkotykowej operacji. Dopuszczał jednak myśl, że administracja Reagana posługiwała się Agencją, nauczona doświadczeniem, że podobne wojenki skuteczniej jest prowadzić z ukrycia. Dwadzieścia lat później targały nim podobne wątpliwości – tym razem w związku z działaniami antyterrorystycznymi.

Kiedy Newland dostał przydział w Boliwii, oddział CIA w Ameryce Łacińskiej był stosunkowo spokojnym zakątkiem Dyrektoriatu Operacyjnego, czyli wydziału Agencji zajmującego się tajnymi operacjami. W krótkim czasie stał się jednak centrum wszechświata CIA. Zdecydowały o tym przede wszystkim zmiany personalne w Langley. Nestor Sanchez w czerwcu 1981 roku odszedł z CIA do Pentagonu. Zastąpił go Duane R. Clarridge, miłośnik ginu i twardziel hołdujący starym szpiegowskim zasadóm. Idealnie wpasował się w oczekiwania Williama J. Caseya, nowo mianowanego przez Ronalda Reagana szefa CIA. Znany jako „Dewey”, Clarridge dorastał w New Hampshire, w rodzinie zagorzałych republikanów (swój pseudonim zawdzięczał gubernatorowi i dwukrotnemu kandydatowi Republikanów na prezydenta Thomasowi E. Deweyowi z Nowego Jorku). Przed wstąpieniem do Agencji w 1955 roku zdobył dyplomy na Uniwersytecie Browna w Providence oraz nowojorskim Uniwersytecie Columbia i był gotów stawić czoło Sowiecom na każdym tajnym froncie zimnej wojny. Do 1981 roku służył pod przykrywką w Nepalu, Indiach, Turcji i Włoszech, często udając biznesmena. Korzystał z pseudonimów Dewey Marone i Dax Preston LeBaron. Ze swoją przebojową osobowością i zamiłowaniem do białych garniturów i poszetek Clarridge przykuwał uwagę szpiegowskiej młodzieży. Lubił mawiać, że CIA „maszeruje dla prezydenta”, ale jego parcie na agresywne rozwiązania często irytowało dyplomatów

z Departamentu Stanu. Szef Clarridge'a w Rzymie ambasador Richard Gardner nazwał go „płytkim i przebiegłym”.

Kiedy w 1981 roku Clarridge wrócił do Waszyngtonu, szybko dogadał się z Caseyem. Już pierwszego dnia po powrocie do kwatery głównej CIA został wezwany do jego biura. Powiedziano mu, że administracja Reagana jest zaniepokojona sytuacją na Kubie oraz w Nikaragui, gdzie rządzą sandiniści „rozpleniający idee rewolucyjne” w Ameryce Środkowej, przede wszystkim w Salwadorze. Po tygodniu Clarridge opracował dwuelementowy plan:

Rozniećmy wojnę domową w Nikaragui.

Zacznijmy zabijać Kubańczyków.

Casey – weteran Biura Służb Strategicznych, poprzednika CIA – powitał ten plan z radością. Nakazał Clarridge'owi spisać swoje wnioski i podsunąć do podpisania prezydentowi, co miało autoryzować rozpoczęcie działań w Ameryce Środkowej. W ten sposób nowo zaprzysiężony Ronald Reagan uruchomił tajne operacje w Ameryce Łacińskiej, a także w Afganistanie, gdzie Stany Zjednoczone udzielały wsparcia mudzahedinom walczącym z wojskami sowieckimi. Reagan zainicjował kolejny obrót wywiadowczego koła: CIA, po ustaleniach komisji Churcha będące w fazie „unikania ryzyka”, znowu odzyskała wigor i zaczęła prowadzić za granicami Ameryki swoje tajne wojny.

Clarridge wydawał się odpowiednim człowiekiem do pokierowania „frontem w Ameryce Środkowej”. Zabrał się z rozmachem do wykonywania swojej misji. W tym celu wykorzystał pieniądze z funduszu łapówkowego CIA, żeby kupić karabiny, pistolety, amunicję, muły oraz broń ciężką i wyposażyc w nią nikaraguańskich kontras, partyzantów walczących przeciwko rządowi. Podjął też bliską współpracę z komórkami Pentagonu specjalizującymi się w tajnych operacjach. Szukał również pomocy u podpułkownika Olivera Northa z Rady Bezpieczeństwa Narodowego, aby szybko rozbudować oddziały kontras i zmienić je w siłę zdolną zająć sandinistów na tyle, żeby nie byli w stanie przeszkadzać Stanom Zjednoczonym w realizacji ich polityki w Ameryce Środkowej. Clarridge nie dysponował zbyt dużym budżetem. Ludzie z Agencji żartowali, że amerykańska marynarka każdego ranka wyrzuca z samolotów do morza śmieci większej wartości niż roczny budżet CIA przeznaczony na akcje w Nikaragui.

Tymczasem Ross Newland i wielu jego kolegów z agencji uważali, że CIA powinna za wszelką cenę unikać rozniecania wojny w Ameryce Środkowej. Jednak nie miał wyboru: pracując tam, musiał zostać wciągnięty w sam środek tajnych wojen Reagana. Przybył do Kostaryki zaledwie kilka miesięcy po cichej operacji zaminowania nikaraguańskich portów przeprowadzonej przez CIA. Doprowadziła ona kongresmenów do szału i sprowokowała ich do przepchnięcia przepisów mówiących, że komisje Kongresu zajmujące się sprawami wywiadu muszą być informowane o planowanych przez CIA akcjach^[4].

Operacja podłożenia min, którą Dewey Clarridge, jak twierdzi on sam, opracował nad szklaneczką ginu i przy cygarze, kosztowała go stanowisko szefa latynoamerykańskiego biura agencji. Przesunięto go do tajnych misji w Europie. Ale tajna wojna w Ameryce

Środkowej już trwała.

Newland oglądał w Kostaryce na własne oczy tę wymyśloną i roznieconą przez Clarridge'a wojnę. Działający na miejscu oficerowie CIA odpowiadali za południowy front walk prowadzonych rękami kontras. Działania na północy koordynowano z Hondurasu. Kongres zakazał administracji Reagana udzielania dalszej pomocy nikaraguańskim rebeliantom, lecz Joe Fernandez, szef komórki CIA w Kostaryce, nadal pracował z Oliverem Northem przy dostawach dla partyzantów.

Zadaniem Newlanda było poznanie dalszych zamiarów nikaraguańskich polityków i wojskowych oficjeli skupionych wokół rządu w Managui – a więc tradycyjna robota szpiegowska. Spotykał się z agentami, pisał raporty wywiadowcze traktujące o strategii sandinistów, a potem przekazywał je ściśle tajnymi kanałami prosto do Langley.

Pozostali agenci CIA zaangażowani we współpracę z kontras robili to inaczej: najpierw podejmowali decyzje, gdzie mają uderzyć partyzanci i co zaszkodzi sandinistom najbardziej, a potem spisywali raporty, przewidując, które cele zostaną zaatakowane. Docierające do Waszyngtonu dane były więc, praktycznie bez wyjątku, trafne. Innymi słowy, CIA manipulowała własnymi doniesieniami.

– Uważałem, że to porąbane – wspominał Newland. – Nie tego nas uczono. Ale jeśli w tajnych operacjach niezbędny jest udział ugrupowań partyzanckich, nie ma właściwie innego wyjścia.

Równocześnie stopniowo zaczęto odsłaniać prawdę dotyczącą źródła finansowania kontras: pieniądze pochodziły ze sprzedaży Iranowi przeciwlotniczych rakiet typu Hawk. Za transakcją stał Oliver North – jego plan przewidywał, że Iran w zamian za rakiety pomoże uwolnić amerykańskich zakładników przetrzymywanych w Bejrucie.

Newland obserwował, jak śledztwo w sprawie Iran–contras zaciska pętlę na szyjach szefów CIA – obecnych i byłych. Jim Adkins, stojący na czele placówki w Boliwii, który przeniósł się do Hondurasu, żeby pokierować działaniami kontras na północy, został wyrzucony z Agencji. Okazało się bowiem, że to on autoryzował przerzut zaopatrzenia do kontras z wykorzystaniem helikopterów. Joe Fernandez został 20 czerwca 1988 roku oskarżony o matactwa i składanie fałszywych zeznań, lecz zarzuty oddalono. Również Nestor Sanchez, pierwszy mentor Newlanda w CIA, był podejrzewany o udział w nielegalnych operacjach podczas swojej pracy w Pentagonie. Jednak nigdy nie został oskarżony o żadne przestępstwo.

Było to niezwykle cenne doświadczenie dla Newlanda. Nie zgadzał się z większością tego, czego był świadkiem w Ameryce Środkowej. Jednocześnie irytował go fakt, że agenci musieli wypruwać sobie żyły, broniąc się przed zarzutami, zaś oficjele w Białym Domu, którzy wcześniej dawali zgodę na sekretne operacje, wciąż wygodnie móścili się na swoich stołkach. Potraktował to jako gorzką lekcję, z której wyciągnął wnioski wiele lat później, kiedy po 11 września prezydent George W. Bush autoryzował najdroższe tajne misje CIA w historii Agencji. Jak brzmiał najważniejszy z tych wniosków? Miej wszystko na piśmie.

– Jeśli była mowa o autoryzowaniu zamachów i aresztowaniach, upewniałem się, że odpowiedni papierek podpisze cała Pennsylvania Avenue (to przy niej mieści się zarówno Biały Dom, jak i Kapitol). Czemu? Bo już przez to przechodziłem i wiedziałem,

czym to wszystko pachnie – wspomina.

Minie kolejnych pięć lat, zanim prowadzący śledztwo w sprawie Iran–contras dotrą do Deweya Clarridge'a i postawiony zostanie mu zarzut krzywoprzysięstwa. Zanim jednak to nastąpi, Clarridge zdąży przekonać Caseya, że należy postawić Agencję na równe nogi, by zmierzyć się z zagrożeniem, którym ani CIA, ani Pentagon nie zaprzętały sobie dotąd głowy: z islamskim terroryzmem.

Poczynając od roku 1983, przez kolejne dwa lata grupy terrorystyczne o nazwach, które przeciętnemu Amerykaninowi nic nie mówiły, prowadziły szeroko zakrojone działania na skalę globalną. Seria ataków rozpoczęła się od wybuchu bomby podłożonej w ambasadzie amerykańskiej w Bejrucie. Życie straciło tam sześćdziesięciu trzech pracowników, w tym ośmiu funkcjonariuszy CIA. W tym samym roku ciężarówka wyładowana materiałami wybuchowymi zabiła dwustu czterdziestu jeden żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej śpiących w swoich koszarach, również w Bejrucie. Zamach ten został zorganizowany przez podziemną organizację terrorystyczną Islamski Dżihad (która była przykrywką dla Hezbollahu) w ramach protestu przeciwko decyzji o wysłaniu amerykańskich wojsk do Libanu. Tamtejsi terroryści zamordowali w czerwcu 1985 roku nurka amerykańskiej marynarki wojennej podczas uprowadzenia samolotu 847 linii TWA, zaś w październiku Palestyńczyk znany jako Abu Abbas dowodził porwaniem statku wycieczkowego „Achille Lauro”, nakazując zabicie sześćdziesięciodziewięcioletniego amerykańskiego turysty Leona Klinghoffera. Jego ciało wyrzucono za burtę.

Zastanawiając się nad odpowiednią ripostą, ludzie Reagana brali pod uwagę wydanie CIA specjalnego pozwolenia na poszukiwania i eliminację libańskich terrorystów przy pomocy lokalnych cyngli działających na zlecenie. Oliver North napisał nawet szkic prezydenckiego rozporządzenia, w którym zamieścił sformułowania dające CIA możliwość „neutralizacji” wroga przy użyciu wszelkich dostępnych środków^[5]. Caseya zaintrygował pomysł zaangażowania libańskich zabójców, lecz jego zastępca był wstrząśnięty. John McMahan nadal nie mógł się pozbierać po prowadzonym przez Kongres w latach siedemdziesiątych śledztwie i miał już po dziurki w nosie wybryków Caseya. Więc kiedy usłyszał o nowym planie, wściekł się. Miał pewność, że utworzenie brygad złożonych z zabójców na zlecenie stało w sprzeczności z zakazem podpisanym przez prezydenta Forda.

– Czy wiesz, czym dla tych ludzi jest wywiad? – zapytał Caseya, myśląc o urzędnikach z Białego Domu. – To rzucanie bomb na lewo i prawo. Wyszadzanie ludzi w powietrze.

McMahan uważał też, że wszystko, co wyniknie z decyzji o zabijaniu terrorystów, odbije się negatywnie nie na Białym Domu, ale właśnie na CIA.

– Dla reszty świata – ostrzegł Caseya – to nie jest żadna decyzja administracyjna ani pomysł Rady Bezpieczeństwa Narodowego, ale kolejne wariactwo szajbusów z Langley.

Caseya nie przekonały jednak obiekcje McMahona i poparł propozycję Olivera Northa. Prezydent Reagan w listopadzie 1984 roku podpisał tajny dokument, który dawał CIA i działającemu przy Pentagonie Połączonemu Dowództwu Operacji

Specjalnych wolną rękę w przeszkoleniu libańskich zabójców. Planu nigdy jednak nie zrealizowano, zaś dekret Reagana został unieważniony przez opozycję z Departamentu Stanu oraz starą gwardię z Agencji. Richard Helms, przebywający na emeryturze był dyrektorem CIA, poparł wiceprezydenta George'a H.W. Busha, który uważał, że Stany Zjednoczone nie powinny, wzorem Izraela, „zwalczać terroryzmu terroryzmem”.

Casey liczył, że ta nagła eksplozja terroryzmu skończy się równie szybko, jak się rozpoczęła. Ale niektórzy oficerowie CIA uważali, że Casey po prostu nie jest w stanie pojąć rozmiarów nowego zagrożenia^[6]. Tym bardziej że brutalny atak na stanowisko odpraw izraelskich linii El Al na lotniskach w Wiedniu i Rzymie w grudniu 1985 roku przekreślił nadzieje na rychłe zakończenie działań terrorystycznych. Palestyńscy zamachowcy wspomagani amfetaminą zastrzelili dziewiętnaście osób. Grozę poczuli na własnej skórze także i Amerykanie, bo jedną z ofiar była jedenastoletnia Natasha Simpson. Terrorysta strzelił do niej z bliska, gdy próbowała ukryć się w ramionach ojca.

Niedługo po atakach Clarridge wyłożył Caseyowi swój pomysł na nową kampanię przeciwko islamskim terrorystom. Clarridge uważał, że agencja była w defensywie, i przekonywał o konieczności wszczęcia ekspansywnych działań wojennych. Dyrektor dał mu swoje błogosławieństwo^[7].

Propozycja Clarridge'a polegała na utworzeniu wewnątrz CIA jednostki wyspecjalizowanej w zwalczaniu międzynarodowego terroryzmu. Miało to być prawdziwe centrum fuzji informacji, gdzie tajni agencji mogliby pracować wraz z analitykami i wspólnie oceniać stopień zagrożenia oraz zbierać dane potrzebne do przejścia lub eliminacji dowódców organizacji terrorystycznych. To, co dzisiaj brzmi jako naturalne posunięcie organizacyjne, wówczas było zabiegiem mocno kontrowersyjnym. CIA już wtedy była tworem złożonym z wielu elementów o klanowej mentalności. Twardzi oficerowie oddziałów specjalnych trzymali się z daleka od uzbrojonych w okulary analityków, którzy z kolei uważali swoich kolegów za niezbyt rozgarniętych osiłków. Na górze łańcucha pokarmowego byli oficerowie prowadzący – szpiedzy działający w terenie – którzy święcie wierzyli, że to właśnie oni wykonują prawdziwą pracę wywiadowczą. Lubili się przy tym przechwalać swoją niezależnością od rozkazów przyspawanych do biurki urzędasów z kwatery głównej.

Tajni agenci mający już doświadczenie w pracy na Środkowym Wschodzie z miejsca podważyli sensowność takiego posunięcia. Uważali, że nowo utworzone centrum wypełni się ludźmi nierozumiejącymi niuansów świata islamskiego i efektem całego przedsięwzięcia będzie jeden wielki bałagan, który oni będą musieli posprzątać. Ganieńca za terrorystami, oburzali się, to praca policyjna, dla FBI, a nie CIA. I wreszcie – wielu oficerów po prostu nie miało do Clarridge'a zaufania. Powstanie centrum uważali za kolejny etap budowania przez niego swojego imperium. Centrum Antyterrorystyczne (CTC) rodziło się więc w podobnych bólach jak te, które dotknęły Agencję po atakach z 11 września. Rosło napięcie pomiędzy oficerami prowadzącymi a agentami CTC w Langley, czyli orędownikami bezpośrednich operacji w terenie i tymi, którzy przestrzegali, że podobne działania mogą negatywnie wpłynąć na i tak kruche relacje z wywiadami innych państw.

Casey ignorował jednak wszelkie obiekcje i przyjął propozycję Clarridge'a. Centrum

Antyterrorystyczne uruchomiono 1 lutego 1986 roku. Okoliczności narodzin CTC nie były wcale niespodzianką: Biały Dom znowu zmagał się z problemem i co rusz zerkał na CIA z nadzieją na podsuniecie skutecznego rozwiązania. Zaś Agencja z radością przychodziła z pomocą.

Powstanie CTC było znaczące chociażby ze względu na fakt, że zatrudnieni tam agenci współpracowali blisko z wojskowymi oddziałami zajmującymi się operacjami specjalnymi i wspólnie mieli uczestniczyć w tajnych misjach. Dowództwo Operacji Specjalnych Pentagonu założono w rok po CTC i pracownicy obu komórek uważali się wzajemnie za bratnie dusze, działające w duchu Biura Służb Strategicznych Billa Donovana. Centrum Antyterrorystyczne, w odróżnieniu od pozostałych wydziałów CIA, nie odwracało się plecami do wojska. Komandosi z Pentagonu byli dla nich partnerami we wspólnej obławie na terrorystów.

Kiedy Centrum Antyterrorystyczne inicjowało swoje pierwsze misje, CIA nie miała jeszcze na koncie żadnych tajnych działań przeciwko międzynarodowym grupom terrorystycznym. Dlatego CTC podjęło współpracę z wojskowymi jednostkami specjalnymi takimi jak Delta Force. Celem było rozbicie organizacji Fatah kierowanej przez Abu Nidala oraz Hezbollahu. Prawnicy prezydenta Reagana pisali tajne memoranda, w których zapewniali, że obława i eliminacja terrorystów nie narusza postanowień zakazu Forda z 1976 roku. Do podobnych wniosków dojdą też później prawnicy George'a W. Busha i Baracka Obamy. Skoro organizacje terrorystyczne planowały ataki na Stany Zjednoczone – dowodzili prawnicy – nie można mówić o odstrzeliwaniu ich członków jako o zamachach. To przecież samoobrona.

Zdanie prawników to jedno, nigdy jednak nie ma gwarancji, że politycy pobłogosławią podobne operacje. Podczas pierwszych lat istnienia Centrum Antyterrorystycznego Biały Dom nie był w posiadaniu wystarczającego kapitału politycznego, żeby przekonać Kongres o konieczności tajnej eliminacji terrorystów. Śledztwa w sprawie Iran–contras wyssały energię z Reaganowskiej Rady Bezpieczeństwa i umocniły wpływy doradcy prezydenta Colina Powella oraz sekretarza stanu George'a Shultza, którzy stanowczo sprzeciwiali się zagranicznym awanturom. Nie było już pary na dalsze przepychanki. – Reagan znalazł się pod wozem – podsumowuje Fred Turco, zastępca Deweya Clarridge'a w CTC i późniejszy szef Centrum.

Ross Newland opuścił dżunglę Ameryki Środkowej z cynicznym nastawieniem do szumu, jakiego narobił w agencji skandal Iran–contras. Jednak w odróżnieniu od swoich szefów z CIA nie był w żaden sposób zamieszany w tę aferę. Ba, dostał nawet awans. W 1988 roku został obok kilku innych kolegów mianowany szefem jednej z komórek działających w Europie Wschodniej. Newland, ledwie po trzydziestce, był najmłodszym szefem tego szczebla w wydziale zajmującym się terytoriami zależnymi od ZSRR. CIA nie uważała swojej decyzji za ryzykowną. – Rzucili nas tam, bo myśleli, że nic się w tej okolicy nie wydarzy – tłumaczy Newland. – Chłopie, nie mogli bardziej tego spieprzyć.

Nie minął rok, a mur berliński zwałił się w gruzy i rewolucja rozlała się po całej Europie Wschodniej. Jako najwyższy stopniem oficer CIA w Rumunii Newland

odpowiadał za informowanie administracji Busha o przebiegu obalenia reżimu Nicolae Ceaușescu tuż po Bożym Narodzeniu 1989 roku. To on pierwszego dnia świąt negocjował z rumuńskimi spadochroniarzami przetrzymującymi Nicolae i jego żonę Elenę Ceaușescu z zamiarem wykonania na nich natychmiastowej egzekucji, by doprowadzili ich przed sąd. A przynajmniej to kazali mu mówić jego szefowie z Langley. – Zmusiliśmy rumuńskie oddziały do przekazania obojga w ręce sądu. Ale cały proces trwał jakieś dwadzieścia minut – opowiada. – Kiedy już uporano się z formalnościami, dowódca poprosił trzech ochotników do wystąpienia naprzód i uformowania plutonu egzekucyjnego. Ale kiedy ustawiono rumuńskiego dyktatora i jego żonę pod ścianą ze związanymi rękami, ogień otworzył natychmiast cały oddział.

Koniec zimnej wojny oznaczał też zakończenie głównej misji CIA: położenie kresu komunistycznej ekspansji na świecie było dla agencji jak Gwiazda Polarna. Przestało działać usprawiedliwienie dla prowadzonych przez dziesiątki lat operacji w Ameryce Łacińskiej, na Bliskim Wschodzie i w Europie. Cięcia budżetowe w Pentagonie i CIA przeprowadzone w latach dziewięćdziesiątych odbiły się szczególnie mocno na tajnych operacjach Agencji. W ciągu dekady wydatki na działania wywiadowcze w terenie zmalały o 22 procent. Zamykano zagraniczne placówki i pozwalniano wielu oficerów prowadzących. Bill Clinton, amerykański prezydent z pokolenia wyżu demograficznego, niegdysiejszy przeciwnik wojny w Wietnamie, był z natury sceptyczny co do działań CIA i nie poświęcał szefom Agencji zbyt wiele uwagi. R. James Woolsey Jr, pierwszy dyrektor CIA za rządów Clintona, opowiada, że prezydenta nie interesowały zbytnio kwestie związane z wywiadem. Wzywał go do siebie tylko raz do roku. – Szczerze mówiąc, praktycznie nie mieliśmy do niego dostępu – dodaje.

Po swoim odejściu z CIA Woolsey żartował, że facetem, który ukradł samolot Cessna i wylądował we wrześniu 1994 roku na południowym trawniku Białego Domu, był właśnie on, petent dopraszający się o spotkanie z prezydentem.

Ale Agencję nadal czekało rozliczenie z jej agresywnych operacji z lat osiemdziesiątych prowadzonych w Ameryce Środkowej i nadzorowanych przez Deweya Clarridge'a. W 1996 roku Biuro Nadzoru Wywiadu sporządziło raport traktujący o karygodnych naruszeniach praw człowieka, które miały miejsce w Gwatemali. Pomiędzy 1984 a 1986 rokiem agencji CIA mieli brać udział w „zleceniu i planowaniu działań skutkujących poważnym pogwałceniem praw człowieka, jak zabójstwa, egzekucje pozasądowe, tortury i porwania podczas wykonywania zadań dla CIA”. Raport podkreślał, że agencja była świadoma, na czym polegają te operacje.

Podobne rewelacje wyciekały z Gwatemali przez całe lata, co sprowokowało dyrektora CIA Johna M. Deutcha do wprowadzenia nowych zasad ograniczających możliwość bratania się agentów z przedstawicielami świata przestępczego. Narkotykowi baronowie, z którymi niegdyś Ross Newland obstawiał walki kogutów w Boliwii, byli teraz poza zasięgiem agentów.

Podobnie jak terroryści planujący zamachy na Amerykę.

John M. Deutch, chemik z doktoratem uzyskanym w słynnym MIT, Instytucie Technologicznym Massachusetts, przybył do Langley z Pentagonu w 1995 roku. To

wtedy prezydent Clinton usunął Jamesa Woolseya ze stanowiska szefa CIA. Deutch chciał budować satelity szpiegowskie i zagraniczne placówki wywiadowcze, a nie wysyłać tajnych agentów na zawadiackie tajne misje. Nie ufał tajniakom i oni również traktowali go jak wirus, który zaatakował nosiciela.

Jedna z jego inicjatyw przewidywała zacieśnienie współpracy z wojskiem nie tylko przy zwalczaniu terroryzmu, który w połowie lat dziewięćdziesiątych ponownie spadł w hierarchii celów Agencji. Po wojnie w Zatoce Perskiej w 1991 roku generałowie Pentagonu narzekali, że CIA okazała się bezużyteczna, jeśli chodzi o infiltrację reżimu Saddama Husajna. Tak samo nieskuteczna okazała się pomoc Agencji w pustynnej obławie na oddziały irackie. Dlatego Deutch posłał oficerów CIA do porozrzucanych po świecie placówek, chcąc być pewnym, że Agencja będzie na bieżąco ze wszystkimi możliwymi zagrożeniami.

Deutch wierzył, że CIA ma blisko współdziałać z armią, i w 1995 roku stworzył specjalne stanowisko oficera kontaktowego z Pentagonem. Niektórzy pracownicy Agencji żartowali, że umieszczanie pracowników CIA w strukturach wojskowych, a ludzi armii w CIA to biurokratyczny ekwiwalent wymiany zakładników.

Pierwszym człowiekiem Pentagonu wyznaczonym do pracy dla CIA był wiceadmirał Dennis C. Blair, żyłasty jankes z Kittery w stanie Maine. W 1968 roku ukończył Akademię Marynarki Wojennej, a potem studiował na Oksfordzie – dostał nawet prestiżowe stypendium Rhodesa – gdzie poznał młodego Billa Clintona i zaprzyjaźnił się z nim. Blair niemal od razu spotkał się z niechęcią ze strony agentów CIA, sceptycznych co do współpracy z admirałem z trzema gwiazdkami i niejasnym pojęciem o tajnych operacjach, którymi zajmowała się Agencja.

Blair tak widział swoją rolę: CIA powinna skupić się na gromadzeniu danych, a nie pakowaniu się w misje, które sprawiają Stanom Zjednoczonym same kłopoty. – Patrząc na dotychczasową historię operacji CIA, można powiedzieć, że byłoby dla nas lepiej, gdyby żadna z nich nie miała miejsca. A na pewno by nam to nie zaszkodziło – powiedział po latach.

Parę osób w Langley miało Blaira za wysłanego przez Pentagon kreta. Ale jego obecność budziła niepokój także z innego powodu: bano się, że wojsko wchłonie CIA i Agencja przestanie być zależną tylko od Białego Domu organizacją wywiadowczą, której ludzie, jak mawiał Dewey Clarridge, maszerowali dla prezydenta.

Blair rozpoczął wkrótce spór z Dyrektoriatem Operacyjnym o najważniejszą wówczas kwestię – wojnę na Bałkanach. Jedna z potyczek dotyczyła nowego narzędzia inwigilacji, które CIA wypożyczyła od lotnictwa w celu prowadzenia misji szpiegowskich w Bośni. Chodziło o patykowaty, przypominający wyglądem insekta bezzałogowy samolot RQ-1 Predator. Agencja korzystała z niego przy określaniu pozycji wojsk serbskich. Starsi oficerowie CIA zaproponowali instalację w Białym Domu monitorów, żeby prezydent Clinton i jego ludzie mogli oglądać bezpośrednią transmisję z drona. Blair podziwiał inicjatywę CIA i chęć ulepszenia predatora, ale uważał, że jest to marnowanie prezydenckiego czasu. Podejrzewał, że tajniacy chcą się po prostu popisać przed Clintonem nową zabawką.

– Pytałem, co prezydent miałby z tym robić. Odpowiedzieli mi, że trzeba

zainstalować te ekrany w Białym Domu, żeby Clinton mógł w każdej chwili sprawdzić, co się dzieje w Bośni. Odpowiadałem, że to jakieś pierdoły i prezydent nie będzie się gapił przez jakąś latającą słomkę!

Ostatecznie Deutch poparł Blaira i CIA nigdy nie transmitowała obrazu z drona w Białym Domu. Była to głupia przepychanka, ale dla Blaira epizod ten – pozostałe stoczone boje z Agencją również – był jak memento – Dyrektoriat Operacyjny CIA pogryzie każdą rękę, która spróbuje zablokować mu dostęp do Białego Domu.

Ponad dekadę później, kiedy na prezydenckim fotelu usiądzie inny demokrat, Blair raz jeszcze spróbuje wbić się klinem pomiędzy CIA a Biały Dom. Będzie to koniec jego kariery.

Rozdział czwarty

SZPIEDZY RUMSFELDA

„Stworzyliśmy coś w rodzaju własnej CIA, ale, tak jak Topsy^[8], jesteśmy nieskoordynowani i nieopanowani”

zastępca sekretarza obrony Frank Carlucci, 1982

„Biorąc pod uwagę naturę naszego świata, możemy sobie chyba wyobrazić sytuację, w której Departament Obrony nie będzie całkowicie zależny od CIA w chwilach takich jak ta, prawda?”

sekretarz obrony Donald Rumsfeld, 2001

Oddziały złożone z amerykańskich zielonych беретów, agentów CIA i afgańskich bojowników w listopadzie 2001 roku przeganiały oddziały talibów z Kabulu i Kandaharu. Donald Rumsfeld poleciał w tym czasie z wizytą do Fort Bragg nieopodal Fayetteville w Karolinie Północnej, bazy, która od lat była główną kwaterą wojskowych jednostek specjalnych. Miała to być wizyta kurtuazyjna – Rumsfeld zamierzał podziękować dowódcom za, jak się okazało, nadzwyczaj łatwą inwazję na Afganistan.

Po poranku spędzonym na składaniu gratulacji i oglądaniu prezentacji w PowerPoincie Rumsfelda zawieziono do otoczonego murem kompleksu rozciągającego się przy Fort Bragg i przylegającego do bazy lotniczej Pope. Mieściła się tam siedziba Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych (JSOC), tajnej jednostki składającej się przede wszystkim z żołnierzy Delta Force i komandosów oddziału antyterrorystycznego DEVGRU potocznie zwanego SEAL Team Six. JSOC było ramieniem operacyjnym amerykańskiego Dowództwa Operacji Specjalnych. Pentagon zaprzeczał w tym czasie, że taka jednostka w ogóle istnieje.

JSOC odstawiło niezły show dla sekretarza obrony. Żeby zademonstrować swoją umiejętność sprawnego przerzucania komandosów z kraju do kraju, żołnierze wyskoczyli z samolotu ze spadochronami i wylądowali tuż przed Rumsfeldem. Jeden z nich, ubrany w garnitur, trzymając w ręce aktówkę, błyskawicznie złożył spadochron i oddalił się w swoich eleganckich butach jak gdyby nigdy nic. Rumsfelda zabrano też na strzelnicę, gdzie mógł obserwować przygotowaną wcześniej akcję odbicia zakładników – agenci JSOC wybili do nogi kolegów odgrywających terrorystów, nie raniąc przy tym ani jednego porwanego. Rumsfeld był oczarowany.

Jednostka do spraw operacji specjalnych miała już niemałe doświadczenie w popisywaniu się przed odwiedzającymi bazę oficjelami. Kongresmen Dick Cheney wybrał się do Fort Bragg w 1986 roku na spotkanie z dowódcami Delta Force i usłyszał o bazach danych, które wykorzystywano w procesie pozyskiwania informacji o potencjalnych zagrożeniach terrorystycznych. W połowie briefingu o LexisNexis –

dzisiaj powszechnie używanym narzędziu do gromadzenia dokumentów i informacji, wówczas absolutnej nowości – Cheney poprosił prowadzącego spotkanie wojskowego o wyszukanie w bazie danych jego nazwiska. Na szczycie listy znalezionych materiałów pojawił się tekst o ustawie, którą Cheney starał się przepchnąć w Izbie Reprezentantów. A także o kongresmenie zapowiadającym, że będzie głosował przeciwko niej.

Cheney był wściekły. Nakazał namierzyć kongresmena i zadzwonić do niego. Następnie, wprost z centrum dowodzenia, nawrzeszczał na niego przez telefon. – Kazaliśmy wszystkim wyjść – wspomina Thomas O’Connell, wówczas jeden z wyższych rangą oficerów JSOC. Opowiada, że Cheney, kiedy już poznał, jaką moc mają bazy danych i jak łatwo można zbierać informacje o każdym obywatelu, wydał mu się „zupełnie innym człowiekiem”. Od tamtej pory, kontynuuje O’Connell: „Cheney czerpał niekłamana przyjemność z kontaktów z agentami”.

Siedemnaście lat później podobną pielgrzymkę do Fort Bragg odbywał dawny mentor Cheney’a Donald Rumsfeld i również czuł, że oto widzi przyszłość. Towarzyszył mu wtedy Robert Andrews, który stał u jego boku również po atakach z 11 września. Andrews był zatrudnionym w Pentagonie cywilem odpowiedzialnym za operacje specjalne i, niczym Wergiliusz po piekle w *Boskiej Komedii* Dantego, oprowadzał Rumsfelda po mrocznym świecie, którego granice sięgały znacznie dalej niż za czasów administracji Forda, kiedy – jako ówczesny sekretarz obrony – Rumsfeld był tutaj po raz pierwszy.

Rumsfeld nie mógł sobie wymarzyć bardziej doświadczonego przewodnika. Pochodzący ze Spartanburga w Karolinie Północnej Andrews w 1960 roku ukończył Uniwersytet Florydzki i wstąpił do armii w ramach kursu oficerów rezerwy – miał zamiar zrzucić mundur po dwóch latach. Jednak w 1963 roku wstąpił do zielonych beretów i na kolejne pół wieku zanurzył się w świecie operacji specjalnych i wywiadowczych. Rok później, jako młody kapitan sił specjalnych, wyjechał do Wietnamu. Był członkiem tajnej jednostki prowadzącej w ukryciu działania przeciwko komunistycznemu Wietnamowi Północnemu, posługując się sabotażem, zamachami i czarną propagandą. Oddział – oficjalnie funkcjonujący pod zwyczajną biurokratyczną nazwą Dowództwo Misji Wojskowych w Wietnamie, Grupa Analiz i Informacji (MACV-SOG) – stał za największymi i najbardziej złożonymi tajnymi operacjami, które Stany Zjednoczone przeprowadziły od czasu Biura Służb Strategicznych.

Po powrocie do kraju Andrews wydał książkę *The Village War*, w której opisał rozbudowaną sieć wywiadowczą, uruchomioną przez komunistów na początku lat sześćdziesiątych w północnowietnamskich wioskach i wykorzystywaną do wodzenia za nos i zapędzania w pułapki sił południowowietnamskich i amerykańskich. Książka oparta była niemal wyłącznie na raportach z przesłuchań pojmanych żołnierzy północnowietnamskiej armii i partyzantów Wietkongu oraz dezertersów. Czytano ją chętnie także w CIA i w roku 1975, kiedy Sajgon padł pod naporem wojsk z Północy, zaoferowano autorowi pracę w Langley. Został szefem zespołu pracującego nad tajną analizą konfliktu w Wietnamie.

– Dotyczyła ona głównie wpadek wywiadu – mówił Andrews, który zdał wtedy sobie

sprawę, że amerykański problem w Wietnamie polegał w dużej mierze nie na błędnych decyzjach militarnych, ale na kompletnej ignorancji jeśli chodzi o miejscową kulturę. A także braku zrozumienia mentalności Wietnamczyków.

Andrews przez pięć lat pracował dla Agencji, a następnie zatrudnił się w przemyśle obronnym. Pisał również thrillery i książki sensacyjne. Była wśród nich powieść *The Towers* (Wieże), która opowiadała o byłym agencie CIA usiłującym zapobiec zamachowi terrorystycznemu na amerykańskiej ziemi.

Okładkę zdobił obrazek przedstawiający World Trade Center.

Andrews miał sześćdziesiąt jeden lat, gdy po 11 września powrócił do Pentagonu. 25 września zasiadł u boku Rumsfelda, kiedy to generał Charles Holland, stojący na czele Dowództwa Operacji Specjalnych, przedstawił plan walki z Al-Kaidą. Rumsfeld rozkazał mu opracować szeroko zakrojoną kampanię obejmującą praktycznie cały glob – nie miała ona skupiać się tylko na ufortyfikowanych pozycjach organizacji w Afganistanie. Kiedy usiadł przy stole konferencyjnym ze swoimi ludźmi, spodziewał się, że zostanie mu przedstawiony taki właśnie plan.

Briefing zaczął się obiecująco. Holland wskazywał na mapę i zaznaczał na niej kolejne kraje – Afganistan, Pakistan, Somalię, Jemen, Mauretanię, a nawet część Ameryki Łacińskiej. Twierdził, że wszędzie tam ukrywają się przybocznicy ben Ladena. Rumsfeld ożywił się i przerwał generałowi.

– Kiedy możemy rozpocząć operacje na terenie tych państw? – zapytał.

Holland chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu dał ją Rumsfeldowi, choć była zupełnie inna niż ta, którą chciał usłyszeć sekretarz obrony: – Cóż, będzie to trudne, bo nie mamy właściwie żadnej sprawnej komórki wywiadowczej.

Pojawił się też kolejny problem: SOCOM, Dowództwo Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych, nie było przygotowane na prowadzenie podobnej wojny. Ani żadnej innej. Jego zadaniem było szkolenie oddziałów kierowanych do operacji specjalnych i wysyłanie ich do odpowiedniej placówki Pentagonu na Bliskim Wschodzie, w rejonie Pacyfiku lub jakimkolwiek innym miejscu. Jednak lokalni amerykańscy dowódcy patrzyli spode łba na ludzi z SOCOM, bawiących się w ich piaskownicy.

Po kolejnym pytaniu zadany przez Rumsfelda było jeszcze gorzej. Chodziło mianowicie o termin przerzucenia wojsk do Afganistanu i rozpoczęcie działań na miejscu. Holland odparł, że musi najpierw poczekać na zielone światło od CIA.

Robert Andrews spojrzął na Rumsfelda, który, jak wspominał, ze złości „walił już głową w sufit”. W ciągu zaledwie paru minut nie dość, że usłyszał, iż jego bezcenne oddziały do zadań specjalnych nie mają właściwie żadnych sensownych informacji o Al-Kaidzie, to jeszcze nie mogą ruszyć do akcji bez pozwolenia George’a Teneta i CIA.

Irytowało to Rumsfelda jeszcze przez wiele miesięcy po atakach z 11 września. Kiedyś powiedział stojącemu na czele Dowództwa Centralnego generałowi Tommy’emu Franksowi, odpowiedzialnemu za wojnę w Afganistanie, że choć Departament Obrony to organ władzy znacznie większy i ważniejszy niż CIA, to i tak wojsko zachowuje się wobec Agencji „jak ptaszki w gnieździe czekające, aż ktoś wrzuci im jedzenie do dzióbków”. Parę dni po rozpoczęciu działań wojennych w Afganistanie Rumsfeld wystosował cierpkie memorandum do generała Richarda Myersa, przewodniczącego

Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. „Biorąc pod uwagę naturę naszego świata, możemy sobie chyba wyobrazić sytuację, w której Departament nie będzie całkowicie zależny od CIA w chwilach takich jak ta, prawda?”, napisał.

Rumsfeld od dawna nie szczędził Agencji słów krytyki. Jeszcze w 1998 roku, kiedy stał na czele niezależnej komisji powołanej do oceny ryzyka ataku raketowymi pociskami balistycznymi na Stany Zjednoczone, napisał list do Teneta, który można potraktować jako swoiste oskarżenie rzucone w twarz CIA w sprawie rozbudowy potencjału militarnego Iranu i Korei Północnej. Jednak teraz, w trakcie nowej wojny, Rumsfeld zrozumiał, że zazdrościł Agencji przede wszystkim możliwości wysyłania swoich ludzi, gdzie i kiedy tylko chce, bez pytania o pozwolenie. – Bez problemu można prześledzić zmianę w naszym myśleniu o prowadzeniu wojny: znowu doszliśmy do wniosku, że nie posiadamy odpowiedniego rozpoznania wywiadowczego, żeby ją w ogóle zacząć – powiedział Andrews, komentując decyzje swojego szefa po atakach z 11 września.

Rumsfeld uznał, że jedynym rozwiązaniem jest przerobienie Pentagonu tak, by nieco bardziej przypominał CIA.

Podobne obawy nękały nie tylko Donalda Rumsfelda. Po sromotnej porażce w kwietniu 1980 roku poniesionej na Dasht-e Kavir, czyli irańskiej Wielkiej Pustyni Słonej, Pentagon uznał, że potrzebuje własnych szpiegów.

Tajną misję uwolnienia pięćdziesięciu dwóch zakładników przetrzymywanych w amerykańskiej ambasadzie w Teheranie od początku prześladował pech: trzy z ośmiu helikopterów zaangażowanych w operację w drodze do bazy miało poważne problemy techniczne. Jeden z nich rozbił się przy lądowaniu. Do skutecznego przeprowadzenia akcji potrzebnych było co najmniej sześć śmigłowców. Dlatego dowódcy zarządzili koniec misji. Ale wkrótce potem zagubiony w burzy piaskowej helikopter zderzył się z wojskowym samolotem dostawczym. W eksplozji, która rozświetliła pustynne niebo, zginęło ośmiu żołnierzy.

Jednak w oczach wojska przyczyną schrzanionej misji w Iranie nie była prosta i tragiczna w skutkach kombinacja nierealistycznych oczekiwań, kiepskiego planowania i słabego wykonania. Dla wielu komandosów, którzy patrzyli, jak ich przyjaciele umierają w wybuchu na pustyni, operacja „Orli szpon” była skazana na porażkę z powodu nieudolności CIA, która nie potrafiła zapewnić wojsku informacji niezbędnych do przeprowadzenia misji.

Jeszcze zanim rozpoczęto feralną operację, przygotowania do niej dezorganizowały ciągle kłótnie pomiędzy CIA a wojskiem. Kością niezgody były oczywiście kwestie związane z wywiadem. Agencja zdążyła już dowieść, że nie jest w stanie zrozumieć dynamiki rewolucji w Iranie. Jej ówczesny dyrektor Stansfield Turner lamentował podczas posiedzeń Rady Bezpieczeństwa Narodowego, że jego podwładni nie mają wystarczających źródeł informacji na miejscu i zmuszeni są polegać na amerykańskich komunikatach prasowych i BBC^[9]. Do tego odpowiedzialny za misję dowódca Delta Force nie ufał oficerom CIA przydzielonym do operacji wywiadowczych na terenie Iranu. Wysłał więc tam Richarda Meadowsa, byłego żołnierza zielonych беретów, by prowadził obserwację ambasady, gdzie przetrzymywano zakładników. Podróżując

z podrobionym irlandzkim paszportem i maskując swój wirginijski akcent wyspiarskim dialektem, Meadows przekroczył granicę jako Richard Keith, dyrektor jednej z europejskich firm samochodowych.

Amerykańscy żołnierze nigdy nie dotarli do Teheranu, lecz generałowie z Pentagonu i tak narzekali, że Departament Obrony nie miał możliwości wysłania swoich ludzi na misję wywiadowczą, która mogłaby utorować drogę komandosom. Jeden z generałów przy Połączonym Kolegium Szefów Sztabów wystosował w grudniu 1980 roku do szefa Agencji Wywiadu Obronnego (DIA) memorandum, w którym pisał o „poważnych i ciągłych lukach informacyjnych”. Podkreślał też potrzebę zaangażowania „wiarygodnych obserwatorów”. Pentagon rozpoczął planowanie kolejnej operacji ratunkowej w Iranie, więc Połączone Kolegium Szefów Sztabów napędce utworzyło grupę składającą się z takich obserwatorów. Nazwano ją Grupą Operacji Terenowych (FOG).

Akronim ten – znaczący tyle co mgła – okazał się niefortunny, bowiem zakładników uwolniono w dniu zaprzysiężenia prezydenta Reagana w styczniu 1981 roku. Zatem druga misja ratunkowa stała się zbędna. Jednak nawet po rozwiązaniu FOG szef sztabu armii Edward Meyer wciąż uważał, że Pentagon potrzebuje własnych szpiegów. Podczas jednego ze spotkań warknął: – Niech mnie cholera, jeśli znowu zostaniemy wplątani w odbijanie zakładników w Iranie, nie wiedząc, co się tam dzieje ani którędy możemy przedostać się do kraju.

Tak narodziło się Czynne Wsparcie Wywiadu (Intelligence Support Activity – ISA).

Program wdrożony we wczesnych latach osiemdziesiątych nie był pierwszą próbą Pentagonu wejścia do wielkiej wywiadowczej gry. Poprzednie jednak wstrzymywano, w dużej mierze z powodu oporu generałów i admirałów, którzy uważali, że żołnierz nie powinien być jednocześnie szpiegiem^[10]. Jednak fiasko operacji „Orli szpon” dało przewagę tym, którzy chcieli rozwijać działalność wywiadowczą Pentagonu – wśród nich znalazł się generał Meyer. Czynne Wsparcie Wywiadu uruchomiło w Pentagonie biuro, którego personel składał się z około pięćdziesięciu osób. Miało jednak ambicję, żeby urosnąć nawet pięciokrotnie. Oficjalny emblemat jednostki zawierał symbole odwołujące się do nieudanej akcji ratunkowej w Iranie. Widniał na nim napis „Poślij mnie”. To nawiązanie do Księgi Izajasza: „I usłyszałem głos Pana mówiącego: »Kogo mam posłać, kto by Nam poszedł?«. Odpowiedziałem: »Oto ja! Poślij mnie!«” (Iz 6, 8).

Założone w 1981 roku ISA dysponowało sporym „czarnym” budżetem, krzykliwym, aroganckim i głodnym sukcesu pułkownikiem jako dowódcą oraz pozwoleniem na prowadzenie tajnych operacji bez konieczności powiadamiania Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. Z tych składników można otrzymać jedynie toksyczną miksturę. Świątek tajnych misji pełen jest ludzi z osobowością typu WZA (stres plus rywalizacja, plus agresja), którzy działając w ramach organizacji z nielimitowanymi funduszami i mętnie określonymi zadaniami, po prostu skazani są na przekraczanie granic wyznaczonych prawem. ISA rządzone przez pułkownika Jerry’ego Kinga nie było wyjątkiem.

King wystartował od razu z kilkoma zakulisowymi operacjami na całym świecie. Niezaprzeczalnie najbardziej barwna była akcja przerzucenia pieniędzy oraz sprzętu dla

emerytowanego żołnierza zielonych беретów planującego odbicie amerykańskich jeńców przetrzymywanych ponoć w Laosie.

Przez kilka lat James „Bo” Gritz latał do Azji Południowo-Wschodniej, by zbierać informacje na temat więzionych tam żołnierzy. Wyprawy te finansował teksański milioner H. Ross Perot. Na początku 1981 roku, niedługo po utworzeniu ISA, Gritz poinformował, że znalazł twarde dowody na to, że kilkudziesięciu jeńców znajduje się w niewoli w obozie w środkowym Laosie. Opierał się na zdjęciu satelitarnym sprzed paru lat, na którym widać ułożony na ziemi wzór układający się w literę B oraz liczbę 52, czyli symbol bombowca B 52. Zdaniem Gritza był to sygnał od jeńców dla tych, którzy obserwują ich z powietrza.

Gritz zaczął planować operację ratunkową i nawet nadał jej kryptonim „Aksamitny młot”. Zebrał ekipę dwudziestu pięciu emerytowanych żołnierzy sił specjalnych, przeszkolił ich w obozie na Florydzie i wysłał do Tajlandii grupę, która miała przygotować grunt pod akcję w Laosie. W trakcie przygotowań do operacji wielu członków ISA kontaktowało się z Gritzem i oferowało wsparcie: sprzęt rejestrujący wart dziesiątki tysięcy dolarów, nadajniki radiowe, bilety lotnicze do Bangkoku oraz wariografy, czyli popularne wykrywacze kłamstw mające pomóc stwierdzić, czy miejscowe źródła mówią prawdę o obozie jenieckim. ISA dostarczyło również zdjęcia satelitarne i informacje zebrane przez wywiad.

Pułkownik King udzielał pomocy drużynie Gritza bez wcześniejszej konsultacji z Pentagonem, nie wiedząc, że Połączone Kolegium Szefów Sztabów za zamkniętymi drzwiami także opracowywało własną akcję odbicia żołnierzy z tego samego obozu w Laosie. Plan ten przewidywał wysłanie rekonesansu w postaci grupy miejscowych najemników, którzy mieli przeniknąć do Laosu z Tajlandii i określić liczbę jeńców. Jeśli najemnicy faktycznie potwierdziliby, że więzieni są tam amerykańscy obywatele, Pentagon miał przeprowadzić operację ratunkową na podobnej zasadzie jak w Iranie – wysłać tam drużynę Delta Force.

Kiedy najwyżsi oficjele Pentagonu i CIA dowiedzieli się o przebiegających równolegle przygotowaniach do misji ratunkowej Gritza, potajemnie wspieranej przez ISA, zagrozili natychmiastowym zamknięciem grupy. Uznano, że operacja Gritza jest zagrożeniem dla oficjalnej akcji, zaś pułkownik King przekroczył swoje kompetencje. I tak w efekcie nie przeprowadzono żadnej z misji, ale też i nie dostarczono niepodważalnego dowodu na obecność amerykańskich jeńców w Laosie.

Zaraz potem sekretarz obrony Caspar Weinberger nakazał głównemu inspektorowi Pentagonu przeprowadzić kontrolę wszystkich operacji ISA. Poza sprawą z Gritzem grupa prowadziła także tajne misje w Panamie, gdzie monitorowała generała Manuela Noriegę, i ulokowała się w rozległej, globalnej siatce firm, których używano jako przykrywek podczas działań wywiadowczych. Siatka ta była częścią programu „Żółty owoc” i uczestniczyła w podpisaniu paru umów, które ujrzą światło dzienne, gdy ujawniona zostanie afera Iran–contras.

Raport głównego inspektora był miażdżący. ISA zostało przedstawione jako grupa łobuzów potrzebujących surowego nadzoru, do tego marnotrawiąca ogromne pieniądze. Na liście jej zakupów był między innymi rolls-royce i balon na gorące powietrze. Raport

zaskoczył zarówno Weinbergera, jak i zastępcę sekretarza obrony Franka Carlucciego. Ten drugi w maju 1982 roku nazwał dokument „wysoco niepokojącym”. Carlucci trafił do Pentagonu z CIA, gdzie był zastępcą admirała Stansfielda Turnera. W Agencji miał okazję przyjrzeć się z bliska, jak się kończą lata braku nadzoru nad tajnymi operacjami.

„Powinniśmy wyciągnąć wnioski z lekcji danej nam w latach siedemdziesiątych” – napisał w memorandum dotyczącym raportu głównego inspektora, a nie „tworzyć organizację znajdującą się poza wszelką kontrolą”.

Rok później, kiedy amerykańskie oddziały planowały inwazję na Grenadę w celu odbicia grupy studentów medycyny wziętych tam jako zakładników, dowódca misji odmówił współpracy z ISA. Nie ufał ani grupie, ani pułkownikowi Kingowi. Później amerykańscy komandosi po omacku szukali owych studentów. – Nasz wywiad w Grenadzie był byle jaki – mówił Dewey Clarridge, wówczas szef latynoamerykańskiej sekcji CIA.

Sytuacja ISA nie wyglądała dobrze. W dodatku CIA także próbowała podstawić jej nogę. Agencja z podejrzliwością spoglądała na próbę zbudowania militarno-szpiegowskiego imperium. Nie dowierzała, że wojskowi mogą sobie poradzić z robotą wywiadowczą. Taka postawa po części odzwierciedlała panujące w Langley obawy przed ekspansją wojska. Od czasu założenia agencji w 1947 roku CIA była niczym młodszy brat Pentagonu, zawsze przegrany w walce o rządowe pieniądze. Tak naprawdę dyrektor CIA nie kontrolował większości kosztownych programów wywiadowczych prowadzonych przez USA. Konstelacja szpiegowskich satelitów i rozsianych po całym świecie placówek pochłaniała 80 procent funduszy wydawanych przez Stany Zjednoczone na działalność wywiadowczą. Były to pieniądze, które przechodziły przez Pentagon. Nic dziwnego, że podczas swojej pierwszej kadencji jako sekretarza obrony, jeszcze za prezydentury Forda, Rumsfeld często wdawał się w kłótnie z CIA i Białym Domem, próbując dowieść, że to on powinien sprawować kontrolę nad działaniami szpiegowskimi, skoro za nie płaci.

Jeśli istniał segment, w którym CIA miała jakąkolwiek przewagę nad Pentagonem, było to szpiegostwo z wykorzystaniem agentury. Kiedy więc Pentagon opracował program taki jak ISA, wielu ludzi z Agencji odebrało to jako bezpośrednie zagrożenie dla jej istnienia. Szefowie CIA szeptali członkom komisji Kongresu, że szpiedzy Pentagonu to amatorzy, których nieudolność może narazić ich ludzi w terenie działających pod przykrywką nawet na śmierć.

Oczywiście podkopywanie przez CIA osiągnięć i możliwości Pentagonu sprawiło, że dowódcy wojskowi jeszcze mniej ufali Agencji. I tym bardziej naciskali na budowę własnej sieci szpiegowskiej. Podczas jednego ze spotkań w 1983 roku, kiedy w specjalnie zabezpieczonym pokoju konferencyjnym Pentagonu znanym jako „Czołg” usiedli naprzeciw siebie dyrektor CIA William Casey i szef Połączonego Kolegium Szefów Sztabów generał Myers, ten drugi, jak zwykle, zaczął od narzekań, że Agencja nie wspiera wojska. Casey próbował uspokoić generała, tłumacząc mu, że jego poprzednik, admirał Stansfield Turner, był przecież wojskowym. Ale generał nie chciał tego słuchać. – Panie Casey, mówi pan prawdę, ale ten sukinsyn podczas swojej pracy w CIA nie zrobił dla armii absolutnie nic – powiedział.

Nawet po raporcie głównego inspektora ISA nie zaprzestała działalności. Mało tego – stała się istotnym punktem wyjścia dla wysiłków Rumsfelda, który dążył do rozwinięcia szpiegowskiej działalności Pentagonu. Do 2001 roku ISA rozwinęła się w pełnoprawną komórkę wywiadowczą o kryptonimie „Szary lis”. Po 11 września podjęła między innymi współpracę z Asadem Munirem oraz szpiegami ISI w zachodniej części Pakistanu. Ale jej kwatera główna ulokowana była zaraz za waszyngtońską obwodnicą, w Fort Belvoir w stanie Wirginia. Miała do dyspozycji kilkuset agentów prowadzących pod przykrywką akcje na różnych kontynentach. Specjalizowali się oni w zakładaniu urządzeń podsłuchowych w trudno dostępnych miejscach. Dzięki nim można było połączyć dane z rozrzuconych po świecie dużych stacji nasłuchowych.

Jeszcze w 2001 roku grupą mało kto się interesował. Uznawano ją za mało istotny twór, a nawet ochrzczone „Tajną armią Wirginii Północnej”. Kiedy Rumsfeld spotkał po raz pierwszy dowódcę „Szarego lisa” i usłyszał szczegóły dotyczące planowanych operacji, powiedział: – Jeśli przed 11 września wiedziałbym, co wy tutaj wyprawialiście, pewnie wpakowałbym was wszystkich za kraty. Jednak teraz Rumsfeld pochłonięty był myślą o ulepszeniu i skoordynowaniu, skądinąd skromnych z uwagi na możliwości, szpiegowskich działań Pentagonu. Przyznał więc „Szaremu lisowi” większy budżet oraz postarał się o bliższą współpracę z Połączonym Dowództwem Operacji Specjalnych, tajną jednostką, która tak mu zaimponowała podczas wizyty w Fort Bragg w listopadzie 2001 roku. Od tamtego dnia Rumsfeld zaczął widzieć JSOC jako sekretną armię, której potrzebował, by wygrać globalną wojnę.

JSOC w 2001 roku nie mogło jednak przyjąć wymarzonej roli gwardii pretoriańskiej w światowym konflikcie. Delta Force i Navy SEALs Team Six były niszowymi oddziałami, łącznie zatrudniały ledwie kilkaset osób. Nie mogły więc sobie pozwolić na wzięcie udziału w operacjach dłuższych niż dwa dni. Delta Force wyszkolono na potrzeby akcji ratunkowych, zaś Navy SEALs Team Six przez lata przygotowywano na potrzeby zabezpieczenia amerykańskiego arsenału nuklearnego. Żaden z oddziałów nie miał ani kompetencji, ani sprzętu do prowadzenia rozciągniętych w czasie misji.

– Rumsfeld uważał, że JSOC może przeniknąć dosłownie wszędzie, zabić odpowiednich ludzi i uratować wszystkich, którzy potrzebują ratunku, czemu więc z tego nie skorzystać – mówił Andrews. – Nie rozumiał, że ci komandosi nie mieli odpowiedniego przygotowania do prowadzenia dłuższych operacji bojowych.

Rumsfeld widział potencjał w niezależności JSOC, które mogło stać się oddziałem uderzeniowym odpowiadającym bezpośrednio przed sekretarzem obrony i prezydentem, a nie przed jakimś generałem z czterema gwiazdkami, który przede wszystkim dba o własne poletko. Mogło stać się odpowiednikiem działającego przy CIA Dyrektoriatu Operacyjnego, nieobciążonego zacofaną wojskową biurokracją. Rumsfeld rozumował, że jeśli odda do dyspozycji dowódców odpowiednie środki, a Delta Force i Navy SEALs Team Six powiększą swoje szeregi oraz kupią potrzebny sprzęt do prowadzenia dłuższych operacji zamorskich, będzie mógł wysłać te oddziały dosłownie wszędzie.

Czy to w ogóle było legalne? Kongres od zawsze starał się ograniczyć wysyłanie wojska na tereny poza strefą działań wojennych. Wynikało to w pewnej mierze z obawy, że amerykańscy żołnierze pojmani za linią frontu mogliby zostać potraktowani jak

szpiegdy i wówczas nie miałyby zastosowania postanowienia konwencji genewskiej. Za to prezydent może posłać CIA, gdziekolwiek zechce^[11]. Jeśli oficer Agencji zostałby złapany na szpiegowaniu w obcym państwie, amerykański rząd może zaprzeczyć, jakoby posiadał jakąkolwiek wiedzę na temat jego działań, i pozwolić mu zgnić w więzieniu.

Po wybuchu afery Iran–contras w latach osiemdziesiątych Kongres próbował narzucić dodatkowe restrykcje odnośnie tajnych misji. Ustawa o autoryzacji działań wywiadowczych z 1991 roku wymagała przedstawienia podpisanego przez prezydenta rozporządzenia, w którym miała zostać wyłuszczone zasadność przeprowadzenia tajnej operacji. Biały Dom miał też obowiązek poinformowania senackiej komisji do spraw wywiadu o przekazaniu rozporządzenia w ręce CIA. Był tam jednak pewien kruczek: ustawa zwalniała Pentagon z obowiązku przeprowadzania całego męczącego procesu – pod warunkiem że tajne operacje mieściły się w ramach „konwencjonalnych działań wojskowych”.

Tyle że prawo nie podawało jednoznacznej definicji „konwencjonalnych działań wojskowych” – po części dlatego, że Biały Dom za czasów George’a H. Busha wraz z Pentagonem lobbował w Kongresie za użyciem nieprecyzyjnego języka. Ustalono ostatecznie, że chodzi o wszelkie akcje prowadzone przez wojsko i powiązane ze zwalczaniem „obecnego” oraz „spodziewanego” zagrożenia. Innymi słowy, żeby usprawiedliwić wysłanie oddziałów do jakiegokolwiek kraju świata, Pentagon musiał tylko udowodnić, że Stany Zjednoczone prowadzą na terenie danego państwa wojnę. Lub że wybuchnie ona w niedalekiej przyszłości.

O tajemniczych i nieprecyzyjnych zapisach prawnych niewiele dyskutowano przez następną dekadę. Aż do ataków z 11 września, kiedy to Kongres dał prezydentowi Georgowi W. Bushowi praktycznie wolną rękę w prowadzeniu wojen. Według ustawy o zezwoleniu na użycie sił zbrojnych (AUMF) Stany Zjednoczone nie były w stanie wojny z żadnym konkretnym państwem, ale prowadziły wojnę w każdym kraju, gdzie działała Al-Kaida. Dało to Rumsfeldowi upragnioną możliwość prowadzenia wojny globalnej.

Mimo wszystko sekretarz obrony potrzebował czasu, żeby w pełni wykorzystać nowo zdobytą moc. Po wygnaniu talibów z Kabulu pod koniec 2001 roku szefowie Pentagonu niemal natychmiast zaczęli planować inwazję na Irak. Nie licząc bezpiecznych przystani Al-Kaidy, takich jak Pakistan, wojsko miało problem z określeniem miejsca, gdzie należałoby rozpocząć polowanie. Zwyczajowe działanie antyterrorystyczne opierało się na zasadzie „znaleźć, naprawić, wykończyć”. Po latach Rumsfeld przyznał: – Umieliśmy wykańczać, ale nie potrafiliśmy niczego naprawić.

Rumsfeld i jego ekipa w pierwszej połowie 2003 roku czuli się niezwykle pewnie. Inwazja na Irak wydawała się, przynajmniej na początku, pokrywać z wizją sekretarza obrony na temat sposobów prowadzenia wojny nowego typu. Marsz na Bagdad trwał zaledwie miesiąc i przeprowadzono go, mając do dyspozycji stosunkowo niewielką armię – testowano strategię Rumsfelda, według której tylko postęp technologiczny w połączeniu z odpowiednią taktyką przedkładającą szybkość nad siłę może dać zwycięstwo w nowoczesnej wojnie. Sceptycyzm co do możliwości wywiadowczych CIA popchnął go, na rok przed rozpoczęciem inwazji – do stworzenia jeszcze jednej komórki

wewnątrz Pentagonu – nadzorowanej przez podsekretarza obrony do spraw politycznych Douglasa J. Feitha. Miała się zająć selekcją informacji. Szczególnie chodziło o dowody, że Saddam Husajn trzyma z islamskimi terrorystami.

Kiedy amerykańskie wojska dotarły do Bagdadu, wielu ludzi Rumsfelda było przekonanych, że znalezienie związku pomiędzy Saddamem a Osamą ben Ladenem to tylko kwestia czasu i że do ich rąk trafi coś, co usprawiedliwi inwazję, choć *post factum*. Jednak nic takiego się nie wydarzyło, a wnioski wyciągnięte przez szpiegów Rumsfelda zostały zdyskredytowane.

Po obaleniu Saddama amerykańska administracja nie mogła się zdecydować, czy następnym celem przyjętej przez Busha strategii „przemiany reżimu” powinna być Syria. Ale Rumsfeld i tak coraz śmieiej planował kolejne operacje specjalne. Robert Andrews opuścił Pentagon, a sekretarz obrony zastąpił go Thomasem O’Connell, innym weteranem tajnych wojen w Wietnamie i byłym dowódcą „Szarego lisa”.

O’Connell trafił do Wietnamu w 1970 roku jako doradca wojskowy. Pracował przy programie „Feniks”, prowadzonej przez CIA kontrowersyjnej kampanii, która mogła odwrócić bieg wojny. Jej celem było pojmanie i zlikwidowanie dowódców Wietkongu. Sporą część dorosłego życia spędził w świecie misji specjalnych. Był najlepszym oficerem wywiadu JSOC, kiedy kongresmen Dick Cheney w 1986 roku odwiedził jego dowództwo.

Rozmowa kwalifikacyjna z Rumsfeldem poszła O’Connellowi doskonale, bowiem jego zdanie co do tego, jaką rolę powinien odgrywać Pentagon w tajnych operacjach, było dokładnie takie, jakiego oczekiwał sekretarz obrony.

– Dlaczego w czasie gdy prowadzimy wojnę, musimy oddawać swoich ludzi pod rozkazy CIA? – pytał Rumsfeld podczas spotkania.

– Nie musi pan – odparł szybko O’Connell. – Ma pan dość władzy, żeby wysłać amerykańskie wojsko, gdziekolwiek pan tylko zechce.

Kongres dał Pentagonowi nie tylko narzędzia potrzebne do rozpętania globalnego konfliktu. Dał również plenipotencje do prowadzenia działań wywiadowczych oraz planowania zamachów. Rumsfeld nie powinien zwlekać z ich wykorzystaniem – uważał O’Connell. Dostrzegł pewne podobieństwo między sytuacją po 11 września i wojną wietnamską, gdy prezydent Nixon rozpoczął w tajemnicy bombardowania Kambodży i Laosu, gdyż wierzył, że w tych krajach ukrywają się wrogowie Stanów Zjednoczonych. Różnica jednak, jak uważał O’Connell, polegała na tym, że Rumsfeld cieszył się większym zaufaniem społecznym niż Nixon. I miał większą władzę, bowiem Kongres udzielił Pentagonowi błogosławieństwa, zezwalając na wysłanie amerykańskich żołnierzy wszędzie tam, gdzie ukrywają się ludzie Al-Kaidy.

Rumsfeld szukał jednocześnie sojuszników w swojej wojence z CIA. Zdecydował się na skonsolidowanie wszystkich wojskowych – często prowadzonych niestarannie – operacji wywiadowczych. Miało nimi zarządzać jedno biuro. Pierwszym podsekretarzem obrony do spraw wywiadu mianował lojalnego mu Stephena Cambone’a, co łebki i kąśliwy Cambone wykorzystał do rozciągnięcia kontroli nad wszystkimi szpiegowskimi inicjatywami Pentagonu. Rumsfeld zmienił również zasady obejmowania cywilnych stanowisk w Pentagonie na wypadek swojej śmierci lub ubezwłasnowolnienia – to samo

dotyczyło jego zastępcy. Szef wywiadu Cambone został następny w kolejce. Dostał nawet biuro drzwi w drzwi z Rumsfeldem.

Rumsfeld zastępcą Cambone'a mianował z kolei generała Williama „Jerry’ego” Boykina, weterana Delta Force, który uczestniczył w nieudanej operacji odbicia amerykańskich zakładników w Iranie. Boykin był świeżo nawróconym chrześcijaninem, który z dumą obnosił się ze swoją religijnością. Zdarzało mu się mówić o wojnie z islamskimi terrorystami za pomocą cytatów z Biblii. Często nazywał ją walką z szatanem. Zdarzyło mu się też powiedzieć, że jedna z akcji w Somalii na początku lat dziewięćdziesiątych musiała się skończyć sukcesem, gdyż „jego Bóg jest prawdziwym Bogiem, a ten somalijski jedynie bożkiem”.

Boykin był gotów wykorzystywać możliwości oddziałów specjalnych do maksimum, nawet na granicy prawa. Od czasu kryzysu w Bejrucie w latach osiemdziesiątych irytowało go, że biurokraci zbyt bojaźliwie podchodzą do grup typu Delta Force. Tak jak w przypadku O’Connella podczas rozmowy kwalifikacyjnej Rumsfeld zarzucił Boykina pytaniami o granice kompetencji sekretarza obrony w kwestii wysyłania komandosów poza tereny objęte działaniami wojennymi. Boykin odpowiedział podobnie jak O’Connell: jeśli istnieje taka możliwość, trzeba z niej korzystać, a nie czekać na polecenia z CIA.

Rumsfeld ze zdwojoną siłą kontynuował budowę imperium zajmującego się niekonwencjonalnymi działaniami wojennymi. Zachęciły go wydarzenia z lata 2004 roku, kiedy to komisja zajmująca się okolicznościami zamachów 11 września zasugerowała w swoim ostatecznym raporcie, że CIA powinna zostać pozbawiona wszystkich funkcji wojskowych, a tylko Pentagon powinien zajmować się tajnymi operacjami. Komisja ostro skrytykowała Agencję za jej nieudolne próby zlikwidowania Osamy ben Ladena i uznała tajne operacje CIA za bardzo chaotyczne. Rekomendowano, aby Agencja z większą starannością zbierała informacje i nie polegała w tak dużym stopniu na zagranicznych wywiadach. Powinna też poprawić swoje metody analizowania danych wywiadowczych oraz zająć się „niemilitarnymi” tajnymi operacjami takimi jak kampanie propagandowe. Tajne misje i akcje z użyciem dronów – uznała komisja – to robota dla Pentagonu.

„Bez różnicy, czy mówimy o kosztach finansowych, czy ludzkich, Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić na utrzymywanie dwóch osobnych struktur odpowiedzialnych za tajne operacje, odpalanie sterowanych pocisków z samolotów oraz sekretne szkolenia obcych oddziałów wojskowych i paramilitarnych”, stwierdziła komisja w raporcie z lipca 2004 roku.

Tak myślał również Rumsfeld. Parę dni po ogłoszeniu raportu poprosił Toma O’Connella o zdobycie szczegółowych informacji na temat dokumentu komisji. Po rozmowie z Johnem Lehmanem, byłym sekretarzem marynarki wojennej i członkiem komisji do spraw 11 września, O’Connell powiadomił Rumsfelda, że oceniła ona podejście CIA do operacji specjalnych jako „niedbałe”. O’Connell napisał w memorandum skierowanym do Rumsfelda, że Lehman powiedział mu także o zaskoczeniu komisji „niechęcią CIA do przedsięwzięcia ryzykownych działań” i „oporem przed naciśnięciem cyngla nawet w sprzyjających okolicznościach”.

Największym problemem, zdradził O'Connellowi Lehman, była sytuacja, w której Pentagon dysponuje środkami do przeprowadzenia operacji polegających na pochwytceniu i wyeliminowaniu celu, lecz tylko CIA ma prawo, żeby takie akcje planować i realizować.

Rumsfeld postawił Cambone'a na czele ekipy, która miała ustalić, czy postanowienia raportu uda się wcielić w życie. Wkrótce Cambone zaczął drążyć głębiej i zadawać pytania o to, czy udałoby się zminimalizować liczbę prowadzonych przez Agencję akcji. Pod koniec września 2004 roku Cambone napisał do Rumsfelda, że nie jest przekonany, czy CIA w ogóle powinna zajmować się „jakimikolwiek” tajnymi operacjami. Zwłaszcza takimi, które mogły być postrzegane jako „działalność niczym się nie różniąca od akcji prowadzonej przez Główne Dowództwo Wojskowe”. Innymi słowy sugerował, że Pentagon powinien przejąć wszystkie „czarne misje”. CIA trzymała jednak łapę i na komórce analitycznej, i na tajnych operacjach, co było problematyczną kwestią, bowiem – mówiąc najprościej – Agencja sama oceniała swoją pracę.

Być może działania Pentagonu miały służyć jego własnym interesom, ale zahaczały także o poważniejszą kwestię: czy CIA kierująca kampanią przeciwko Al-Kaidzie będzie w stanie dostarczyć wiarygodne i bezstronne raporty o faktycznych efektach owej kampanii? Z tym pytaniem zderzą się lata później ludzie Obamy, kiedy Agencja rozpęta w Pakistanie wojnę z użyciem dronów.

Zarówno Rumsfeld, jak i dyrektor CIA Porter Goss mówili prezydentowi Bushowi, że Pentagon nie musi wydierać Agencji tajnych operacji. Rumsfeld przekonał się, że i tak mógł robić to, co chciał – nawet jeśli równoległe podobne działania podejmowała CIA. Robił to pod płaszczykiem „konwencjonalnych działań wojennych”. Goss zaś po cichu lobbował za CIA, starając się chronić swój teren, namawiał oficjeli z Białego Domu, by nawet nie rozważali wprowadzenia w życie zapisów z raportu komisji do spraw 11 września. Był to rzadki i krótkotrwały moment, kiedy Pentagon i CIA miały wspólny cel. Lecz zawieszenie broni w żadnym razie nie kończyło konfliktu między nimi.

Niewielkie grupki agentów JSOC wysłano w 2004 roku w różne zakątki globu, w tym do Ameryki Południowej, Afryki i na Środkowy Wschód. Jedna z grup poleciała nawet do Francji, gdzie miała zebrać informacje o tamtejszych grupach islamskich radykałów. Inna drużyna musiała w pośpiechu opuścić Paragwaj, kiedy jeden ze szpiegów Rumsfelda sięgnął po broń w trakcie bójki w barze. Jak powiedział ktoś z Pentagonu, kto pomagał nadzorować program: „Nie wyjdzie nam to na dobre, jeśli oni wszyscy będą biegać po świecie i zgrywać Jamesa Bonda”.

Niektóre grupy – nadano im niewinnie brzmiącą nazwę Wojskowy Zespół Doradczy – stacjonowały w amerykańskich ambasadach. Inne przenikały na teren obcych państw i rozpoczynały szpiegowskie misje bez powiadamiania ambasadora lub szefa lokalnej placówki CIA. Skoro teraz cały świat był strefą wojny, Pentagon uznał, że drużyny odpowiadające za operacje specjalne podlegają dowódcom wojskowym, a nie ambasadorom.

Pewnego popołudnia Edward W. Gnehm, amerykański ambasador w Jordani, siedział w swoim gabinecie, kiedy stanął przed nim attaché wojskowy i położył na biurku

kartkę. Była to wiadomość z Pentagonu wysłana bezpośrednio do attaché i przeznaczona tylko dla jego oczu. Informowała o wojskowej grupie wywiadowczej, która wkrótce wyląduje w Jordanii i zacznie zbierać dane o sytuacji panującego tam reżimu. Pod żadnym pozorem, przestrzegano notatką, o działaniach Pentagonu nie może dowiedzieć się ani ambasador, ani szef miejscowej sekcji CIA.

Attaché i ambasador oczywiście zignorowali ostrzeżenie. Gnehm zadzwonił do szefa sekcji CIA, który, jak wspomina ambasador, „stracił nad sobą panowanie”.

Rozdział piąty

WŚCIEKŁY PTAK

„To wojna polityczna. Wymaga ona orientacji w różnych sposobach zabijania. Najlepszą bronią jest nóż, lecz obawiam się, że nie możemy go użyć. Najgorszym rozwiązaniem jest samolot”

podpułkownik John Paul Vann, amerykański oficer w Wietnamie

Jest listopad 2002 roku. Oficerowie zgromadzeni w pokoju operacyjnym Centrum Antyterrorystycznego CIA oglądają na ekranie podskakującą na wybojach pustynnej drogi toyotę land cruiser. Mknie ona przez jemeńską prowincję Marib, legendarne miejsce narodzin królowej Saby. Dla sześciu stłoczonych wewnątrz przykurzonego auta osób podróż nie jest komfortowa, ale jadąc w ten sposób, nie wzbudzają podejrzeń lokalnej policji ani żołnierzy. Leżący na tylnym siedzeniu telefon komórkowy zdradza pozycję najbardziej poszukiwanego człowieka w Jemenie. Nazywa się Kaed Salim Sinan al-Harethi. Nad samochodem już unosi się należący do CIA uzbrojony dron Predator.

Amerykanie ustalili, że al-Harethi był jednym z architektów planu wysadzenia w powietrze niszczyciela USS „Cole” w 2000 roku, kiedy zawinął on do portu w Adenie, by uzupełnić paliwo. W ataku zginęło siedemnastu marynarzy.

Kiedy amerykański oddział do zadań specjalnych wylądował w Jemenie wiosną 2002 roku, jego priorytetem było właśnie polowanie na al-Harethiego, weterana z wojny w Afganistanie – tej ze Związkiem Radzieckim – który potem latami ukrywał się przed tajną policją w Zjednoczonych Emiratach Arabskich oraz pretorianami jemeńskiego prezydenta Alego Abdallaha Salaha. Osama ben Laden wysłał al-Harethiego do Jemenu w 2000 roku, żeby zaplanował zamach na USS „Cole” oraz zorganizował obozy treningowe Al-Kaidy. Kilkakrotnie al-Harethi zawstydzał prezydenta Salaha, wymykając się jego ludziom z rąk.

Salah był nieprzewidywalny. W rozpętanej przez ekipę Busha wojnie z terrorem dojrzał okazję do sprzymierzenia się ze Stanami Zjednoczonymi. Ale nie zamierzał pozwolić Ameryce na rozpoczęcie tajnych operacji na terenie swojego państwa bez zadośćuczynienia. Dwa miesiące po atakach z 11 września, po serii spotkań z prezydentem Bushem, Rumsfeldem i dyrektorem CIA George’em Tenetem, Salahowi udało się wycisnąć czterysta milionów dolarów. Za te pieniądze udzielił błogosławieństwa niewielkiej grupie amerykańskich żołnierzy, która przybyła do Jemenu. Zastrzegł jednak, że będą oni mogli otworzyć ogień tylko w samoobronie.

Bez informowania Salaha Pentagon wysłał do Jemenu wraz z komandosami także ludzi z „Szarego lisa”, wojskowej jednostki szpiegowskiej specjalizującej się w przechwytywaniu informacji. Za to stosunkowo łatwo uzyskał zgodę prezydenta na użycie predatorów. Ambasador Edmund Hull wiosną 2002 roku poprosił o spotkanie

z jemeńskim prezydentem, żeby przekonać go do użycia dronów w jego kraju. Hull zdążył już poznać Salaha na tyle dobrze, że był świadom wahań jego nastroju. Wiedział też, co powinien powiedzieć, by postawić na swoim. Oficerowie CIA, którzy przybyli z Langley parę dni wcześniej, przywieźli ze sobą laptop z animowaną sekwencją wideo wyjaśniającą działanie dronów. Widać było na niej również rakiety Hellfire trafiające w samochody i ogrodzone kompleksy. Salah uśmiechał się, oglądając prezentację, i wydawał się dumny z tego, że Jemen będzie pierwszym państwem – prócz Afganistanu – gdzie CIA skorzysta z predatora.

Ale Amerykanie wciąż jeszcze nie odszukali al-Harethiego, który unikał namierzenia, korzystając z pięciu różnych telefonów komórkowych. Ludzie z „Szarego lisa” zidentyfikowali część z nich, ale al-Harethi korzystał z komórek bardzo oszczędnie. Aż 4 listopada coś się wreszcie złapało w zarzuconą przez szpiegów sieć.

Telefon leżący w land cruiserze wysyłał swój sygnał, a ludzie z „Szarego lisa” posłali pilną wiadomość analitykom z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) do ich kwatery w Fort Meade w stanie Maryland. Niezależnie od tych działań CIA przygotowała i uzbroiła predatora w bazie w Dżibuti, po drugiej stronie Morza Czerwonego. Kiedy już dron zajął pozycję nad toyotą, analityk z Fort Meade zidentyfikował głos al-Harethiego, który wydawał komendy kierowcy. Mając potwierdzenie, że to właśnie on, CIA dostała pozwolenie na odpalenie pocisku w stronę samochodu. Predator wystrzelił rakietę. Trafiła bezbłędnie. Zniszczyła samochód, zabijając wszystkich pasażerów i kierowcę. Ciało Kaeda Salima Sinana al-Harethiego zostało zidentyfikowane po charakterystycznym znamieniu na nodze znalezionej wśród szczątków wraku.

Rząd prezydenta Salaha szybko wymyślił bajeczkę o tym, że w samochodzie wybuchł kanister z benzyną. Zaś Centrum Antyterrorystyczne dostrzegło wagę tej chwili – po raz pierwszy od 11 września CIA przeprowadziła zakończony czyjąś śmiercią atak poza strefą wojny. Korzystając z kompetencji, które prezydent Bush nadał Agencji we wrześniu 2011 roku, tajni agenci zbierali informacje o ruchach al-Harethiego, a potem ze stoickim spokojem wpakowali w jego auto rakietę przeciwczołgową.

Do tej pory wielu członków Agencji zdążyło już zapomnieć, że CIA tak naprawdę nigdy nie chciała uzbrojonego drona – uznawano go wcześniej za niezbyt eleganckie narzędzie do zabijania. Niektórzy agenci wręcz cieszyli się, że już dawno temu zerwano z zabijaniem i zamachami. Nieco ponad pół roku przed akcją w Jemenie wśród szpiegów nadal trwała debata, czy korzystanie z dronów do eliminacji terrorystów jest moralne. Charles E. Allen, wieloletni analityk CIA i zagorzały orędownik predatora, opisał potem przebieg tych dyskusji jako „krwawą jatkę”.

Oficerowie z pokolenia Rossa Newlanda, którzy dołączyli do Agencji już po ogłoszeniu raportu komisji Churcha i zakazie wydanym przez prezydenta Forda, pod koniec lat dziewięćdziesiątych właśnie wspięli się na szczyty hierarchii. Dojście do władzy tej nowej generacji miało bezpośredni wpływ na tajne operacje CIA. Paramilitarna gałąź Agencji zaczynała usychać, co było wyrazem antypatii „nowych” w stosunku do dawnych wojen Agencji. CIA podzieliła nawet decyzja co do słuszności zabicia Osamy ben Ladena. Jeden z byłych szefów Centrum Antyterrorystycznego

powiedział później komisji zajmującej się 11 września, że gdyby przed 2001 rokiem otrzymał rozkaz wpakowania ben Ladenowi kulki, po prostu by odmówił.

– Stanowisko CIA brzmiało: „Nie chcemy zajmować się tajnymi operacjami, a jeśli już do nich dojdzie, mają zostać przeprowadzone czysto i płynnie. Nie chcemy być zamieszani w zabijanie ludzi na zlecenie. Nie robimy takich rzeczy. Nie jesteśmy Mosadem” – mówił Richard Clarke, który zarówno za kadencji Clintona, jak i Busha odpowiadał w Białym Domu za kwestie związane z antyterroryzmem.

Jeszcze przed 2000 rokiem, kiedy to Newland wycofał się z tajnych operacji w terenie i przyjął wysokie stanowisko w Langley (był oficerem łącznikowym między CIA i Pentagonem), i oczywiście przed zamachami 11 września, ben Laden zdążył już wielokrotnie udowodnić, że może uderzyć w każdym miejscu i w każdej chwili – poczynając od wysadzenia amerykańskich ambasad w Kenii i Tanzanii w 1998 roku po atak na niszczyciel „Cole” w Jemenie dwa lata później. Administracja Clintona nie miała jednak zbyt wielu pomysłów ani gdzie może ukrywać się przywódca Al-Kaidy, ani jak go zlikwidować, zanim przeniesie się w inne miejsce.

W centrum operacyjnym Białego Domu trwały niekończące się debaty na temat ben Ladena, które przekształciły się w kuriozalne seminaria, czy przypadkiem wybierając ten czy inny sposób jego uśmiercenia nie dojdzie do naruszenia ustawy z 1976 roku. Clarke pamięta jedno ze spotkań z doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego Sandym Bergerem, podczas którego jego rozmówca wściekł się na jałowość gadek w Białym Domu.

– Berger o mało co nie padł na zawał. Stał spocony, czerwony na twarzy i darł się wniebogłoso: „Czyli nie przeszkadza wam, panowie, jeśli Bill Clinton załatwi ben Ladena pociskiem Tomahawk, tak? Ale jeśli wystrzeli mu między oczy pociskiem 7,62 milimetra, to już będzie źle? Możecie mi wytłumaczyć, czym różni się śmierć zadana tomahawkiem od zadanej z karabinu M16?” – opowiada Clarke.

Prezydent Clinton nie był zadowolony z tego, że ma niewielkie pole manewru. – Wiesz co – powiedział do przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów generała Hugh Sheltona. – Al-Kaida narobiłaby w majty, gdyby nagle jej ludzie zobaczyli brygadę ubranych na czarno ninja, którzy wyskakują ze śmigłowców w środku ich obozu.

Nie mając jednak w zanadru wojowników ninja, Pentagon zgodził się na posłanie dwóch okrętów podwodnych na Morze Arabskie, skąd można było bez problemu odpalić na teren Afganistanu pociski samosterujące typu Tomahawk. Bez świeżych informacji na temat miejsca pobytu ben Ladena okręty te były jednak bezużyteczne i wyżsi rangą admirałowie optowali za przeniesieniem ich w inny rejon.

CIA miała wprawdzie informatora wśród talibów, który karmił informacjami amerykańskich szpiegów, lecz przychodzące w ten sposób wieści miały już co najmniej dwadzieścia cztery godziny, co uniemożliwiało zdobycie zgody Białego Domu na atak raketowy na terytorium Afganistanu. Szukając nowych pomysłów, tajni agenci spotkali się z amerykańskimi przedsiębiorcami z branży obronnej w sprawie budowy specjalnych obudów kamer, które można by doczepić do balonów na gorące powietrze i robić za ich pomocą zdjęcia Afganistanu z dziewięciu tysięcy metrów. Jednak porzucono ten pomysł,

kiedy okazało się, że mogło to doprowadzić do rozpętania afery dyplomatycznej. Taki balon mógłby łatwo zostać zniesiony z kursu o setki kilometrów przez podmuchy wiatru znad Hindukuszu i dolecieć aż do Chin – może nawet nad reaktor jądrowy.

Clarke miał dość chłodne relacje z George'em Tenetem oraz Jamesem Pavitem, szefem Dyrektoriatu Operacyjnego CIA. Zdecydował więc, że nowych pomysłów poszuka z dala od nich. Wezwał do siebie starszego analityka Charlesa E. Allena, który pracował w Agencji od czterdziestu lat i był już dobrze po sześćdziesiątce. Bystry, zawzięty i lubiący pogrywać z przełożonymi Allen nosił blizny z poprzednich starć. Chociażby afery Iran–contras, która zadała cios jego karierze. Stał się jednak legendą dla zatrudnionych w CIA analityków, bowiem jako jedyny przewidział atak Saddama Husajna na Kuwejt. Clarke poprosił Allena o niezależną analizę, jak należy prowadzić działalność szpiegowską w Afganistanie.

Allen wybrał się po inspirację do Departamentu Obrony, gdzie spotkał się z pracującymi dla Pentagonu oficerami z Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. Obgadali nawet najbardziej naciągane pomysły, takie jak umieszczenie gigantycznego teleskopu na szczycie górskim i wymierzenie go w działający pod okiem ben Ladena obóz treningowy Derunta niedaleko Dżalalabadu, gdzie Al-Kaida eksperymentowała z bronią chemiczną. Było jednak bardziej realistyczne rozwiązanie – Allenowi opowiedziano o serii tajnych testów, które prowadziły Siły Powietrzne USA. Dowodziły one, że możliwe byłoby, a przynajmniej tak twierdzili oficerowie Pentagonu, odnalezienie ben Ladena CIA za pomocą bezzałogowego drona.

MQ-1 Predator był już wówczas dobrze znany ekipie zwariowanych na punkcie nowinek technicznych inżynierów wojskowych i analityków wywiadowczych pracujących nad eksperymentalnymi prototypami nowoczesnych urządzeń szpiegowskich. Predator sprawdził się podczas działań na Bałkanach, gdzie obserwował ruchy serbskich wojsk i lokalizował przywódców bośniackich Serbów. Operatorzy dronów obsługiwali maszyny z hangaru znajdującego się w Albanii – CIA wynajęła go w zamian za dwie ciężarówki wypełnione wełnianymi kocami. Transmisja z drona docierała do gabinetu dyrektora CIA R. Jamesa Woolseya Jr. Woolsey, by móc sfinansować projekt, pozyskał pewną kwotę od Charliego Wilsona, niewylewającego za kołnierz kongresmena z Teksasu, który już w latach osiemdziesiątych dokonywał podobnych machlojek w celu pokrycia kosztów prowadzonej przez CIA wojny w Afganistanie.

Górzyste Bałkany uniemożliwiały sterowanie dronami z pomocą technologii „linia widzenia”, dzięki której operator „pilotuje” bezzałogową maszynę za pomocą sygnału wysyłanego bezpośrednio do niej. W latach dziewięćdziesiątych wojsko było więc zmuszone sterować predatorami za pośrednictwem satelitów. Do dronów nie można było też montować broni. W dodatku dron wyglądał jak patykowaty insekt i miał głośny silnik, którego buczenie przypominało dźwięk kosiarki. Jego stateczniki pionowe – w przeciwieństwie do większości samolotów – były skierowane w dół, a nie w górę, i kiedy jeden z popularnych magazynów lotniczych opublikował swój pierwszy artykuł na temat predatora, zamieszczona fotografia pokazywała drona do góry nogami. Nawet jednak kilku oficerów Sił Powietrznych, blisko związanych z maczystowską kulturą

pilotów, dostrzegło potencjał w lotach bezzałogowych i stało się murem za predatorami.

Allen zwrócił się z pomysłem do Richarda Clarke'a. Uznali, że Tenet i Pavitt opowiedzą się przeciwko planom wykorzystania predatorów. Wstrzymali się więc z informowaniem ich o możliwościach dronów aż do czasu, gdy będą mieli gotowy plan wysłania predatora do Afganistanu. Bez konsultacji z Tenetem Clarke zwołał w Białym Domu spotkanie, na które zaprosił największych orędowników użycia dronów: Charliego Allena, szefa Centrum Antyterrorystycznego Cofera Blacka i Richarda Blee, stojącego na czele komórki antyterrorystycznej odpowiedzialnej za akcję polowania na ben Laden. Nadano jej kryptonim „Alec Station”.

Blee jako oficer prowadzący służył w paru placówkach CIA w Afryce. Niedługo po objęciu dowództwa nad „Alec Station” w 1999 roku poprowadził swoją ekipę do afgańskiej Doliny Panczsziru, by ponownie nawiązać kontakt CIA z Ahmadem Szahem Masudem, legendarnym przywódcą Sojuszu Północnego, którego zaledwie dwa dni przed atakami z 11 września zabije Al-Kaida^[12]. Blee miał głowę na karku i działał prężnie, często jednak wpadał w depresyjny nastrój, przez co niektórzy z kolegów uważali go za odludka. Miał opinię niepokornego dziecka CIA – był synem szefa sowieckiej sekcji Agencji, który wojował z legendarnym już Jamesem Angletonem, stojącym na czele wydziału antyterrorystycznego, o dowództwo nad tajnymi operacjami wymierzonymi w ZSRR. David Blee zwyciężył i spenetrował KGB, umieszczając w nim w latach siedemdziesiątych, i to na wysokich stanowiskach, kilkudziesięciu szpiegów. Teraz jego syn znalazł się na froncie kolejnej wojny CIA.

W 2000 roku, w okolicach weekendu, po którym następował Memorial Day [to święto weteranów i bohaterów amerykańskich wojen obchodzone jest zawsze w ostatni poniedziałek maja – przyp. red.], doradca prezydenta Clintona do spraw bezpieczeństwa Sandy Berger uznał, że CIA stanowczo zbyt długo zwleka z decyzją, co zrobić z predatorem. Zaządał od Agencji natychmiastowej reakcji. Generał John Gordon, zastępca dyrektora CIA, pospieszenie zwołał spotkanie w Langley, które szybko przeistoczyło się w awanturę. Pavitt, któremu powiedziano wreszcie o możliwości wykorzystania dronów, sprzeciwiał się szpiegowskim lotom w Afganistanie. – I niby gdzie założymy bazę? – pytał. – A co, jeśli zostaną zestrzelone?

Pavitt twierdził, że CIA nie powinna mieć własnej jednostki powietrznej. Spotkanie, jak mówił jeden z uczestników, zakończyło się wielką kłótnią.

Po wszystkim Clarke wezwał Allena, by wytłumaczył mu, dlaczego Pavitt sprzeciwia się tej inicjatywie. Clarke uważał, że obawy Pavitta są niedorzeczne. Według niego Agencja nic nie ryzykowała. – Jeśli zestrzela predatora – powiedział do Allena – pilot może iść do domu i przelecieć swoją żonę. Nic się nie stanie. Nie wezmą jeńca.

Kilka dni później również Tenet usłyszał o predatorku. On też był sceptyczny. Do tego nie podobał mu się pomysł proszenia uzbeckiego prezydenta Islama Karimowa o pozwolenie na wykorzystanie przez CIA starych sowieckich baz lotniczych tuż przy granicy z Afganistanem. Sam pomysł, by Agencja zakładała wojskową bazę gdziekolwiek na świecie, wydawał się wówczas szalony. A do tego opróżniłby całkowicie fundusz CIA przeznaczony na tajne operacje.

Do czerwca udało się jednak Clarke'owi przekonać odpowiednie osoby i Biały Dom

zgodził się na przeniesienie predatorów do bazy lotniczej Karsza-Chanabad w Uzbekistanie. Oficerowie CIA stanęli przed kolejnym problemem: jak uzyskać odpowiednią przepustowość łącz, żeby móc obsługiwać drony? Inżynierowie Sił Powietrznych zdążyli opracować sposób na przeprowadzenie startu predatorów z odległości tysięcy kilometrów za pomocą sygnału odbitego od satelity i odbieranego przez naziemną stację przekaźnikową w Niemczech. Pozwoliło to CIA na ulokowanie pilotów blisko domu, w specjalnie przystosowanej ciężarówce ustawionej na parkingu w Langley. Agencja nadal musiała jednak korzystać z pasm należących do komercyjnych firm zajmujących się eksploatacją satelitów telekomunikacyjnych, co okazało się trudniejsze, niż przypuszczano. Praktycznie wszystkie dostępne pasma zostały zajęte przez koncerty medialne przygotowujące się do transmisji z olimpiady w Sydney. Predatorzy zostały praktycznie uziemione. CIA gorączkowo poszukiwała więc firmy dysponującej wolnym transponderem, która byłaby skłonna go wynająć.

Loty szpiegowskie rozpoczęły się we wrześniu 2000 roku. Jesienią Agencja przeprowadziła w Afganistanie kilkanaście misji z użyciem dronów. Jednak wkrótce zimowy górski wiatr zaczął naruszać delikatną konstrukcję predatora, przez co kolejne loty okazały się zbyt ryzykowne. Parokrotnie Clarke jeździł do Langley, żeby oglądać transmisje w zaparkowanej ciężarówce. – To nawet nie science fiction, to nieprawdopodobne – mówił. Podczas jednego z lotów nad obozem ben Ladena nieopodal Kandaharu kamery drona zauważyły wjeżdżający na jego teren konwój ciężarówek. Z jednej z nich wysiadł wysoki mężczyzna w białych szatach. Obraz był ziarnisty, lecz wszyscy zgromadzeni wokół monitora byli przekonani, że kamera wychwyciła samego ben Ladena.

Analitycy CIA powiadomili Biały Dom i Pentagon, chcąc uzyskać pozwolenie na wystrzelenie rakiet z okrętów podwodnych. Jednak oficjele z Rady Bezpieczeństwa Narodowego chcieli wiedzieć, czy ben Laden zatrzyma się w obozie Tarnak Farms przynajmniej przez następnych sześć godzin. Tyle czasu zajęłoby załatwienie zgody na wystrzelenie pocisków oraz lot rakiet Tomahawk z Morza Arabskiego do południowego Afganistanu. Agencja nie potrafiła jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, więc Sandy Berger i jego ludzie nie zezwolili na atak. CIA pozostały już tylko dwie możliwości: przewidzieć kolejne ruchy ben Ladena z dokładnością do sześciu godzin albo znaleźć broń, która mogłaby natychmiast dopaść i zabić przywódcę Al-Kaidy.

Zapasowe lotnisko sił powietrznych w Indian Springs było w tym czasie małą, rozlatującą się bazą na pustyni Nevada, ponad pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Las Vegas. Jedną z niezliczonych placówek wojskowych zbudowanych po II wojnie światowej i zapomnianych przez Pentagon. Jeszcze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych bazę wykorzystywano przy podziemnych testach nuklearnych. Helikoptery stacjonujące w Indian Springs od czasu do czasu latały nad nieczynne już poligony atomowe Mercury i Yucca Flats, żeby sprawdzić, czy nie nastąpił radioaktywny wyciek. Później, nie licząc okresowych ćwiczeń eskadry reprezentacyjnej Thunderbirds, Indian Springs stało się zapomnianym miejscem.

Baza miała też pewien problem. Niebo nad nią pełne było ptaków, dlatego Siły

Powietrzne wprowadziły ograniczenia co do częstotliwości startów maszyn z Indian Springs. Obawiano się, że ptaki mogą zostać wessane w silniki i tym samym spowodować śmiertelne wypadki. Indian Springs było jednak perfekcyjną bazą dla dronów, które latały niewiele szybciej niż ptaki – zdecydowano więc, że to tam niewielka grupa pilotów testowych przeistoczy predatora z łowcy informacji w zabójcę.

Budynki mieszkalne znajdujące się na terenie bazy wyburzono, ponieważ ściany bungalowów wypełnione były azbestem. Ekipa obsługująca drony każdego ranka udawała się więc z domów wynajętych na przedmieściach Las Vegas do Indian Springs, gdzie kwaterowała we wnętrzu opuszczonego kościoła. Curt Hawes, jeden z operatorów predatora, który przebywał w bazie w 2000 i 2001 roku, wspominał, że jego grupa wiedziała co nieco o przyczynach przyspieszenia testów dronów (naciski CIA, która chciała wykorzystać maszyny w polowaniu na ben Ladena), ale szczegóły waszyngtońskich debat prowadzonych na temat zasad misji z udziałem bezzałogowych samolotów były trzymane z dala od nich.

Pieniądze przeznaczone na sfinansowanie programu zostały przepuszczone przez biuro Sił Powietrznych zwane „Duże safari”. To tajna sekcja z siedzibą w bazie lotniczej Wright-Peterson w Dayton w stanie Ohio, która odpowiadała za rozwój wojskowych programów wywiadowczych. „Duże safari” miało przebić się przez biurokrację Pentagonu, by nowa broń szybciej niż zwykle trafiała ze stołów kreślarskich do fabryk. Oznaczało to czasem, że była już w użyciu, zanim jej twórcy uznali ją za w pełni gotową. Tak było chociażby w 2000 roku z pierwszymi modelami predatorów, których niechlujny panel sterowania niektórym pilotom przypominał pokracczną zabawkę zwaną Mr. Potato, Pan Ziemniak. Jedną z wad konstrukcyjnych predatorów było umieszczenie przycisku wyłączającego silnik drona zaledwie parę centymetrów od guzika służącego do odpalenia rakiet Hellfire – każdy błąd mógł mieć śmiertelne konsekwencje.

Jednakże większy problem stanowił fakt, że nikt nie miał pewności, co stanie się z samym dronem w momencie wystrzelenia pocisku. Czy konstrukcja wytrzyma? Czy skrzydła predatora nie oderwą się w trakcie lotu? Żeby znaleźć odpowiedzi na te pytania, w styczniu 2001 roku przeprowadzono testy w China Lake w Kalifornii. Trzy dni po zaprzysiężeniu prezydenta Busha inżynierowie Sił Powietrznych przykuli predatora łańcuchem do betonowej platformy znajdującej się na szczycie niewielkiego wzgórza i odpalili z drona raketę Hellfire. Pocisk uderzył w wyznaczony cel, zaś predator wyszedł z tej operacji bez szwanku. Można było rozpocząć loty w terenie.

16 lutego 2001 roku, kilka godzin przed świtem, Curt Hawes opuścił kwaterę dowodzenia w kościele w Indian Springs i pojechał ponad trzydzieści kilometrów w głąb pustyni. Nocą, siedząc w swojej sypialni w Las Vegas, przejrzał raz jeszcze listę komend, którą miał w pamięci. Z zamkniętymi oczyma wyobrażał sobie ruchy swoich dłoni i w myślach sterował predatorem za pomocą specjalnego dżączka, a potem wystrzelił raketę.

Być może po raz pierwszy w historii amerykańskiego lotnictwa napięcie związane z przełomowym testem nie miało nic wspólnego z obawami o życie pilota. Sytuacja Curta Hawesa była zupełnie inna niż, dajmy na to, Chucka Yegeera, który w latach czterdziestych, wciśnięty w kokpit samolotu Bell X-1, mógł tylko żywić nadzieję, że nie

będzie jednym z tych śmiałków, którzy stracili życie, próbując pokonać barierę dźwięku. Hawes nic nie ryzykował, ale moment właśnie dlatego był wyjątkowy: Stany Zjednoczone pracowały nad nową bronią, dzięki której nie musiały wysyłać żołnierzy na front.

Test zaplanowano na wczesny ranek, kiedy pustynny wiatr był najśłabszy. Niedługo po wschodzie słońca Hawes przejął kontrolę nad predatorem, który wystartował z Indian Springs. Powoli wzniósł maszynę na sześćset metrów – była to granica wysokości, z której mogła zostać wystrzelona rakietą Hellfire. Z pomocą wiązki laserowej namierzył cel – przeznaczony do zniszczenia czołg – po czym nacisnął guzik i odpalił pocisk.

Jedyne, co pamiętał Hawes, to cisza. Był pilotem, ale siedział w odległości wielu kilometrów od swojego samolotu. Nie słyszał dźwięku silnika rakiety Hellfire, nie czuł siły odrzutu. Ekran jego monitora zamigotał od temperatury, którą emanował pocisk, i Hawes patrzył, jak rakietka podąża w kierunku czołgu. A potem trafia w cel.

Inżynierowie zdecydowali, że nie uzbroją pocisku w głowicę, więc eksplozji nie było. Ślepek uderzył w wieżyczkę czołgu piętnaście centymetrów na prawo od jej środka, obrócił ją o trzydzieści stopni i wgniół pancerz. Test okrzyknięto sukcesem. Zakończył się przed siódmą rano i drużyna odpowiedzialna za predatora spotkała się na uroczystym śniadaniu w małym kasynie przylegającym do bazy Indian Springs.

Dowódcy Sił Powietrznych byli oszołomieni i na czas drugiego testu, który miał odbyć się pięć dni później, skrzyknęli kilku innych generałów. Mieli oni obejrzeć w Pentagonie bezpośrednią transmisję wystrzelenia pocisku Hellfire z Nevady. Tym razem Curt Hawes kierował predatorem, korzystając z satelity, co powodowało dwusekundowe opóźnienie pomiędzy ruchem drążka sterowniczego a faktyczną reakcją samolotu. Było więc nieco trudniej niż za pierwszym razem, ale i tak rakietka Hellfire uderzyła prosto w cel. Uzbrojona tym razem w głowicę, eksplodowała, wzbijając w poranne niebo języki ognia.

Era zdalnie sterowanych wojen rozpoczęła się bez fajerwerków. Siły Powietrzne wydały jedynie komunikat prasowy i skończyło się na niewielkim artykule w lokalnej gazecie z Las Vegas. Kongresmen z Nevady zadzwonił do drużyny predatora z gratulacjami, ale inżynierowie i piloci nie kryli rozczarowania, że ekipa CNN, która miała filmować test, nie przyjechała. Jednak oficjele z CIA próbowali utrzymać całą operację w sekrecie. Byli wściekli, że Siły Powietrzne zdecydowały się na komunikat prasowy. CNN nie dostała pozwolenia na wjazd do bazy.

Curt Hawes nie wiedział o żadnej z tych rzeczy. Słyszał jedynie, że „inne czynniki” interweniowały, by informacja o próbach z dronami nie przedostała się do opinii publicznej.

Owe „inne czynniki” nie mogły za to zdecydować się, co właściwie zrobić z uzbrojonym dronem. Nawet po udanych próbach z raketami szefowie CIA nadal nie byli zgodni w sprawie wysłania predatorów do Afganistanu w celu poszukiwania Osamy ben Ladena. Pavitt, kierujący w Agencji tajnymi operacjami, był jednoosobowym chórem greckim opowiadającym się twardo przeciwko dalszemu wdrażaniu programu w życie. Sam chciał wydać swój „czarny budżet” na powiększenie kadry oficerów

prowadzących, a nie na zakup dronów. Na każdym spotkaniu zadawał pytanie, które dzisiaj – po atakach z 11 września, gdy na rozmaite programy walki z terroryzmem poszły już miliardy dolarów – może wydawać się nieco osobliwe: czy dwa miliony dolarów za każdego predatora pójdą z konta CIA, czy może raczej Pentagonu?

Co więcej, wyraził też nieco poważniejsze wątpliwości, które podzielało również kilku członków personelu Teneta. Jakie konsekwencje niesie dla CIA powrót do planowania i przeprowadzania zamachów? – Nie wolno lekceważyć zmian kulturowych, które niesie ze sobą licencja na zabijanie – powiedział John McLaughlin, wówczas zastępca dyrektora CIA. – Kiedy ludzie mówią mi, że to przecież nic wielkiego, pytam, czy kiedykolwiek zabili człowieka. To jest naprawdę poważna sprawa. Zaczynasz wtedy naprawdę inaczej myśleć o różnych sprawach.

W dodatku Stany Zjednoczone zwykły rugać inne kraje dokładnie za to, nad czym same debatowały i co ostatecznie zaczęły robić. Kiedy rząd Izraela wybijał przywódców palestyńskiego Hamasu w 2000 i 2001 roku, podczas drugiej intifady, amerykański ambasador Martin Indyk mówił: – USA są przeciwne podobnym zamachom... To bezprawne zabójstwo i nie możemy go wspierać.

George Tenet nie zajął jednoznacznego stanowiska i powtarzał, że do wojska, a nie CIA, należy pociąganie za spust. Podczas kolejnej dyskusji, czy oficerowie CIA powinni dostać pozwolenie na autoryzację ataków predatora, zarówno Charles Allen, jak i Alvin „Buzzy” Krongard (trzecia osoba pod względem rangi w Agencji) zaproponowali, że sami będą naciskać odpowiedni przycisk. To rozsierdziło Teneta. Powiedział potem komisji do spraw 11 września, że skarcił obydwu, informując ich, że ani oni, ani on sam nie mają dość władzy, by samodzielnie decydować o wystrzeleniu pocisku Hellfire.

Generał John Campbell, który siedział obok Teneta podczas wszystkich debat na temat predatorów, czuł się jak antropolog obserwujący rytuały wojenne dziwnych gatunków. Spędził całą karierę w Siłach Powietrznych i przeniósł się do Langley zeszłego lata, żeby objąć stanowisko dyrektora do spraw wsparcia militarnego. Campbell święcie wierzył, że CIA powinna korzystać z dobrodziejstw predatora. Jednak teraz, kiedy wraca pamięcią do sporów o uzbrojone drony, które toczono latem 2001 roku, rozumie, że Agencja szukała przy okazji odpowiedzi na podstawowe pytania o własną tożsamość.

– Jeśli w wojsku wykonujesz rozkazy – a spodziewamy się tego po każdym oficerze – jesteś wówczas na dłuższą metę chroniony przed osobistą odpowiedzialnością za to, co robisz – opowiadał. – Inaczej jest w CIA, tam nikt nikogo nie chroni. Można działać zgodnie z prezydenckim rozporządzeniem i mieć w ręku kartkę z jego podpisem, ale kiedy przychodzi kolejny rząd, sąd może uznać, że owo rozporządzenie jest wątpliwe, a może nawet i bezprawne... I zgadnij, co się dzieje? Ci goście muszą wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za to, co zrobili. Potem dodał jeszcze: – Podobnie było w przypadku predatora: rozgrzebywaliśmy różne problemy i tworzyliśmy listę możliwych konsekwencji, które mogą ponieść konkretne osoby.

Zastępcą Campbella był wówczas Ross Newland, który w trakcie bojów o predatora zajął miejsce w pierwszym rządzie. Newland zdawał sobie sprawę, że widzi kolejny, dobrze mu znany etap obrotu koła zdarzeń: „bojąca się ryzyka” CIA raz jeszcze miała zająć się tajnymi wojnami. Sam wspierał program predatorów i uważał, że administracja

Busha powinna wykorzystać drony do jak najszybszego zabicia ben Ladena. Jednocześnie nie potrafił zapomnieć o latach spędzonych w Boliwii, gdy walczył z handlarzami narkotyków. Nieprzygotowana CIA została przydzielona do ganiaania za kartelami, bo nikt inny nie chciał tego robić. Dwadzieścia lat później Newland uznał, że historia się powtarza – tyle że tym razem chodziło o terroryzm.

Parę tygodni później, kiedy w atakach z 11 września zginęło niemal trzy tysiące Amerykanów, niewygodne pytania o zamachy, tajne operacje i odpowiednie wykorzystanie CIA w polowaniu na wrogów kraju szybko odsunięto na bok. Agencja rozpoczęła przyspieszoną realizację kilkudziesięciu operacji bojowych w Afganistanie. Wszystkich z użyciem dronów.

Dla Ameryki uzbrojony predator okazał się najdoskonalszą bronią tajnej wojny. Był narzędziem, które zabija po cichu, i nie mają do niego zastosowania standardowe zasady mówiące o odpowiedzialności w warunkach bojowych. Drony pozwoliły amerykańskim prezydentom na zlecenie ataków na odległe wioski i pustynne obozy, gdzie nie mieli dostępu dziennikarze i grupy niezależnych obserwatorów. Podobne operacje rzadko były omawiane przez rzeczników prasowych, lecz stanowiły temat numer jeden wśród polityków obu amerykańskich partii wspierających ataki z użyciem predatora i cieszących się, że Stany Zjednoczone mogą prężyć mięśnie, nie tracąc przy tym ani jednego człowieka.

Technologia zdolna zmienić oblicze przemysłu wojskowego to rzadkość. Czołgi i samoloty na początku wieku wymusiły całkowicie nową taktykę prowadzenia walki. Kolejne pięćdziesiąt lat zdominowały głowice nuklearne i międzykontynentalne pociski balistyczne – broń o tak przerażającej mocy, że dała ona początek nowym doktrynom zabraniającym ich użycia. Wynalezienie dronów poniekąd zniweczyło te starania: znów można było prowadzić wojnę przy równoczesnym braku ryzyka strat w ludziach. Własnych ludziach. Poprzeczka została obniżona, rozpoczęła się era zdalnego sterowania, zaś zabójcze latające roboty stały się w CIA obiektem fascynacji.

Ross Newland latem 2002 roku odwiedził niewielki sklep z pamiątkami w kwaterze głównej CIA, gdzie chciał kupić parę prezentów dla przyjaciół. Przechadzał się pomiędzy rzędami półek wypełnionych kubkami, kurtkami z polaru i T-shirtami z logo CIA, gdy nagle zauważył coś, czego zupełnie nie spodziewał się tam znaleźć: koszulkę z niewielkim dronem naszytym po lewej stronie. Predator nadal był jednym z najpilniej strzeżonych projektów w CIA, ale zezwolono na umieszczanie jego podobizny na sprzedawanych w sklepie pamiątkach.

Zabicie al-Harethiego w Jemenie jeszcze tego samego roku pokazało, że CIA, sprzymierzona z uległym sojusznikiem, jest zdolna prowadzić działania bojowe poza strefami wojny. Ludzie Busha byli tak zadowoleni z jemeńskiego ataku, że wieści o nim szybko się rozeszły, demaskując wymyśloną przez miejscowe władze bajkę o eksplozji kanistra z benzyną. Paul Wolfowitz, zastępca sekretarza obrony, chwalił udaną misję na antenie CNN.

Prezydent Salah wściekł się, kiedy usłyszał komentarze Wolfowitza. Jego rząd wyszedł na bandę głupców i kłamców. Zażądał od amerykańskich szpiegów i dyplomatów natychmiastowego stawienia się w jego gabinecie w Jemenie. Powiedział im, że skoro

Waszyngton nie potrafi dotrzymać tajemnicy, amerykańska wojna w jego kraju zostanie odwołana. Nakazał wstrzymanie działań z wykorzystaniem predatora.

I tak się stało – na niemal dziewięć lat. Dopiero w roku 2011, gdy na fali arabskiej wiosny przez stołeczną Sanę przetoczyły się wielkie protesty, a Salah zaczął stopniowo tracić władzę, kolejny amerykański prezydent z powrotem wysłał uzbrojone drony na jemeńskie niebo. A Salah nie będzie w stanie zaprotestować.

„Cały czas coś spada z nieba”

Perwez Muszarraf

– Czemu ten ptak za mną lata? – zastanawia się Nek Muhammad Wazir, siedząc w otoczeniu współpracowników w budynku z suszonej cegły. Dzięki telefonowi satelitarnemu może z Waziristanu połączyć się z dziennikarzem BBC. To jeden z towarzyszących mu młodych dowódców zauważył, że za oknem coś unosi się w powietrzu i połyskuje w słońcu. Zapytał kompanów o ten metalowy latający obiekt.

Nek Muhammad dla pasztuńskich plemion w Pakistanie stał się kimś na podobieństwo gwiazdy rocka: to „ich człowiek”, który stworzył własną armię i wiosną 2004 roku rzucił wyzwanie wojskom rządowym. Wzniesione przez niego powstanie kompletnie zaskoczyło pakistańskich dowódców. Nek Muhammad upokorzył ich, dlatego za wszelką cenę chcieli go dopaść i zabić.

Ich wróg miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat i należał do drugiego pokolenia pakistańskich mudzahedinów. Nie widzieli oni powodów, by pozostawać lojalnymi sojusznikami ISI, które pomagało ich ojcom podczas wojny z Sowietami. Poza tym spora część Pakistańczyków nieprzychylnym okiem patrzyła na sojusz prezydenta Muszarrafa i Waszyngtonu po atakach z 11 września. Z ich punktu widzenia pakistańskie wojsko nie różniło się niczym od amerykańskiej armii. Podobnie nie widzieli różnicy między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi. I jedni, i drudzy byli w Afganistanie agresorami.

Trzy lata po zamachach z 11 września Nek Muhammad dał pakistańskiemu rządowi posmakować wyzwań, które czekały na niego w niedalekiej przyszłości: nieustanne walki z rebeliantami swoim zasięgiem obejmą nie tylko zachodnie pasma górskie, ale też tereny w pobliżu największych i najważniejszych pakistańskich miast. Islamabad musiał przyjąć do wiadomości, że sytuacja może wymknąć mu się spod kontroli.

Nek Muhammad urodził się niedaleko słynnego targowego miasta Wana w południowej części Waziristanu. Jeszcze jako chłopiec został wysłany do jednej ze szkół religijnych, medres, które pojawiły się w kraju w latach osiemdziesiątych. Ich celem była edukacja niepiśmiennej młodzieży z Terytoriów Plemiennych Administrowanych Federalnie. Po pięciu latach opuścił szkołę i początek następczej dekady spędził jako drobny złodziejasek i „menedżer” sklepu na bazarze w Wanie. Swoje powołanie odnalazł w 1993 roku, kiedy został zwerbowany do walki u boku afgańskich talibów przeciwko Sojuszowi Północnemu Ahmada Szaha Massuda. Trafił do Afganistanu, gdzie szalała wojna domowa.

Szybko wspinał się po szczeblach talibskiej kariery wojskowej, zdobywając reputację nieustępliwego żołnierza, który nie schodzi z pola bitwy, nawet za cenę sprzeciwienia się rozkazom przełożonych. Ze swoją pociągłą twarzą i niechlujną brodą, która opadała mu na obojczyki, oraz czarnymi włosami wypływającymi spod białego turbanu siał strach. Przypominał raczej pasztuńskiego Che Guevarę niż plemiennego bojownika.

Po zamachach z 11 września Nek Muhammad wykorzystał swoją szansę. Udzielił gościny arabskim i czeczeńskim bojownikom Al-Kaidy, którzy zbiegli do Pakistanu przed amerykańskimi bombami spadającymi na Afganistan w 2001 i 2002 roku. Miejscowe plemiona uznawały zapewnienie im ochrony za swój podyktowany względami religijnymi obowiązek. Ale widziały w tym również potencjalne źródło zarobku: uciekinierzy musieli słono płacić za pobyt w strzeżonych osadach Wana i Szakai. Nekowi Muhammadowi tylko po części chodziło o zyski. Miał bowiem inne plany wobec przybywających do jego kraju bojowników. Z ich pomocą w ciągu kolejnych dwóch lat przypuścił serię ataków na posterunki pakistańskich sił granicznych i amerykańskie bazy położone nad granicą afgańsko-pakistańską. Dlatego oficerowie CIA stacjonujący w Islamabadzie ponagłali pakistańskich szpiegów. Żądali, by wywierali oni skuteczniejszy nacisk na wazirjskie plemiona i zmusili je do wydania arabskich i czeczeńskich terrorystów. Jednak pasztuńskie obyczaje nie pozwalały na podobny akt zdrady. W końcu Muszarraf, choć niechętnie, rozkazał swoim oddziałom wkroczyć w niegościnne ostępy górskie i zrobić porządek z ludźmi Neka Muhammada. Nie była to pierwsza wyprawa rządowego wojska do Waziristanu, lecz tym razem Muszarraf miał dodatkową motywację – w drugiej połowie 2003 roku człowiek numer dwa w Al-Kaidzie Ajman az-Zawahiri nałożył na pakistańskiego prezydenta fatwę, wydając na niego wyrok śmierci za przymierze z Ameryką. Dwukrotnie w grudniu 2003 roku zabójcy byli bliscy wykonania religijnego wyroku. Dlatego Muszarraf uznał, że szybka wyprawa karna może położyć kres i zamachom na jego życie, i atakom terrorystycznym na terytorium Pakistanu.

W marcu 2004 roku pakistańskie helikoptery do spółki z artylerią zrównały z ziemią Wanę i okoliczne wioski. Jeden z poszkodowanych powiedział reporterowi, że pakistańscy żołnierze splądrowali jego dom i zabrali ze sobą nie tylko ubrania, ale nawet poszewki na poduszki i pastę do butów. Generał Safdar Husajn, który dowodził operacją, ogłosił, że zakończyła się ona sukcesem. Twierdził, że udało mu się zniszczyć bazę wojskową oraz sieć tuneli komunikacyjnych.

Mimo to dla pakistańskiego rządu cała ta gra nie była warta świeczki. Straty były większe, niż się spodziewano. 16 marca, podczas jednej z bitew, kiedy wojsko oblegało fortecę należącą do Neka Muhammada i dwóch innych starszych rangą bojowników, zginęło piętnastu żołnierzy z korpusu granicznego i jeden z regularnej armii. Czternastu innych zostało wziętych do niewoli. Zniszczeniu uległo kilkadziesiąt ciężarówek i pojazdów opancerzonych. Imamowie z „opiniotwórczego” meczetu Al-Masdzid w Islamabadzie wysłali wiadomość dla ludności z Waziristanu Południowego: wzywali ją do stawienia pakistańskiemu wojsku czynnego oporu. Ponadto ogłosili, że trzeba odmawiać żołnierzom islamskiego pochówku. Zgodnie z tym nakazem niektórzy rodzice nie przyjęli ciał zabitych synów.

Plemiona Waziristanu, którym już wcześniej nie podobało się wysłanie wojska w góry, teraz były wściekłe z powodu napaści na Wanę. Zwiększała się częstotliwość ataków na korpus graniczny. Islamabad zaczął szukać wyjścia z sytuacji.

24 kwietnia 2004 roku, gdy wojskowi emisariusze prezydenta Muszarrafa pojawili się w medresie w Szakai niedaleko Wany, pasztuńscy wojownicy tańczyli w kręgu swój bojowy taniec attan. Na negocjatorów czekali ludzie Neka Muhammada. Przybył też sam generał Husajn, co było wyrazem desperacji Muszarrafa, który chciał zawrzeć pokój za wszelką cenę. Przedstawiciele plemion sprezentowali wojskowym towarzyszącym generałowi karabiny AK-47, co było tradycyjnym znakiem pokoju, zaś on sam objął Neka Muhammada i zarzucił mu na szyję girlandę z jasnych kwiatów. Obaj mężczyźni usiedli obok siebie, popijali herbatę, zaś fotografowie i kamerzyści nagrywali ich spotkanie.

Gdy już formalnościom stało się zadość, generał zwrócił się do setek mężczyzn siedzących na ziemi. Wszyscy ubrani byli w luźne szalwar kamiz (szarawary i luźne koszule) i charakterystyczne płaskie wełniane czapki zwane pakul. Generał powiedział, że Stany Zjednoczone postąpiły nierozważnie, najeżdżając Afganistan. – Ilu afgańskich pilotów znajdowało się na pokładzie, kiedy samolot uderzył w World Trade Center? – pytał generał. – Żadnego. Więc czemu właśnie w Afganistanie trwa wojna?

Zasugerował, że rząd Pakistanu, godząc się na układ z Waszyngtonem, chronił ludzi z Waziristanu Południowego przed amerykańskimi bombami. – Jeśli pakistański rząd nie dokonałby tego mądrego wyboru, Ameryka – tak jak najechała Irak i Afganistan – najechałaby również i terytoria plemienne – dodawał.

Zgromadzeni wznosili radosne okrzyki. Nek Muhammad również mówił o pokoju. – Co się stało, to się stało – powiedział do ustawionych przed sobą mikrofonów. – Może to nasza wina, a może wojska, ale już nigdy nie staniemy przeciwko sobie.

Nie było jednak wątpliwości, która ze stron miała lepszą pozycję do negocjacji. Nek Muhammad chwalił się później, że rząd zgodził się spotkać z nim w medresie, a nie w jakimś miejscu publicznym, gdzie zwyczajowo odbywały się narady plemienne. – To nie ja poszedłem do nich, to oni przyszli do mnie – mówił. – Niech to będzie najlepszy dowód na to, kto komu się poddał.

Patrząc na warunki rozejmu, trudno nie przyznać mu racji. Rząd zgodził się wypłacić zadośćuczynienie za rzeź dokonaną w Waziristanie Południowym i uwolnić jeńców pojmanych w trakcie ofensywy. Zagranicznym bojownikom koczującym w górach udzielono amnestii pod warunkiem, że zgodzą się zaprzestać napaści na pakistańskie wojsko i organizowania wypadów na terytorium Afganistanu – oczywiście z góry było wiadomo, że to warunek nie do wyegzekwowania. Nek Muhammad i jego poplecznicy obiecali też, że wstrzymają się z atakami na pakistańskich żołnierzy. Młody pasztuński przywódca zaznaczył jednak, że nie zrezygnuje z dżihadu, póki Afganistan nie będzie wolny od okupanta.

Nie wszyscy członkowie pakistańskiego rządu uznawali podpisanie rozejmu za mądry ruch. Krytyczny był między innymi Asad Munir, który w 2004 roku nie miał już etatu w ISI (piastował cywilne stanowisko w Peszawarze – nadzorował tam sprawy związane z bezpieczeństwem i rozwojem terytoriów plemiennych). Ale w 2002 i 2003 roku, kiedy

obserwował posunięcia pakistańskich generałów debatujących na temat podjęcia negocjacji z Nekiem Muhammadem, nadal współpracował blisko z CIA. Ostrzegał, że zaspokojenie żądań bojowników doprowadzi jedynie do tego, że w strefie ich wpływów znajdzie się reszta Pakistanu. Rozejm, który zawarto na początku 2004 roku, jak uważa dziś Munir, sprzyjał powstaniu silnego, śmiertelnie niebezpiecznego ugrupowania znanego potem jako pakistańscy talibowie.

– Jeśli w 2004 roku pakistańskie wojsko kontynuowałyby swoją operację zarówno w Waziristanie Południowym, jak i Północnym, talibowie nie przejęliby kontroli nad kolejnymi obszarami, także tymi sąsiadującymi z Islamabadem – uważa dziś Munir. – Z każdym podpisanym traktatem pokojowym zyskiwali jednak na sile i kontrolowali coraz większy obszar. A skoro rząd okazał się wobec nich bezsilny, ludzie zaczęli traktować ich niczym lokalnych władców.

Mimo to rządowi oficjele w Islamabadzie przechwalali się układem pokojowym, który ich zdaniem wbił klin pomiędzy pakistańskich bojowników i Al-Kaidę. Z drugiej strony Nek Muhammad nadal publicznie zaprzeczał, jakoby na terytoriach plemiennych znajdowali się jacyś terroryści. – Jeśli ukrywałby się tutaj jakikolwiek żołnierz Al-Kaidy, zostałby przechwycony przez rząd – twierdził.

Porozumienie zawarte w Szakai zwiększyło popularność Neka Muhammada. Stał się bohaterem, który powalił rząd na kolana. Sam porównywał się do słynnych pasztuńskich bojowników, którzy niegdyś wypędzili z gór brytyjskich żołnierzy. Po paru tygodniach rozejm okazał się jednak fikcją i Nek Muhammad wznowił ataki na pakistańskie oddziały. Zaś Muszarraf ponownie nakazał armii rozpocząć ofensywę na Waziristan Południowy.

W tym czasie ludzie CIA z placówki w Islamabadzie lobbowali na rzecz pozwolenia na loty predatorów nad terytoriami plemiennymi. Trwało to całymi miesiącami, ale upokorzenia, jakich doznawało pakistańskie wojsko z ręki Neka Muhammada, zaczęły sprzyjać tym rozmowom. Szef placówki Agencji w Islamabadzie złożył wizytę generałowi Ehsanowi ul-Hakowi, który kierował wtedy ISI, i przedstawił mu swoją ofertę: CIA zlikwiduje Neka Muhammada, a ISI zezwoli na regularne loty dronów nad terytoriami plemiennymi.

– Nek Muhammad naprawdę wkurzył Pakistańczyków – wspomina były szef placówki w Islamabadzie. – Dlatego powiedzieli mi: „Jeśli potraficie go dopaść, dopadnijcie”.

Nie było to jednak proste. Pakistański wywiad upierał się, że ma aprobować każdy atak z użyciem dronów, co dawało mu ścisłą kontrolę nad tym, kto będzie ich celem. Po ożywionych dyskusjach na temat dozwolonego zasięgu dronów pakistański wywiad ograniczył obszar ich lotów do specjalnie wyznaczonych obszarów wewnątrz terytoriów plemiennych. Chodziło o to, że szerszy dostęp do pakistańskiego terytorium pozwoliłby CIA monitorować miejsca, których Islamabad nie chciał pokazywać: ośrodki nuklearne i obozy górskie, gdzie kaszmirskie bojówki szkoliły się na wypadek starcia z Indiami.

CIA nie miała więc związanych rąk, ale nie mogła też rozwinąć skrzydeł i rozpocząć szeroko zakrojonej kampanii na terytoriach plemiennych. Poza tym Amerykanie nie mieli tam praktycznie żadnych źródeł wywiadowczych, a co za tym idzie niewiele wiarygodnych informacji na temat aktualnego miejsca pobytu ben Ladena i pozostałych

przywódców Al-Kaidy. Ale analitycy CIA wciąż podejrzewali, że ben Laden i Ajman al-Zawahiri ukrywają się gdzieś na terytoriach plemiennych. Jednak ich mętne hipotezy oraz wyrywkowe dane z trzeciej ręki nie wystarczały, by efektywnie korzystać z predatorów.

ISI wcale nie miało lepszych dojsć. Pakistański wywiad posiadał rozbudowane siatki informatorów w większych miastach, co pomogło namierzyć przywódców Al-Kaidy takich jak Chalid Szejkh Muhammad. Ale w Waziristanie Południowym i na innych obszarach plemiennych nie mógł liczyć na wiarygodne dane wywiadowcze.

Na szczęście zarówno dla amerykańskich, jak i pakistańskich szpiegów Nek Muhammad nie przywiązywał zbyt dużej wagi do ukrywania się. Często udzielał wywiadów zachodnim mediom i przechwalał się, jak to upokorzył pakistańską armię. Rozmowy te, prowadzone za pośrednictwem telefonów satelitarnych, uczyniły z niego łatwy cel dla amerykańskich urzędów podsłuchowych. W połowie 2004 roku obserwowano już każdy jego ruch. Niespełna dwadzieścia cztery godziny po rozmowie Neka Muhammada z BBC, i gdy wiedział już, że lata za nim dziwaczne ptaszysko, predator namierzył go i wystrzelił rakietę Hellfire w dom, w którym wypoczywał. Eksplozja urwała Nekowi Muhammadowi lewą nogę i lewą dłoń. Zmarł niemal natychmiast.

Kilka dni później wioskę odwiedził pakistański dziennikarz Zahid Husajn. Zauważył, że ceglany grobowiec, w którym pochowano Neka Muhammada, stał się miejscem pielgrzymek. Napis na mogile brzmiał: „Żył i umarł jak prawdziwy Pasztun”.

W wyniku dyskusji między ludźmi z CIA i ISI o sposobie upublicznienia informacji o zabiciu młodego pasztuńskiego wodza zdecydowano, że Pakistan weźmie na siebie jego śmierć. Dzień po zamachu generał Szaukat Sultan, rzecznik armii, powiedział rozgłośni Głos Ameryki, że „poplecznik Al-Kaidy” Nek Muhammad i czterech innych bojowników zostało zlikwidowanych w ataku raketowym przeprowadzonym przez pakistańską armię.

Minęły kolejne cztery miesiące i szefem ISI został generał o przygarbionych ramionach i smutnym, pustym spojrzeniu. Nazywał się Aszfak Perwez Kajani. Miał flegmatyczne usposobienie i odpalał papierosa od papierosa. Poza tym amerykańscy szpiegowie nie wiedzieli o nim zbyt wiele. Urodził się w rodzinie wojskowej i wychował w Dźhelam w Pendżabie. Powołanie do armii otrzymał w 1971 roku, kiedy to pakistańskie wojsko zostało pokonane przez Indie w wojnie trzynastodniowej. W jej wyniku Pakistan utracił część terytorium, które z czasem przeistoczyło się w Bangladesz. Jak większość oficerów Kajani wierzył, że jego kraj codziennie walczy o przetrwanie i nie może podejmować żadnych decyzji militarnych bez wcześniejszej analizy, jak wpłyną one na jego możliwości obronne w ewentualnej wojnie z Indiami.

Kajani wyróżniał się opanowaniem na tle swoich w gorącej wodzie kapanych współpracowników. Po śmiertelnym ataku stacjonujących w Pakistanie bojowników na indyjski parlament w New Delhi w drugiej połowie 2001 roku zanosilo się na to, że oba dysponujące bronią atomową kraje skoczą sobie do gardeł. Kajani odpowiadał wówczas za oddziały rozmieszczone wzdłuż granicy z Indiami. Zdobył w kraju uznanie za to, że pozostając w kontakcie z indyjskimi wojskowymi, był w stanie rozładować

sytuację i zapobiec eskalacji konfliktu, który mógł zakończyć się wojną nuklearną. Dwa lata później zaskarbił sobie przychyłność generała Muszarrafa – to Kajani prowadził bowiem śledztwa dotyczące zamachów na życie prezydenta w grudniu 2003 roku.

Niedługo po przejściu ISI zasłużył sobie także na szacunek CIA. W Langley zdobył reputację mistrza manipulacji (co było komplementem) oraz człowieka, który potrafi utrzymać w tajemnicy swoje sekretne plany. Podczas spotkań zdarzało się czasami, że godzinami nie mówił ani słowa, i wydawało się, że przysypia. Ale kiedy zaczynało się dyskutować o interesujących dla niego kwestiach, zrywał się i przemawiał płomiennie przez kilka minut. Potem znów wracał do stanu apatii. Namiętnie grywał w golfa, a gdziekolwiek się ruszył, zostawiał za sobą smuzkę papierosowego dymu.

Rzadko rozmawiał na swój temat, a kiedy już to robił, ciężko było zrozumieć, o czym opowiada, bo miał tendencję do mamrotania pod nosem. O ile jego poprzednik w ISI generał ul-Hak był żywiołowy i uprzejmy, Kajani był niedbały i bezpretensjonalny. Kiedy latał do Waszyngtonu, czekającemu tam na niego kierowcy kazał zabierać się do Marshalls, sieci sklepów z tanimi ubraniami, gdzie kupował garnitury i krawaty. Ale przede wszystkim potrafił cierpliwie czekać na to, czego chciał. Jeden z amerykańskich agentów wspominał przedłużające się spotkanie z Kajanim, podczas którego pakistański generał spędził pół godziny pieczołowicie skręcając w palcach papierosa, a potem, po jednym zaciągnięciu się, delikatnie go zgasił.

Generał Kajani przejął ISI w okresie, kiedy pakistańscy dowódcy coraz bardziej byli skłonni uwierzyć, że Amerykanie stracili serce do wojny w Afganistanie. Uwagę Waszyngtonu przykuł Irak, więc wojskowi, oficerowie wywiadu oraz politycy w Islamabadzie uznali, że eskalacja przemocy za zachodnią granicą Pakistanu jest tylko kwestią czasu. A to oznaczało realne zagrożenie dla stabilności politycznej kraju. Według kilku pakistańskich oficjeli, piastujących w owym czasie wysokie stanowiska, to właśnie wtedy ISI zdecydowało się znów „zainwestować” w afgańskich talibów. Pakistański wywiad miał nadzieję, że uda się z ich pomocą zapewnić korzystną dla rządu w Islamabadzie polityczną przyszłość Afganistanu.

Generał Kajani był w tej kwestii ekspertem. Jako młody major pod koniec lat osiemdziesiątych pobierał nauki w Fort Leavenworth w stanie Kansas. Napisał tam pracę magisterską o wojnie sowiecko-afgańskiej. Związek Radziecki był w tym czasie zaangażowany w działania zbrojne w Afganistanie od niemal dekady, ale Michaił Gorbaczow zmuszony był zacząć wycofywać stamtąd swoje wojska. Na dziewięćdziesięciu ośmiu stronach Kajani analizował, jak do tego doszło. W jaki sposób afgański ruch oporu wykrwawiał sowiecką armię i wydatnie podniósł „cenę, jaką Związek Radziecki musiał zapłacić za swoją obecność w tym kraju”.

Ale w gruncie rzeczy Kajani stworzył poradnik mówiący o tym, w jaki sposób Pakistan może pociągać za sznurki w sytuacji, gdy Afganistan jest pod okupacją innego państwa. Pisał, że jego kraj mógłby wykorzystywać partyzantkę afgańską nie tylko w celu wywołania chaosu, ale i starać się tak nią sterować, by Islamabad uniknął bezpośredniej konfrontacji z potęgą, która próbuje podporządkować sobie Afganistan.

Kajani dobrze wiedział, że Islamabad nie jest zainteresowany obraniem „kursu kolizyjnego” ze Związkiem Radzieckim. Nie chciał też, by wepchnęli go na niego

afgańscy bojownicy. Koniecznością było więc roztoczenie swoistej pakistańskiej kurateli nad afgańskim ruchem oporu, tak by sytuacja nie wymknęła się spod kontroli.

Jeszcze zanim stanął na czele ISI, Kajani wiedział, że o losach nowej wojny w Afganistanie nie zadecydują żołnierze w górskich reductach, ale politycy w Waszyngtonie, którzy mieli ograniczoną cierpliwość i nie lubili ciągnących się latami krwawych konfliktów^[13]. Zdawał sobie z tego sprawę, bo wnikliwie przeanalizował to, co przydarzyło się Związkowi Radzieckiemu. W swojej pracy pisał, że „sowiecka strategia wcale nie musiała zakładać, że jej celem i kryterium sukcesu będzie zdławienie afgańskiego ruchu oporu. Być może bowiem taki sukces jest nieosiągalny ze względu na nieopłacalnie duże straty w ludziach oraz poważne konsekwencje ekonomiczne i polityczne”.

W 2004 roku praca Kajaniego kurzyła się na półkach z innymi ignorowanymi pracami zagranicznych oficerów pobierających w Kansas lekcje amerykańskiej sztuki prowadzenia wojny. Był to podręcznik po zupełnie innym sposobie wojowania – po tajnych kampaniach partyzanckich. Dwadzieścia lat po jego napisaniu młody pakistański oficer został naczelnym szpiegiem swojego kraju i nareszcie mógł zrobić z niego użytek.

Rozdział siódmy

KONWERGENCJA

„Możliwość wyparcia się wszystkiego jest oczywista i powinna być traktowana jako ogromny atut”

Enrique Prado

Pewnego chłodnego popołudnia na początku 2005 roku Porter Goss brał udział w ceremonii zakończenia szkolenia na „Farmie” (ośrodku treningowym CIA w Camp Peary w południowej Wirginii) przez kolejny rocznik agentów. Uczestnictwo w gali było dla dyrektorów CIA rutynowym obowiązkiem, za to absolwenci traktowali tę chwilę jako ostatni moment normalności przed rozpoczęciem życia pod przykrywką, pośród kłamstw i fałszywych nazwisk, a nierzadko w poczuciu nieustannego zagrożenia życia. Ceremonię zakłóciło wtargnięcie posłańca z centrali. Miał dla dyrektora CIA pilną wiadomość. Parę minut później Goss i jego ochrona siedzieli w lecącym na północ helikopterze Blackhawk. Zamiast wrócić do Langley, Goss zmierzał prosto do Pentagonu, żeby spotkać się z Donaldem Rumsfeldem. Chodziło o zbrojną operację na terytorium Pakistanu.

Pakistański agent pracujący dla CIA dał amerykańskim szpiegom cenny cynk: w Bajaurze, na obszarze terytoriów plemiennych, w północno-zachodniej części kraju, miało się odbyć spotkanie wysoko postawionych członków Al-Kaidy. Agent ten zajmował się obserwacją Abu Faradza al-Libbiego, trzeciego człowieka w terrorystycznej organizacji, którego widywano czasem, kiedy objeżdżał na czerwonym motocyklu górskie wioski. Agent powiedział też swoim opiekunom w CIA, że nie tylko al-Libbi będzie obecny na spotkaniu – istniała szansa, że Ajman az-Zawahiri, prawa ręka Osamy ben Ladena, również się tam pojawi.

Naprawdę ułożono plan ataku. Goss i Rumsfeld przeanalizowali też wpisane weń ryzyko. Trzy tuziny komandosów Navy SEALs miało wyskoczyć ze spadochronami z samolotu transportowego Hercules i wylądować w strefie zrzutu nieopodal miejsca, gdzie miało odbyć się spotkanie. Navy SEALs mieli pojmać jak najwięcej uczestników narady i zabrać ich do punktu etapowego, skąd wszyscy zostaliby ewakuowani śmigłowcami poza granice Afganistanu. Goss nalegał, żeby to wojsko zajęło się misją. Popierał go generał Stanley McChrystal, chudy jak tyczka asceta, który w 2003 roku przejął dowodzenie Połączonym Dowództwem Operacji Specjalnych.

Lecz Rumsfeld i jego najbliższy współpracownik w wywiadzie Stephen Cambone uznali plan za zbyt ryzykowny. Rumsfeld domagał się, żeby do misji dokooptować jeszcze tuzin rangersów, którzy będą mogli w razie potrzeby wesprzeć Navy SEALs. Oddział uderzeniowy rozrósł się więc do ponad stu pięćdziesięciu żołnierzy.

Dlatego Rumsfeld uznał, że nie ma możliwości zatajenia przed prezydentem Muszarrafem tak dużej operacji. Obiekcje wyraził też szef placówki CIA w Islamabadzie, którego obudzono w środku nocy i poinformowano, że do Pakistanu zamierza wkroczyć liczna, uzbrojona po zęby grupa amerykańskich żołnierzy. – To naprawdę zły pomysł, Stan – odpowiedział McChrystalowi. – Może i zabijesz kilku ludzi Al-Kaidy, ale nie warto. Najeżdżasz Pakistan.

Navy SEALs czekali już w herculesie w bazie lotniczej Bagram na rozkaz rozpoczęcia misji. Po paru godzinach zdecydowano jednak o odwołaniu operacji.

Obawy Rumsfelda odnośnie ataku dotyczyły głównie wiarygodności danych wywiadowczych. Informacja o spotkaniu wyszła tylko od jednego źródła CIA i sekretarz obrony uznał, że bez jej potwierdzenia trudno ryzykować misję w zaśnieżonych górach zachodniego Pakistanu. Nie ufał także samej Agencji. Zresztą na początku 2005 roku miała ona trudności, żeby przekonać kogokolwiek – z Rumsfeldem na czele – o wiarygodności i rzetelności swoich analiz.

CIA nadal lizala rany po wpadce zaliczonej podczas wojny irackiej, kiedy to uznała, że Saddam Husajn ma broń chemiczną i biologiczną. Pomyłka ta miała jeszcze długo ciążyć nad Langley i podważać wiele powstających tam szpiegowskich analiz. Goss był co prawda wściekły z powodu przerwania operacji w Bajaurze, ale nie mógł nic na to poradzić. Rumsfeld nie ufał ocenie CIA, nawet kiedy prawdopodobieństwo uczestnictwa az-Zawahiriego w spotkaniu wynosiło osiemdziesiąt procent. Jak powiedział jeden ze współpracowników Gossa, „czuliśmy się jak synowie, którym ojciec nie pozwala pożyczyć auta na weekend”.

Poza wątpliwościami co do wiarygodności informacji przekazywanych przez wywiad incydent ten był również ponurym potwierdzeniem faktu, że nawet kilka lat po atakach z 11 września wojna z międzynarodowym terroryzmem przebiegała chaotycznie i przypadkowo. Ani CIA, ani Pentagon nie miały spójnego planu prowadzenia tajnych operacji poza granicami Iraku i Afganistanu. Obie instytucje nadal były zaangażowane w wewnętrzne walki. Usiływały przekonać Biały Dom, która z nich powinna stać na czele globalnego polowania na terrorystów. Przy okazji coraz bardziej upodabniały się do siebie: po zlikwidowaniu Neka Muhammada w Pakistanie CIA w jeszcze większym stopniu niż do tej pory stała się maszyną do zabijania, zaś Pentagon skupiał się na misjach szpiegowskich, którymi wspomagał swoje operacje specjalne. Nie istniały też żadne odgórne wytyczne – kiedy pojawiała się sytuacja wymagająca interwencji, jak reakcja na informacje o spotkaniu Al-Kaidy w Bajaurze, nie można było liczyć na uporządkowany plan działań.

Jeśliby szukać wydarzenia, które posłużyło za katalizator eskalacji zabójczych działań CIA, należałoby wskazać ukończony w maju 2004 roku katastrofalny w swoim wydźwięku raport głównego inspektora Agencji Johna Helgersona. Liczący sto dziewięć stron dokument kwestionował fundament, na którym opierał się program CIA, polegający na zatrzymywaniu i przesłuchiowaniu osób podejrzanych o terroryzm. Raport stawiał pytanie, czy oficerowie Agencji nie będą w przyszłości ścigani za udział w brutalnych przesłuchaniach przeprowadzanych w tajnych więzieniach. Pojawiła się

w nim również sugestia, że niektóre z wykorzystanych technik – jak podtapianie, pozbawianie snu i wykorzystywanie fobii, na które cierpią więźniowie (zamykano ich na przykład w skrzyni z żywymi owadami) – mogą naruszać Konwencję ONZ przeciwko torturom, która zakazuje „okrutnego, niehumanitarnego bądź poniżającego traktowania lub karania” jeńców lub więźniów. Tymczasem CIA poddawała zatrzymanych podtapianiu (waterboarding), które polegało na przywiązywaniu zakapturzonego więźnia do drewnianej deski i polewaniu jego twarzy wodą, przez co miał wrażenie tonięcia. W ciągu zaledwie miesiąca przesłuchań Chalida Szejka Muhammada, architekta zamachów z 11 września, użyto tej techniki sto osiemdziesiąt trzy razy.

Waterboarding był tylko jednym z wielu sposobów na wyciąganie zeznań, które zostały autoryzowane przez Departament Sprawiedliwości. Raport Helgersona opisywał także i inne metody, z których korzystano w tajnych więzieniach. Główny inspektor nazwał je „nieautoryzowanymi, improwizowanymi, niehumanitarnymi i nieudokumentowanymi” technikami przesłuchań. Odnotował przypadki organizowania symulowanych egzekucji, żeby zastraszyć zatrzymanych i zmusić ich do mówienia. Znany jest też przypadek agenta CIA, który przyłożył więźniowi do głowy włączoną wiertarkę.

Siatka tajnych placówek rozrastała się. Pierwszym kompleksem tego typu był spartańsko urządzony ośrodek w Bangkoku w Tajlandii. To właśnie tam przetrzymywani byli dwaj pierwsi więźniowie CIA: Abu Zubajda i Abd al-Rahim al-Nasziri. Kiedy jednak amerykański wywiad i współpracujące z nim służby specjalne zaczęły wyłapywać kolejnych ludzi w Afganistanie, Pakistanie i innych krajach, Jose Rodriguez, szef Centrum Antyterrorystycznego, i jego podwładni zdecydowali, że potrzebne będą dodatkowe placówki. Miały być one – w odróżnieniu od placówki w Bangkoku – stałymi ośrodkami.

Program zatrzymań i przesłuchań realizowany przez CIA okrył się złą sławą i stał się kością niezgody w sporach o strategię walki z Al-Kaidą opracowywaną przez administrację George’a W. Busha. Mimo to organizacja kolejnych tajnych więzień stała się rutynowym działaniem Agencji. Rodriguez wydał polecenie ekipie z Centrum Antyterrorystycznego – mieli pracować nad rozbudową ich siatki z inżynierami i zewnętrznymi pracownikami kontraktowymi. Kiedy ośrodki były już niemal gotowe, CIA zatrudniła niewielką firmę zaopatrzeniową, która dostarczyła do nich toalety, zatyczki do uszu, pościel i resztę niezbędnego wyposażenia. Podwykonawcy kupowali część sprzętu w supermarketach sieci Target i Wal-Mart, a potem wysłali je do więzień: jednym z nich był niewyróżniający się niczym budynek stojący przy ruchliwej ulicy Bukaresztu. Inne znajdowały się na Litwie i w Jordanii. Deski do waterboardingu przygotowywano na miejscu. Z miejscowych materiałów.

Więzienia były niewielkie – w każdym planowano umieścić mniej niż dziesięciu zatrzymanych. Cele miały specjalne „udogodnienia”, które pomagały agentom CIA w przeprowadzaniu brutalnych przesłuchań. Wyłożono je na przykład materiałami amortyzującymi uderzenia o ścianę. Zatrzymani nie mogli kontaktować się ze sobą i przebywali w odosobnieniu przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. Pozostała godzina przeznaczona była na ćwiczenia; oficerowie CIA ubrani w czarne kominiarki

wyprowadzali wówczas więźniów z ich cel. Tak jak w placówkach działających w Stanach Zjednoczonych, także i tutaj naczelnicy stosowali system kar i nagród. Za dobre zachowanie więźniowie otrzymywali książki i płyty DVD, jeśli zaś któryś z nich złamał przepisy, pozbawiano go jakiegokolwiek rozrywki. CIA, szpiegowska organizacja stworzona po II wojnie światowej na potrzeby amerykańskich prezydentów, zmieniła się w Departament Tajnych Więzień.

Jeszcze przed ujawnieniem raportu Helgersona ludzie Busha mieli obawy dotyczące programu tajnych więzień CIA. Chodziło jednak o wąski krąg oficjeli, którzy w ogóle byli świadomi ich istnienia. W związku z tym dochodziło niekiedy do kuriozalnych nieporozumień pomiędzy Białym Domem a Agencją. I tak w czerwcu 2003 roku Biały Dom miał uczestniczyć w świętowaniu ustanowionego przez ONZ Dnia Pomocy Ofiarom Tortur. Biuro prasowe zredagowało komunikat mówiący, że Stany Zjednoczone „dążą do wyeliminowania tortur” i „przodują w tej walce, dając dobry przykład”. Niezupełnie tak było.

Komunikat ten rozsierdził niektórych starszych oficerów CIA. Scott Muller, naczelny prawnik Agencji, powiedział Białemu Domowi, że martwią go te słowa, bo wie, jakie metody przesłuchań zaakceptował sam prezydent Bush. Langley boi się, dodał, że CIA skończy jakokoziół ofiarny, kiedy polityczny wiatr zawieje z innej strony. Ostatecznie komunikat Białego Domu nie został opublikowany.

Za to raport Johna Helgersona ujawnił gniew kipiący w szeregach Agencji. Kilku oficerów zaangażowanych w program zatrzymań i przesłuchań, jak mówił dokument, obawiało się, że „mogą stać się przedmiotem postępowania sądowego w Stanach Zjednoczonych lub za granicą, i wyrażają zaniepokojenie, że nie mogą liczyć na wsparcie ze strony swojego rządu”. Biały Dom i Departament Sprawiedliwości udzielili programowi błogosławieństwa, zaś George Tenet lobbował za oddaniem więźniów pod kuratelę CIA, ale z drugiej strony starsi stażem oficerowie w Langley widzieli już, czym się kończą podobne ruchy – pamiętali dochodzenie komisji Churcha i skandal Iran–contras. Uważali, że zbliżał się dzień rozliczeń, w którym administracja Busha wykorzysta raport głównego inspektora, aby zarzucić Agencji pętlę na szyję.

Dokument stał się początkiem końca programu tajnych więzień, choć miały one działać jeszcze przez kilka lat. Od czasu do czasu trafiali do nich nowi więźniowie. Agencja przestała jednak korzystać z waterboardingu i innych brutalnych technik przesłuchań. Starsi stopniem oficjele w Langley usiłowali przerzucić problem na barki Pentagonu, ale więźniowie tajnych ośrodków nadal w nich gnili, zaś administracja Busha gorączkowo szukała sposobu na zakończenie całego programu.

Raport Helgersona wywołał największe poruszenie w Centrum Antyterrorystycznym, które było przednią strażą Agencji w globalnym polowaniu na terrorystów. Przecież odławianie ludzi Al-Kaidy i przesłuchiwanie ich w więzieniach CIA (ewentualnie przekazywanie zatrzymanych niepatyczkującym się z nimi wywiadowi Pakistanu, Egiptu, Jordanii i innych państw, by potem wykorzystać wyciągnięte informacje do ujęcia kolejnych terrorystów) było sensem pracy Centrum. Ta strategia, jak wierzono, miała pewnego dnia doprowadzić CIA do Osamy ben Ladena.

Teraz jednak oficjele z Centrum Antyterrorystycznego musieli na nowo przemyśleć

strategię prowadzenia tajnej wojny. W sytuacji gdy CIA sparzyła się na programie zatrzymań i przesłuchań w tajnych więzieniach, uzbrojone drony – i w ogóle możliwość dokonywania „chirurgicznych egzekucji” – dawały CIA szansę na obranie nowego kierunku. Zabijanie za pomocą pilota zdalnego sterowania było antytezą brudnej, bezpośredniej roboty związanej z przesłuchaniami – wydawało się czystsze, mniej osobiste, a do tego cieszyło się poparciem zarówno Republikanów, jak i Demokratów. Ponadto korzystanie z maszyn pilotowanych przez ludzi znajdujących się w odległości tysięcy kilometrów od nich minimalizowało wszelkie ryzyko. Praktycznie do zera. Po wyeliminowaniu Neka Muhammada w Pakistanie, co miało miejsce zaledwie miesiąc po ukończeniu raportu przez Johna Helgersona, Agencja zaczęła dostrzegać światelko w tunelu. Nie będzie strażnikiem w więzieniach dla wrogów Ameryki, ale militarną organizacją, która pozbędzie się ich raz na zawsze.

Jose Rodriguez w 2004 roku próbował wskrzesić program odrzucony w pierwszych miesiącach po atakach z 11 września. Jak pamiętacie z opisaną wcześniej prezentacji w Białym Domu, którą przygotowali Rodriguez i jego kolega z Centrum Antyterrorystycznego Enrique Prado, przewidywał on zsynchronizowane ataki grup uderzeniowych i eliminację podejrzanych o terroryzm na całym świecie. Od Europy przez Środkowy Wschód do Azji Południowej. Wiceprezydent Dick Cheney wyraził wtedy swoje poparcie dla programu. Ale inaczej, niż pokazują to filmy, CIA nie zatrudnia kadry płatnych zabójców. I nie zatrudniła po 11 września, choć realizacja planów Rodrigueza i Prado przybliżyłaby Agencję do jej hollywoodzkiego wizerunku. Jednak George Tenet nigdy nie dał pozwolenia na żadną z zabójczych misji, więc program odłożono na półkę.

Tak jak Rodriguez, Prado również był weteranem sekcji CIA w Ameryce Łacińskiej. Odgrywał niebagatelną rolę w czasie wojny domowej w Nikaragui w latach osiemdziesiątych. Przeniósł się do Centrum Antyterrorystycznego w 1996 roku i przez parę miesięcy po atakach z 11 września był dla Rodrigueza mentorem, który wprowadzał go w detale strategii Al-Kaidy. Po spotkaniu z Cheneyem w grudniu 2001 roku Prado stanął na czele programu rekrutacji oficerów CIA, którzy mieli zostać wytrenowani do zabójczych misji.

Kiedy Rodriguez zainicjował w 2004 roku ponowne otwarcie programu, Prado pracował już w Blackwater, prywatnej firmie ochroniarskiej finansowanej w dużej mierze milionami dolarów z kontraktów podpisanych z Departamentem Stanu i CIA. Rodriguez wpadł wówczas na proste, acz zadziwiające rozwiązanie: outsourcing programu i zatrudnienie Blackwater do jego realizacji.

Założyciel firmy Erik Prince był wówczas ulubionym dzieckiem administracji Busha. Akurat szukał sposobu, żeby dokopać się do głębszych warstw amerykańskiego establishmentu zarządzającego tajnymi operacjami. Prince nie mógł pojawić się na scenie w lepszym momencie. CIA nie miała wystarczającej liczby personelu, by móc kompetentnymi ludźmi obsadzić placówki w Kabulu czy Bagdadzie. A przecież to z nich kierowano skomplikowanymi i ważnymi misjami. Agencja zwróciła się więc do Blackwater o wynajęcie ludzi do tajnych operacji. Mieli oni zajmować się wszystkim

– od ochrony oficerów CIA przez zbieranie informacji aż do przechwytywania wyznaczonych celów – co do tej pory zarezerwowane było jedynie dla odpowiednio wytrenowanych pracowników Agencji. Blackwater miała wziąć na siebie nawet uzbrajanie predatorów i reaperów (nowocześniejszy model dronów) w Pakistanie.

Prince regularnie zapraszał wysokich rangą oficerów CIA na słynną Derby Kentucky albo do kwatery głównej Blackwater w Great Dismal Swamp w Karolinie Północnej, gdzie urządzał całodniowe strzelanie na należących do firmy poligonach. Obietnicą sporych pensji udało mu się ściągnąć do firmy najlepszych ludzi CIA, łącznie z Prado i Coferem Blackiem, byłym szefem Centrum Antyterrorystycznego. Prado, już jako pracownik Blackwater, miał więc okazję sprzedawać rządowi programy, które opracowywał, będąc jeszcze w CIA.

Dla Prince'a wojenny outsourcing nie był niczym nowym – raczej przedłużeniem tego, co działo się od setek lat. Podczas jednej z wizyt w Langley rozpoczął swoją prezentację słowami: „Od zarania swojej historii nasz naród, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, polegał na najemnikach”. Ostatecznie jednak część planu zakładająca wykorzystanie najemników została odrzucona przez oficjeli z Langley. Blackwater słynęła bowiem z nieodpowiedzialnych i impulsywnych zachowań, zaś jej reputacja spadła do poziomu zero we wrześniu 2007 roku, kiedy to pracownicy firmy zabili siedemnastu Irakijczyków w centrum Bagdadu. Prince i jego firma stali się symbolami amerykańskich niepowodzeń w tym kraju. Wprawdzie założyciel Blackwater lamentował, że Demokraci odmalowali go przed Kongresem jako faceta, który chce dorobić się na wojnie, a przecież „płacił z własnej kieszeni za działania wywiadowcze, które wspierały amerykańską obronę narodową”. Była to prawda, lecz często fundusze, które Blackwater wydawała na tajne projekty, były jak inwestycje w badania i rozwój. Efekty tych badań wykorzystywano na rozwój produktów i usług sprzedawanych później rządowi za ciężkie miliony dolarów.

Prince miewał też dziwne pomysły. Namawiał na przykład oficerów prowadzących CIA w Pakistanie do korzystania z samolotów niewidzialnych dla radarów, zaś agentów działających w Azji do przemycenia informatorów z Chin – mieliby nurkować z automatami oddechowymi wykorzystywanymi przez Navy SEALs aż do czasu zabrania ich przez okręt. Z tym planem wiązał się jednak pewien problem: większość informatorów CIA w Chinach to osiemdziesięcioletni generałowie. Nie przeżyliby podwodnej podróży z aparatem tlenowym.

Byli oficerowie CIA, którzy dołączyli do Blackwater, chcieli szybko nawiązać współpracę z Agencją. Znany jest co najmniej jeden przypadek, kiedy prawnik CIA musiał interweniować i ostrzec eksszpiegów, że byli o krok od złamania „prawa drzwi obrotowych”. Zabraniało ono niegdysiejszym pracownikom rządowym lobbowania za firmami, w których teraz byli zatrudnieni. Poza zleceniami otrzymywanymi od CIA Prado próbował przekonać agencję antynarkotykową DEA do skorzystania ze zbudowanej przez Blackwater siatki zagranicznych szpiegów, którzy mogą „robić dosłownie wszystko, od obserwacji do analizy warunków operacyjnych i akcji wywrotowych”, jak pisano w wewnętrznym, firmowym e-mailu. „Możliwość wyparcia się wszystkiego jest oczywista i powinna być traktowana jako ogromny atut” – dodawał.

I to właśnie ta zaleta outsourcingu przekonała Jose Rodrigueza, żeby zlecić realizację „zabójczego” programu CIA firmie Blackwater. Agencja podpisała z Prince’em i Prado osobne kontrakty i obaj panowie zaczęli kreślić plany obserwacji potencjalnych celów. Chodziło również o osoby – jak twórca pakistańskiego programu jądrowego Abdul Kadir Chan – których zabicie proponowała CIA jeszcze w 2001 roku. Prince i Prado mieli nadzorować program i w ten sposób, przynajmniej w teorii, udział w nim rządu Stanów Zjednoczonych zostałby utrzymany w tajemnicy. Prince i Prado brali pod uwagę, że grupy uderzeniowe Blackwater trafią w końcu pod rozkazy CIA, lecz na początku dysponowałyby całkiem sporą autonomią. – Mielibyśmy całkowicie wolną rękę – mówił później Prince w wywiadzie dla „Vanity Fair”. – Jeśli coś poszłoby nie tak, nie mogliśmy się spodziewać, że szef placówki, ambasador czy ktokolwiek inny nas wykupi.

Nigdy jednak nie okazało się to potrzebne, bowiem tak jak i przy poprzednim podejściu do planu grupa uderzeniowa nie przeprowadziła ostatecznie żadnego zamachu. Prince i Prado wprawdzie szkolili ekipę Blackwater do nowych zadań, ale na próżno. Żaden najemnik nie został wysłany z misją zabicia terrorysty. Prince obwiniał o to „instytucjonalną osteoporozę”, która ogarnęła Agencję.

Dlaczego program upadł, skoro wsparcia udzielili mu oficjele z CIA z Rodriguezem na czele? To zadziwiające, ale ani CIA, ani Białemu Domowi nie chodziło o kwestie prawne. Prawnicy Agencji wyrazili zgodę na uczestnictwo Prince’a i Prado w operacji. Jednak wyżsi rangą urzędnicy CIA nadal nie byli przekonani, czy Agencja będzie w stanie zataić swój udział w operacji. Blackwater zarządzała siecią „podwykonawców”, dzięki którym mogła skutecznie ukryć, że pracuje dla CIA. Lecz i tak obcym rządóm nie byłoby trudno dojść do Prince’a, a potem, nieuchronnie, do Agencji.

– Im bardziej polegasz na outsourcingu, tym łatwiej się wszystkiego wyprzeć – tłumaczył jeden ze starszych oficerów CIA zaangażowanych w decyzję odwołania programu z udziałem Blackwater – lecz jednocześnie oddajesz kontrolę nad misją w cudze ręce. Więc jeśli coś się popieprzy, to nadal będzie twoja wina.

Pochopnie podjęta decyzja o powierzeniu programu firmie Blackwater – tak jak i poprzednia próba jego wdrożenia – pozostaje ściśle strzeżoną rządową tajemnicą. Nawet po odejściu na emeryturę Hank Crumpton, były oficer Centrum Antyterrorystycznego, nie mógł pisać słówka na temat swojego udziału w programie. Powiedział jednak, że dziwi go fakt, że dla Stanów Zjednoczonych wyeliminowanie kogoś za pomocą drona jest czymś zasadniczo innym niż szkolenie ludzi, by mogli zabijać własnymi rękoma. Jeśli kraj pozwala CIA na jedno, ciągnął, to czemu ma problem z drugim?

– Nie mamy oporów, by na terytorium Afganistanu, terytoriach plemiennych w Pakistanie, Somalii czy Jemenie wystrzelić w kierunku wroga rakietę Hellfire. A przecież to, gdzie i jak korzystamy ze śmiertelnych narzędzi, powinno stać się najpierw przedmiotem debaty. Niestety, nigdy takiej debaty nie odbyliśmy – powiedział. I dodał, że zabijanie na odległość poza terenami bezpośrednich działań wojennych traktowane jest dziś jak zwyczajny element strategii. Przy okazji zadał pytanie, co się stanie, jeśli ktoś podejrzany o terroryzm pojawi się w Paryżu, Hamburgu lub innym

miejscu, gdzie drony nie mogą atakować. – I co, w takiej sytuacji wysłamy agenta CIA albo wojskowego, żeby strzelił mu w tył głowy? Wówczas będzie to jednak zabójstwo, prawda?

Każdy kolejny atak na CIA w związku z kontrowersyjnym programem tajnych więzień i brutalnych przesłuchań podejrzanych o terroryzm popychał szefów Agencji do ponurych kalkulacji: bardziej opłacalne niż utrzymywanie tajnych więzień jest dla Agencji zabijanie. Tym bardziej że w drugiej połowie 2005 roku Kongres uchwalił ustawę o traktowaniu zatrzymanych, gdzie znalazł się zapis zabraniający „okrutnego, nieludzkiego i poniżającego” postępowania wobec każdego więźnia przebywającego w amerykańskim areszcie, łącznie z tajnymi placówkami CIA. Istniała więc możliwość, że oficerowie Agencji zatrudnieni w sekretnych więzieniach zostaną pociągnięci do odpowiedzialności za swoją pracę. Nad Langley zawisło widmo rychłych dochodzeń kryminalnych i przesłuchań przed obliczem Kongresu.

Strach ten popchnął Jose Rodrigueza do zlecenia zniszczenia kilkudziesięciu taśm wideo, na których zarejestrowano minuta po minucie przesłuchania członków Al-Kaidy: Abu Zubajdy i Abda al-Rahima al-Nasziriego. Rodriguez, który otrzymał kolejny awans i piastował ważne stanowisko szefa Dyrektoriatu Operacyjnego – czyli odpowiadał za wszystkie tajne i szpiegowskie operacje CIA na całym świecie – obawiał się, że na nagraniach widać twarze oficerów prowadzących przesłuchania. Zaczęły już wyciekać informacje na temat szczegółów programu więziennego, uznał więc, że jego agenci mogą być nie tylko przedmiotem oskarżeń, ale zagrożone może być również ich zdrowie i życie. W pierwszej połowie listopada 2005 roku posłał więc tajną wiadomość do placówki CIA w Bangkoku, gdzie w sejfie trzymano wszystkie taśmy, i rozkazał wrzucenie ich do niszczarki przemysłowej. Poszło w ruch siedem stalowych ostrzy. Kasety wideo zostały pocięte na malutkie paski. Wyciągnięto je z maszyny i wrzucono do plastikowych worków na śmieci.

Ale nawet po pozbyciu się fizycznych dowodów pochodzących z wczesnej fazy działania programu więziennego CIA wciąż miała problem. Kilka dni po przepchnięciu ustawy o traktowaniu zatrzymanych dyrektor Agencji Porter Goss napisał list do Białego Domu. Zaproponował w nim, że CIA zakończy wszystkie programy przesłuchań, jeśli to Departament Sprawiedliwości zajmie się oceną, czy techniki przesłuchań stosowane przez Agencję były sprzeczne z prawem.

Oficjeli z Białego Domu list doprowadził do białej gorączki. Stephen Hadley, doradca do spraw bezpieczeństwa, uważał, że wiadomość od Gossa to gra pozorów, próba zabezpieczenia się Agencji na wypadek śledztwa w sprawie tajnych więzień i tortur. Hadley w Boże Narodzenie zatelefonował do dyrektora CIA i oskarżył go o sprzeniewierzenie się idei „gry zespołowej”. Na Gossie nie robiło to jednak wrażenia. Dla Białego Domu stało się jasne, że napięta atmosfera w Agencji, najbardziej skłonnej do paranoi instytucji Waszyngtonu, nie zelżeje, dopóki nie zostanie zrobione coś, co uspokoi jej pracowników. W tym celu do Langley wybrał się Andrew Card, w administracji Busha pełniący funkcję szefa personelu Białego Domu. Jechał z zamiarem rozładowania sytuacji i uspokojenia nastrojów w kwaterze głównej CIA. Ale jego wizyta okazała się katastrofą. Card – w zatłoczonej po brzegi sali konferencyjnej –

podziękował zebranych oficerom za ich służbę i ciężką pracę, po czym odmówił złożenia jakichkolwiek zobowiązujących deklaracji czy też gwarancji, że żaden z pracowników Agencji nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności karnej za swój udział w programie zatrzymań i przesłuchań.

Zawrzało. Zachęcany przez swojego współpracownika Patricka Murraya Porter Goss przerwał Cardowi. – Czy może pan zapewnić, że politycy nie odwrócą się plecami do ludzi, którzy wypełniali ich rozkazy? – zapytał, lecz Card nie odpowiedział wprost i pokusił się o żart. – Powiem panu tak – odparł. – Każdego ranka pukam do drzwi Gabinetu Ovalnego, wchodzę i mówię: „Proszę mi wybaczyć, panie prezydencie”, a jak wiemy, wybaczyć może tylko Bóg.

Card zaśmiał się, słysząc własne słowa, lecz jego odpowiedź nie bardzo się spodobała. Szef personelu Białego Domu zapytany, czy Bush opowie się po stronie oficerów CIA, jeśli zostaną poddani wnikliwemu śledztwu, zasugerował, że nie mogą liczyć na interwencję prezydenta wcześniej niż przed ogłoszeniem aktów oskarżenia oraz wydaniem wyroków.

Takich żartów w CIA nie lubiano.

Niektórzy ludzie Busha zaczęli postrzegać CIA jako problem. Dyrektor Agencji toczył otwartą wojnę z Białym Domem o program zatrzymań. Zaś wiceprezydent Dick Cheney był przekonany, że analitycy CIA po cichu opowiadają się przeciwko wojnie w Iraku, przekazując prasie i członkom Kongresu krytyczne wobec niej raporty. O ile wcześniej Bush i Cheney opierali się presji komisji do spraw 11 września, nalegającej na utworzenie stanowiska szefa Wywiadu Narodowego z zadaniem kontrolowania wszystkich szesnastu amerykańskich agencji szpiegowskich, tak teraz Biały Dom zaczął dostrzegać płynące z podobnej decyzji korzyści – trzymanie CIA w ryzach.

Oslabienie Agencji było świetną okazją do wzmocnienia pozycji Donalda Rumsfelda. Pogarszająca się sytuacja w Iraku podminowała triumfalistyczne nastroje wśród ludzi sekretarza obrony. Ale Rumsfeld nie zaprzestał prowadzenia działań poza „oficjalnymi” strefami wojny – a więc w krajach, które od zawsze były uznane za terytoria działania CIA. Wydał w 2004 roku tajną dyrektywę – znaną w Pentagonie jako „Zarządzenie wykonawcze w sprawie siatki Al-Kaidy” – która dała jednostkom operacyjnym większą swobodę szpiegowania oraz eliminowania i zatrzymywania podejrzanych w kilkunastu krajach świata. Rozkaz ten miało realizować Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych. Ta jednostka z siedzibą w Fort Bragg, którą Rumsfeld nazywał Armią Nowego Wzoru na miarę ery po 11 września, miała teraz uprawnienia do prowadzenia operacji od Ameryki Północnej aż do Filipin. To dawało jej komandosom możliwość wkroczenia również do Syrii, Somalii i Pakistanu. Misje te były oczywiście ściśle tajne i rzadko informacje o ich przebiegu docierały do opinii publicznej. Nawet członkowie Kongresu nie byli o nich regularnie powiadamiani.

Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych stało się jedną z najjaśniejszych gwiazd na firmamencie Departamentu Obrony. Jego budżet wzrósł w ciągu sześciu lat dwukrotnie; w 2007 roku wynosił osiem miliardów dolarów. Nadal był to jednak zaledwie ułamek tego, co Pentagon wydawał na samoloty i okręty. Jednak dopływ nowych środków pozwolił JSOC nie tylko na sformowanie dodatkowych oddziałów

do tajnych operacji, ale i zakup sprzętu oraz opracowanie logistyki, która pozwalała Navy SEALs i Delta Force na prowadzenie sekretnych misji przez całe dni lub nawet tygodnie. JSOC nie musiało się już dłużej ograniczać do dwudziestoczterogodzinnych operacji odbicia zakładników, mogło prowadzić własne wojny.

Właśnie tym JSOC zajmowało się w Iraku. Grupa operacyjna generała Stanleya McChrystala otrzymała misję zaatakowania działającej tam komórki Al-Kaidy dowodzonej przez jordańskiego terrorystę Abu Musaba al-Zarkawiego. Przez kraj przetaczały się kolejne fale przemocy, a grupa al-Zarkawiego przyznała się do niszczycielskich napaści na amerykańskie konwoje i szyckie miejsca kultu. Po paru miesiącach od wybuchu tego regularnego powstania amerykańscy dowódcy zrozumieli, że wojna w Iraku wessie Stany Zjednoczone na wiele lat. Dlatego Rumsfeld i jego doradca w kwestiach wywiadu Stephen Cambone popuścili smycz JSOC, próbując w ten sposób zneutralizować irackich powstańców.

Mantra oddziału, którego kwatera mieściła się w starym irackim hangarze lotniczym na terenie bazy Balad na północ od Bagdadu, brzmiała: „Walka dla wywiadu”. Na początku białe tablice, którymi posługiwali się McChrystal i jego ludzie, żeby rozrysować działania grupy al-Zarkawiego, były czyste jak lza. McChrystal zdawał sobie sprawę, że w dużej mierze problem stanowi słaba komunikacja pomiędzy dowódcami wojskowymi w Iraku i brak odpowiednich procedur, które pozwoliłyby dzielić się zdobytymi informacjami. „Rozpoczęliśmy analizować nie tylko przeciwnika, ale i samych siebie – napisał później – i ani jedno, ani drugie nie szło nam łatwo”.

Jak mało wiedzieli poszczególni dowódcy, stało się oczywiste w 2004 roku, kiedy pojawiły się raporty mówiące o tym, że irackie wojska pojmały al-Zarkawiego nieopodal Faludży. Nikt nie wiedział jednak, jak dokładnie wygląda jordański terrorysta, więc omyłkowo wypuszczono go na wolność. W końcu powstał jednak plan kampanii. Nocne wypadki wymierzone w siatkę al-Zarkawiego nie miały polegać na wykopaniu drzwi z zawiasów i strzelaniu na oślep. McChrystalowi bardziej niż na eliminacji wroga zależało na informacjach, które można by z niego wyciągnąć podczas przesłuchań. Uzyskany w ten sposób trop prowadziłby do kolejnej kryjówki i kolejnego – wyżej umiejscowionego w hierarchii organizacji – agenta Al-Kaidy. Teoria McChrystala głosiła: wbij igłę w żyłę, a dowiesz się, jak działa cały organizm.

McChrystal próbował upewnić się, że jego grupa uderzeniowa nie zostanie okaleczona przez niezdrową rywalizację z CIA. Podobne gierki podcięły skrzydła wielu tajnym operacjom w Afganistanie. Odwiedzał więc biura oficerów Agencji w Iraku. Udało mu się przekonać jednego ze starszych stopniem oficerów, żeby zgodził się każdego ranka omawiać z nim kolejne posunięcia. Tysiące kilometrów dalej analitycy stacjonujący w nieoznakowanym budynku rządowym w Fairfax w stanie Wirginia każdego dnia przebijali się przez dane wywiadowcze pochodzące z nocnych wypadów w Iraku. Wyciągano je z telefonów komórkowych, nośników danych i twardych dysków. Z czasem tablice wypełniły się imionami i pseudonimami ludzi al-Zarkawiego. Niektóre z nich połączono liniami namalowanymi czarnym markerem – w ten sposób oznaczano najbardziej prawdopodobne domysły co do powiązań wewnątrz dość amorficznej siatki terrorystycznej.

Szybki rozwój JSOC wsparła wewnętrzna analiza funkcjonowania Pentagonu, przeprowadzona na zlecenie Rumsfelda i zakończona w 2005 roku. Raport rekomendował „zwiększenie możliwości i zdolności prowadzenia długotrwałych operacji na zróżnicowanych i zakazanych obszarach, gdzie niezbędne jest postępowanie z należytą ostrożnością”. Tłumacząc z wojskowego na nasze: mieć możliwość prowadzenia wojny tam, gdzie się chce. Raport – napisany przez dawnego dowódcę JSOC generała Wayne’a Downinga oraz Michaela G. Vickersa, byłego tajnego agenta CIA, dość popularnego dzięki książce *Wojna Charliego Wilsona*, w której opisano jego udział w przetruceniu broni do Afganistanu podczas wojny z Sowiecami – szybko zyskał poparcie Rumsfelda.

Najważniejszym wnioskiem płynącym z dokumentu było stwierdzenie, że tajne oddziały powinny zwiększyć swoją rolę w wojnie z Al-Kaidą i innymi organizacjami terrorystycznymi. Inna konkluzja brzmiała, że oddziały specjalne były przygotowane do akcji w Iraku i Afganistanie, ale nie do prowadzenia wojen przyszłości. „Niedługo walka – napisano – przeniesie się do krajów, z którymi nie jesteśmy w stanie otwartego konfliktu”.

Pentagon właśnie zaczynał organizować ryzykowne misje szpiegowskie na terenie Iranu. Możliwe były dzięki handlowi przygranicznemu między Iranem i Irakiem. Ludzie z oddziałów specjalnych płacili agentom za przenikanie do ościennego kraju i zebranie użytecznych informacji o instalacjach militarnych w zachodnim Iranie. Agenci byli albo irańskimi muzułmanami, albo koptyjskimi chrześcijanami, którzy mogli łatwo przejść przez kontrolę graniczną, opowiadając rozmaite historie o planach kupna ciężarówek pełnych owoców lub innych towarów. Trudno jednak było Pentagonowi pozyskać w ten sposób naprawdę wartościowe dane, a wojsko nie posiadało uprawnień do organizacji operacji sabotażowych lub zabijania członków Irańskiej Straży Rewolucyjnej.

Jednak prawdziwym celem akcji, jak mówił wówczas jeden ze starszych oficerów wywiadu w Pentagonie, było zbudowanie możliwie największej siatki wywiadowczej w Iranie; siatki, która mogłaby zostać uruchomiona, gdyby tylko prezydent Bush lub jego następcą podjęli decyzję o inwazji na ten kraj. Jak wiele z misji wojskowych na terenie niebędącym strefą wojny, operacje w Iranie usprawiedliwiano chęcią „przygotowania pola bitwy”.

Granica między obowiązkami żołnierza i szpiega zacierała się coraz bardziej. CIA nadal posiadała większe od Pentagonu uprawnienia do prowadzenia operacji w dowolnym miejscu na świecie, ale po ogłoszeniu rozkazu Rumsfelda z 2004 roku coraz trudniej było dostrzec prawdziwą różnicę pomiędzy celami wojska i Agencji. McChrystal miał dobre relacje z amerykańskimi agentami wywiadu w Iraku, lecz misje wojskowe w Iranie nie były koordynowane z planami CIA, a tak duże zagęszczenie agentów obydwu instytucji, błakających się po dalekich zakątkach globu, w połączeniu z brakiem koordynacji działań mogło doprowadzić do katastrofy.

A może była to po prostu stracona szansa? Kiedy Donald Rumsfeld w 2005 roku odwołał misję w Bajaurze, która mogła doprowadzić do pochycenia za jednym zamachem całej wierchuszki Al-Kaidy, twierdząc, że zaplanowana na szybko operacja

jest zbyt ryzykowna, zarówno Pentagon, jak i CIA wszczęły dochodzenie, chcąc określić, co poszło nie tak. I upewnić się, że podobne fiasko nie przydarzy się w przyszłości. W konsekwencji ustalono, że nie istniały żadne procedury pozwalające rozpocząć akcje specjalne w krajach innych niż Irak i Afganistan.

Pentagon i CIA planowały niezależnie od siebie tajne operacje w różnych miejscach na świecie, ale ani sekretarz obrony, ani dyrektor Agencji nie mieli uprawnień do zainicjowania działań na terenie takiego kraju jak Pakistan. Przez kolejny rok Pentagon i CIA próbowały więc dopracować się podziału obowiązków. Dzieliły między siebie poszczególne kawałki globu i ustalały, kto jest odpowiedzialny za który front tajnej wojny.

Stephen Cambone prowadził negocjacje z ramienia Pentagonu, zaś zastępca dyrektora wiceadmirał Albert Calland reprezentował CIA. Od wielu czynników zależało, czy za daną operację w danym państwie będzie odpowiadała Agencja, czy JSOC. Czy kraj ten chętnie udzieli zgodę na przeprowadzenie tajnej misji na swoim terytorium? Jakie relacje z lokalną agencją szpiegowską ma CIA? Czy szef miejscowej placówki Agencji bez oporów sceduje kontrolę na rzecz JSOC?

Z powodu epizodu w Bajaurze Pakistan znalazł się na szczycie listy spraw do załatwienia. Prezydent Muszarraf udzielił błogosławieństwa atakom z użyciem dronów, ale zdecydowanie sprzeciwiał się amerykańskim działaniom wojskowym na terytoriach plemiennych. Nie było mowy o wkroczeniu do kraju przez granicę z Afganistanem. Próby przekonania Muszarrafa do udzielenia zgody na prowadzenie tajnych operacji lądowych w miejscach takich jak Waziristan Północny czy Bajaur było, z czym zgodziła się większość ludzi w Waszyngtonie, misją niemożliwą.

Rozwiązanie problemu zaproponowała CIA. Aby oddziały specjalne mogły funkcjonować w Pakistanie, musiałyby zostać przekazane pod komendę Agencji i działać w ramach rozdziału 50 Kodeksu Stanów Zjednoczonych. Innymi słowy, Navy SEALs staliby się szpiegami. Wtedy możliwe byłoby rozpoczęcie operacji na terenie Pakistanu bez konieczności informowania o tym fakcie Muszarrafa. Jak opisał te ustalenia jeden z byłych oficerów CIA, oddziały specjalne „przemianowano na zbrojną jednostkę pod rozkazami szefa Agencji”.

Taką samą sztuczką posłużono się sześć lat później, kiedy śmigłowce transportujące drużyny Navy SEALs wyleciały z Dżalalabadu w Afganistanie i przekroczyły granicę z Pakistanem z misją zabicia Osamy ben Ladena. Tamtej nocy Navy SEALs działali na rozkaz CIA i, technicznie rzecz biorąc, za powodzenie akcji odpowiadał dyrektor Agencji Leon E. Panetta.

Tam, gdzie rozkazy wydawało JSOC, czyli w krajach takich jak Filipiny, gdzie komandosi już stacjonowali, misje z ich udziałem były częstsze. W 2006 roku, bazując na informacjach mówiących, że Umar Patek, jeden z organizatorów zamachu na wyspie Bali w 2002 roku, jest w dżungli na południu kraju, wysłano tam amerykańskiego drona i odpalono kilka rakiet w kierunku obozu uznanego za terrorystyczny. Rząd w Manili ogłosił, że była to „filipińska akcja wojskowa”. Patek nie zginął jednak od rakiet. Były za to inne ofiary. Nie udało się ustalić, ile z nich faktycznie z nim współpracowało, a ile wśród nich było kobiet i dzieci.

Pęczniący budżet na operacje specjalne pozwolił JSOC na zakup nowego sprzętu podsłuchowego, dzięki któremu komandosi mogli zbierać informacje drogą powietrzną. Samoloty firmy Beechcraft regularnie startowały z baz w Afganistanie oraz Pakistanie i krążyły nad pakistańskimi wieżami telekomunikacyjnymi. W samolotach umieszczano urządzenia zwane „Typhoon Box”. W ich pamięci zapisywano dziesiątki podejrzanych numerów telefonów komórkowych, które zdaniem wojskowych należały do pakistańskich bojowników. Dzięki kontrolowaniu połączeń można było określić, kiedy numery te są używane, i spróbować je namierzyć. Nawet jeśli telefon był wyłączony, JSOC mogło go włączyć zdalnie i ustalić dokładne współrzędne osoby, która była w jego posiadaniu.

Po przyklepaniu umowy z CIA agenci JSOC działali na równych prawach co ludzie Agencji, mogli więc uczestniczyć w operacjach lądowych na terytorium Pakistanu. Rok po przerwaniu misji w Bajaurze CIA raz jeszcze odebrała informacje o zbliżającym się spotkaniu przywódców wojskowych, które miało ponownie odbyć się w tej samej okolicy.

Mała wioska Damadola była pod obserwacją niemal od roku. Było to możliwe dzięki wyciągnięciu cennych informacji od pojmanego Abu Faradza al-Libiego – powiedział on pakistańskiemu oficerom, że kiedyś spotkał się z Ajmanem al-Zawahirim w domu Bahuptura Chana, mieszkańca Damadoli. CIA przypuściła atak na wioskę z użyciem dronów w styczniu 2006 roku, lecz nie udało się zabić al-Zawahiriego. Kilka miesięcy później, kiedy wypłynął cynk o kolejnym spotkaniu w Damadoli, do osady posłano ekipę Navy SEALs.

Dzięki nowym procedurom CIA i wojsku ledwie kilka godzin zajęło, by przeanalizować otrzymane informacje i zatwierdzić plan działania. Generał John Abizaid, szef Dowództwa Centralnego Stanów Zjednoczonych, przebywał akurat w Waszyngtonie, kiedy CIA otrzymała cynk. Generał natychmiast wskoczył do czarnego SUV-a i pognął do Langley. Niedługo potem Abizaid i Porter Goss ustalili ostateczne szczegóły ataku. Helikoptery wystartowały z Afganistanu i przetransportowały Navy SEALs za granicę, do Bajauru. Komandosi wzięli szturmem kompleks budynków z suszonej cegły, powalili paru ludzi na ziemię i skuli plastikowymi kajdankami. Więźniów załadowano do śmigłowców i przewieziono do Afganistanu.

W tym czasie oficerowie CIA zgromadzeni w Centrum Antyterrorystycznym w Langley wpatrywali się w ekran, śledząc transmisję z predatora, który przez cały czas krążył nad Damadolą – to wybałuszone oko bez powiek pozwoliło agentom siedzącym tysiące kilometrów dalej obserwować całą operację. Navy SEALs wprawdzie nie pojмали żadnego ważnego przywódcy Al-Kaidy, lecz misja ta dowiodła, że potrafią przeniknąć do Pakistanu niezauważeni, przeprowadzić operację i wrócić bez alarmowania rządu w Islamabadzie.

Rozdział ósmy

WOJNA ZASTĘPCZA

„Ja i mój naród przeciwko światu. Ja i mój klan przeciwko narodowi. Ja i moja rodzina przeciwko klanowi. Ja i mój brat przeciwko rodzinie. Ja przeciwko bratu”

przysłowie somalijskie

Wiosną 2006 roku oficerowie CIA stacjonujący w Nairobi w Kenii ładowali do nieoznakowanych samolotów transportowych granatniki, moździerze i karabiny AK-47. Ładunek trafiał potem na lotniska kontrolowane przez somalijskich watażków. Poza broń słano też wypchane pieniędzmi walizki – około dwustu tysięcy dolarów dla każdego z nich. To była zapłata za ich wkład w walkę ze światowym terroryzmem.

Jak na ludzi, którzy przez ostatnie lata próbowali się nawzajem pozabijać, lokalni watażkowie nie mieli zbyt wielu obiekcji co do wspólnej pracy dla CIA. Zwłaszcza że Agencja otworzyła dla nich swój skarbiec. Udało im się nawet wymyślić nazwę dla swojego aliansu, która spodobała się w Waszyngtonie: Sojusz dla Przywrócenia Pokoju i Przeciwdziałania Terroryzmowi (ARPCT). Brzmiało to ironicznie, biorąc pod uwagę brutalne życiorysy niektórych kacyków takich jak Abdi Hasan Awale Kejbdiid czy Mohammed Kanjare Afrah. W niektórych kręgach CIA grupa stała się nawet obiektem żartów. Szpiedzy przyrównywali ją do globalnej organizacji terrorystycznej Widmo, znanej z filmów o Jamesie Bondzie.

Pośród watażków znaleźli się również ludzie, którzy w czasie amerykańskiej interwencji w Somalii w 1993 roku, pamiętnej między innymi dzięki filmowi *Helikopter w ogniu*, wysyłali zabójców z rozkazem likwidacji rangersów i komandosów z Delta Force. Teraz trafili na listę płac CIA i pomagali Agencji wytropić członków wschodnioafrykańskiej komórki Al-Kaidy, którzy zostali potem pojmani i przesmuglowani z Somalii do tajnych więzień CIA. Te sekretne operacje z 2006 roku były już sformalizowane umowami i dla miejscowych przywódców wojskowych stały się łatwymi chałturkami na zlecenie USA.

Waszyngton nie miał wyjścia, musiał współpracować ze swoimi niedawnymi wrogami. Narastający chaos w Iraku nie tylko odsunął żołnierzy i agentów od wojny w Afganistanie, ale także stał się bodźcem dla nowego pokolenia młodych muzułmanów, by chwycić za broń i przeciwstawić się Stanom Zjednoczonym. Szkic ściśle tajnego raportu, krążący po amerykańskich agencjach wywiadowczych, wskazywał na poważny problem: gwałtowną radykalizację świata muzułmańskiego. Ostateczna wersja dokumentu określała konflikt w Iraku jako „*cause célèbre* dla dżihadystów, wojnę budzącą szczególną niechęć muzułmanów do amerykańskiej obecności na ich ziemiach i przyczyniającą się do wzrostu poparcia dla globalnego dżihadu”.

Raport – prognoza Narodowej Rady Wywiadu – przewidywał, że zdecentralizowany ruch dżihadystów rozgałęzi się jeszcze bardziej, szczególnie że wciąż powstawały nowe bojówki. Sytuacja międzynarodowa zmieniała się diametralnie, a kraje Afryki Północnej i Wschodniej oraz co biedniejsze rejony Półwyspu Arabskiego były coraz mniej stabilne.

W tym czasie w Jemenie dwudziestu trzech bojowników związanych z Al-Kaidą uciekło z lokalnego więzienia, używając do wykopania tunelu łyżek i wyłamanych nóg od stołu. Najprawdopodobniej otrzymali pomoc od lokalnej służby bezpieczeństwa, wspierającej od czasu wojny z Sowietami w Afganistanie niektórych mudzahedinów. Jak wyjaśniał tę krecią robotę jeden z jemeńskich oficjeli w rozmowie z „New York Timesem”: „Trzeba pamiętać, że ci sami oficerowie eskortowali ludzi z Sany do Pakistanu podczas afgańskiego dżihadu. Zawarli przyjaźnie, których nie da się tak łatwo przekreślić”.

Interpol ogłosił światowy alert i nakazał poszukiwanie wszystkich zbiegów, lecz większość z nich nie ukryła się daleko. Zostali w Jemenie i stworzyli grupę, która przyjmie nazwę Al-Kaida Półwyspu Arabskiego.

W Somalii do głosu doszedł zaś niski, przysadzisty mężczyzna w okularach ze szklami w kształcie migdałów i zaroście, który barwił czerwoną henną. Nazywał się Hassan Dahir Awejs i stał na czele Somalijskiego Związku Sądów Islamskich, luźnej federacji klanowej starszyny, biznesmenów i magnatów, którzy zjednoczyli się, aby położyć kres panoszącemu się w ich kraju chaosowi. Rozwiązaniem miało być wprowadzenie surowego islamskiego prawa – szariatu. Ruch przez lata był zdominowany przez umiarkowanych muzułmanów i cieszył się sporym poparciem w Somalii. Jednak pod koniec 2005 roku, pod wpływem Awejsa, Związek przekształcił się w liczniejszą wersję sądu szariackiego działającego w portowym mieście Merka, które było centrum somalijskich radykałów. Tamtejszy sąd często skazywał ludzi na ukamienowanie albo odcięcie dłoni za kradzież. Awejs i jego Związek chcieli, żeby tak było w całym kraju.

Awejs od wielu lat utrzymywał się na szczytach amerykańskiej listy podejrzanych o terroryzm. CIA powiązała go z komórką Al-Kaidy w Afryce Wschodniej, która organizowała ataki bombowe na ambasady Stanów Zjednoczonych w Kenii i Tanzanii. Mimo to działał otwarcie, podróżował do Dubaju i przemieszczał się swobodnie pomiędzy somalijskimi miastami. Pod swoimi rozkazami miał grupę młodych, oddanych mu strzelców, którzy nazywali siebie Asz-Szabab, co po arabsku oznacza „Młodzi”. Chodzili ulicami Mogadyszu i polowali na każdego, kto przyznawał się do związku z Tymczasowym Somalijskim Rządem Federalnym, słabą i przeżartą korupcją strukturą utworzoną przez ONZ, która nie miała żadnej kontroli nad tym, co działo się w kraju. Osoby podejrzewane o szpiegowanie na rzecz USA zabijano na miejscu.

Tymczasem CIA od wielu lat nie miała stałego posterunku w Somalii, więc zadanie monitorowania wydarzeń w tym kraju przypadło tajnym agentom stacjonującym w Kenii. Komórka w Nairobi rozrosła się znacząco od czasu ataków z 11 września. Gdy dyrektor CIA Porter Goss zdecydował, że niezbędne jest wyraźniejsze zaznaczenie obecności Agencji w Afryce, przydzielono jej większy budżet oraz liczniejszy personel, a także otwarto na nowo poprzednio pozamykane placówki na kontynencie.

Ostatnie miesiące 2005 i początek 2006 roku przyniosły alarmujące wieści z Nairobi.

Langley zostało ostrzeżone o rosnących wpływach rudobrodego Hassana Dahiru Awejsa i ludzi z Asz-Szabab. Niektóre raporty wspominały nawet, że młodzi radykałowie ze Związku Sądów Islamskich, łącznie z chuderlawym weteranem wojny afgańskiej Adenem Haszim Faradzem Ajro, mogą więc gniazdko dla agentów Al-Kaidy i mieć w planach założenie nowej placówki w Somalii.

Jednak Osama ben Laden i jego poplecznicy starający się osiąść w Somalii przez kolejne lata natrafiali na te same trudności w rozdartym wojną kraju co Stany Zjednoczone. Krótko mówiąc, Al-Kaida nie rozumiała Somalii i plan ucieczki do tego kraju po rozpoczęciu wojny w Afganistanie spalił na panewce. Arabscy bojownicy, którzy przybyli do afrykańskiego kraju, mieli problem z nawigowaniem pomiędzy skonfliktowanymi klanami i plemionami. Zamiast skrzyknąć się pod jednym sztandarem i hasłem przegonienia obcych z kraju, Somalijczycy woleli zabijać się nawzajem. Ludzie Al-Kaidy, zwolennicy wahhabizmu – radykalnego odłamu islamu – nie potrafili dogadać się z somalijską większością wyznającą sufizm. Ponadto Somalijczycy mieli opinię straszliwych plotkarzy i zagraniczni goście wściekali się, że nie potrafią zachować tajemnicy. Chaotyczne, rozciągające się wzdłuż wybrzeża Morza Arabskiego państwo okazało się zupełnie różne od górzystych Pakistanu i Afganistanu.

Nie było to jednak tak oczywiste ani dla Pentagonu, ani dla CIA. Dopiero alarmujące wieści od agentów z Nairobi dały Białemu Domowi do myślenia. Co jednak można było zrobić, jeśli sytuacja w Somalii zacznie przypominać tę z Afganistanu? Duch *Helikoptera w ogniu* i klęski Amerykanów interweniujących w Mogadiszu w 1993 roku nadal nawiedzał korytarze Pentagonu. Generałowie wyrazili się jasno: zrezygnują ze swoich stanowisk, jeśli Stany Zjednoczone zdecydują się na kolejną interwencję zbrojną w Somalii. Ze względu na konflikty w Iraku i Afganistanie Pentagon nie dysponował wystarczającą liczbą żołnierzy i marines, żeby pozwolić sobie na wysłanie kolejnych oddziałów do Rogu Afryki (w byłym obozie francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Dżibuti stacjonowała już jedna grupa uderzeniowa). Ale administracja Busha była przekonana, że problem somalijski trzeba koniecznie rozwiązać. Dlatego Biały Dom zwrócił się do CIA z prośbą o znalezienie „zastępczej armii”, która będzie walczyła w nowej wojnie. W ten właśnie sposób narodził się Sojusz dla Przywrócenia Pokoju i Przeciwdziałania Terroryzmowi (ARPCT).

Przywódcy zrzeszeni w Sojuszu nie kryli swoich związków z Waszyngtonem i otwarcie przechwalali się sumami, jakie płaciła im CIA. Sama Agencja też nie zaprzeczała, że ARPCT jest jej zbrojnym ramieniem. O zrzutach broni i pieniędzy informowała lokalna prasa. Oficerowie CIA podali watażkom dane kontaktowe, z których w razie potrzeby mieli korzystać. Przez stolicę przetoczyła się plotka, jakoby agenci podali im swoje adresy e-mailowe – za ich pośrednictwem somalijscy przywódcy mieli zamawiać zaopatrzenie.

Nieporadność CIA podzieliła oficjeli z amerykańskiej ambasady w Nairobi, fortecy zbudowanej po zamachu bombowym z 1998 roku. Całą operacją nadal kierował szef placówki w Kenii, lecz dyplomaci zaczęli słać do kwatery głównej Departamentu Stanu ostrzeżenia, jak poważne konsekwencje może mieć wsparcie udzielane kacykom. Leslie Rowe – drugi stopniem człowiek w ambasadzie – w jednej z wiadomości opisał gniewne

nastroje wśród afrykańskich oficjeli, niezadowolonych z działań CIA. Michael Zorick, oficer polityczny do spraw Somalii z Departamentu Stanu, wysłał do Waszyngtonu zjadliwą krytykę polityki współpracy z watażkami i narzekał, że CIA przekazuje broń największym somalijskim przestępcom. Niedługo potem Zorick został przeniesiony do Czadu.

Tak jak ostrzegali niektórzy oficerowie, tajne operacje odbiły się Agencji czkawką. Zamiast osłabić islamistów, jej działania w Somalii przeważały szalę na drugą stronę. Somalijscy zaczęli wspierać Związek Sądów Islamskich, wierząc, że uda mu się wyprzeć z kraju obcych i położyć wreszcie kres rządów lokalnych kacyków. To z kolei zbalkanizowało kraj. Podczas spotkania amerykańskich ambasadorów z Afryki Wschodniej i Jemenu w maju 2006 roku widziano już jasno, co dzieje się w Mogadiszu. Ale nikt nie potrafił powiedzieć, jakie kroki należy podjąć. Ambasadorowie uzgodnili więc, że drogą do poprawy sytuacji powinna być „zmiana nastawienia” i rezygnacja z walk w stolicy Somalii na rzecz „działań pozytywnych”.

To, co miało być lekiem, okazało się trucizną. Islamiści wyparli wspieranych przez CIA kacyków z Mogadiszu. Grupa umocniła swoją pozycję w stolicy, a klęskę boleśnie odczuł Waszyngton. Po walkach w Mogadiszu Związek Sądów Islamskich pokładał jeszcze większe zaufanie w Hassanie Dahirze Awejsie i jego radykalnych strzelcach z Asz-Szabab.

Były oficer Centrum Antyterrorystycznego Hank Crumpton katastrofalnej w skutkach operacji przyglądał się zza biurka w Departamencie Stanu. Pracował tam jako koordynator do spraw przeciwdziałania terroryzmowi. Dla Crumptona somalijska przygoda CIA była klasycznym przykładem bezsilności Waszyngtonu, który uciekał się do tajnych misji, kiedy o inne rozwiązania było bardzo trudno. Co pomyślano, gdy okazało się, że sytuacja w Somalii wymaga interwencji? Crumpton odpowiada: – Macie pieniądze i broń, załatwcie to za nas. Lecz jeśli za taką akcją nie stoi konsekwentna polityka zagraniczna, tajna operacja nie wypali. A jeśli ktoś będzie w stanie mi wytłumaczyć, na czym polegała polityka amerykańskiego rządu w Somalii w 2006 roku albo na czym polega dzisiaj, dam mu dziesięć dolców.

Lwia część miążdżącej krytyki spadła na szefa placówki CIA w Nairobi. Jose Rodriguez usunął go z Kenii, zaś Agencja uznała, że na razie ma dość Somalii. Skoro do władzy w Mogadiszu doszedł Związek Sądów Islamskich, rząd Busha uznał kraj za siedlisko terroryzmu. Jendayi Frazer, przedstawicielka Departamentu Stanu do spraw Afryki, w drugiej połowie 2006 roku mówiła publicznie o bezpośrednich relacjach Związku Sądów Islamskich i Al-Kaidy. Otwarcie przy tym nazywała członków Związku „terrorystami”.

Klęska CIA w Somalii na moment wyczerpała możliwości administracji Busha. Kompletnie nie wiadomo, jak uporać się z rosnącymi w siłę islamistami. Ale gdzie rząd obawiał się wysłać swoich ludzi, tam swojej szansy upatrywały prywatne firmy wojskowe i pracownicy kontraktowi, którzy mieli nadzieję wzbogacić się na panującej w Afryce Wschodniej anarchii. Sytuacja wydawała się idealna: rząd Stanów Zjednoczonych nie chciał dłużej brudzić sobie rąk w Somalii. Jednak gotów był wyłożyć pieniądze, byleby

inni zrobili to za niego. Do połowy 2006 roku somalijski konflikt przestoczył się więc w wojnę zastępczą.

Tydzień po ucieczce wspieranych przez CIA przywódców wojskowych z Mogadiszu w Nairobi wylądował samolot, na pokładzie którego znajdowała się kobieta w średnim wieku. Pochodziła z północy stanu Wirginia, nazywała się Michele Ballarin i była szefową Select Armor, niewielkiej firmy, która dostarczała kombinezony straży pożarnej hrabstwa Los Angeles. Nigdy nie wygrała żadnego poważniejszego przetargu organizowanego przez Pentagon. Jej ambicje były jednak większe niż zajmowanie pozycji czwartorzędnego podwykonawcy. Kiedy w czerwcu 2006 roku znalazła się w Kenii, miała umówione spotkanie z Abdullahim Yusufem Ahmedem, który z luksusowego apartamentu jednego z hoteli w Nairobi kierował wspomaganym przez ONZ somalijskim rządem na wygnaniu.

Kobieta o wyglądzie bogatej arystokratki na audiencji u przywódcy nieudolnego federalnego rządu tymczasowego – to nie był codzienny widok. Ballarin podróżowała do Rogu Afryki już wcześniej i w niektórych kręgach tamtejszej klasy politycznej cieszyła się szacunkiem i posłuchem. Utrzymywała, że zajmuje się hodowlą i tresurą ogierów lipicańskich – słynnych białych koni przeznaczonych głównie do klasycznej szkoły jazdy – i ostentacyjnie obnosiła się ze swoim bogactwem. Zawsze miała ze sobą torebki od Louisa Vuittona, drogą biżuterię i ubrania od Gucciego. Jeśli jej celem było olśnić mieszkańców zubożałego kraju, udało jej się to znakomicie. Somalijczycy zaczęli zwracać się do niej arabskim słowem oznaczającym księżniczkę – „Amira”.

Zanim Ballarin trafiła z Wirginii Zachodniej do Afryki, przebyła długą drogę. Zaczynała w latach osiemdziesiątych, startując jako kandydatka Republikanów do Kongresu. W tym jednoznacznie demokratycznym stanie próbowała ugrać cokolwiek na popularności Ronalda Reagana. Miała wówczas trzydzieści jeden lat, zaś za kampanię z roku 1986 zapłacił jej pierwszy mąż, starszy od niej o kilkadziesiąt lat, który uczestniczył w lądowaniu na plażach Normandii w 1944 roku, a majątek zgromadził na handlu nieruchomościami. Fundusze zbierała również i sama Ballarin, popisując się umiejętnościami muzycznymi – grała na pianinie podczas uroczystych spotkań dla darczyńców. Swojego rywala próbowała sportretować jako kogoś, kto nie rozumie wartości wyznawanych przez wirginijskie rodziny. W ostatnich tygodniach kampanii wyborczej krytykowała go za głos oddany na druk „Playboya” alfabetem Braille’a, za który zapłacili podatnicy. Nie omieszkała też wytknąć mu odmowy uczestniczenia w debacie: na spotkanie przyniosła karton z przyklejonym zdjęciem politycznego oponenta, wdając się z nim w „dyskusję”. Mimo tych starań wybory przegrała z kretesem.

Po śmierci małżonka wyszła za Gina Ballarina, byłego barmana ze słynnego Manhattan’s 21 Club, który później zarządzał waszyngtońskim lokalem Georgetown Club. Para wydawała huczne przyjęcia w swoim domu w Wirginii i wreszcie zasłużyła sobie na wzmiankę w „Zielonej Księdze”, gdzie znajdowały się nazwiska „poważanych waszyngtończyków”. Była to istna biblia starej amerykańskiej elity. O swojej radości ze znalezienia się w „Księdze” obok przyjaciół, sąsiadów i innych ludzi „wspierających jeździectwo” opowiedziała w 1997 roku dziennikarzowi: „»Księga« ta symbolizuje

tradycyjne podejście do rzeczy, które skutecznie oparło się zmianom. Symbolizuje delikatniejszą stronę życia”.

Ballarinowie mieszkali w posiadłości w Markham w stanie Wirginia, którą nazwano szumnie Wilczą Granią. Niegdyś był to dom Turnera Ashby’ego, dowódcy konfederackich kawalerzystów, który zdobył sławę podczas kampanii Stonewalla Jacksona w dolinie Shenandoah. Nadano mu wówczas przydomek „Czarnego Rycerza Konfederacji”. Michele Ballarin miała jednak nieco ambitniejsze plany niż spokojne życie i gra w polo. W latach dziewięćdziesiątych zajęła się prowadzeniem interesów – od handlu nieruchomościami do finansów międzynarodowych i sprzedaży kamizelek kuloodpornych.

Opowiadała, że transformację z Michele w Amirę zapoczątkowało umówione przez jej waszyngtońskiego przyjaciela z loży masońskiej spotkanie z grupą somalijskich Amerykanów. To wtedy zainteresowała się rozdartym przez wojnę krajem. Zaczęła podróżować do Afryki i wkrótce chrześcijańska dewotka, która co niedzielę przygrywała w kościele na organach, zaczęła interesować się sufizmem, mistycznym odłamem islamu niegdyś dominującym na subkontynencie indyjskim i w Afryce Północnej. Sufizm stracił nieco na znaczeniu po upadku imperium otomańskiego, kiedy to pojawiły się bardziej radykalne formy islamu, ale nadal jest szeroko praktykowany w Somalii. Ballarin była przekonana, że wspomaganie ugrupowań wyznających w kraju sufizm jest najlepszym sposobem na zmniejszenie wpływu – jej zdaniem toksycznego – radykalnego wahhabizmu, który umacniał się w Rogu Afryki dzięki pomocy bogatych Saudyjczyków finansujących budowę szkół i meczetów.

Działalność dobroczynna w Somalii czyniła z niej kolejną bogatą naiwniaczkę wierzącą, że zmieni świat charytatywnymi projektami. Ale w rzeczywistości jej plan krył w sobie inne, mroczniejsze dno. Kiedy Związek Sądów Islamskich przejął kontrolę nad Mogadiszem, ujrzała w tym swoją szansę. Chciała zagospodarować rozległe i niepodlegające kontroli rządu tereny Sudanu, na których opozycjoniści chcący odsunąć od władzy radykalnych islamistów mogliby z jej pomocą założyć swoje bazy. A przy okazji chciała tam rozwinąć swój własny biznes. Kobieta z Wirginii rzuciła się w sam środek chaosu.

Na spotkaniu z prezydentem Abdullahim Yusufem Ahmedem Ballarin przedstawiła plan założenia bazy w położonym na północy Somalii portowym mieście Berbera. Znajdował się tam nieużywany pas startowy, niegdyś wykorzystywany przez NASA jako awaryjne lądowisko dla promów kosmicznych. Ballarin uznała, że miejsce to można przekształcić w lotnisko, a także ośrodek szkoleniowy dla przyszłych żołnierzy gotowych walczyć z Asz-Szabab.

Prezydent Ahmed, polityczny figurant szukający azylu w luksusowym hotelu w Nairobi, nie mógł odrzucić propozycji Ballarin. Więc kiedy wyszła ona ze spotkania, była w euforii. Kilka dni później wysłała e-maile do amerykańskich partnerów w interesach – łącznie z Chrisem Fariną, szefem prywatnej firmy ochroniarskiej ATS Worldwide z siedzibą na Florydzie: „Panowie, spotkanie z prezydentem Abdullayem Yussefem [sic!] i szefem jego sztabu zakończone sukcesem. Mamy zielone światło”. Ballarin w dalszej części e-maila dała do zrozumienia, że CIA jest świadoma jej planów

i że ma zamiar spotkać się w Nowym Jorku ze swoim kontaktem z Agencji.

Jednak Farina w odpowiedzi mailowej zalecał ostrożność. „Inwazja [na Mogadiszu] bez wsparcia skończy się powtórką z Dien Bien Phu”, napisał, nawiązując do francuskiej klęski w Indochinach z 1954 roku. Farina napomknął także, że CIA może nie być najlepszym partnerem, i była to mądra sugestia, biorąc po uwagę to, co działo się w kraju. Lepiej postawić na Pentagon – stwierdził. Ostatecznie Ballarin posłucha jego rady, ale miną dwa lata, zanim uda się jej przekonać Pentagon do sfinansowania wyprawy do Somalii.

Po przejściu Mogadiszu Związek Sądów Islamskich wprowadził porządek, jakiego w mieście nie było od lat. Padły granice pomiędzy niedawnymi strefami wpływów poszczególnych kacyków. Dzieci, które dorastały zaledwie kilometr od morza, lecz nigdy wcześniej nie miały okazji go oglądać, bowiem plaża leżała na terytorium innego watażki, spędzały całe dni, bawiąc się w piasku.

Seria oświadczeń i komunikatów wypuszczonych w lecie przez sympatyzujące z Asz-Szabab skrzydło Związku, które w końcu przejęło kontrolę nad organizacją, nastawiła jednak wielu Somalijczyków przeciwko nowym przywódcom. Zakazano zagranicznych filmów, a także pilki nożnej, kobietom nakazano zaś zakrywać twarze w miejscach publicznych. Bodaj najboleśniejszy dla mnóstwa mężczyzn przepis zabraniał żucia khatu, zielonych liści o narkotycznych właściwościach, które zapewniały lekkie odurzenie.

Obawy Waszyngtonu co do wprowadzenia w Mogadiszu prawa szariaty podsycaly informacje przekazywane administracji Busha przez etiopskich oficjeli, drżących ze strachu przed nową przystanią Al-Kaidy, która wyrosła za ich wschodnią granicą. Animozje pomiędzy Etiopczykami i Somalijczykami nie były niczym nowym – w latach siedemdziesiątych oba kraje toczyły bitwę o etiopski region Ogaden, która stała się jednym z konfliktów zastępczych w czasach zimnej wojny. Po stronie Somalii opowiadały się Stany Zjednoczone, zaś Etiopię zaopatrywali Sowieci. Po upadku Związku Radzieckiego w Afryce, tak jak i w innych częściach globu, dokonano się przetasowanie. Gdy Waszyngton zaniepokoiły postępy islamskiego fundamentalizmu, Etiopia z jej chrześcijańską większością stała się w latach dziewięćdziesiątych naturalnym sojusznikiem USA.

Latem 2006 roku etiopscy oficjele zaczęli mówić otwarcie o możliwości wkroczenia do Somalii w celu rozbicia Związku Sądów Islamskich i Asz-Szabab. USA zaczęły upatrywać w tym swojej szansy. Skoro nie wypalił plan zaopatrzenia w broń zbieraniny lokalnych watażków, może w takim razie etiopska armia poprowadziłaby zastępczą wojnę w Somalii. Po kilku tygodniach od przejścia Mogadiszu przez islamistów generał John Abizaid z amerykańskiego Dowództwa Centralnego odwiedził Addis Abebę, stolicę Etiopii, podczas podróży po Afryce Wschodniej. W trakcie spotkań z wojskiem, CIA i oficjelami z Departamentu Stanu w amerykańskiej ambasadzie pytał, czego będzie potrzebowała etiopska armia, by przypuścić atak na Mogadiszu.

Abizaid postawił sprawę jasno – Stany Zjednoczone nie zachęcają Etiopii do inwazji, ale jeśli do niej dojdzie, udzielią wszelkiej pomocy, żeby zakończyła się sukcesem. Spotkał

się także z etiopskimi oficjelnymi i zaoferował im pomoc: amerykański wywiad miał podzielić się informacjami o pozycjach zajmowanych przez zbrojne ramię Związku Sądów Islamskich. W tym czasie w Waszyngtonie szef Wywiadu Narodowego John D. Negroponte zaakceptował decyzję o skierowaniu satelitów szpiegowskich na Somalię w celu wykonania zdjęć, które potem można byłoby przekazać oddziałom etiopskim. Jak mówił w 2006 roku jeden z amerykańskich dyplomatów stacjonujących w Addis Abebie: – Chodziło o to, żeby Etiopia walczyła w naszej wojnie.

Etiopska inwazja zapewniłaby także doskonałą przykrywkę dla amerykańskich akcji w Somalii prowadzonych przez komandosów z bazy położonej w Dire Dawu, we wschodniej części kraju. Latem i jesienią 2006 roku, kiedy inwazja armii etiopskiej stawała się coraz bardziej realna, do Dire Dawu przybyli inżynierowie z marynarki wojennej. Oficjalnym powodem ich obecności była misja humanitarna: ulewne deszcze zalały równiny wokół miasta, a przez ulice przetoczyła się trzymetrowa fala. Inżynierowie pomagali w ustawianiu namiotów i udzielaniu pomocy medycznej dziesięciu tysiącom ludzi poszkodowanych w wyniku powodzi.

Lecz poza pomocą humanitarną samoloty transportowe C-130 lądujące w Dire Dawu przewoziły również sprzęt wojskowy dla grupy Navy SEALs i oddziału Delta Force, który przeniknął do Etiopii jako część tajnej jednostki JSOC numer osiemdziesiąt osiem. Ich plan przewidywał wykorzystanie inwazji na Somalię jako zasłony dymnej dla polowania na przywódców Związku Sądów Islamskich.

Misja w Somalii została autoryzowana rozkazem Donalda Rumsfelda z 2004 roku, który zezwalał komandosom na infiltrację państw będących jeszcze poza zasięgiem amerykańskich żołnierzy. Na początku stycznia 2007 roku – zaledwie kilka dni po tym, gdy pierwsza kolumna etiopskich czołgów przejechała z hukiem przez granicę, a artyleria zaczęła odpalać kolejne serie w militarne instalacje Związku Sądów Islamskich w południowo-wschodniej Somalii – grupa uderzeniowa numer osiemdziesiąt osiem rozpoczęła swoją misję. Dołączyli do niej także eksperci z „Szarego lisa” – tajnej komórki Pentagonu, która w końcu zmieni swój kryptonim na Grupę Uderzeniową Orange. Jej członkowie zostali wyposażeni w wyspecjalizowany sprzęt pozwalający określić pozycję przywódców Związku Sądów Islamskich, przechwytyjąc ich rozmowy telefoniczne.

Poza oddziałem wyspecjalizowanym w tajnych operacjach, na lotnisku we wschodniej Etiopii wylądowały także dwa samoloty bojowe AC-130 uzbrojone w działka kaliber 105 milimetrów. Na początku stycznia przypuściły one atak na niewielką wioskę rybacką Ras Kamboni, położoną na podmokłych terenach w południowej Somalii. Do takiego posunięcia pchnęła wojskowych informacja, jakoby tam właśnie ukrywał się Aden Haszi Faradz Ajro, młody przywódca Asz-Szabab. Kilka godzin po ataku amerykańskie i etiopskie oddziały przekopały się przez pogorzelnisko i znalazły zakrwawiony paszport należący do Ajro. Przyjęto więc, że przywódca Asz-Szabab nie ma szans wylizać się z odniesionych ran. Lecz nikt nie był pewien, czy i gdzie zdołał zbiec. Dwa tygodnie później AC-130 uczestniczyły w kolejnym uderzeniu, którego celem był inny islamski dowódca. Jednak w trakcie ofensywy śmierć ponieśli jedynie cywile.

Tajne misje przeprowadzone w Somalii w 2007 roku przebiegały z różnym powodzeniem. Amerykańskie oddziały i wywiad wspomagały etiopski blitzkrieg

prowadzony w południowej Somalii. Siły Związku Sądów Islamskich musiały się wycofać. Jednak operacje JSOC mające na celu pojmanie lub zabicie któregoś z islamskich dowódców lub członków komórki Al-Kaidy odpowiedzialnej za ataki bombowe na ambasady w Kenii i Tanzanii nic nie przyniosły. Z punktu widzenia amerykańskich celów okupację Somalii przez Etiopię można było uznać za porażkę.

Administracja Busha w tajemnicy wspierała tę operację, wierząc, że wojska etiopskie będą w stanie wypędzić Związek Sądów Islamskich z Mogadiszu i zapewnić militarne wsparcie popieranemu przez ONZ rządowi tymczasowemu. O ile udało się dokonać pierwszego, to zubożały etiopski rząd nie był zainteresowany wydawaniem pieniędzy na utrzymanie wojsk, które broniłyby interesów przezartej korupcją tymczasowej władzy w Somalii. Po paru tygodniach od zakończenia walk etiopscy oficjele zadeklarowali, że zrealizowali założone cele wojskowe, i rozpoczęli publicznie przebąkiwać o wycofaniu się z okupowanego kraju.

Etiopska armia prowadziła krwawą i bezkompromisową kampanię przeciwko znienawidzonemu wrogowi. Podczas starć w miastach artyleria strzelała prosto w zatłoczone place targowe i gęsto zaludnione osiedla, zabijając tysiące ludzi. Dyscyplina w szeregach poluzowała się na tyle, że żołnierze dopuszczali się kradzieży i zbiorowych gwałtów. Pewien młody człowiek, przepytany przez organizację Human Rights Watch, opowiedział, jak Etiopczycy zabili jego ojca, a potem zgwałcili matkę i siostry.

Okupacja okazała się znakomitą okazją dla Asz-Szabab; ugrupowanie rosło w siłę i wcielało w swoje szeregi coraz to nowych chętnych. Partyzanci zaminowywali drogi i korzystali z innych taktyk wojny podjazdowej, które do perfekcji rozwinięto w Iraku i Afganistanie. Do Asz-Szabab przyłączali się też rekruci napływający z Maroka i Algierii.

Znaleźli się również chętni z Minnesoty. Niedługo po wkroczeniu wojsk etiopskich na terytorium Somalii dwudziestu amerykańskich studentów z dzielnicy Małe Mogadiszu w Minneapolis wsiadło do samolotu i poleciało do Afryki, aby stać się częścią dżihadu przeciwko chrześcijańskim najeźdźcom. Pośród nich był Shirwa Ahmed, były uczeń szkoły policealnej, który uwielbiał koszykówkę. Imał się różnych zajęć, a w wolnych chwilach uczył się na pamięć tekstów rapowych piosenek. Inwazja Etiopii rozwścieczyła go tak bardzo, że przedostał się do Rogu Afryki, gdzie dołączył do Asz-Szabab.

Następnego roku, w październiku, wjechał wyładowanym materiałami wybuchowymi samochodem w rządowy budynek w regionie Puntland w północnej Somalii. Był pierwszym amerykańskim zamachowcem samobójcą.

Rozdział dziewiąty

BAZA

*„W dzikich gąszczach luster. A co zrobi pająk?
Czy przerwie swoją pracę, czy wolek zbożowy
Będzie zwlekać?”*

T.S. Eliot, *Gerontion*^[14]

Art Keller szybko zrozumiał, na czym polega pierwsza zasada obowiązująca oficera CIA stacjonującego w Pakistanie: z każdym dniem spędzonym w tym kraju wiesz mniej, niż wiedziałeś wczoraj. Zanim twoja służba dobiegnie końca, nie wiesz już nic.

Mniej więcej w połowie 2006 roku, kiedy helikopter z Kellerem na pokładzie wylądował w bazie CIA niedaleko miasta Wana, leżącego na terytoriach plemiennych Waziristanu Południowego, operacje wywiadowcze w Pakistanie były XXI-wieczną wersją „dzikich gąszczów luster” Jamesa Jesusa Angletona. Ten legendarny i bezwzględny szef kontrwywiadu w CIA sparafrazował ukochanego T.S. Eliota, aby opisać oszustwa, podstępny i rozdarcie służb wywiadowczych w czasach zimnej wojny. Kilkadziesiąt lat później gry szpiegowskie w Pakistanie miały podobne, doprowadzające swoich uczestników do szaleństwa reguły.

Keller, mężczyzna o twarzy chłopca, nie był typowym agentem, jednym z tych, których rzucano się w sam środek pakistańskich gór, gdy Al-Kaida przygotowywała grunt pod nową bazę. Nigdy wcześniej nie postawił w tym kraju stopy, nie mówił żadnym z lokalnych języków, a jego specjalizacja – irański program raketowy – w Pakistanie na niewiele mu się zdała. Oficerowie z doświadczeniem zdobytym na Środkowym Wschodzie zajęci byli jednak wojną w Iraku. Dlatego tajne służby rozpaczliwie potrzebowały nowych ludzi.

Kiedy Art Keller zgłosił się na ochotnika do służby w Afganistanie, przydzielono go do Pakistanu, co skomentował w ten sposób: – Idealną osobą na moje stanowisko byłby ktoś potrafiący mówić w dari, urdu lub paszto, posiadający lata doświadczeń i znający cel. Ale dostali mnie.

Keller wstąpił do CIA w 1999 roku, po dekadzie spędzonej w wojsku, college’u i jednej z redakcji prasowych. Ukończył szkołę średnią jako młody, zainteresowany sprawami międzynarodowymi człowiek bez konkretnego pomysłu na swoją przyszłość. Do armii wstąpił na początku lat dziewięćdziesiątych – miał niezachwianą pewność, że będzie to pozbawiony ryzyka sposób na opłacenie college’u. – Osiemnaście miesięcy później siedziałem w samym środku pustyni, zastanawiając się, jakim cudem się tu znalazłem – wspominał.

Nie odegrał zbyt dużej roli w operacji „Pustynna burza”, w trakcie której szybko udało

się wypędzić irackie wojska z Kuwejtu. Został przydzielony do ekipy zajmującej się konserwacją sprzętu spadochroniarskiego, lecz nie było zapotrzebowania na jego usługi, bo nie została przeprowadzona żadna misja desantowa. Jego jednostka została przeniesiona w głąb pustyni z rozkazem pełnienia straży w bazie logistycznej zaopatrującej oddziały pancerne.

Po opuszczeniu armii dostał się na Uniwersytet Arizony Północnej i zdecydował, że albo zostanie reporterem, albo wstąpi do CIA. Rozpoczął pracę w dziale sportowym „The Arizona Republic” i kiedy miał zostać przeniesiony do działu politycznego, skontaktowała się z nim CIA – jego podanie zostało przyjęte.

Przydzielono go do sekcji zajmującej się problemem rozprzestrzeniania broni masowego rażenia. Został wysłany do Wiednia, gdzie mieściła się siedziba Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Oficerowie CIA stacjonujący w austriackiej stolicy chcieli umieścić kogoś wewnątrz MAEA, żeby mieć wgląd w decyzje zapadające na jej tajnych obradach. Po atakach z 11 września CIA zaczęła też karmić MAEA swoimi danymi wywiadowczymi, żeby „pomóc” międzynarodowemu organowi podjąć decyzję w sprawie sankcji wobec reżimu irańskiego, irackiego i północnokoreańskiego.

Keller posiadał dogłębną wiedzę na temat badań Teheranu nad raketami balistycznymi. Jednak Iran nie znajdował się w tym czasie na szczycie listy zmartwień CIA. Latem 2002 roku szef Kellera w Wiedniu wrócił ze spotkania w Langley i zwołał swoich oficerów. – Słyszeliście może plotki o inwazji na Irak? – zaczął. – Wiedźcie, że w kwaterze głównej mówią różne dziwne rzeczy, bo są pod nieustanną presją usprawiedliwiania swoich działań. Pamiętacie scenę z *Okreću*, w której U-boot znajduje się blisko dna oceanu, a z burt wystrzelują nity? Tak to teraz wygląda w Langley.

Keller już po niesławnej inwazji dwukrotnie wyjeżdżał na krótko do Iraku, w tym raz jako członek Irackiej Grupy Studyjnej, kierowanej przez CIA ekipy szukającej broni masowego rażenia. 2003 i 2004 rok spędził na tułaniu się po leżących na pustyni kompleksach, gdzie miała znajdować się nieistniejąca chemiczna i biologiczna broń Saddama Husajna. Dość wcześnie Keller zorientował się, że to daremne wysiłki, bo iraccy naukowcy mieli wszelkie powody, aby wskazać miejsce składowania broni – za co CIA nagradzała pieniędzmi, a nawet przeprowadzką – ale upierali się, że o niczym nie wiedzą. Mimo to przepytywano tych samych uczonych dwu- albo i trzykrotnie, żeby podbić statystyki – Langley mogło się przynajmniej chwalić liczbą prowadzonych przesłuchań. Pozwoliło to prezydentowi Bushowi i wiceprezydentowi Cheneyowi mówić publicznie, że łowy w Iraku trwają.

Pokryta kurzem baza CIA w Waziristanie Południowym, gdzie Keller skierowany został w 2006 roku, znajdowała się w tym samym mieście, które pakistańskie wojsko ostrzelało z artylerii i śmigłowców podczas walk z siłami Neka Muhammada dwa lata wcześniej. A także blisko medresy w Szakai, gdzie rządowe oddziały zgodziły się na zawieszenie broni.

Gdy Keller dotarł na miejsce, akurat zawarto kolejne kruche porozumienie pokojowe. Tym razem negocjował je z pakistańskim wojskiem Bajtullah Mehsud, młody przywódca partyzantów, który uniósł w górę krwawą flagę wyjętą z ręki zabitego w 2004 roku

w ataku drona Neka Muhammada. Mehsud nigdy nie trzymał się postanowień traktatu i wykorzystał chwilowe zawieszenie broni do umocnienia swoich pozycji oraz planowania podjazdowych ataków na swoich przeciwników. Dowództwo pakistańskie w 2006 roku nie chciało już dłużej angażować się w walkę na terytoriach plemiennych, więc kiedy Art Keller pojawił się w Wanie, miejscowi żołnierze nie patrzyli przychylnym okiem na szpiega, który przyjechał do ich kraju wkładać kij w mrowisko.

Relacje pomiędzy oficerami CIA i ISI w Waziristanie Południowym uległy znacznemu pogorszeniu. Po przybyciu tam Keller szybko zorientował się, że są one w oplakany stanie. W lokalne sprawy wprowadzał go człowiek, którego miał zastąpić – starszy oficer nazwiskiem Gene. Powiedział Kellerowi, że pakistańskie oddziały rzadko wypuszczają się na patrole, a większość czasu spędzają w swoich barakach. Nieważne, jak mocno się ich ciśnie, mówił, tutejsze wojsko i szpiegowie nie mają zamiaru zmieniać układu sił w miniaturowym państewku, które Bajtullah Mehsud budował w tym regionie.

Mehsud, w odróżnieniu od Neka Muhammada, nie pchał się do mediów. Udzielił jedynie paru wywiadów i zgodnie z tradycją islamską nie pozwolił się fotografować. Nie miał praktycznie żadnego formalnego wykształcenia i nie uczył się zbyt długo na lekcje w medresie. Ale i tak w 2006 roku z powodzeniem dowodził lojalnym mu pięcioletnim oddziałem. Nie uznawał sprzeciwu, za każdym dezercerem wysyłał pościg i skazywał na śmierć. Pojawiły się nawet podejrzenia, że aby przejąć władzę w Waziristanie Południowym, pomógł pakistańskiemu wojsku złapać swojego dawnego mentora Abdullaha Mehsuda, jednonogiego bojownika zwolnionego przez Stany Zjednoczone z Guantanamo w 2004 roku. Kiedy pakistańskie oddziały otoczyły dom Abdullaha w Beludzystanie, przycisnął on granat do piersi i wyciągnął zawleczkę.

Bajtullah znacząco urósł w siłę, kiedy kilka pomniejszych grup militarnych zebrało się pod wspólnym szyldem Tehrik-i-Taliban Pakistan (powszechnie nazywano ich po prostu pakistańskimi talibami) i na swojego przywódcę wybrało właśnie jego. Nowa grupa – inaczej niż afgańscy talibowie pod wodzą mułły Omara, mającego ciche wsparcie ISI – zamierzała przegonić pakistańskich żołnierzy i szpiegów z terytoriów plemiennych. Mieli krwawą kartę przetargową w postaci samobójców, którzy dokonali zamachów w Islamabadzie, Karaczi i innych miastach. Nazywano tę taktykę „dżihadem obronnym”, próbą działań defensywnych mających na celu ochronę kultury plemiennej przed niszczyielskimi działaniami pakistańskiej armii uważanej za najeźdźcę.

Grupa nie miała zbyt wielu kontaktów i sojuszników poza granicami terytoriów plemiennych, ale w 2006 roku było jasne, kto trzęsie Waną. Poplecznicy Bajtullaha Mehsuda wprowadzali rządy twardej ręki w Waziristanie Południowym, jeżdżąc po okolicy i zabijając przywódców innych plemion podejrzanych o współpracę z Amerykanami lub pakistańskim rządem. Złodziei wieszano na ulicach, cudzołożników kamienowano, zaś handlarze sprzedawali na straganach przerażające płyty DVD w urdu z dekapitacją pakistańskich zwiadowców. Filmy te były po części propagandą, a po części miały zastraszyć wojskowych, przekazać im ostrzeżenie – macie siedzieć cicho w koszarach i nie wtrącać się w plemienne sprawy. Bajtullah Mehsud zmusił nawet lokalnych fryzjerów do umieszczenia w witrynach informacji, że skoro prawo szariatu

zabrania golenia zarostu, więc podobne usługi nie będą już świadczone. Kto się nie dostosował, podpalano mu zakład. Inne zalecenia nowej władzy były bardziej prozaiczne: do bazy CIA w Wanie paliwo dostarczano jedynie co dwa tygodnie, tylko w te dni, kiedy bojownicy pozwalali pakistańskiej armii korzystać z dróg dojazdowych.

Biuro CIA mieściło się w budynku znajdującym się wewnątrz pakistańskiej bazy wojskowej pod Waną. Amerykańskiej placówki pilnował niewielki oddział komandosów, ale Keller szybko zorientował się, że żołnierze pełnią raczej funkcję strażników więziennych niż ochroniarzy. Oficerom CIA nie pozwalano bowiem opuszczać bazy.

Placówka składała się z paru niewielkich pokoików, w których Amerykanie jedli, spali i komunikowali się ze swoimi szefami za pomocą radia z funkcją kodowania oraz komputerów. Niewielka baza z powodu nieszczelnej kanalizacji śmierdziała fekaliami, zaś odpadający z sufitu tynk zalegał wszędzie: na łózkach, naczyniach, sprzęcie. Gene próbował namówić szefów placówki w Islamabadzie, żeby wyłożyli pieniądze na kort do squasha. Biorąc pod uwagę popularność tego sportu wśród pakistańskich żołnierzy, udawał, inwestycja mogłaby pomóc oficerom CIA w nawiązaniu lepszych stosunków z wojskowymi. Prośbę odrzucono.

Osobiste relacje Kellera z jego odpowiednikiem w ISI od początku nie układały się zbyt dobrze. Również z powodu numeru, jaki wywinął mu Gene tuż przed wyjazdem z Waziristanu Południowego. W dzień wylotu z Wany wręczył Kellerowi kartkę zapisaną w urdu i poprosił o przekazanie jej oficerowi ISI. Keller nie miał pojęcia, co napisał Gene, i wręczył notatkę Pakistańczykowi. Mężczyzna należał do plemienia Chattak i nie spodobało mu się to, co przeczytał. Przetłumaczył Kellerowi napisane przez Gene'a zdanie: „Nie ufaj pierdolonemu Chattakowi”. – Gene uważał, że to było cholernie zabawne – wspomina Keller. – Dzięki, Gene.

Ze względu na nieufność panującą pomiędzy Amerykanami a Pakistańczykami stacjonującymi w Wanie większość operacji wywiadowczych w Waziristanie Południowym, w jakich brał udział Keller, odbywała się bez zgody ISI. Gene przekazał mu nazwiska oraz dane kontaktowe pakistańskich agentów, których CIA zdążyła zwerbować – cała regionalna siatka została przekazana Kellerowi. Lecz białemu amerykańskiemu szpiegowi niełatwo było kierować pakistańskimi agentami, omijając czujne oko ISI. Informatorzy nie mogli przychodzić do bazy CIA, bo zostaliby zauważeni lub wręcz aresztowani, zaś każda próba Kellera, żeby wydostać się z kompleksu, była niezwykle ryzykowna.

Oficerowie CIA po drugiej stronie granicy, w Afganistanie, mieli znacznie łatwiejszą pracę. Do 2006 roku Agencja założyła w Afganistanie kilka niewielkich baz w miastach takich jak Chost i Asadabad, skąd wysyłano ludzi do Pakistanu, by zbierali informacje na terytoriach plemiennych. Amerykanie mogli spotykać się w bazie albo w którymś z sąsiednich miast. CIA zaczęła wysyłać do baz w Afganistanie nawet analityków z Langley. Mieli rozkaz przekopywania się przez informacje pozyskane od informatorów oraz uzupełnienie ich o dane zebrane za pomocą satelitów i stacji podsłuchowych. W ten sposób próbowano określić pozycję bojowników w Bajaurze i Waziristanie.

Trzy lata później w Camp Chapman w Chost doszło do tragicznego w skutkach spotkania ludzi z CIA z mężczyzną, którego uważano za wiernego agenta.

W rzeczywistości pracował on dla islamskich bojowników. W wyniku wybuchu bomby zginęło siedmiu pracowników CIA. Był to najczarniejszy dzień w historii Agencji od czasu ataku na amerykańską ambasadę w Bejrucie w 1983 roku.

Tymczasem Keller nie miał możliwości zorganizowania spotkania ze swoimi informatorami. Utrzymywał z nimi kontakt za pośrednictwem komputera i skomplikowanej siatki pośredników. Przez cały czas pobytu w Waziristanie Południowym nie miał więc bezpośredniej styczności ze swoimi źródłami. Porównał to do przeżyć zachodnich reporterów w Bagdadzie podczas najczarniejszych dni wojny irackiej – nie mogli swobodnie chodzić po ulicach, a informacje zbierali przez osoby trzecie.

Keller słał wiadomości do informatyków CIA, którzy zajmowali się ich kodowaniem i przesyłali je dalej, do pakistańskiego agenta posiadającego wyspecjalizowany sprzęt do odczytywania zaszyfrowanych transmisji. Pakistańczyk dostawał wypłatę w wysokości kilkuset dolarów miesięcznie, lecz część z tych pieniędzy szła na zatrudnianie innych agentów (czy też „podagentów”) zajmujących się rozpracowywaniem kolejnych posunięć Al-Kaidy w Waziristanie Południowym. Podagenci nie wiedzieli, dla kogo pracują, i prawdopodobnie myśleli, że pieniądze dla nich pochodzą z ISI. Czasem od podagenta najbliższego obserwowanemu celowi dzieliło Kellera trzech lub czterech pośredników.

Podczas jego służby w Waziristanie Południowym głównym celem CIA był egipski chemik o pseudonimie Abu Chabab al-Masri. Należał do kręgu ben Ladena i dowodził obozem szkoleniowym Derunta, gdzie eksperymentowano z bronią chemiczną i truciznami. Sądono, że ukrywa się w Waziristanie Południowym. Stany Zjednoczone wyznaczyły za jego głowę pięć milionów dolarów nagrody. CIA nie miała jednak pojęcia, jak al-Masri wygląda, i na początku 2006 roku przyznała, że korzystała w listach gończych z niewłaściwej fotografii. Zdjęcie zostało zastąpione czarnym zarysem sylwetki.

Nie mając zbyt wielu tropów, oficerowie CIA w Waziristanie Południowym często musieli polegać na niesprawdzonych informacjach z niepewnych źródeł. Któregoś dnia Keller otrzymał cynk, że al-Masri zwykł odwiedzać jeden ze sklepów na bazarze w Wanie. Keller poprosił pakistańskiego informatora o zatrudnienie mieszkającego w okolicy podagenta, który będzie miał pretekst, by odwiedzać ów lokal. Postanowiono postawić przed sklepem czujkę i w ten sposób ustalić, czy al-Masri faktycznie jest tam regularnym „klientem”. A potem spróbować zrobić mu zdjęcie. Ostatecznie zdecydowano się na instalację sprzętu inwigilacyjnego, by podpatrzeć, kim jest kontakt al-Masriego.

Keller nigdy nie dowiedział się, czy operacja przyniosła efekty. Oficerowie w poszczególnych bazach nie wiedzieli, co robią ich koledzy z Agencji nawet w miastach oddalonych zaledwie o kilkanaście kilometrów. Nie mieli też dostępu do komunikatów o sytuacji w innych częściach kraju. Keller widział więc Pakistan z zabiej perspektywy i pokornie słał raporty wywiadowcze do analityków w Islamabadzie. Stanowiły one jeden z wielu elementów mozaiki.

Doprowadziło to do sytuacji, w której łatwo było o fałszywe informacje. Pewnego dnia podagent Kellera puścił w obieg wiadomość, jakoby widziano Osamę ben Ladena w dolinie Dir w Północno-Zachodniej Prowincji Granicznej. Keller wysłał newsa

do Islamabadu z sugestią, by CIA posłała tam agenta, który mógłby zbadać sprawę.

Po jego odebraniu szef placówki w Islamabadzie nie posiadał się ze złości. Ben Laden był jak Elvis – widziano go wszędzie, a wieści o tym docierały aż do Langley. Oficerowie CIA w Pakistanie zmuszeni byli sprawdzać każdą informację, każdą plotkę o ben Ladenie, łącznie z tą o dolinie Dir. A jak się okazało, pochodziła ona sprzed kilku miesięcy. Posterunek w Islamabadzie musiał długo tłumaczyć ludziom z kwatery głównej, że meldunek Kellera jest nieaktualny i powinien zostać zignorowany. W konsekwencji szef stacji osobiście polecał do Wany, by zganić Kellera – uznał, że jest to warte nieprzyjemnej podróży. – Dużo czasu zajęło im zdławienie tej plotki – wspominał Keller – a kiedy już zdołali przebić ją kolkiem, ja wskrzesiłem całą sprawę jak wampira.

Keller nie wiedział, że był jedynie częścią większej kampanii prowadzonej od 2006 roku przez CIA. Miała ona zmienić oblicze obławy na Osamę ben Ladena. Kluczem było znaczące zwiększenie liczby agentów w Pakistanie i Afganistanie. Dla starszyny z Langley było boleśnie oczywiste, że wojna w Iraku pochłania zbyt dużo uwagi. Cierpi na tym polowanie na Al-Kaidę. Ale i bez Iraku pościg za ben Ladenem stwarzał wiele trudności w samej Agencji. Tajniacy stacjonujący w Pakistanie nieustannie ścierali się z pracownikami Centrum Antyterrorystycznego, których zamiłowanie do dronów było obiektem drwin. Koledzy z Islamabadu nazywali ich „chłopaczkami od zabawek”. Szef placówki w Islamabadzie uważał, że ataki przeprowadzone z użyciem dronów w latach 2005–2006 (choć wcale nie tak częste, oparte były na niesprawdzonych informacjach, w wyniku czego ginęli cywile) skutkowały jedynie kolejnymi aktami nienawiści wobec Stanów Zjednoczonych. To z kolei stawiało pakistańskich oficjeli, zmuszonych kłamać na temat tych operacji, w niewygodnej sytuacji^[15].

W kwaterze głównej również wrzało. Informacje o bitwach toczonych pomiędzy członkami Dyrektoriatu Operacyjnego – który nadzorował działania szpiegowskie w terenie – i ludźmi Portera Gossa wyciekły do prasy. Dyktoriat musiał też stale wojować z pozostałymi sekcjami Agencji. Porter Goss w drugiej połowie 2005 roku zwołał luźne spotkanie starszych stopniem oficerów, co miało rozładować napięcie wśród kadry dowodzącej. Podczas zebrania zastępca dyrektora CIA do spraw wywiadu (szef analityków odpowiedzialnych za składanie do kupy nadsyłanych raportów) otwarcie skrytykował arogancję tajnych agentów, którzy sądzili, że wszystko ujdzie im na sucho i mogą robić, co im się żywnie podoba. Jose Rodriguez, szef komórki operacyjnej, nie wytrzymał. – Obudź się wreszcie i się, kurwa, ogarnij! – krzyczał, przypominając zgromadzonym, że w przeciwieństwie do analityków, którzy oglądali świat zza swoich biur, tajni agenci pracowali „na krawędzi”.

Porywczosć Rodrigueza niekiedy prowokowała niepotrzebne starcia nawet wśród tajniaków. Do 2006 roku zdążył tak popsuć swoje stosunki z Robertem Grenierem – którego wcześniej osadził na stołku szefa Centrum Antyterrorystycznego – że prawie z nim nie rozmawiał. Grenier, były szef placówki w Islamabadzie, był pod wieloma względami antytezą Rodrigueza. Nalegał na poszerzenie pola działań antyterrorystycznych poza Afganistan i Pakistan, nakazując oficerom skupić się na zagrożeniach płynących z miejsc takich jak Azja Południowo-Wschodnia czy Afryka

Północna. Biorąc pod uwagę ekspansję Centrum Antyterrorystycznego dokonującą się od 2001 roku, Grenier sądził, że czas na jego restrukturyzację i pozbycie się zbędnej kadry. Podobnie zreorganizowano i zmieniono nazwę utworzonej jeszcze w latach dziewięćdziesiątych „Alec Station” – jednostki CIA zajmującej się obławą na ben Ladena.

Rodriguez sądził, że to wszystko pozorne ruchy, odwracające tylko uwagę od polowania na szefa Al-Kaidy. Dlatego też zastąpił Greniera innym oficerem, pracownikiem Centrum Antyterrorystycznego, nałogowym palaczem i wymizerowanym pracoholikiem imieniem Mike^[16]. Spędził on niemal cały wczesny etap swojej kariery jako tajny agent w Afryce i nawrócił się na islam. Nosił zawsze odcienie szarości i czerni, zaś jego postawa znakomicie korespondowała z ubiorem. Niektórzy nazywali go „Księciem Ciemności”. To właśnie ten człowiek miał stanąć na czele największej zabójczej operacji CIA od czasu wojny wietnamskiej.

Kiedy Mike objął swoje stanowisko w 2006 roku, jego pierwszą misją było naszkicowanie planu wsparcia agentów w Afganistanie i Pakistanie, wyeliminowanie sprzeczek pomiędzy pracownikami stacji w Kabulu i Islamabadzie oraz reorganizacja pracy personelu w siedzibie Agencji. Zaraz obok głównej kawiarni w Langley, za Starbucksem, wzniesiono gigantyczne budowle przypominające baraki z blachy falistej. Zakwaterowano tam pęczniącą ekipę zajmującą się polowaniem na ben Ladena. W ramach misji nazwanej operacją „Armatnia kula” kilkudziesięciu analityków zostało wysłanych do Kabulu i Islamabadu. Sparowani z oficerami prowadzącymi mieli podążać tropami wiodącymi – przynajmniej potencjalnie – do przywódców Al-Kaidy.

Ważniejszy był jednak fakt, że CIA wysłała w teren jeszcze więcej tajniaków (jednym z nich był właśnie Art Keller), którzy mieli pozyskać źródła informacji niezależne od Pakistańczyków z ISI. Nie było łatwo. Z powodu trwającej w Afganistanie wojny stosunkowo proste było sprowadzanie do Kabulu nowych oficerów. Problemem był jednak Pakistan, gdzie oficerowie ISI monitorowali liczbę aplikacji wizowych, które składali amerykańscy oficjele, i tym samym mieli oko na ewentualnych agentów. Langley musiało więc wymyślać coraz to nowe przykrywki dla swoich ludzi przierzucanych do Pakistanu.

Okazja nadarzyła się 8 października 2005 roku, kiedy o poranku potężne trzęsienie wstrząsnęło górami Kaszmiru i zrównało z ziemią miasto Muzaffarabad. Ucierpiał wtedy cały północny Pakistan. Pierwsze szacunki mówiły o dziewięćdziesięciu tysiącach zabitych, w tym dziewiętnastu tysiącach dzieci, które zginęły po gruzami walących się szkół. Do pakistańskiego Kaszmiru napływały miliony dolarów międzynarodowej pomocy, a wraz z nimi, w ramach misji humanitarnej, sznur amerykańskich śmigłowców bojowych. Helikoptery Chinook, które widywano na kaszmirskim niebie, miejscowi nazywali w swoim dialekcie „aniołami miłosierdzia”.

Lecz Amerykanie nie wysłali śmigłowców jedynie z dobroci serca. Kilka miesięcy po trzęsieniu ziemi CIA skorzystała z sytuacji w Kaszmirze do przeczucenia w głąb kraju tajnych agentów bez wiedzy ISI. Mieli papiery potwierdzające, że są inżynierami i pracownikami organizacji charytatywnych. Oficerowie ISI podejrzewali co prawda, że misja humanitarna może zostać wykorzystana przez CIA w ten właśnie sposób, ale

w obliczu skali zniszczeń i palącej potrzeby pomocy z Zachodu pakistańskie wojsko i wywiad nie mogły pozwolić sobie na kwestionowanie przedstawianych im na granicy dokumentów. Jeden z wyższych stopniem byłych oficjeli z Langley ocenia, że w trakcie operacji „Armatnia kula” liczba tajnych agentów w Pakistanie wzrosła jedynie o 10–20 procent, minęło więc kilka lat, zanim operacja zaczęła przynosić realne efekty. CIA nie mogła jednak zalać Pakistanu swoimi szpiegami – to doprowadziłoby do kontrwywiadowczej ofensywy ISI. Poza tym Agencja po prostu nie miała do dyspozycji dostatecznej liczby oficerów przygotowanych do służby w Pakistanie i Afganistanie. Szefostwo w Langley potrzebowało nowych ludzi tak rozpaczliwie, że wysyłało w teren zupełnie niedoświadczonych agentów, którzy ledwo co ukończyli szkolenie na „Farmie”. – Musieliśmy sięgać po ludzi bez żadnego doświadczenia – wspomina jeden z agentów uczestniczących w operacji – ale nie mieliśmy z czego wybierać.

Jednym z elementów reorganizacji obławy na Osamę ben Ladena była próba spenetrowania siatki kurierów, która przekazywała informacje od szefa Al-Kaidy jego poplecznikom. CIA udało się w końcu zdobyć szczątkowe informacje na temat ulubionych „listonoszy” ben Ladena. To wystarczyło, żeby Agencja mogła rozszerzyć swoją wiedzę na temat siatki Al-Kaidy w Pakistanie, zwłaszcza na niższych poziomach jej funkcjonowania.

Wiosną 2006 roku nowym szefem CIA został generał Michael Hayden. Zastąpił Portera Gossa i wkrótce ogłosił: „Agencji udało się poznać mechanizmy działania Al-Kaidy i zdobyć dane o organizacji, jakich nie udało się zebrać od 2001 roku. Jesteśmy na etapie zabezpieczania naszych nowych źródeł informacji”.

Niedługo po wizycie Haydena w Pakistanie w sierpniu 2006 roku CIA i ISI zorganizowały wspólną operację. Jej celem był Raszid Rauf, architekt terrorystycznego planu zakładającego wysadzenie kilku samolotów startujących z Londynu i lecących nad Atlantykiem. Materiał wybuchowy miał być wstrzyknięty do butelek z napojami. Rauf uknuł ten plan, kryjąc się na terytoriach plemiennych, skąd przekazywał informacje swoim ludziom w Zjednoczonym Królestwie, którzy mieli zająć się jego realizacją. Zamach przygotowywano wiele lat, więc w końcu spiskowcy stali się nieostrożni. Brytyjskiemu MI5 udało się odpowiednio wcześniej wziąć grupę pod obserwację i dzięki podsłuchom kontrolować każdy kolejny krok zamachowców.

Gdy ISI dowiedziało się o planowanym ataku, jej szef generał Kajani powiadomił Jose Rodrigueza, że jego ludzie są gotowi do przechwycenia Raufa. Miało to nastąpić, kiedy jechał autobusem z terytoriów plemiennych do miasta Bahawalpur w Pendźabie. Rodriguez, który przebywał akurat w Islamabadzie, rozkazał oficerom CIA założyć punkt obserwacyjny nieopodal Bahawalpuru. Mieli stamtąd podsłuchiwać rozmowy telefoniczne prowadzone przez Raufa i przekazać pozyskane w ten sposób informacje pakistańskim agentom, którzy dokonają aresztowania.

MI5 kipiło ze złości. Pojmanie Raufa zaalarmowałoby jego współników w Wielkiej Brytanii. Tamtejsi agenci nie ufali ISI, a ich wzajemne animozje sięgały czasów brytyjskich rządów w Indiach, jeszcze przed narodzinami Pakistanu jako osobnego państwa.

Brytyjczycy nie mieli wyjścia: musieli zatrzymać dwudziestu pięciu niedoszłych zamachowców, żałując, że nie było czasu na zebranie większej liczby dowodów przed postawieniem ich w stan oskarżenia. Ale i tak odkrycie spisku z sierpnia 2006 roku było wymiernym sukcesem, choć nie przybliżyło CIA do pojmania ben Ladena. Obława na szefa Al-Kaidy wciąż przypominała gonitwę za cieniem – misję komplikowały błędne informacje i niewystarczająca liczba zaangażowanych w nią ludzi. Na przykład jeszcze przed namierzeniem głównego kuriera ben Ladena Abu Ahmeda al-Kuwaitiego przez pakistańskich agentów pracujących dla CIA (ukrywał się w rezydencji w mieście Abbottabad, gdzie przebywał również, jak się potem okazało, ben Laden) wydawało się, że jest on zaledwie pionkiem. Chalid Szejk Muhammad, człowiek, który zaplanował ataki z 11 września, powiedział przesłuchującym go funkcjonariuszom, że al-Kuwaiti w ogóle wycofał się z aktywnych działań. Pojawiły się jednak wątpliwości co do wiarygodności jego zeznań – był przecież jednym z zatrzymanych poddanych brutalnym technikom przesłuchań, łącznie z waterboardingiem. Rok później inny aresztowany przekonał przesłuchujących, że al-Kuwaiti to w istocie główny kurier ben Ladena. Potwierdziły to jeszcze inne źródła.

Jednak choć CIA sprowadziła do Pakistanu nowych oficerów, nie miała sił ani środków, żeby podążać za każdym tropem, który pojawiał się w sprawie wroga Ameryki numer jeden. Poza tym ograniczenia narzucone Agencji przez ISI dotyczące instalacji urządzeń obserwacyjnych i podsłuchowych nastęrczały amerykańskim agentom dodatkowych trudności.

Podczas służby w Waziristanie Południowym Art Keller zaczął gromadzić informacje na temat domniemanego współpracownika terrorystów Hadżego Omara. Był on właścicielem czterech domów w rejonie, gdzie często widywano bojowników Al-Kaidy. Keller wysłał do Islamabadu prośbę o wsparcie lotnicze. Chciał wiedzieć, co się w domach Hadżego Omara dzieje, a nie miał wystarczającej liczby agentów, żeby rozpocząć – skądinąd ryzykowną – obserwację. „Jest on – pisał o Omarze – elementem sieci logistycznej Al-Kaidy, może nawet kurierem, którego szukamy”. Jednak ISI, z uwagi na panujący w Waziristanie Południowym rozejm, odmówiło zezwolenia na loty predatora.

To, w jaki sposób prowadzono dziwną wojnę w Waziristanie Południowym, pozwoliło Kellerowi zorientować się, jak pracuje bizantyjski aparat ISI. Poszczególne komórki pakistańskiego wywiadu działały zupełnie niezależnie od siebie. Agenci odpowiedzialnego za operacje antyterrorystyczne Dyrektoriatu C (wśród nich Asad Munir w czasach, gdy był szefem placówki w Peszawarze) często pomagali oficerom CIA w polowaniu na ludzi Al-Kaidy. Jednak równie często ścierali się z funkcjonariuszami Dyrektoriatu S, który od dawna wspierał talibów, siatkę Hakkaniego i organizację Laszkar-e Taiba, w których Pakistan widział narzędzia ewentualnej wojny zastępczej z Indiami. To właśnie Dyrektoriat S zbroił mudżahedinów podczas wojny z Sowiecami w Afganistanie i pomógł umocnić talibską władzę w latach dziewięćdziesiątych. Zaś po 2001 roku pilnował, żeby formacjom zwalczającym się wzajemnie na terytorium Afganistanu nie przyszło do głowy eksportować przemocy do Pakistanu.

Nie istniały żadne pisemne notatki na temat Dyrektoriatu S, a CIA, choć

współpracowała z agentami tej sekcji podczas wojny z Sowiecami, miała tylko blade pojęcie o prowadzonych przez nią operacjach. Niektórzy oficerowie CIA przez lata obsesyjnie zbierali ochłapy informacji na temat Dyrektoriatu S. Amerykańscy analitycy zgadzali się co do jednego – od 2001 roku sekcja ta stała się istną strażą przednią ISI i cichym wykonawcą rozkazu podtrzymania i wzmocnienia więzi z bojownikami, którzy mogli przydać się Pakistanowi w przyszłości.

Kwestia tego, czy Dyrektoriat S zlecał ataki na żołnierzy Stanów Zjednoczonych i NATO w Afganistanie, nadal jest otwarta. Nawet jeśli amerykański nasłuch elektroniczny rozciągnięty nad Pakistanem – a ściślej mówiąc nad kwaterą główną ISI – przechwycił rozmowy telefoniczne pomiędzy pakistańskimi agentami a ludźmi Hakkaniego na temat planowanych akcji^[17]. Pakistańscy oficjele przeważnie zaprzeczali podobnym zarzutom, nawet jeśli podparte były dowodami. Czasami tłumaczyli, że to działania nielojalnych jednostek. Jednak po cichu przyznawali, że ISI musi współpracować z ugrupowaniami takimi jak siatka Hakkaniego, by móc chronić zachodnią granicę kraju. W 2008 roku amerykańscy agenci podsłuchali nawet rozmowę, w której generał Kajani mówił o Hakkanim i jego oddziałach jako o „nieodzownym elemencie obronnej strategii Pakistanu”.

– Wielu ludzi w CIA mówiło, że ISI jest niepewnym koalicjantem. Inni zarzekali się, że może nam bardzo pomóc – opowiada Art Keller. – Cóż, problem polegał na tym, że rację mieli i jedni, i drudzy.

Latem 2006 roku stosunki pomiędzy amerykańskimi i pakistańskimi szpiegami w Waziristanie Południowym różniły od tych w Waziristanie Północnym, bowiem rząd Pakistanu nie podpisał tam jeszcze paktu pokojowego z bojownikami. Na Północy CIA i ISI pracowały ramię w ramię, a nawet dzieliły bazę w opuszczonym budynku szkoły w Miranszahu, oddalonym mniej niż o milę od głównej medresy siatki Hakkaniego w mieście. Tamtejsi szpiegzy zebrali informacje, dzięki którym udało się namierzyć kolejnego ważnego człowieka Al-Kaidy – Chalida Habiba.

Gdy obława na Habiba nabrała tempa, Keller został przeniesiony do Waziristanu Północnego. Ale i tak pozostał szefem operacji na południu i nadal kontaktował się ze swoimi źródłami za pośrednictwem komputera i internetu. A więc robił to samo, co w bazie w Wanie, nie miało więc większego znaczenia, gdzie akurat przebywał. Keller i inni oficerowie CIA wysłali predatory do monitorowania konwojów ciężarówek i budynków pod Miranszahem w nadziei na zdobycie informacji wystarczających do przeprowadzenia ataku z powietrza na Chalida Habiba. ISI miało swoje własne dane wywiadowcze uzyskane ze źródeł osobowych, które zestawiono z uzyskanymi za pomocą predatorów i urządzeń podsłuchowych. Jednak współpraca wywiadów miała swoje granice. Kiedy Keller wylądował w Miranszahu, szef bazy udzielił mu pewnej rady: – Nie mów pakistańskiemu wywiadowi wojskowemu niczego, czego nie powiedziałbyś talibom.

Pakistański wywiad wojskowy, jednostka działająca wewnątrz ISI, zdaniem amerykańskich agentów utrzymywała jeszcze bliższe relacje z talibami i siatką Hakkaniego niż Dyrektoriat S. Dowodem miało być wydarzenie poprzedzające o parę tygodni przybycie Kellera do Miranszahu. Ludzie ISI i CIA wkroczyli wtedy do medresy

Hakkaniego. Nie znaleźli jednak żadnych istotnych dowodów ani informacji. Oficerowie CIA dowiedzieli się później ze swoich źródeł, że bojownicy zostali ostrzeżeni o nalocie przez pakistańskie służby specjalne.

Choć podobne incydenty pogłębiały frustrację, Keller doskonale rozumiał, dlaczego Pakistan był ostrożny w sprawie rozmontowania siatki Hakkaniego. Stany Zjednoczone przecież nie zostaną w Afganistanie na zawsze, zaś uczynienie z Hakkaniego wroga mogło skończyć się dla Islamabadu tragicznie. Stosunkowo najlepszy scenariusz przewidywał uwikłanie się w trwającą bez końca wojnę w górach przeciwko grupie, która mogła być przecież użyteczna jako sojusznik we wspólnej walce o osłabienie hinduskich wpływów w Afganistanie. Gorszy scenariusz zakładał, że wojna rozprzestrzeni się na wschód, zaś ludzie Hakkaniego zaatakują pakistański interior.

Pakistańskie wojsko, nieprzyjmujące do wiadomości żadnego z tych scenariuszy, w połowie 2006 roku rozpoczęło negocjacje pokojowe w Waziristanie Północnym – podobne do tych, które prowadzono wcześniej na południu. Keller i jego koledzy z CIA ostrzegli ISI, że rozejm może mieć straszliwe konsekwencje, lecz ich zdanie nie miało większego znaczenia. We wrześniu 2006 roku rząd Pakistanu podpisał zawieszenie broni na północy. Udało się to za sprawą tajnych rozmów prowadzonych przez dobrze znanego Waszyngtonowi generała Alego Jana Aurakzaiego – człowieka, którego po atakach z 11 września prezydent Muszarraf mianował dowódcą wojsk na terytoriach plemiennych i który uważał, że obława na Al-Kaidę w Pakistanie i Afganistanie to głupiego robota.

Aurakzai nie pracował już w wojsku. Muszarraf mianował go gubernatorem Północno-Zachodniej Prowincji Granicznej. Dzięki temu doskonale wiedział, co naprawdę działo się na terytoriach plemiennych. Generał wierzył, że układanie się z bojownikami jest jedynym sposobem na powstrzymanie ich przed wkroczeniem do pakistańskich miast. Korzystając ze swojego wpływu na Muszarrafa, przekonał prezydenta do słuszności zawarcia pokoju w Waziristanie Północnym.

Ale trzeba było jeszcze przekonać Waszyngton. Prezydent Muszarraf zdecydował się zabrać ze sobą do Białego Domu Aurakzaiego. Miał on wytłumaczyć George'owi W. Bushowi korzyści płynące z rozejmu. Obaj mężczyźni zasiedli w Gabinetcie Ovalnym i przedstawili prezydentowi Stanów Zjednoczonych swoją sprawę. Generał powiedział Bushowi, że zawieszenie broni zawarte w Waziristanie Północnym powinno zostać rozszerzone na tereny Afganistanu. To pozwoliłoby amerykańskim wojskom wycofać się z kraju szybciej, niż zamierzały.

Wśród ludzi Busha zdania na ten temat były podzielone. Niektórzy mieli Aurakzaiego za tchórzliwego klakiera, istnego Neville'a Chamberlaine'a terytoriów plemiennych. Inni rozumieli jednak, że nie uda się zapobiec rozejmowi. Sam Bush, którego styl uprawiania dyplomacji polegał w dużej mierze na wchodzeniu w bliski, osobisty kontakt z innymi przywódcami, nawet w 2006 roku obawiał się, że mógłby wymagać od Muszarrafa zbyt wiele. Wciąż był wdzięczny prezydentowi Pakistanu za podjętą przez niego po 11 września decyzję o wsparciu Stanów Zjednoczonych w ich obławie na Al-Kaidę. Nie zmieniły tego stanowiska nawet umiarkowane efekty regularnych rozmów telefonicznych, w trakcie których Bush próbował wywierać nacisk na Muszarrafa, by nie

rezygnował z operacji wojskowych na terytoriach plemiennych.

Bush nieczęsto decydował się na wysuwanie bezpośrednich żądań wobec Muszarrafa. Za to często dziękował mu za jego wkład w wojnę z terroryzmem i zarzekał się, że USA nadal będą finansowo wspierać Pakistan.

Pod koniec 2006 roku wśród prezydenckich doradców panowało przekonanie, że zbyt mocna presja na Muszarrafa sprzyjać będzie realizacji czarnego scenariusza: wybuchnie powstanie przeciwko pakistańskiemu rządowi, a przewodzić mu będą radykalni islamiści. Frustracja wynikająca z trudnej współpracy z Muszarrafem równowazona była obawą, że ta współpraca może się kiedyś w ogóle zakończyć. Sam Muszarraf doskonale grał na tej niepewności. Często przypominał amerykańskim oficjelom, że dzierży władzę w niepewnych rękach i ledwie ocalał z kilku prób zamachów na swoje życie. Jego strategia była całkiem efektywna: zapewniała Pakistanowi stałą pomoc Amerykanów. Z drugiej strony pozwalała opóźniać reakcję na żądania Waszyngtonu, by Muszarraf przeprowadził demokratyczne reformy w swoim kraju.

Ostatecznie rozmowy pokojowe w Waziristanie Północnym zakończyły się katastrofą zarówno dla Busha, jak i dla Muszarrafa. Miranszah został przejęty przez siatkę Hakkaniego, a grupa umocniła swoje kryminalne imperium wzdłuż granicy z Afganistanem. Częścią umowy była obietnica złożona przez ludzi Hakkaniego o zaprzestaniu działań zaczepnych w Afganistanie. Ale po podpisaniu traktatu o zawieszeniu broni liczba wypadków organizowanych przez bojowników, wymierzonych w wojska NATO wzrosła o 300 procent. Podczas konferencji prasowej zwołanej w drugiej połowie 2006 roku prezydent Bush stwierdził, że Al-Kaida jest „w odwrocie”. Tak naprawdę było zupełnie inaczej. Po prostu ludzie Hakkaniego mieli teraz bezpieczną kryjówkę i nie znajdowali powodów, żeby się z niej ruszać.

Arthur Keller wyjechał z Pakistanu jeszcze przed wejściem w życie rozejmu w Waziristanie Północnym – pięciomiesięczny okres jego służby dobiegł końca. Jednak przed wylotem zajął się ostatnią rzeczą, która nie dawała mu spokoju – sprowadzeniem prezentu dla najlepszego pakistańskiego agenta w Waziristanie Południowym, człowieka, którego nigdy nie poznał osobiście. Mężczyzna ten był zagorzałym sportowcem i napisał do Kellera, że CIA z pewnością znajdzie sposób, aby zakupić i dostarczyć amerykański sprzęt sportowy na terytoria plemienne. Po wymianie niezliczonych wiadomości pomiędzy Waną i Langley Agencja nareszcie zgodziła się załadować trochę gadżetów do samolotu lecącego do Pakistanu. Wpakowano je do luku razem z poufnymi przesyłkami przeznaczonymi dla amerykańskiej ambasady w Islamabadzie.

Dwa lata później, po podpisaniu przez prezydenta Busha tajnego rozkazu nakazującego eskalację tajnych działań CIA w Pakistanie, Abu Chabab al-Masri został zabity podczas ataku z użyciem drona w Waziristanie Południowym, zaledwie kilkanaście kilometrów od bazy Agencji w Wanie. Po trzech miesiącach inna rakietka, również wystrzelona z drona, trafiła prosto w zaparkowaną w wiosce Taparghai toyotę kombi, w której siedział Chalid Habib. Art Keller przebywał już wówczas w Stanach Zjednoczonych. Zakończył swoją pracę w CIA i mieszkał w Albuquerque. Kiedy usłyszał te wieści, nie miał pojęcia, czy wykonana przez niego w Pakistanie w 2006 roku praca przyczyniła się w jakikolwiek sposób do znalezienia obu mężczyzn.

Zapewne nigdy się tego nie dowie.

Rozdział dziesiąty

GRY BEZ GRANIC

„Potężny wurlitzer”

Frank Wisner

O ile opinię publiczną zawsze interesowali agenci wymachujący bronią, inspirowane przez nich przewroty wojskowe oraz zamachy, większa część budżetu CIA przeznaczonego na tajne operacje szła w czasach zimnej wojny na znacznie subtelniejsze działania. Wojna propagandowa i wojna psychologiczna – poczynając od ustawiania za pomocą łapówek wyborów w Europie po II wojnie światowej po założenie i finansowanie stacji radiowych nadających dla państw bloku wschodniego i Azji Południowo-Wschodniej – to klucz do powodzenia antykomunistycznej krucjaty prowadzonej przez Agencję.

Frank Wisner, weteran Biura Służb Strategicznych, który po powstaniu CIA objął stanowisko szefa tajnych operacji, mawiał, że misje propagandowe muszą być prowadzone przez sprawną, dojrzałą organizację, która będzie potrafiła zająć się kilkoma kampaniami naraz. Będzie „potężnym wurlitzerem” [to nazwa wieloklawiaturowych organów instalowanych w niemych kinach – przyp. red.] wygrywającym bojowe nuty w czasach konfliktu idei.

Jednak po zakończeniu zimnej wojny nie było już powodu, by dalej inwestować w techniki propagandowe i szkolić oficerów, by skutecznie wykorzystywali techniki psychologiczne.

Nie chodziło jednak tylko o pieniądze. Internet i postępująca globalizacja uczyniły kampanie propagandowe niebezpiecznymi narzędziami z punktu widzenia amerykańskiego prawa. Zabrania ono służbom specjalnym wywierania nacisków na własnych obywateli za pomocą mediów. Dlatego w epoce przedinternetowej CIA mogła opłacać zagranicznych dziennikarzy i za ich pośrednictwem umieszczać w gazetach zmanipulowane artykuły. Nie było obawy, że w jakiś sposób wypłyną one w mediach amerykańskich. Ale użytkownicy globalnej sieci z Nowego Jorku czy Atlanty już w połowie lat dziewięćdziesiątych mieli pełny dostęp do wieści z Pakistanu i Dubaju, zaś amerykańska prasa przywiązywała coraz większą wagę do informacji z zagranicy i coraz chętniej powoływała się na źródła zza oceanu. Trudniej więc było CIA przekonać członków Kongresu – którzy aprobowali tajne operacje prowadzone przez Agencję – że planowana kampania propagandowa nie uderzy rykoszetem w Stany Zjednoczone.

Podczas gdy CIA powoli traciła zainteresowanie technikami propagandowymi, pozostawioną przez Agencję niszę chciał wypełnić Pentagon. I choć wojsko miało do czynienia z tymi samymi ograniczeniami co CIA, Kongres dał Departamentowi

Obrony większą swobodę w stosowaniu narzędzi propagandowych. O ile można było dowiedzieć – choćby w niewielkim stopniu – że służą one bezpieczeństwu amerykańskich żołnierzy. Jeszcze bardziej poluzowano smycz Pentagonowi po 11 września, gdy Kongres zdefiniował jako strefę wojny cały glob. Departament Obrony przejął więc kontrolę nad „potężnym wurlitzerem” i zaczął wydawać setki milionów dolarów, żeby wpłynąć na opinię publiczną w świecie muzułmańskim. Zwłaszcza w krajach, z którymi Ameryka – w odróżnieniu od Afganistanu i Iraku – nie zamierzała wdawać się w otwartą wojnę i gdzie oddziały marines nie miały wstępu.

To z powodu nowego „potężnego wurlitzera” muskularny mężczyzna z wystającą z kieszeni koszuli paczką Marlboro przechadzał się między stoiskami firm technologicznych biorących udział w odbywającym się wiosną 2005 roku w Las Vegas zjeździe Narodowego Stowarzyszenia Nadawców. Przykrywka dostawcy materiałów biurowych nie była najlepszym rozwiązaniem dla byłego oficera zajmującego się technikami wojny psychologicznej, który ostatnią dekadę spędził na szukaniu sposobów, by wedrzeć się do głowy przeciwnika i rozpętać w niej wojnę. Trudno zresztą sobie wyobrazić, by Michael Furlong mógł zajmować się innymi formami walki, a już na pewno nie walką twarzą w twarz. Był zbudowany jak rosyjska matrioszka: szeroki w barach, które nieznacznie tylko zwężały się w okolicach szyi. Chorował na cukrzycę i poruszał się wolno, lecz i tak zachowywał się jak nakręcony, a do tego pocił się jak mysz. Słowa wystrzeliwał z siebie seriami i prawie nie nabierał powietrza, kiedy mówił. Podczas spotkań często zasypywał słuchaczy wojskowym żargonem, co działało zwykle na jego korzyść. – Mike tak się mądrzy – powiedział jeden z oficerów blisko współpracujących z Furlongiem – że mało kto ma odwagę zadać mu jakiegokolwiek pytanie. Ludzie boją się wyjść na głupka i przyznać, że nie mają pojęcia, o czym on mówi.

Z niemal każdego służbowego spotkania Furlong wychodził jako zwycięzca, a jego projekty, choćby nie wiadomo jak wydumane, spotykały się z uznaniem.

Pochodzący z Miami Furlong dostał powołanie do armii w 1972 roku, za ledwie na parę miesięcy przed likwidacją przymusowego poboru przez prezydenta Richarda Nixona. Wcześniej studiował na Uniwersytecie Loyoli w Nowym Orleanie, gdzie zapisał się na zajęcia z dziennikarstwa i biznesu. Po uzyskaniu dyplomu pierwsze cztery lata służby wojskowej spędził na nauce w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Następnie przejął dowodzenie nad jednostką zmechanizowaną stacjonującą na kalifornijskiej pustyni w Fort Irwin. Tam dał się poznać jako znakomity żołnierz. Jedna ze skarp w okolicy wciąż nosi nazwę Grani Furlonga. Nadano ją po zwycięstwie odniesionym przez jego oddział w pustynnych manewrach. Potem, w latach osiemdziesiątych, został instruktorem – najpierw w West Point, a następnie w Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst w Wielkiej Brytanii. Po wojnie w Zatoce w 1991 roku wrócił do Fort Bragg w stopniu majora czwartej grupy operacji psychologicznych.

Podobnie jak inni oficerowie Furlong nieustannie obawiał się, że ominie go uczestnictwo w jednej z zamorskich przygód, w jakie angażowała się amerykańska armia. Czasem żartował, że najbardziej na świecie boi się odstawienia przez Pentagon na boczny tor i „pompowania piłek do kosza w Dakocie Północnej”. Ale nic takiego się

nie stało i Furlong zawsze był tam, gdzie coś się działo. Po podpisaniu przez walczące na Bałkanach kraje pokoju w Dayton Furlong został jako jeden z pierwszych Amerykanów wysłany do Bośni – odpowiadał tam za batalion zajmujący się działaniami psychologicznymi. Jego zadaniem było utrzymanie postanowień kruchego traktatu pokojowego z pomocą ulotek i propagandy w mediach. Chodziło o to, żeby przekonać miejscowych do współpracy z siłami pokojowymi.

Operacje psychologiczne w latach dziewięćdziesiątych były w amerykańskiej armii rzadkością. Uznawano je za marginalny element wojny konwencjonalnej, którym zajmują się dziwacy nienadający się do innych, bardziej szanowanych formacji. Do artylerii chociażby. Misje psychologiczne miały swój złoty wiek w czasie wojny w Wietnamie, kiedy specjalne oddziały współpracowały z CIA przy planowaniu działań wymierzonych w przywódców z Hanoi i obywateli północnego Wietnamu. Robert Andrews, były żołnierz zielonych beretów, który później został cywilnym doradcą Donalda Rumsfelda i jego przewodnikiem po świecie tajnych operacji, również brał udział w tych misjach, próbując siać zamęt w głowach Wietnamczyków za pomocą fałszowanej korespondencji i podrobionych dokumentów.

Operacje te bywały też bardziej skomplikowane. Andrews i reszta jego jednostki stworzyli na przykład nieistniejący ruch oporu w północnym Wietnamie i rozpowszechniali nieprawdziwe informacje, jakoby na północy powstała opozycja wobec Wietnamskiej Partii Komunistycznej. Poza listami i zrzucaniem ulotek amerykańscy agenci porywali północnowietnamskich rybaków, zawiązywali im oczy i przewozili na wyspę Cu Lao Cham, nieopodal wybrzeża Da Nang. Nieistniejąca grupa założyła tam swoją „bazę” i opowiadała porwanym o skomplikowanych operacjach mających na celu obalenie rządu w Hanoi. Niektórych rybaków zachęcano nawet do wstąpienia do „ruchu oporu”. Po paru tygodniach dawano im swoistą wyprawkę wraz z radiem nastawionym na partyzancką stację i odstawiano do północnego Wietnamu, gdzie mogli opowiedzieć wszystkim o podejrzanej organizacji. Profesor Richard H. Shultz Jr z Uniwersytetu Tufts w swojej książce *The Secret War Against Hanoi* pisze, że w latach 1964–1968 przez Cu Lao Cham przewinęło się ponad tysiąc osób, które zostały poddane gruntownej indoktrynacji.

Andrews i jego niewielka grupa mieli też inne pomysły, chociażby puszczanie z prądem rzek zwłok, w których kieszeniach znajdowałyby się kartki z zakodowanymi fałszywymi informacjami. Północnowietnamski wywiad miał je odszyfrowywać i przekazywać swoim zwierzchnikom. Planowi temu ukręcono jednak łeb w Waszyngtonie. Andrews nigdy nie dowiedział się, na czyje polecenie. Sam mówi, że amerykańska stolica była dla niego „nieodgadnionym miejscem, gdzie decydowano o być albo nie być naszych świetnych pomysłów. Ależ my wyklinaliśmy tych waszyngtońskich ważniaków”.

Michael Furlong w czasie ataków z 11 września był już na emeryturze i pracował dla Science Application International Corporation (SAIC). Firma miała wkrótce zostać zalana pieniędzmi pochodzącymi z tajnych kontraktów rządowych. Furlong spędził całe lata, zajmując się wtłaczaniem proamerykańskich komunikatów ludziom nastawionym wrogo do Stanów Zjednoczonych i nagle znalazł się w samym środku wojny o serca

i umysł świata muzułmańskiego. Jesienią 2001 roku rozpoczął pracę z ludźmi Donalda Rumsfelda w celu opracowania odpowiednich strategii informacyjnych (za swój wkład został potem odznaczony przez Departament Obrony), a od czasu do czasu zasiadał nawet w pokoju dowodzenia Białego Domu, gdzie ekipa Busha głowiła się na sposobami dotarcia do uszu muzułmanów^[18].

Niecałe dwa lata później SAIC otrzymała kolejny zastrzyk gotówki, kiedy wojsko podpisywało kolejne kontrakty – tym razem na odbudowę powojennego Iraku. Furlong poleciał do Bagdadu, żeby stanąć na czele wartego piętnaście milionów dolarów projektu, w ramach którego, na zlecenie Pentagonu, SAIC miała zająć się utworzeniem stacji telewizyjnej Iraqi Media Network. Inicjatywę tę pomyślano jako przeciwwagę dla Al-Dżaziry i innych arabskich stacji, które Waszyngton uważał za antyamerykańskie. Projekt napotykał jednak wiele trudności. Iraccy pracownicy odeszli z powodu zaległości w wypłacie pensji. Pojawiły się też problemy techniczne z zasięgiem stacji. Po paru miesiącach okazało się, że SAIC utopiła już osiemdziesiąt milionów dolarów z kasy Pentagonu, ale wciąż samo istnienie kanału stało pod znakiem zapytania. Furlong został odsunięty od projektu w czerwcu 2003 roku – mimo że dawni koledzy przyznawali, że to nie jego należy winić za zaistniałą sytuację. Był jednak, ze względu na swoje szpanerstwo, doskonałym kozłem ofiarnym – woził się po Bagdadzie białym hummerem z amerykańskimi rejestracjami, którego kazał sobie sprowadzić do Iraku prosto z Maryland.

O ile jego sposób bycia nie przysparzał mu popularności, rozległa wiedza na temat amerykańskiego systemu kontraktowego czyniła go bezcennym dla firm zajmujących się kwestiami obronności. Budżet projektów informacyjnych stanowił jedynie ułamek tego, co wydawano na konstruowanie nowych czołgów lub samolotów. Jednak Furlong jak mało kto wiedział, że w organizacjach takich jak Pentagon, obracających miliardami dolarów, bystrzy i ambitni ludzie zdolni są „zabezpieczyć” walające się gdzieś po zakamarkach biurokratycznego piekła nieprzypisane nikomu miliony i w ten sposób zbudować swoje małe imperia.

Kiedy Furlong wiosną 2005 roku zjawił się na konferencji technologicznej w Las Vegas, był tuż przed objęciem stanowiska w sekcji do spraw operacji psychologicznych w Dowództwie Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych (SOCOM). Miał ze sobą stosik wizytówek, z których wynikało, że jest sprzedawcą artykułów biurowych. Był to jednak tylko sposób, żeby uniknąć pytań o jego prawdziwe zajęcie. A było nim wyszukiwanie niewielkich firm dysponujących technologiami zdolnymi wspomóc Pentagon w szerzeniu propagandy i zbieraniu informacji.

Furlong w ciągu dwóch dni konferencji spędził kilka godzin przy stoisku U-Turn Media, małej czeskiej firmy, która opracowała metodę transmisji wideo na telefony komórkowe. Ekipa z U-Turn Media niemal natychmiast domyśliła się, że Furlong nie zajmuje się sprzedażą spinaczy – jeden z pracowników zorientował się, że na jego wizytówce widnieje adres siedziby Dowództwa Operacji Specjalnych w Tampa. Nie szkodzi, bo okazało się, że znajomość z Michaelem Furlongiem oznaczała dla ledwie wiążącej koniec z końcem firmy przyływ gotówki.

Szefem U-Turn był Jan Obrman, obywatel Czech, którego rodzina uciekła z kraju

w czasie dławienia Praskiej Wiosny w 1968 roku. Doświadczenia wyniesione z dzieciństwa uczyniły z Obrmana orędownika Stanów Zjednoczonych i zagorzałego zwolennika idei zachodniej demokracji. W latach osiemdziesiątych udzielał się w proamerykańskiej grupie ekspertów, a potem objął kierownicze stanowisko w Radiu Wolna Europa. Po przełomie demokratycznym, kiedy coraz popularniejszymi narzędziami komunikacji stały się internet i komórki, postanowił zarobić pieniądze w tej branży. Dzięki wsparciu finansowemu bogatego niemieckiego inwestora w 2001 roku założył U-Turn Media. Firma na początku musiała radzić sobie z trudnościami, ale gdy na rynku pojawiły się smartfony, urosła w siłę.

U-Turn sprzymierzyło się z dystrybutorami treści pornograficznych, umożliwiając odbiorcom odtwarzanie filmów dla dorosłych na ekranach telefonów komórkowych. Jednym z partnerów była firma produkująca niskobudżetowy program o nazwie „Czech My Tits”, w którym prowadzący namawiał spotkane na praskich ulicach kobiety do pokazania piersi w zamian za 500 koron. Bill Eldridge, były dyrektor U-Turn, wspomina, że to właśnie porno stało się przepustką do sukcesu firmy. – Jeśli działasz w tej branży, możesz naprawdę zarabiać albo na mocnej erotyce, albo na wywiadzie. Tylko ludzie z tej pierwszej albo drugiej branży będą chcieli ci zapłacić.

Obrman, z porno w portfolio, spotykając w Las Vegas Michaela Furlonga, dostał szansę wdarcia się na nowy rynek. Rynek wywiadu. Obaj panowie mieli wspólny temat: w latach pięćdziesiątych byli na Bałkanach. Spędzili wiele godzin, wymieniając się opowieściami o zimnej wojnie i krwawych konfliktach etnicznych, które przysły po obaleniu muru berlińskiego. Mieli identyczne poglądy na temat szerzenia amerykańskich ideałów za granicą, szczególnie w świecie islamskim. Ale oprócz idei Furlong dał U-Turn ogromną szansę na biznesowy rozwój.

Kiedy Furlong rozpoczął pracę w SOCOM, natychmiast zainicjował rozmowy z Obrmanem i innymi kierownikami U-Turn. Tematem było stworzenie gry wideo, którą ludzie ze Środkowego Wschodu będą mogli ściągnąć na swój telefon. Gra miała rozwiązywać dwa problemy naraz: nienawiści ogromnej większości muzułmańskiego świata do USA oraz niewiedzy Ameryki na temat mieszkańców tego świata. Furlong szukał więc gry, która mogłaby zmienić zdanie użytkownika na temat Stanów, a jednocześnie zbierać informacje o graczach. Taka gra byłaby wywiadowczą bonanzą: tysiące ludzi wysyłają numery telefonów i inne namiary do U-Turn, a stamtąd trafiają one do wojskowych baz i mogą być wykorzystywane przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) i inne służby wywiadowcze. Szpiedzy nie będą musieli polować na informacje; same do nich przyjdą.

Był to tylko jeden z wielu programów, nad którymi rozpoczęto pracę po 11 września. Służyły one hurtowemu zbieraniu danych wprowadzanych następnie do komputerów, które wśród gigantycznych ilości informacji wyszukiwały interesujących powiązań. Niektóre z nich mogły być śladami i dowodami działalności terrorystycznej. Takich rzeczy nie potrafili robić nawet najlepsi analitycy.

Prawo nie określało jednak precyzyjnie, jak to wszystko ma funkcjonować. Jedną z inicjatyw Dowództwa Operacji Specjalnych – która potem zostanie uznana za kontrowersyjną – polegała na zbieraniu informacji o obywatelach amerykańskich

podejrzanych o współpracę z bojownikami. Dane były przechowywane na serwerach komputerowych w Wirginii i niektórzy wojskowi oficjele bali się, że łamią w ten sposób przepisy regulujące metody zbierania informacji przez Departament Obrony. Chcąc przenieść bazy danych za granicę, oficerowie nadzorujący program z ramienia SOCOM poprosili Michaela Furlonga o zainstalowanie ich w siedzibie U-Turn w Pradze. Ruch ten doprowadził do dramatycznej walki pomiędzy Furlongiem i CIA.

Do połowy 2006 roku U-Turn udało się przygotować składającą się z dwudziestu siedmiu slajdów prezentację programu pilotażowego opracowanego dla Pentagonu z myślą o wdrożeniu w krajach muzułmańskich. Już pierwszy fragment wyświetlanego tekstu kładł nacisk na wykorzystanie telefonów komórkowych jako narzędzia niezbędnego w dotarciu do masowego odbiorcy:

„Co mają wspólnego opiekuńcza mama z Atlanty, beduiński handlarz, chiński biznesmen, rodzina amerykańskiego wojskowego, kuwejcki urzędnik, kierownik firmy naftowej z koneksjami, męczennik Al-Kaidy, pokojowo nastawiony irański muzułmanin i serbski rebeliant z młodzieżą amerykańską, azjatycką, europejską i środkowowschodnią? Każde z nich – dorośli i nastolatki z całego świata – prawdopodobnie przez cały czas ma przy sobie telefon komórkowy”.

U-Turn proponowało wojsku szeroką gamę możliwości transmitowania informacji na cały świat. W tym „przykuwających uwagę wiadomości bieżących oraz treści politycznych i religijnych przemieszanych z komunikatem od SOCOM”, które trafiałyby prosto do „nastolatków mieszkających na nieprzyjaznych Stanom Zjednoczonym terenach”. Z czasem przemycane treści byłyby coraz bardziej dopasowane do „stylu życia użytkowników”. Obiecano, że wszystko to będzie dostarczane bez etykietyki „Made in USA”, zaś cała sekcja ma odpowiednią przykrywkę w postaci europejskiej firmy działającej w branży rozrywkowej.

U-Turn wygrało przetarg w sierpniu 2006 roku i podpisało wart ćwierć miliona kontrakt. Istotniejsza wydaje się jednak wartość symboliczna tego wydarzenia. Niewielka firma telekomunikacyjna z Pragi, która do niedawna zajmowała się obsługą serwisów informacyjnych i dystrybucją miękkiej pornografii na telefony komórkowe, nawiązała współpracę z jednym z sekretnych – i najszybciej się rozwijających – segmentów wojskowej biurokracji.

Michael Furlong świetnie dogadywał się z U-Turn Media, zaś jego sekcja w SOCOM w ramach kampanii propagandowych na Środkowym Wschodzie i w Azji Środkowej gotowa była do podpisywania kolejnych tajnych umów z firmami komunikacyjnymi. SOCOM wydało na projekt setki milionów dolarów i liczyło na szybkie efekty. Niewielkie firmy, często bez doświadczenia w zakresie propagandy, żeby zdobyć nowych klientów, przemianowały się na prywatne organizacje świadczące usługi w ramach „komunikacji strategicznej”. Dla U-Turn kontrakt podpisany z wojskiem był początkiem nowej ery. Bo oto praskiej firmie trafił się kontrahent z nieograniczonym wręcz budżetem. U-Turn znalazło żyłę złota.

Specjaliści od propagandy zatrudnieni w biurze SOCOM w Tampie wiedzieli, że jeśli kampania ma być skuteczna, Stany Zjednoczone muszą pozostać w cieniu. Niedługo po podpisaniu umowy z U-Turn Media na opracowanie programu pilotażowego,

polegającego na wdrożeniu gry wideo i innych usług cyfrowych na komórki, Furlong przekonał kadre kierowniczą firmy do utworzenia oddziału zamorskiego. Miał on otrzymywać zlecenia od Pentagonu, ale nie dałoby się go powiązać z USA. Jan Obrman w drugiej połowie 2006 roku założył firmę JD Media Transmission Systems LLC z siedzibą na Seszelach – amerykańskie pieniądze trafiały najpierw na jej konto.

Nie było zbyt wielu restrykcji co do wydawania przez Pentagon pieniędzy na tajne operacje, więc nikt nie zaglądał Furlongowi do kieszeni. Czasem sam siebie nazywał „królem szarej strefy” i korzystał ze wszystkich kruczków w regulaminach zawierania kontraktów, żeby to właśnie pozakładane przez U-Turn firmy dostawały zlecenia na działalność propagandową. Wykorzystując regułę, która mówiła, że obywatele USA mają przewagę w przetargach, których obiektem są zlecenia rządowe, Furlong zaaranżował współpracę U-Turn z Wyandotte Net Tel, firmą z siedzibą na niewielkim skrawku indiańskiego rezerwatu we wschodniej Oklahomie.

Pierwszym większym projektem opracowanym przez U-Turn dla SOCOM była strzelanka zrobiona na wzór gier typu *Call of Duty*. Użytkownik lądował na ulicach Bagdadu, przez które musiał się przebić, strzelając do rebeliantów organizujących wypadu w celu zabicia jak największej liczby cywilów. Celem gry było dostarczenie tajnych planów kolejnego ataku terrorystycznego na posterunek irackiej policji. Gra nosiła nazwę *Iraqi Hero*.

To tylko jeden z elementów szeroko zakrojonej kampanii Pentagonu o kryptonimie „Native Echo”, która miała poprzedzić wkroczenie do Iraku kolejnych wojsk amerykańskich, co zatwierdził w 2007 roku prezydent Bush. Głównym celem „Native Echo” było powstrzymanie napływu obcych bojowników z Jemenu, Syrii, Arabii Saudyjskiej i niektórych regionów Afryki Północnej. *Iraqi Hero* skonstruowano tak, żeby grę można było łatwo zmodyfikować, dostosowując ją do innego kraju muzułmańskiego. U-Turn zaprezentowało listę trzynastu krajów, w których grę można było dystrybuować po wprowadzeniu niewielkich zmian, łącznie z Arabią Saudyjską, Marokiem, Egiptem i Jordanią. Nie trzeba było ingerować w grafikę – scenografia składała się z ulic, wzdłuż których stały samochody, gdzieś widać było meczet i drzewa palmowe – jedynie dialogi wymagały usprawnień. Dla przykładu libańska wersja miała nawiązywać do aktualnej sytuacji politycznej. Zmieniono jej nazwę na *Maghweer*; tak nazywała się tamtejsza jednostka komandosów.

U-Turn opracowało dwie inne gry w ramach operacji „Native Echo”. Jedna nazywała się *Oil Tycoon* i pozwalała użytkownikowi budować rurociągi oraz chronić rządową infrastrukturę przed atakami terrorystycznymi; druga zaś to *City Major*, gdzie gracz zajmował się planowaniem budowy fikcyjnego miasta zniszczonego przez terrorystów, mając do dyspozycji ograniczone zasoby materiałowe. Ekipa czeskich programistów z U-Turn projektowała gry w praskiej siedzibie firmy. Furlong narzucił im mordercze tempo, żeby jak najszybciej móc rozprowadzić „towar” na Środkowym Wschodzie.

U-Turn pracowało z SOCOM także przy wymyślaniu kanałów dystrybucji gier. Najłatwiej było je sprzedawać – lub wręcz rozdawać za darmo – na bazarach i targowiskach. Jednak do większej liczby odbiorców można było trafić, umieszczając gry na stronach internetowych i blogach, które odwiedzają środkowowschodni miłośnicy

elektronicznej rozrywki. To pozwoliło też SOCOM monitorować liczbę ściągniętych gier i, co ważniejsze, personalia osób z nich korzystających.

Trudno ocenić zasięg kampanii SOCOM skierowanej do młodych muzułmanów i określić, ile dokładnie firm takich jak U-Turn pracowało dla Pentagonu w ramach projektów propagandowych. Furlong naciskał na czeską firmę, domagając się coraz to nowych rozwiązań, i U-Turn proponowało nawet wykorzystanie jako swego rodzaju naganiaczy popularnych na Środkowym Wschodzie piosenkarzy lub celebrytów. Planowano też zainstalowanie płaskich telewizorów w odległych wioskach w Azji Środkowej i Afryce Północnej, które chroniłyby specjalne pancerne szyby zabezpieczające je przed zniszczeniem. Każdy odbiornik wyposażony byłby w sporej wielkości antenę umożliwiającą odbiór proamerykańskich komunikatów nadawanych z odległości tysięcy kilometrów.

Te wydumane pomysły nigdy nie zostały zaaprobowane, ale Pentagon stale obmyślał kolejne propagandowe projekty. Pod koniec 2007 roku U-Turn zostało zatrudnione przy nowym projekcie SOCOM. Czeska firma miała prowadzić strony internetowe w Azji Środkowej, Afryce Północnej, Chinach i innych regionach świata. Operacją Trans-Regional Web Initiative zajmowali się głównie freelancerzy, którzy pisali raporty i zamieszczali je na stronach takich jak Central Asia Online, publikujących pozytywne wiadomości ze Stanów Zjednoczonych oraz o ich sojusznikach z Uzbekistanu czy innych krajów.

Jednak informacje o nowym programie w końcu wyciekły, co zmusiło SOCOM do porzucenia pierwotnego planu moderowania stron z ukrycia. Na dole każdej strony został umieszczony mały znaczek, który informował, że jest to projekt Departamentu Obrony. Część kongresmenów i ludzi z Departamentu Stanu uważała, że projektem tym Pentagon przekroczył granicę pomiędzy informacjami rozpowszechnianymi w ramach akcji towarzyszącej operacjom wojskowym a jednym ze swoich elementarnych zadań, czyli rzetelnego informowania amerykańskiej opinii publicznej o swoich poczynaniach. Tak naprawdę jednak granica ta zatarła się już przed laty. Firmy takie jak U-Turn Media były beneficjentami ekspansji Pentagonu na polu operacji psychologicznych.

Furlong często odwiedzał Pragę i spotykał się z Obrmanem i programistami z U-Turn. Do 2008 roku Czesi zarobili na kontraktach z SOCOM ponad pięć milionów, przeważnie jako podwykonawca lub partner firmy należącej do jakiegoś rdzennego Amerykanina. Obrman założył też firmę z siedzibą w Stanach – International Media Ventures (IMV) – by za jej pomocą starać się o tajne kontrakty rządowe. Kwatera IMV mieściła się tam, gdzie znajdowały się siedziby innych współpracowników CIA i Pentagonu, czyli w dzielnicy biurowej St. Petersburga na Florydzie. Od kompleksu SOCOM i Centralnego Dowództwa oraz bazy lotniczej McDill dzieliła je tylko zatoka Tampa.

Spora liczba tajnych umów podpisanych z rządem przez U-Turn/IMV była zdaniem niektórych agentów CIA raczej podejrzana. Co dokładnie łączyło Furlonga, cywilnego biurokratę wysokiego stopnia, i niewielką czeską firmę, która zatrudniała armię programistów do projektowania gier i stron internetowych dla Pentagonu? Placówka CIA w Pradze wysyłała do Langley prośby o wyjaśnienie tego stanu rzeczy i tłumaczyła,

że rosyjskiemu wywiadowi łatwo będzie przejrzeć tę operację.

Pojawił się jeszcze większy problem. SOCOM w 2007 roku po cichu przeniosło serwery z danymi na temat amerykańskich obywateli do siedziby U-Turn w Pradze. Taki ruch – jak uznali wojskowi oficjele – miał pomóc Pentagonowi obejść amerykańskie prawo dotyczące inwigilacji. Lecz tym samym Stany Zjednoczone przeniosły tajny program na terytorium Czech, swego sojusznika, bez powiadomienia o tym tamtejszego rządu. Posunięcie było ryzykowne, bo trzeba było wziąć pod uwagę, że wywiad czeski odkryje całą operację, zamknie ją i odwdzięczy się odmową współpracy z CIA przy kolejnych misjach.

Nie był to jednak zwyczajny okres w dyplomatycznych stosunkach pomiędzy USA a Republiką Czeską. Administracja Busha agresywnie usiłowała wymóc na czeskim rządzie pozwolenie na budowę stacji radarowej na południowy zachód od Pragi, co miało być częścią programu antyrakietowego wdrażanego przez Białą Dom. Pozyskanie zgody okazało się trudne, gdyż Rosja od lat sprzeciwiała się planom Busha i wywierała naciski na państwa Europy Wschodniej, żeby wycofały się ze współpracy ze Stanami Zjednoczonymi przy budowie elementów tarczy na swoim terytorium.

Mniej więcej w tym samym czasie, w połowie 2008 roku, Michael Furlong zmienił pracę. Przeniósł się do bazy powietrznej Lackland w San Antonio w stanie Teksas. Była ona siedzibą komórki zajmującej się operacjami psychologicznymi – Połączonego Dowództwa Operacji Informacyjnych. Nadal nadzorował jednak projekt z udziałem U-Turn/IMV i w czerwcu 2008 roku zdecydował w ostatniej chwili, że w drodze z Afganistanu do domu w Teksasie wpadnie do Pragi spotkać się z pracownikami firmy.

Niewiele wcześniej szef placówki CIA w Pradze i oficjele z ambasady amerykańskiej dowiedzieli się, że Pentagon przeniósł bazy danych do siedziby U-Turn. Operację zamknięto z obawy o legalność przetrzymywanych informacji, lecz obecność Furlonga w ambasadzie – bez odpowiedniej przepustki, która pozwoliłaby mu na podróż służbową do Pragi – niepokoiła agentów CIA. Podejrzewali, że Furlong może próbować operację wznowić. Obawiali się, że ten potężny, odpalający jednego papierosa od drugiego facet może chcieć zostać w kraju nawet przez parę tygodni i nadzorować swoje tajne programy, co wpłynie niekorzystnie na prowadzone od miesięcy dyplomatyczne negocjacje w sprawie paktu antyrakietowego.

W Pradze, Waszyngtonie i San Antonio urywały się telefony – dyskutowano, co zrobić z Furlongiem i całą sytuacją. Wszyscy zgodzili się, że odpowiedź jest prosta: trzeba wymusić na nim wyjazd z Czech tak szybko jak to możliwe. Gen. John Koziol, szef Furlonga z San Antonio, skontaktował się z nim w Pradze i przekazał mu następującą wiadomość: wymelduj się z hotelu, pojedź na lotnisko i kup bilet na pierwszy lepszy lot z kraju. Furlong został skutecznie wykopany z Czech. – CIA zwała mu się na głowę niczym sterta cegieł – powiedział jeden z wojskowych, który pracował z Furlongiem w San Antonio.

Furlong musiał zweryfikować swoje plany, a na dodatek wylądował na czarnej liście CIA. Jednak upewnił się, że jego patroni w Departamencie Obrony nie rzucają go na pożarcie i z miejsca zabrał się do rozwiązywania nowego problemu: rosnących w siłę

bojówek w Pakistanie, które zaczynały działać przy granicy z Afganistanem. Furlong chciał pomóc dowódcom wojskowym uporać się z nowymi trudnościami. Uważał, że CIA nie poradzi sobie z podobnym zadaniem. Była to dla niego sprawa osobista – po praskim epizodzie zaczął mówić, że Agencja to jego nemezis.

Kilka tygodni po wydaleniu Furlonga z Republiki Czeskiej samolot, którym leciała sekretarz stanu Condoleezza Rice i grupa amerykańskich dyplomatów, wylądował na lotnisku w Pradze. Tego samego wieczora, po uroczystej kolacji, Rice wzniosła kieliszek szampana wraz z czeskim ministrem spraw zagranicznych Karem Schwarzenbergiem – był to toast z okazji zawarcia porozumienia dotyczącego tarczy antyrakietowej i rozpoczęcia nowej ery w stosunkach USA i Czech.

Rozdział jedenasty

POWRÓT STARUCHA

„Pamiętasz pierwszą zasadę emerytury, George? Żadnego chaturzenia, żadnego domykania niezalatwionych spraw. I żadnych prywatnych firm. Nigdy”

John le Carré, Ludzie Smileya

Generał David McKiernan miał już dość słuchania mętnych tłumaczeń. Minęły miesiące, odkąd ten najwyższy rangą dowódca amerykański w Afganistanie poparł plan wynajęcia prywatnego podwykonawcy, który zajmie się dostarczaniem regularnych raportów wywiadowczych ze źródeł porzucanych po całym kraju oraz z Pakistanu. McKiernan chciał się w końcu dowiedzieć, dlaczego w tej sprawie nie widać żadnych postępów. A miał nadzieję, że dzięki outsourcingowi wreszcie będzie otrzymywał wiarygodne dane o sytuacji w Pakistanie – bo informacje, które nadsyłała CIA, uważał za bezużyteczne i podejrzewał, że Agencją manipulują pakistańscy szpiegowie. Sądził, że gdzieś tam, za biurkami w Pentagonie, sprawę opóźniają pozbawione twarzy biurokratyczne gnomy. – Kim jest ten komuch, którego muszę zabić, żeby podpisano ten kontrakt? – ryczał McKiernan do swoich ludzi, kiedy dowiedział się, że nie zaakceptowano budżetu potrzebnego na realizację nowego projektu.

Tego dnia, jesienią 2008 roku, obok generała McKiernana siedział Michael Furlong, który podróżował pomiędzy Kabulem a San Antonio z nadzieją, że we współpracy ze stacjonującymi w Afganistanie generałami uda mu się uruchomić „prywatne” operacje wywiadowcze. Od rekonstrukcji obrazu struktur plemiennych na południu po ankiety na temat stosunku ludności afgańskiej do amerykańskich żołnierzy. Sytuacja na froncie pogarszała się z każdym dniem. Talibom udało się zająć duże połacie południowych i wschodnich rejonów kraju, zamordować wielu członków i urzędników afgańskiego rządu i powołać własne gabinety cieni w prowincjach Kandahar i Helmand. Traktaty pokojowe z 2006 roku dotyczące Waziristanu Południowego i Północnego pozwoliły talibom i siatce Hakkaniego na planowanie ataków i organizowanie wypadów z pakistańskich wiosek na amerykańskie posterunki w Afganistanie. Pod koniec czerwca 2008 roku – kiedy dowodzenie przejął McKiernan – zginęło więcej amerykańskich żołnierzy niż w jakimkolwiek okresie od początku wojny w 2001 roku.

Po przyjeździe do Kabulu McKiernan od razu uznał, że liczebność jego oddziałów nie jest wystarczająca. Konflikt w Iraku nadal pozostawał dla administracji Busha kwestią priorytetową i należało upewnić się, że zaniedbana wojna w Afganistanie wciąż będzie, według eufemistycznego żargonu używanego przez Pentagon, „operacją prowadzoną zgodnie z zasadą ekonomii sił”. Poprzednik McKiernana generał Dan McNeill przed swoim wyjazdem wystosował mocne oskarżenie pod adresem amerykańskiej strategii

wojennej, mówiąc głośno, że jego koledzy dowódcy potrzebują więcej wojsk lądowych, helikopterów i sił wywiadowczych. Podczas przesłuchania w kongresie admirał Mike Mullen, przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, powiedział: – W Afganistanie robimy to, co możemy. W Iraku robimy to, co musimy.

Generał McNeill oskarżał też pakistański rząd o bezczynność w obliczu stałego przepływu bojowników przez granicę z Afganistanem. Pakistan stał się ulubionym celem krytyki amerykańskich generałów narzekających na wzrost przemocy w Afganistanie. Już we wrześniu 2006 roku generał Karl Eikenberry, poprzednik McNeilla, próbował zwrócić Białemu Domowi uwagę na problem, przygotowując dossier dokumentujące przypadki bierności Pakistanu na terytoriach plemiennych. Poleciał do Waszyngtonu z prezentacją w PowerPoincie, która dowodziła, że Pakistan świadomie zezwala bojownikom na zbrodnicze działania. Wspomniał nawet, że Dżalaluddin Hakkani na oczach wszystkich prowadził swoją medresę w Miranszahu (do nalotu na nią latem 2006 roku zmusili pakistańskie oddziały Art Keller i oficerowie CIA), niecałą milę od dużej pakistańskiej bazy wojskowej.

Nie było niespodzianką, że dwa lata później, kiedy dwóch dziennikarzy odezwało się do McKiernana z propozycją zbierania niezbędnych informacji na terenie Pakistanu i przekazywania ich dowództwu wojskowemu w Kabulu, generał z ochotą przystał na spotkanie. Eason Jordan, łagodny i uprzejmy były kierownik w CNN, oraz Robert Young Pelton, obrazoburczy kanadyjski pisarz, autor serii książek pomagających turystom nawigować pomiędzy niebezpiecznymi miejscami na świecie, pracowali razem już od jakiegoś czasu. Podczas krwawych starć w trakcie wojny w Iraku Jordan i Pelton uruchomili stronę internetową IraqSlogger, poświęconą faktom, plotkom i raportom z pola walki nadsyłanym przez irackich dziennikarzy. Portal dorobił się niewielkiej, ale oddanej grupy czytelników. Borykał się jednak z trudnościami finansowymi, dlatego Pelton i Jordan musieli go zamknąć. Następnie chcieli uruchomić jego wersję dotyczącą wojny w Afganistanie. W tym celu próbowali stworzyć własną siatkę informatorów w Pakistanie i Afganistanie. Mieli oni zasilać swoimi newsami stronę AfpaxInsider. Tym razem mieli nadzieję, że cały projekt sfinansuje im Pentagon.

Generał McKiernan nie miał jednak zamiaru płacić za nowy serwis. Kiedy spotkał się z Jordanem w Kabulu w lipcu 2008 roku, powiedział, że oczekuje czegoś ekskluzywnego: regularnych raportów z miejsc, gdzie nie mogą wejść jego żołnierze i skąd CIA nie jest w stanie przesłać mu żadnych wiarygodnych informacji. Jego relacje z szefem placówki Agencji w Kabulu były fatalne; ci dwaj panowie praktycznie ze sobą nie rozmawiali. McKiernan otwarcie krytykował CIA podczas spotkań personelu i po kilku tygodniach od przybycia do Kabulu wysnuł wniosek, że Agencja posiadała niewiele źródeł, z których mogła wyciągnąć interesujące dla dowódców wojskowych informacje o planowanych ruchach wroga. Załedwie w przededniu spotkania z Jordanem talibscy strzelcy zaatakowali amerykański posterunek w miejscowości Wanat we wschodnim Afganistanie. Zginęło dziewięciu żołnierzy, zaś dwudziestu siedmiu zostało rannych.

– Czy możecie mi dać to, czego nie może CIA? – zapytał Jordana McKiernan. Obawiając się, że McKiernan odrzuci propozycję, Jordan przekazał jego sztabowi kartkę z numerami telefonów komórkowych ośmiu przebywających w Pakistanie mężczyzn

podejrzanych o to, że byli członkami islamistycznych bojówek. Dane te Jordan i Pelton zebrali za pośrednictwem swojej siatki działającej na terytoriach plemiennych. Były pracownik CNN szybko przestał udawać, że oferuje usługi czysto dziennikarskie. Łasy na rządowy kontrakt Jordan rozbudził jeszcze większe nadzieje wśród ludzi McKiernana, mówiąc, że jego agenci są w stanie dostarczać na bieżąco świeżych informacji. – Oni wcale nie zamierzali robić w wywiadzie – wspomina jeden z oficerów, który pracował z Jordanem i Peltonem nad projektem. – Przyszli po prostu ubić interes. A tylko w ten sposób mogli to zrobić.

Numery telefonów przekazano do tajnej bazy danych prowadzonej przez oficerów JSOC stacjonujących w Bagram. Część z nich pokrywała się z informacjami posiadanymi i sprawdzanymi przez Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych. Eason Jordan dał więc McKiernanowi coś, czego ten nie otrzymywał od CIA: wiarygodne informacje o ruchach talibskich agentów w Pakistanie. McKiernan zaakceptował więc dwadzieścia dwa miliony dolarów „pomocy” dla AfPaxInsider i zlecił Michaelowi Furlongowi nadzór nad przekazaniem pieniędzy.

Furlong – jak zawsze – wykazał się umiejętnością zabezpieczenia swojej pozycji i ponownie znalazł się w samym centrum amerykańskich operacji wojskowych. W drugiej połowie 2008 roku często brał udział w spotkaniach na temat propagandy i operacji informacyjnych w Afganistanie. McKiernan często zapominał jego imienia i do swoich ludzi mówił o nim „ten gruby, spocony facet”.

Jeśli jednak McKiernan nie docenił Furlonga, popełnił poważny błąd. Generał nie wziął pod uwagę wielu implikacji wiążących się z zaakceptowaniem projektu Jordana i Peltona. Ale już mianowanie Michaela Furlonga na szefa operacji było jednym z najdziwniejszych posunięć w historii tajnych wojen od roku 2001. Sytuacja przypominała laboratoryjne próby z różnymi substancjami – w tym przypadku była to rywalizacja wojska z CIA, stale rozciągający się wszechświat rządowego szpiegostwa i przyprawiająca o dreszcze prywatyzacja wojny – których efektem mógł być jedynie wybuchowy związek chemiczny. Za jakiś czas, po miesiącach wytykania palcami i setkach pytań, Michaela Furlonga spotka los znacznie gorszy niż to, czego się tak panicznie obawiał. Nie zostanie wysłany do „pompowania piłek do koszykówki w Dakocie Północnej”, ale zupełnie wypadnie z gry.

Miotający z oczu gromy, wściekły McKiernan po przyklepaniu projektu AfPaxInsider przekona się, że nawet cztery gwiazdki na ramieniu nie są gwarancją, że dostanie się to, czego się chce. Jego wysiłki, by zdobyć fundusze na projekt, napotykały coraz to nowe trudności. Większość kłód pod nogi rzucała mu CIA.

5 września 2008 roku Furlong pojechał do Langley z grupą wysokich oficjeli z Departamentu Stanu, żeby w Centrum Antyterrorystycznym zaprezentować swój plan zbierania informacji wywiadowczych. Towarzyszyli mu generał Robert Holmes z Centralnego Dowództwa Stanów Zjednoczonych i Austin Branch, cywil pracujący w komórce wywiadowczej Pentagonu, tej, którą parę lat wcześniej założył Donald Rumsfeld.

Z powodu wydarzeń praskich sprzed kilku miesięcy oficjele CIA zdawali sobie sprawę, czego można spodziewać się po Furlongu. A i on wiedział, na co stać Agencję,

kiedy wyczuje ona na swoim terenie człowieka Pentagonu. Omawiając nową operację i objaśniając jej szczegóły, bardzo starannie dobierał słowa. Jego podwykonawcy, jak mówił, wcale nie „szpiegowali” ani nawet nie „zbierali informacji”. Po prostu „badali nastroje”, by potem powiadomić o nich dowódców w Kabulu i w ten sposób chronić amerykańskie wojsko. Jak opisywał to później Furlong, „musiałem wymyślać różne eufemizmy na to, czym się zajmowaliśmy”.

Siedem lat po atakach z 11 września Pentagon wszedł w szpiegowskie gierki tak głęboko, że musiano stworzyć zupełnie nowy język. Kiedy oddziały amerykańskie wkraczały do krajów, z którymi Stany Zjednoczone nie były w stanie wojny, określało się to mianem „przygotowania pola bitwy”, zaś „badanie nastrojów” było kolejnym terminem używanym przez wojsko, za pomocą którego próbowano osłabić uwagę CIA. Podczas wrześniowego spotkania w Langley Furlong zapewniał oficerów Agencji, że operacje będą koordynowane przez placówki CIA w Kabulu i Islamabadzie. Ale nie poprawiło to wzajemnych stosunków obu stron. Kilkudziesięciu oficerów CIA, którzy przyszli posłuchać Furlonga, z podejrzliwością patrzyło na przedstawiany im program wprowadzanej tylnymi drzwiami operacji szpiegowskiej.

Trzy miesiące później było jeszcze gorzej. Furlong poleciał z powrotem do Afganistanu i przedstawił projekt grupie oficerów CIA w Kabulu i szefom placówki. Spotkanie przemieniło się w pyskówkę. Szef CIA w stolicy Afganistanu oskarżył Furlonga o próbę zbierania informacji w celu późniejszego zaplanowania serii zamachów w Pakistanie. – Jeden z gości z CIA cały się zapłuł, a i Furlong darł się jak wariat – wspomina oficer, który brał udział w spotkaniu. Kilka tygodni później prawnik z kwatery głównej Agencji napisał do Pentagonu memorandum z oficjalnym protestem przeciwko realizacji programu. CIA uznała go za niedostatecznie nadzorowany i potencjalnie niebezpieczny.

Furlong spodziewał się oporu. Ale to, co się stało, było dla niego dowodem totalnego zacofania Agencji, która za wszelką cenę chroniła własne terytorium. Ale ignorowała przy tym fakt, że nie będzie w stanie powstrzymać ataków z terytorium Pakistanu, w których giną codziennie amerykańscy żołnierze. Był przekonany, że CIA zawarła isticie faustowski pakt z Pakistanem – w zamian za możliwość prowadzenia ataków z użyciem dronów na terytorium kraju zezwalała ISI na ciche wspieranie talibów i siatki Hakkaniego. Z poparciem Pentagonu Furlong próbował udowodnić oficerom CIA, że zbieranie informacji w celu ochrony amerykańskich wojsk podpada pod rozdział 10 Kodeksu Stanów Zjednoczonych. Jest więc legalne.

Podczas gdy CIA próbowała zablokować wsparcie dla AfPaxInsider, zaś wojskowi prawnicy w amerykańskim Centrum Dowodzenia dopracowywali szczegóły operacji, Furlong uznał, że wcale nie musi czekać na akceptację ze strony Waszyngtonu. W drugiej połowie 2008 roku zarządził przekazanie miliona dolarów z wojskowego funduszu rezerwowego. Miał on zostać wykorzystany przez Easona Jordana i Roberta Younga jako kapitał początkowy. Furlong musiał jednak lawirować. Wszak jego współnicy nie byli zaakceptowanymi przez rząd podwykonawcami. Obmyślił więc proste rozwiązanie: podczepił projekt pod firmę, którą doskonale znał, czyli należącą do Jana Obrmana International Media Ventures z siedzibą w St. Petersburgu na Florydzie.

Do kwietnia 2009 roku Furlong zdołał zapewnić kolejne pieniądze na projekt, prawie trzy milionów dolarów. Cała suma została przelana na konto firmy na Florydzie. Furlong, mistrz machinacji i politycznych przepychanek w walce o rządowe kontrakty, korzystał z tego, że system można było dość do woli. Kongres trzymał rękę na miliardach przeznaczonych na wojny w Iraku i Afganistanie, lecz nie kontrolował, na co zostaną one wydane.

Jednak Pelton i Jordan zobaczyli jedynie niewielką część tych pieniędzy. Zaczęli podejrzewać, że Furlong miał zamiar wykorzystać fundusze przeznaczone przez generała McKiernana na rozwój AfPaxInsider w inny sposób. Mimo to pracowali z nim dalej. Pelton regularnie latał do Afganistanu w celu zebrania informacji od starszych plemiennych, talibskich agentów i miejscowych watażków. Podróżował z ekipą oficerów w cywilnych ubraniach. Zjeździł bezdroża całej wschodniej części kraju, żeby dotrzeć do terenów graniczących z Pakistanem. Pelton latał też pod granicę z Iranem, gdzie spotkał się z gubernatorem miasta Herat Ismailem Chanem.

Tymczasem generał McKiernan myślałami był zupełnie gdzie indziej. Krążyły plotki, że prezydent Barack Obama, który rozpoczął urzędowanie w styczniu 2009 roku, nie był zadowolony ze strategii przyjętej w Afganistanie i planował restrukturyzację personelu wojskowego. Sekretarz obrony Robert Gates poleciał w maju do Kabulu, żeby przekazać McKiernanowi następujące wieści: generał wylatuje, a prezydent Obama zdecydował, że zastąpi go generał Stanley McChrystal, wówczas szef JSOC. Zmiana okazała się dla Furlonga błogosławieństwem: kiedy spotkał się z najważniejszymi członkami sztabu McChrystala, przedstawił im swój projekt zbierania informacji wywiadowczych jako *fait accompli*, fakt dokonany. Podczas narady z generałem Michaeliem Flynnem, starszym oficerem wywiadu w Afganistanie, powiedział, że w Pakistanie i w Afganistanie pracują dla niego podwykonawcy, zaś ich raporty są wciągane do tajnych wojskowych baz danych.

Potwierdziły się podejrzenia Jordana i Peltona, że zostali odstawieni na boczny tor. Gdy zaczęli upominać się o pieniądze, Furlong napisał do nich e-mail, w którym wyjaśnił, że znalazł innych podwykonawców, dysponujących lepszymi źródłami informacji. Na początku lipca Furlong wrócił z podróży do Afganistanu i wystosował wiadomość do Jordana i Peltona: „Ci dwaj goście, z którymi spotkałem się w czasie weekendu spędzonego w Dubaju, do złudzenia przypominają prawdziwą wersję Jasona Bourne’a do wynajęcia. Obaj znają dari, pasztuński i arabski i nieustannie pracują nad rozbudową swoich siatek”.

Generał McKiernan odszedł, pisał dalej Furlong, a nowi dowódcy w Afganistanie nie są zainteresowani lożeniem na AfPaxInsider. „Bądźmy szczerzy – dodawał. – Proście rząd, żeby sfinansował rozruch waszego serwisu. Inni potencjalni podwykonawcy zainwestowali już wcześniej w swoje firmy i budowali własne siatki przez ostatnie cztery, pięć lat”.

Kim jednak byli ci tajemniczy nowi podwykonawcy, owi „Jasonowie Bourne’owie”? Furlong nie zdradził tego w swoich e-mailach. Mówił jedynie o siatce byłych oficerów CIA i komandosów służb specjalnych, którzy odmówili współpracy z Agencją. Uznali bowiem, że jest ona zbyt asekurancka i do tego uzależniona od obcych wywiadów,

przede wszystkim ISI. Utworzyli więc coś, co sami nazwali „CIA cieni”, i byli skłonni na własną rękę zajmować się wywiadem. Uzyskane zaś w ten sposób informacje chcieli udostępniać na potrzeby misji specjalnych. Całym tym interesem trząśł – jak utrzymywał Furlong – pewien „staruch”.

Duane „Dewey” Clarridge, lat siedemdziesiąt siedem, nigdy nie odszedł na emeryturę – to nie było w jego stylu. Poza tym miał jeszcze zbyt wiele do zrobienia. Zrezygnował z pracy w CIA po aferze Iran–contras, przekonany, że szefowie zrobili z niego kozła ofiarnego. Uważał też, że oskarżenie go dwa lata później o kłamliwe zeznania w Kongresie na temat swojej roli w skandalu to polowanie na czarownice.

Kiedy prezydent George H.W. Bush ulaskawił Clarridge’a i innych zamieszanych w aferę – łącznie z byłym sekretarzem obrony Casparem Weinbergerem – w ostatnim okresie swojego urzędowania (dokładnie w Wigilię 1992 roku), Clarridge potraktował to jako częściową rehabilitację. Decyzję prezydenta oparł w ramkę i powiesił na korytarzu przy drzwiach wejściowych do swojego domu. Była to pierwsza rzecz, jaką widzieli goście.

Clarridge w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych wydał pamiętnik *A Spy For All Seasons*. Ujawnił w nim wiele szczegółów swoich działań w czasie zimnej wojny, a jednocześnie zapewniał o przywiązaniu do idei republikańskich. W 1998 roku jako prywatny konsultant pracował z emerytowanym generałem Wayne’em Downingiem – byłym szefem JSOC – nad planem przerzucenia tysięcy irackich uchodźców i amerykańskich komandosów do Iraku. Celem było obalenie reżimu Saddama Husajna. Plan zyskał poparcie Ahmeda Chalabiego, szefa Irackiego Kongresu Narodowego i ulubieńca Republikanów opowiadających się za wojną w Iraku. Został jednak skreślony przez szefa amerykańskiego Dowództwa Centralnego jako wydumana fantazja. Generał Anthony Zinni nazwał plan Downinga i Clarridge’a „Zatoką kozłów”.

Kiedy w 2003 roku Stany Zjednoczone obaliły wreszcie Saddama, Clarridge’owi udało się zebrać fundusze na rozmaite prywatne przedsięwzięcia. Miały one na celu dowiedzenie – wbrew wszelkim faktom – że iracki dyktator był jednak w posiadaniu broni chemicznej i biologicznej. Clarridge pozostał też bezkrytycznym zwolennikiem zamorskich akcji prowadzonych przez USA. W jednym z wywiadów z 2007 roku ze złością bronił cieszących się złą sławą operacji CIA. Mówił, że powinnością Ameryki jest rozciągnięcie swoich wpływów na inne kontynenty.

– Będziemy interweniować wszędzie tam, gdzie leży to w interesie naszego bezpieczeństwa narodowego – powiedział dziennikarzowi. – A jeśli się to komuś nie podoba, i tak musi to przelknąć. Świecie, przyzwyczaj się, że nie damy sobie w kaszę dmuchać.

Tego samego roku wygłosił w Arkansas mowę o swoistej atrofii operacji wywiadowczych CIA z wykorzystaniem „czynnika ludzkiego”, przez co Agencja nie jest w stanie wydrzeć wiarygodnych informacji o reżimach w Iranie i Korei Północnej. Jego zdaniem Agencja polegała w zbyt wielkim stopniu na satelitach szpiegowskich i elektronicznych podsłuchach. Problem, jak mówił, polega na tym, że w Langley zbyt mocną pozycję mają znerwicowani prawnicy. To oni regularnie odrzucają propozycje operacji, jeśli wiążą się one z podjęciem jakiegokolwiek ryzyka.

Clarridge marzył o nowym modelu szpiegostwa. O organizacji mniejszej, ale sprawniejszej niż CIA i niepowiązanej z żadnym obcym wywiadem. Coś takiego jak Biuro Służb Strategicznych (OSS), lecz przystosowane do realiów XXI wieku – świata zdominowanego przez korporacje, siatki terrorystyczne i przestępcze oraz instytucje międzynarodowe.

Sprywatyzowane szpiegostwo nie było pomysłem nowym. Po II wojnie światowej założyciel OSS William Donovan był przygnębiony tym, że prezydent Truman nie mianował go pierwszym dyrektorem CIA. Założył więc własną agencję. Podczas wояży po Europie wyciągał od amerykańskich ambasadorów i dziennikarzy informacje o ruchach Sowietów, szukając przy okazji potencjalnych tajnych współpracowników. Zasypywał też CIA kolejnymi pomysłami sekretnych operacji. Ale kiedy dowiedział się o tym prezydent Truman, wściekł się i nazwał Donovana „wścibskim sukinsynem”. Od tej pory Agencja skutecznie blokowała podobne prywatne inicjatywy.

Clarridge po odejściu z Agencji mocno nadwerzęzył swoje stosunki z Langley. Ale wciąż pozostawał w dobrej komitywie z emerytowanymi oficerami doświadczonymi w tajnych operacjach. Oni z kolei nadal mieli kontakty z czynnymi agentami i komandosami z Fort Bragg, a także z baz w Afganistanie i Iraku. Jego krytyka wymierzona w CIA – choć bełkotliwa i amatorska – zapewniła mu pewną popularność, więc gdy budował sieć agentów w Afganistanie i Pakistanie, zwrócił się do weteranów operacji specjalnych^[19].

Był wśród nich Mike Taylor, były żołnierz zielonych беретów, a potem właściciel prywatnej firmy ochroniarskiej American International Security Corporation z siedzibą w Bostonie. Clarridge'owi już wcześniej zdarzało się robić z nim interesy. Teraz budowali razem siatkę składającą się z agentów zachodnich, afgańskich i pakistańskich. Wierzyli, że uda im się to zrobić bez zwracania czyjejs uwagi. Pierwsze polecenia dla agentów związane były ze zleceniem, jakie dostał Clarridge. Chodziło o pomoc w odbiciu reportera „New York Timesa” Davida Rohde'a. Został on porwany we wschodnim Afganistanie przez siatkę Hakkaniego i przemycony przez granicę do Miranszahu w Waziristanie Północnym. Sprawa ciągnęła się miesiącami. Clarridge zapewniał rodzinę Rohde'a, że jego agenci z pakistańskich terytoriów plemiennych sami ustalą miejsce, w którym przetrzymywany jest dziennikarz. A potem przekażą wszystkie dane niezbędne do przeprowadzenia misji ratunkowej – lub negocjacji na temat okupu – wojsku.

Pewnej nocy w czerwcu 2009 roku Rohde i jego afgański tłumacz przeskoczyli przez mur kompleksu, w którym byli przetrzymywani, i przedostali się na teren pakistańskiego posterunku. Agenci Clarridge'a nie pomogli mu w ucieczce, ale szczegóły tego dramatycznego epizodu były wówczas dość mętne, więc Clarridge nie omieszkął wykorzystać sytuacji, by się wypromować i w ten sposób zdobyć nowych klientów. Poszukiwanie ofiar porwań w Afganistanie nie gwarantowało jednak szybkiego rozwoju firmy i wielkich zysków. Clarridge mierzył więc wyżej. Jeśli udałoby mu się namówić rząd na skorzystanie z jego siatki, wróciłby do szpiegowskiej gry.

Okazja nadarzyła się po kilku tygodniach. Oddziały amerykańskie wszczęły poszukiwania kolejnej zaginionej osoby w Afganistanie – tym razem chodziło o młodego

żołnierza z Idaho nazwiskiem Bowe Bergdahl. Szeregowiec Bergdahl zaginął w czerwcu 2009 roku w prowincji Paktika. Okoliczności jego zniknięcia były niejasne, a raporty podawały sprzeczne wersje wydarzeń: jedne mówiły, że został porwany podczas patrolu, inne, że oddalił się samowolnie. Kiedy nie pojawił się na porannym apelu w swojej bazie, dowódcy wysłali predatory i samoloty szpiegowskie, by przeczesały teren.

Po kilku godzinach jedna z maszyn przechwyciła rozmowę pomiędzy talibskimi bojownikami. Za pośrednictwem krótkofalówek omawiali plan zasadzki na ekipę poszukiwawczą.

- Czekamy na nich.
- Wiedzą, gdzie jest, a idą w złym kierunku.
- Okay, przygotowujemy się.
- Na drodze są już nasze fugasy (zdalnie odpalane ładunki wybuchowe).
- Z bożą pomocą dokonamy tego.

Amerykanie nie mieli jednak pojęcia, gdzie jest Bergdahl. Został uznany za jeńca wojennego i nadano mu status: „miejsce pobytu nieznane”. Furlong czym prędzej podpiął się pod operację namierzenia Bergdahla. Wkrótce poleciał do Dubaju na spotkanie z grupą Clarridge’a, który skontaktował się z nim, twierdząc, że posiada informacje o zaginionym żołnierzu. Furlong był zachwycony, że miał okazję współpracować z legendarnym Deweyem Clarridge’em – to jego właśnie czule nazywał „staruchem”.

I choć w grze pozostawały nadal dwadzieścia dwa miliony dolarów, wywalczone jeszcze przez generała McKiernana, Furlong miał o wiele większe ambicje jeśli chodzi o operacje szpiegowskie. Miał już swoich „Jasonów Bourne’ów” i nie potrzebował dłużej Easona Jordana i Roberta Younga Peltona. Korzystając ze szpiegowskiego żargonu, tłumaczył, że ludzie Clarridge’a, z którymi się spotkał w Dubaju (nadał im kryptonim „WILLI 1”), mieli na sobie „więcej podsłuchów, niż w życiu widział” i „doprowadzili agentów blisko celu”. Owym „celem” był Bowe Bergdahl. Miał być przetrzymywany w Pakistanie, ale Furlong wiedział, że wchodzenie tam z własną siatką szpiegowską wykraczało znacznie poza jego kompetencje. Był pewien, że jego wrogowie w CIA, kiedy tylko dowiedzą się, co planuje, podejmą próby ukręcenia łba operacji. Napisał, że „musi mieć idealną przykrywkę, by nie wejść na wojenną ścieżkę z naszym nemezis” – oczywiście miał na myśli Agencję.

Furlong wciąż pracował nad pozyskaniem funduszy na operację, ale Clarridge i jego ekipa zaczęli już działać na rzecz wojska. *Pro bono*. Nie mieli jednak sposobu, żeby wprowadzać raporty Clarridge’a do wojskowego obiegu informacyjnego. Furlong korzystał więc ze swoich kontaktów i przekazywał dokumentację przyjaciółom w Dowództwie Centralnym i Dowództwie Operacji Specjalnych w Tampie. Ten sklecony naprędce układ wprowadzał jednak zamęt. Wkrótce dowódca jednostki Bergdahla posłał do Kabulu e-maila, w którym z wściekłością pytał, kim właściwie są ci agenci wywiadu kręcący się po pakistańskich terytoriach plemiennych. „Szczерze mówiąc, uwiera mnie ta ich umowa – pisał. – Należy wnioskować o bezpośredni kontakt z tymi »źródłami« i wprowadzić do operacji doświadczonego oficera wywiadu i ekipę analityków. W innym razie istnieje zbyt duże ryzyko popełnienia błędu lub zignorowania

nadarzających się okazji”.

Przez całe lato 2009 roku Clarridge i jego ludzie stopniowo zwiększali zakres informacji przekazywanych wojsku. Przygotowali chociażby szczegółowe *dossier* zawierające domniemane miejsca pobytu starszych dowódców siatki Hakkaniego w Pakistanie. Zostało ono zassane przez tajne służby i wykorzystane przez oddziały do operacji specjalnych w celu monitorowania działań terrorystów.

Clarridge nadzorował całą akcję ze skromnego domu na przedmieściach San Diego – kontakt ze swoimi ludźmi utrzymywał za pośrednictwem telefonu komórkowego i komputera. Niektórzy oficerowie od operacji specjalnych w Tampie i Kabulu zaczęli żartobliwie mówić o jego domu „Escondido 1”. Clarridge całymi nocami dreptał, odpowiadając na e-maile swojej drużyny oddalonej o dwanaście stref czasowych od niego. Czasem rozmawiał z agentami, relaksując się przy basenie.

Pod koniec września 2009 roku Furlong dostał wreszcie kontrakt na wartość dwadzieścia dwa miliony dolarów prywatną operację szpiegowską nadzorowaną przez koncern Lockheed Martin. Umowa została podpisana na pół roku z opcją przedłużenia. Ten niesamowity układ ustanowił nowe procedury, dzięki którym Clarridge miał wprowadzać swoje raporty – zbitki plotek o miejscach pobytu talibów i dowódców Al-Kaidy, rozmów zasłyszanych na bazarach, ale też precyzyjnych informacji o planowanych atakach na amerykańskie wojska w Afganistanie – do baz danych wykorzystywanych przez dowódców.

Clarridge zachowywał się, jakby prowadził izbę rozrachunkową – zbierał informacje pozyskane przez agentów w terenie i przerabiał je na analityczne „meldunki operacyjne”. Raporty słało za pośrednictwem Hushmail, systemu kodowania e-maili, do niewielkiej ekipy podwykonawców, których Furlong umieścił w posterunku wojskowym w Kabulu. Niektórzy z nich pracowali dla International Media Ventures, gdzie niedawno doszło do zmian na szczeblu menedżerskim. Jan Obrman zwolnił większość kadry kierowniczej i sprowadził grupę podstarzałych byłych oficerów od operacji specjalnych. Teraz to oni mieli zajmować się prowadzeniem firmy. Nowy prezes Richard Pack był jednym z tych, którzy zaplanowali nieudaną misję odbicia zakładników w Teheranie w 1980 roku, Robert Holmes, inny członek nowej ekipy, był emerytowanym generałem sił powietrznych, który zaledwie rok wcześniej jako oficer operacyjny z amerykańskiego Dowództwa Centralnego przyjechał do Langley wraz z Furlongiem, aby przedstawić plan zbierania informacji w Afganistanie. Kiedy podwykonawcy w Kabulu otrzymali za pośrednictwem Hushmail wiadomości od Clarridge’a i innych ekip wywiadowczych, że to Furlong zajmuje się nadzorowaniem operacji, wprowadzili swoje dane do tajnych wojskowych baz danych.

Odkąd raporty trafiły do wywiadowczego krwiobiegu, niemożliwe było odróżnienie informacji pozyskanych od prywatnych szpiegów od zdobytych przez wywiad wojskowy. Niektóre z raportów Clarridge’a, według dochodzenia przeprowadzonego przez Pentagon, zawierały dokładne koordynaty – szerokość i długość geograficzną – posterunków wojskowych w Pakistanie oraz ruchy bojowników talibskich w porośniętych makami regionach południowego Afganistanu. Dzięki temu udawało się zapoczątkować pierwsze akcje – na podstawie zdobytych przez Clarridge’a informacji

śmigłowce Apache przynajmniej raz ostrzelały talibskich strzelców gromadzących się nieopodal amerykańskich baz na wschód od Kandaharu, zaś JSOC wystrzeliło pociski artyleryjskie w kierunku podejrzanego kompleksu wojskowego w Pakistanie. Furlong był podekscytowany. Często chwalił się kolegom, że informacje zebrane przez siatkę jego podwykonawców zawstydzają CIA.

Również celem Deweya Clarridge'a było dworowanie sobie z Agencji – wciągnął swoją siatkę w wojnę pomiędzy wojskiem a CIA, która przypominała nieco skrzyżowanie powieści Grahame'a Greene'a i publikowanych przez magazyn „Mad” historyjek z serii *Spy vs. Spy*. Któregoś razu grupa Clarridge'a próbowała nawet wygrzebać jakieś brudy, za pomocą których można byłoby zdyskredytować Ahmeda Walego Karzaja, przyrodniego brata prezydenta i najważniejszego brokera w południowym Afganistanie, a zarazem jednego z najskuteczniejszych informatorów CIA w kraju.

Karzaj od rozpoczęcia wojny otrzymał od Agencji miliony dolarów. Jednak amerykańscy generałowie, łącznie z McKiernanem i McChrystalem, uważali, że „AWK” ma zły wpływ na sytuację w południowym Afganistanie. To on jest bowiem kluczowym ogniwem korupcyjnego łańcucha sięgającego w głąb hierarchii nowej władzy, co pcha Afgańczyków w ramiona talibów.

Clarridge skompilował całą teczkę zawierającą haki na Karzaja. Łącznie z jego powiązaniem z handlem heroiną, udziałem w przejęciach ziemi oraz oskarżeniami o morderstwa. Przesłał ją do dowódców wojskowych w Kabulu. Oficerowie wykorzystali dokument w kampanii przeciwko „AWK”, chcąc pozbyć się go z Kandaharu. Jednak sprzeciwiła się temu CIA – skutecznie. Karzaj pozostał u władzy.

Koniec końców nie udało mu się jednak uciec przed wrogami. Został zamordowany, kiedy wychodził z łazienki w swoim pałacu w Kandaharze. Zabójcą był jego wieloletni ochroniarz, który wpakował mu dwie kule – jedną w głowę, drugą w klatkę piersiową.

Organizując działanie własnej siatki szpiegowskiej, Michael Furlong pogwałcił jednak przepisy opracowane przez Pentagon, na mocy których Departament Obrony nie może wynajmować osób trzecich do prowadzenia operacji szpiegowskich. Lecz Furlong wiedział, że granica dzieląca pracę żołnierza od pracy szpiega uległa zatarciu i znalezienie usprawiedliwienia dla swoich decyzji nie nastęrczało mu zbytnich trudności. Kiedy amerykańscy oficjele w Kabulu zapytali Furlonga, kto autoryzował operację, zaś jego szefowie w San Antonio zaczęli otrzymywać telefony od wściekłych oficerów CIA, którzy oskarżali Furlonga o kolejne bezprawne działania szpiegowskie, wytoczył on własne działa.

Akurat wtedy, gdy Departament Obrony był w trakcie akceptowania kontraktu z Lockheed Martin dotyczącego prywatnej operacji wywiadowczej, amerykańskie Dowództwo Centralne wydało tajną dyrektywę. Rozszerzała ona zakres działań szpiegowskich właściwie na cały świat muzułmański – od Arabii Saudyjskiej do Jemenu i od Iranu do Pakistanu. Dyrektywa, którą podpisał szef Dowództwa generał David Petraeus, mówiła o potrzebie „przygotowania terenu” pod przyszłe operacje bojowe na Środkowym Wschodzie. A także konieczności przygotowania armii do przejęcia od CIA misji, których Agencja nie była w stanie skutecznie realizować. Rozkaz ten umożliwiał tajnym jednostkom takim jak Grupa Uderzeniowa Orange (działała

wcześniej pod kryptonimem „Szary lis” i zajmowała się głównie zbieraniem informacji za pomocą nasłuchu elektronicznego) oraz prywatnym podwykonawcom „rozwój infrastruktury pomocnej przy tajnych operacjach, która może zostać wykorzystana do zlokalizowania, identyfikacji, odizolowania, unieszkodliwienia/zniszczenia” siatek ekstremistycznych oraz dowódców grup terrorystycznych.

Dyrektywa – nazwana zarządzeniem wykonawczym dla połączonych oddziałów bojowych przeznaczonych do niekonwencjonalnych działań wojennych – była jedynie częścią większej inicjatywy zapoczątkowanej w pierwszym roku urzędowania administracji Obamy. Miała ona na celu zdefiniowanie roli amerykańskiej armii w krajach leżących poza strefą działań wojennych. Nowa administracja miała nadzieję na zaprowadzenie porządku w ogarniętym chaosem świecie tajnych działań szpiegowskich i wojskowych, których częstotliwość znacznie wzrosła po 2001 roku. Chciano też doprowadzić do końca sprawy rozgrzebane w związku z pchnięciem wojska w stronę działalności szpiegowskiej przez Donalda Rumsfelda.

Przede wszystkim jednak nowe wytyczne – łącznie z tajnym rozkazem generała Petraeusa – umocniły postanowienia administracji Busha. Oficerowie od operacji specjalnych otrzymali jeszcze większą władzę w zakresie prowadzenia misji szpiegowskich w każdym zakątku świata. Nowe rozkazy okazały się dla prezydenta Obamy podstawą tajnej wojny, którą ochoczo kontynuował.

Dyrektywa Petraeusa weszła w życie, kiedy administracja Obamy planowała zintensyfikowanie działań w Jemenie. Rozkaz miał między innymi zapewnić wsparcie oddziałom stacjonującym w okolicach Sany. Lecz gdy z treścią dyrektywy zapoznał się Michael Furlong, odebrał ją po prostu jako pochwałę własnych działań na terenie Pakistanu i Afganistanu. Była ona tym cenniejsza, że wyszła od generała Petraeusa, bodaj najbardziej wpływowego oficera swojego pokolenia. Dla Furlonga oznaczało to niemal papieskie błogosławieństwo.

CIA nie traktowała jednak Furlonga jako pomazańca. Uznała, że trzeba się go pozbyć raz na zawsze. 2 grudnia 2009 roku szef placówki w Kabulu wysłał do Waszyngtonu nieprzyjemną wiadomość, w której wystosował oskarżenie przeciwko Furlongowi. Pośród wielu argumentów świadczących na jego niekorzyść znajdowały się zarzuty o prowadzenie nielegalnej komórki szpiegowskiej oraz okłamywanie zwierzchników co do celu operacji. Odwołano się także do incydentu praskiego, który miał miejsce rok wcześniej, i podano szczegółowe informacje na temat powodów, dla których Furlong wyjechał w pośpiechu z Czech latem 2008 roku.

Szef placówki w swoim komunikacie udowadniał, że grupka prywatnie biegających po Pakistanie i szpiegujących dla Pentagonu bez koordynowania swoich akcji z CIA stanowi poważne zagrożenie. Nie wspomniał jednak o czymś, w co wierzyło kilku starszych oficjeli – że to właśnie informacje pozyskane przez prywatnych szpiegów Furlonga doprowadziły pod koniec 2009 roku prosto do kryjówki Al-Kaidy w Waziristanie Północnym. Atak z użyciem dronów, który na nią przypuszczono, spowodował śmierć kilkunastu Arabów, w tym kilku podwójnych agentów ISI. Szefowie pakistańskiego wywiadu byli wściekli, że ich agenci zostali zabici, i naskoczyli na CIA. Agencja miała pretensje do wojska i oskarżyła o wszystko siatkę Furlonga.

CIA była więc w stanie otwartej wojny z Furlongiem. Nawet jego stronnicy nie mogli dłużej go chronić. Wiadomość wysłana przez szefa placówki w Kabulu była powodem do rozpoczęcia paru równoległych dochodzeń w sprawie jego działań. Wiosną 2010 roku oficerowie bezpieczeństwa w bazie sił powietrznych w San Antonio odebrali mu dostęp do tajnej sieci komputerowej i skonfiskowali klucze do jego biura.

Furlong znalazł się w stanie zawieszenia – nie oskarżono go o żadne przestępstwo i pozostawiono bez szans na kontratak. Nie miał przecież dostępu do swoich tajnych danych. Zaszły się więc w swoim skromnie umeblowanym mieszkaniu w San Antonio i próbował opracować jakąś linię obrony. Jednocześnie ukrywał się przez telewizyjnymi reporterami, którzy czatowali przed budynkiem, odkąd wyszły na jaw wieści o jego szpiegowskich operacjach.

Ostateczny raport Pentagonu całą winę zrzucił na Furlonga. Zorganizowaną przez niego operację określono jako „nieautoryzowaną”, a jego samego oskarżono o wprowadzenie w błąd amerykańskich dowódców co do legalności zadań wykonywanych przez pracowników kontraktowych. Udało mu się jednak uniknąć postawienia zarzutów. Po cichu odszedł z Departamentu Obrony.

Furlong z pewnością siedł na łatwiznę tam, gdzie się dało, zaś jego próby unikania za wszelką cenę biurokratycznych procedur wywoływały konsternację na wszystkich szczeblach dowodzenia. Z perspektywy Furlonga nie były to jednak sprawy ważne. Przecież ginęli amerykańscy żołnierze, a CIA nie chciała wyciągnąć pomocnej dłoni i walczyć w Afganistanie z armią ramię w ramię. Mówił później, że jego operacje szpiegowskie były koniecznością. Wszak „toczyła się gra o czyjeś życie, a CIA polegała wyłącznie na obcych wywiadach”.

Poza tym Furlong wcale nie działał samowolnie. Cały jego interes narodził się z frustracji amerykańskiego generała stacjonującego w Afganistanie, który nie ufał CIA. Zamiast Agencji chciał się więc posłużyć Michaeliem Furlongiem zaopatrzonym w parę mętnych rozkazów. Jeśli w trakcie dochodzenia nikt nie połączył tych faktów, to zapewne dlatego, że nie chciał tego zrobić.

– Moi szefowie chcieli, żeby tak to się skończyło – opowiada Furlong, paląc piątego już papierosa podczas przedłużającego się wywiadu. – No to tak się skończyło.

Kontrakt z Lockheed Martin, który podpisał, wygasł z końcem maja 2010 roku. Wyszło więc źródło, z którego finansowano działania agentów Clarridge’a w Pakistanie i Afganistanie. Clarridge był wściekły, że wojsko nie zdecydowało się na przedłużenie umowy. Ale jeszcze bardziej zabolalo go, że jego zdaniem stała za tym CIA. Po przesłaniu setek raportów wywiadowczych dla dowódców wojskowych w Afganistanie, 15 maja, napisał wiadomość, że musi to skończyć, aby „przygotować dwuosobowy personel do zaprzestania wszelkich działań”.

Clarridge nie miał jednak zamiaru rozmontowywać swojej siatki. Następnego dnia założył chronioną hasłem stronę internetową, która pozwoliła dowódcom armii na przeglądanie jego raportów. Korzystał też z pomocy swoich bogatych przyjaciół i nadal utrzymywał siatkę szpiegowską. Zarejestrował firmę krzak, która miała stanowić przykrywkę dla jego operacji – Eclipse Group. Na własnej stronie zamieszczał raporty podobne do tych, jakie kompletował dla wojska. Podawał w nich szczegóły na temat

pakistańskich służb, które szkola afgańskich bojowników i potajemnie przetrzymują w areszcie domowym talibskiego przywódcę mułłę Mohammada Omara, żeby móc zainstalować go jako marionetkę w południowym Afganistanie, kiedy już amerykańskie wojska opuszczą kraj. Inny raport mówił z kolei o zawale serca, którego doznał mułła Omar. Miał zostać przewieziony do szpitala przez agentów ISI.

Clarridge marzył też o realizacji nieco bardziej wymyślnych planów. Miały one na celu eliminację z gry tych, którzy podają w wątpliwość sens amerykańskich wysiłków wojennych. Dla przykładu Clarridge był przekonany, że prezydent Afganistanu Hamid Karzaj w tajemnicy przed Amerykanami negocjował z Iranem. Clarridge zajął się więc szukaniem twardych dowodów, by potwierdzić plotki o uzależnieniu Karzaja od heroiny.

Opracowany przez niego plan pochodził prosto z podręcznika brudnych sztuczek CIA – Clarridge miał zainstalować swojego agenta w pałacu prezydenckim w Kabulu, ten z kolei miał pobrać materiał DNA Karzaja. Chodziło o jego zarost. Miał on zostać poddany badaniom, zaś wyniki przekazane amerykańskim dowódcom w stolicy Afganistanu, żeby mogli je wykorzystać i zmusić Karzaja do uległości. Plan został jednak porzucony. Administracja Obamy uznała, że jego realizacja raczej umocniłaby rządy Karzaja, zamiast odsunąć go od władzy.

Nawet kiedy upubliczniono wieści o prywatnych operacjach szpiegowskich i wojskowi oficjele zastanawiali się, czy powinni nadal przyjmować raporty pochodzące od siatki Clarridge'a, sam zainteresowany znalazł inne kanały komunikacji. Przyjaciele Clarridge'a posyłali na przykład jego raporty do nastawionych przychylnie do wojska pisarzy. Chociażby Brada Thora, popularnego autora thrillerów szpiegowskich, który zamieszczał już wcześniej na swoim blogu niektóre informacje pozyskane przez Clarridge'a. Posłał nawet niektóre raporty do Olivera Northa, starego kompana z czasów Iran–contras, który wówczas był już jedną z twarzy Fox News.

Było jak za dawnych lat, kiedy Dewey i Ollie odwalali czyjąś robotę, bo nikt inny nie miał do tego jaj.

Rozdział dwunasty

OSTRZE SKALPELA

„Nadal będziemy mówić, że bomby są nasze, a nie wasze”

prezydent Ali Abdallah Salah

Spotkanie miało zakończyć się kapitulacją, symbolicznym gestem pokoju wykonanym w świętym miesiącu ramadan. Saudyjski minister, członek rodziny królewskiej i szef wywiadu książę Mohamed bin Najef posłał nawet prywatny odrzutowiec, który miał odebrać wziętego, młodego mężczyznę z Jemenu i dostarczyć go do Dżuddy, drugiego co do wielkości miasta Arabii Saudyjskiej. Chciał podjąć gościa w swoim domu. Podwładnym wydał wyraźny rozkaz: Abdullah al-Asiri ma zostać przepuszczony bez standardowej kontroli bezpieczeństwa. Żadnych rewizji przed wejściem do pałacu.

Kilka dni wcześniej al-Asiri skontaktował się z księciem i oznajmił, że chce się oddać w ręce saudyjskich służb specjalnych. A także przekazać informacje o grupie, do której wstąpił przed dwoma laty. Chodziło o odgałęzienie terrorystycznej siatki kierowanej przez Osamę ben Ladena, która niedawno przyjęła nazwę Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego (AQAP). Grupa miała księcia bin Najefa za *bête noire*. Miał on dążyć do zmiążdżenia sunnickiego ekstremizmu nie tylko w Arabii Saudyjskiej, ale i u uboższego sąsiada z południa, w Jemenie. Kiedy tamtejsi bojownicy wznieśli w 2003 roku falę przemocy w Arabii Saudyjskiej – wysadzając saudyjskie budynki rządowe i rafinerie, podkładając materiały wybuchowe na osiedlach, gdzie mieszkali obcokrajowcy, oraz obcinając głowy ludziom z Zachodu – bin Najef zarządził krwawy odwet. Na terenie kraju aresztowano i poddano torturom tysiące podejrzanych, a w meczetach, które, jak sądził, były infiltrowane przez ekstremistów, podstawił swoich informatorów.

Twarda reakcja bin Najefa wobec Al-Kaidy zapewniła księciu przychyłność administracji Busha. Nowy amerykański prezydent i jego ludzie też uznali go za niezastąpionego sojusznika. Regularnie przyjmował dygnitarzy z Waszyngtonu. W maju 2009 roku odwiedził go nawet weteran dyplomacji Richard Holbrooke, którego prezydent Obama obarczył delikatnym zadaniem zakończenia wojny w Afganistanie. Lecz kiedy Holbrooke spotykał się z księciem w Rijadzie, aby namówić go do udzielenia pomocy Amerykanom w przegrywanej przez nich wojnie, ten ostrzegł dyplomate, że jego kraj może mieć znacznie większe zmartwienie niż spirala przemocy w Afganistanie. – Nasz problem nazywa się Jemen – powiedział bin Najef.

Książę przedstawił amerykańskiemu wysłannikowi listę swoich zmartwień. Plemiona jemeńskie były dla Al-Kaidy bardziej przychylne niż afgańskie. Do tego Jemen leżał bliżej upatrzonych przez Al-Kaidę celów w Arabii Saudyjskiej niż Afganistan. Jemen to stracony kraj, mówił książę. Na jego czele stoi prezydent Ali Abdallah Salah, słaby

i skorumpowany człowiek, którego wizja kraju „zawężała się do Sany” – stolicę traktował jako swoją twierdzę i odpowiednio ją zabezpieczył. Salahowi do niedawna udawało się utrzymywać jemeńskie plemiona w szachu, ciągnął dalej książę. Jednak teraz prezydent w coraz większym stopniu tracił kontrolę nad sytuacją. Stopniowo przekazywał władzę synowi, który nie utrzymywał dobrych relacji z plemionami. Saudyjczyk twierdził, że nie mają sensu dalsze przelewy na konto rządu Salaha, bo prezydent i jego ludzie wyprowadzają pieniądze z kraju. Ładują one na szwajcarskich kontach.

W odpowiedzi rząd saudyjski rozpoczął serię inwestycji na obszarach Jemenu, gdzie bojownicy Al-Kaidy zdążyli już zapuścić korzenie. Miał nadzieję, że projekty te podziałają na niekorzyść ekstremistów i „przekonają Jemeńczyków, że to kryminaliści, a nie bohaterowie”. Pod koniec spotkania Holbrooke złożył księciu obietnicę, że prezydent Obama będzie wspierał starania królestwa dalszego rozmontowywania rosnącej w siłę na terenie Jemenu siatki Al-Kaidy.

Bin Najef uznał złożoną trzy miesiące później przez Abdullaha al-Asiriego propozycję poddania się jako łut szczęścia. Abdullah, podobnie jak jego starszy brat Ibrahim, był jednym z osiemdziesięciu pięciu bojowników, na których polowali Saudyjczycy. Już raz, w 2003 roku, został aresztowany za próbę przyłączenia się do irackich rebeliantów. Podczas pobytu w saudyjskim więzieniu pielęgnował w sobie nienawiść do królestwa i jego sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi – przyrównywał go do relacji pana i niewolnika.

Saudyjczycy Ibrahima uważali za bardziej niebezpiecznego z dwójki braci. To jego bowiem wyszkolono na specjalistę od konstruowania bomb – miał złowrogi dar wynajdywania wymyślnych sposobów na ukrycie ładunku. Zdając sobie sprawę, że Saudyjczycy mogą uznać planowany akt „kapitulacji” za śmiały fortel, dzięki któremu bracia Asiri będą mogli wyrzucić zemstę na księciu bin Najefie, Ibrahim skonstruował bombę, której nie sposób było wykryć w trakcie standardowych procedur bezpieczeństwa. Niedługo przed wejściem jego brata Abdullaha na pokład odrzutowca do Dżuddy chirurdzy wszczepili mu pentryt – rodzaj materiału wybuchowego – w odbytu.

Pomimo niewątpliwego geniuszu Ibrahima w zakresie konstruowania bomb zaplanowane przez niego zamachy częstokroć psuli ci, którzy mieli odpalić ładunek. Tak było i tym razem. Jego bratu udało się dotrzeć bez przeszkód do pałacu księcia bin Najefa. Zdenerwowany wszedł do pokoju, w którym przyjmowano gości, i sięgnął pod swoją szatę, żeby aktywować ładunek. Zrobił to jednak zbyt wcześnie, jeszcze zanim zbliżył się do księcia. Eksplozja rozerwała go na pół. Na pokrytej kafelkami podłodze pozostał czarny krater i kałuże krwi. Książę bin Najef odniósł jedynie lekkie obrażenia.

Mimo że atak zakończył się fiaskiem, była to pierwsza operacja Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego przeprowadzona poza granicami Jemenu. Jeśli grupa była zażenowana niezdarnością swojego zamachowca samobójcy, nie dała tego po sobie poznać. Niedługo po przeprowadzeniu ataku opublikowała napuszony komunikat. Oświadczyła w nim, że to Saudyjczycy powinni spalić się ze wstydu, bowiem Abdullahowi al-Asiriemu jako pierwszemu zamachowcowi w historii Arabii Saudyjskiej udało się wywieść w pole ochronę rodziny królewskiej. Organizacja ogłosiła też, że była w trakcie

rozpracowywania siatki szpiegowskiej w Jemenie, za pomocą której Saudowie chcieli infiltrować Al-Kaidę.

Dla żyjących w strachu mieszkańców Rijadu – a także waszyngtońskich oficjeli – grupa miała jeszcze jedną wiadomość: obietnicę kolejnych zamachów.

„O, tyrani, bądźcie pewni, że czeka was cierpienie, bo wasze fortece nie są w stanie nas zatrzymać. Już wkrótce do was przyjdziemy”.

Dzień po zaprzysiężeniu Baracka Obamy na czterdziestego czwartego prezydenta Stanów Zjednoczonych książę bin Najef otrzymał telefon z Waszyngtonu od swojego starego przyjaciela. Rozmówcą po drugiej stronie był John Brennan. Niegdyś wysoko postawiony oficer CIA wspierał senatora Obamę podczas kampanii, a potem został przez niego mianowany starszym doradcą Białego Domu do spraw antyterroryzmu. Nie była to jego wymarzona posada. Podczas kampanii prezydenckiej myślano, że jest głównym kandydatem do objęcia szefostwa CIA. Oczywiście pod warunkiem, że wybrany zostanie Obama. Nadawał się idealnie: był synem irlandzkich imigrantów wychowanym w New Jersey i uczęszczał na Uniwersytet Fordham. Przez kilkadziesiąt lat pracował w CIA jako analityk i mówił biegle po arabsku. W latach dziewięćdziesiątych był szefem placówki w Rijadzie, co było dość nietypowe, wszak był analitykiem, a nie oficerem prowadzącym. Brennan był mężczyzną imponującej postury, którego twarz była jak wycięta z kawałka wapienia; wyglądał jak bokser z czasów wielkiego kryzysu.

Jego marzenie o przejęciu CIA legło w gruzach, kiedy znowu wypłynęły wypowiedziane przez niego słowa, które można było odczytać jako pochwałę brutalnych metod przesłuchań, którymi Agencja posługiwała się w tajnych więzieniach. Wzięli je na cel działacze na rzecz praw człowieka. Kiedy w 2002 roku sekretne miejsca odosobnienia zaczynały funkcjonować, Brennan był jednym z głównych doradców George'a Teneta. Był więc blisko związany z programem, który Obama częstokroć nazywał ciemną plamą na amerykańskim sumieniu. Obawiając się długich i niewygodnych rozmów w Senacie, Brennan wycofał swoją kandydaturę na szefa CIA.

Stanowisko w Białym Domu mogło wydawać się jedynie nagrodą pocieszenia, ale w krótkim czasie Brennanowi udało się przeistoczyć swój znajdujący się w podziemiu Zachodniego Skrzydła gabinet bez okien w centrum dowodzenia tajnymi operacjami. Zwłaszcza że Obama również je popierał. Prezydent chciał bezpośrednio z Białego Domu kierować niektórymi aspektami programu eliminacji wrogów Ameryki. A to dało Brennanowi wyjątkową pozycję w historii amerykańskiego rządu – po części kata, po części prezydenckiego spowiednika, a po części mówcy, który miał usprawiedliwiać przed opinią publiczną doktrynę Obamy mówiącą o potrzebie zabijania wrogów Ameryki w dalekich zakątkach świata.

Kiedy Brennan zadzwonił do bin Najefa w styczniu 2009 roku, zapewnił księcia – którego znał jeszcze z czasów pracy w Rijadzie – że Obama ma taki sam stosunek do polowania i zabijania terrorystów jak prezydent Bush. Niedługo po wyborze Obamy na prezydenta Brennan i inni starsi członkowie nowej administracji Białego Domu spędzili dwa dni w siedzibie CIA. Najważniejsi oficjele Agencji przedstawili im szczegóły trwających i planowanych tajnych operacji. Szef Centrum Antyterrorystycznego, agent

imieniem Mike, powiedział zgromadzonym, że prezydent Bush zeszłego lata zwiększył częstotliwość ataków z użyciem dronów, zaś CIA próbowała przemycić na teren Pakistanu większą liczbę szpiegów. Podczas kampanii wyborczej Obama wielokrotnie obiecywał, że skupi się na Pakistanie, Afganistanie i polowaniu na Osamę ben Ladena – czyli na tak zwanej dobrej wojnie, którą Bush ignorował na rzecz złej wojny w Iraku. Podczas serii spotkań Brennan zapowiedział Mike’owi oraz Stephenowi Kappesowi, wicedyrektorowi CIA, którego Obama poprosił o pozostanie na stanowisku, że ataki z dronami najpewniej będą kontynuowane również za kadencji nowego prezydenta.

Istniał też inny powód, dla którego Obama, Brennan i pozostali najważniejsi członkowie nowej administracji zdecydowali się polegać na eliminacji wyselekcjonowanych celów jako głównym narzędziu walki z terroryzmem. Podczas kampanii Obama często mówił o tym, jak tajne więzienia i okrutne metody przesłuchań z epoki Busha podkopały image Stanów Zjednoczonych. Już w pierwszym tygodniu urzędowania ogłosił plan zamknięcia placówki w zatoce Guantanamo i rezygnację z wymuszania zeznań. Decyzji tej sprzeciwił się błyskawicznie Dick Cheney, były wiceprezydent, który uznał ją za cyniczne zagranie niedoświadczonego prezydenta bawiącego się w politykę kosztem bezpieczeństwa narodowego. Ostrzegwał, że jeśli w trakcie kadencji Obamy dojdzie do ataku terrorystycznego, będzie to jego wina, odebrał bowiem CIA narzędzia konieczne do obrony kraju.

Złośliwe komentarze Cheney’a, które pojawiły się natychmiast po opuszczeniu przez niego Białego Domu, były oczywistym naruszeniem zasad. Członkowie odchodzącej administracji nie powinni krytykować prezydenta obejmującego urząd – przynajmniej w ciągu kilku pierwszych miesięcy jego rządów. Ale krytyka Cheney’a miała być strzałem ostrzegawczym, sygnałem, że nawet najmniejszy przejaw „słabości” Obamy w sprawach bezpieczeństwa narodowego skończy się politycznym atakiem.

W spotkaniach z nową ekipą brał udział John Rizzo, prawnik z CIA, który swego czasu uczestniczył w rozmowach z Departamentem Sprawiedliwości dotyczących pozwoleń na wdrożenie programu tajnych więzień. Nie cieszył się on w prezydenckich kręgach zbyt dobrą opinią. Tym bardziej poczuł się dotknięty buńczucznym tonem ludzi Obamy. – Żaden z nich nie powiedział tego wprost, ale wniosek narzucał się sam: skoro nie mogą przesłuchiwać podejrzanych o terroryzm, po prostu będą ich zabijać – powiedział.

Rizzo dodał jednak, że nie wszystkie metody przesłuchań musiały zostać odrzucone, nawet jeśli likwidacja programu wymuszanych zeznań i tajnych więzień stała się dla nowej administracji priorytetem. Ale poza decyzją o zamknięciu w ciągu roku Guantanamo wśród ludzi Obamy pojawiły się też wątpliwości, czy przekazywanie więźniów obcym rządóm nie stanie się przedmiotem kontrowersji i nie pojawią się zarzuty o przerzucanie odpowiedzialności za tortury. Za to zabijanie nie było tak problematyczne. Żaden z prominentnych członków Partii Demokratycznej nie był przeciwny atakom z użyciem dronów. Republikanie oczywiście też nie mogli ich wykorzystać przeciwko nowemu prezydentowi. Argument, że Obama prowadzi zbyt agresywną kampanię przeciwko terrorystom, brzmiałby w ustach Republikanów fałszywie. Polityczny klimat sprzyjał więc eskalacji tajnych wojen.

Spotkanie w Langley było pierwszym dowodem na to, że prezydent Obama miał zamiar polegać na CIA oraz JSOC w stopniu większym niż George W. Bush i Dick Cheney. To Agencja miała stać się teraz głównym elementem tajnych misji przeprowadzanych na całym świecie. Siedem lat po atakach z 11 września dosyć wojen w Iraku i Afganistanie miała nie tylko opinia publiczna, ale też i amerykański budżet. Co jednak ważniejsze, narzędzia sekretnych wojen zostały w tym czasie odpowiednio skalibrowane i oczyszczone, w czym ludzie Obamy widzieli szansę na kontynuowanie programu bez dodatkowych kosztów. Kosztów generowanych przez inwazje w celu obalania rządów, lata okupacji i zmagania się z oporem świata muzułmańskiego. Brennan w jednym ze swoich wystąpień podsumował posunięcia administracji Obamy, mówiąc, że Stany Zjednoczone mogą teraz używać „skalpela”, a nie „młota”, aby móc działać poza strefami wojny.

Obama nie był pierwszym liberałem z Partii Demokratycznej, który sięgnął po prezydenturę i nie mógł doczekać się nadzorowania tajnych programów. John F. Kennedy zezwolił na operację w Zatoce Świń i zainicjował misje specjalne na terenie Wietnamu, a Jimmy Carter, choć podczas kampanii prezydenckiej wypowiadał się przeciwko działaniom CIA, w ciągu ostatnich dwóch lat urzędowania autoryzował wiele tajnych operacji.

Barack Obama był jednak pierwszym prezydentem, który pełnoletność osiągnął już po wojnie wietnamskiej i burzliwych dla CIA latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. To właśnie one nauczyły starsze pokolenie agentów ostrożności co do amerykańskich operacji po drugiej stronie oceanu. Obama w jednym z wywiadów udzielonych w 2010 roku powiedział reporterowi Bobowi Woodwardowi, że jest „prawdopodobnie pierwszym prezydentem na tyle młodym, by wojna wietnamska nie stanowiła rdzenia jego tożsamości”. Dodał też, że dorastał „bez bagażu, który stworzyła dysputa na temat tej wojny”. Obama chciał też wyraźnie zaznaczyć, że również w CIA zaszła pokoleniowa zmiana warty i nie rządzą już w niej dzieci wyżu demograficznego, czyli rówieśnicy Billa Clintona.

Wzrost znaczenia Agencji podczas rządów Obamy nie wynikał jedynie z metryki prezydenta ani zagrożeń, o których prezydent dowiadywał się w czasie codziennych spotkań dotyczących raportów wywiadu. Chodziło również o to, że pierwszy dyrektor CIA za kadencji Obamy, biorąc pod uwagę jego skuteczność w przepychaniu projektów Agencji, okazał się najbardziej wpływowym jej szefem od czasu Williama Caseya. A więc od prezydentury Ronalda Reagana.

Leon E. Panetta nie miał najwyższych notowań jako kandydat na fotel dyrektora CIA – żadnego doświadczenia w wywiadzie lub wojsku poza dwoma latami służby w latach sześćdziesiątych. Kiedy był kongresmenem z ramienia Demokratów reprezentującym północną Kalifornię, nigdy nie zasiadał w żadnej komisji mającej związek z Pentagonem czy CIA. Był człowiekiem otwartym i dobroniosym. Jednak za zamkniętymi drzwiami dał się poznać jako nieustępliwy negocjator i wojownik. Mięsem rzucał równie często jak spójnikami. Z wywiadem zetknął się jako szef sztabu prezydenta Clintona. Lecz była to zupełnie inna era i zupełnie inna CIA.

Kiedy Panetta przejął Agencję, nie miał bladego pojęcia, że zajmuje się ona także

zabójstwami, choć w pierwszej połowie 2009 roku prasa rozpisywała się o atakach z użyciem dronów na terenie Pakistanu. Panetta był zszokowany, kiedy podczas jednego z pierwszych spotkań dowiedział się, że będzie kimś w rodzaju dowódcy armii prowadzącej tajną wojnę. – Kiedy przeszedł przez drzwi Langley, nie wiedział absolutnie nic o sprawach wywiadu – opowiada Rizzo, który pomagał przygotowywać briefingi dla Panetty przed zatwierdzeniem jego nominacji przez Senat. Brak doświadczenia w sprawach życia i śmierci rekompensował waszyngtońskim obyciem. Panetta miał dwie cechy, których paranoiczna CIA szukała u przyszłego szefa: siłę przebicia i szacunek w Białym Domu. A do tego mocne postanowienie obrony Agencji przed jej wrogami ze stolicy.

Praktycznie z miejsca został poddany próbie. Doszło do niej, gdy oficjele z Białego Domu zdecydowali o odtajnieniu dokumentów zezwalających na stosowanie przez Agencję brutalnych technik przesłuchań. Panetta już wcześniej przedstawił swoją opinię na temat owych metod przed Kongresem, gdy starał się o stanowisko. Nazywał je wtedy wprost: „tortury”. Słowa te wywołały szok w CIA – Agencja nabrała podejrzeń co do nowego szefa. Spodziewano się, że oto nadchodzi ktoś w typie Stansfielda Turnera, outsidera wysłanego do Langley przez liberalnego prezydenta, żeby zaprowadził tam porządki według pomysłów Białego Domu.

Stało się jednak zupełnie inaczej. Panetta został faworytem CIA, uwielbianym w Langley, za to krytykowanym przez innych. Pojawiły się nawet głosy, że – tak jak wielu dyrektorów przed nim – w rzeczywistości został wybrany przez samą Agencję.

Miesiąc po objęciu stanowiska Panetta zdołał opóźnić ujawnienie memorandów w sprawie przesłuchań i wymusić na Białym Domu debatę w sprawie zasadności roztrząsania detali zawieszono już programu tajnych więzień. Zarówno Stephen Kappes, jak i oficerowie z Centrum Antyterrorystycznego ostrzegali go, że ujawnienie dokumentów wpłynie niekorzystnie na jego relacje z Dyrektoriatem Operacyjnym, a co za tym idzie na morale agentów w terenie. Wraz z ostrzeżeniem szła więc groźba – Panetta ryzykował trwałą utratę wsparcia tajniaków, jeszcze zanim pozna drogę ze swojego gabinetu do kafeterii. Nowy szef Agencji wystarczająco dużo czasu spędził w Waszyngtonie, żeby wiedzieć, co oznaczałaby realizacja tej groźby. Skończyłby wtedy jak John Deutch lub Porter Goss, którzy starli się z Dyrektoriatem Operacyjnym i skazali się tym samym na krótką kadencję pełną nieprzyjemności. Panetta poszedł inną drogą.

O planach Białego Domu dotyczących odtajnienia memorandów na temat przesłuchań dowiedział się podczas swojej pierwszej podróży międzykontynentalnej w roli dyrektora CIA. Natychmiast zatelefonował do szefa administracji Obamy Rahma Emanuela i zaczął nalegać na wstrzymanie publikacji. Mężczyźni znali się jeszcze z Białego Domu epoki Clintona i to Emanuel wymyślił, żeby Panettę obsadzić na stanowisku szefa CIA. Poparł więc jego prośby i w następnych tygodniach Panetta – mając po swojej stronie Emanuela – przekonywał Biały Dom, że memoranda powinny zostać utajnione. Była to chwila dziwna, niemal nie z tego świata – człowiek, który publicznie oskarżył CIA o złamanie amerykańskiego prawa i stosowanie tortur, teraz zajadłe walczył o to, by szczegóły tych działań nie wyszły na światło dzienne.

Panetta przegrał walkę i prezydent Obama nakazał ujawnienie memorandów. Lecz

nie miało to już kluczowego znaczenia dla nowego dyrektora CIA. Zmuszając Biały Dom do rozmów, udowodnił, że zasłużył na swoje stanowisko, i pokazał, jak bardzo liczy się z nim nowa administracja. Co ważniejsze – dowiódł też czegoś, co było niezwykle istotne dla szefów tajnych komórek Agencji: grał w ich drużynie.

Wszystko to wyglądało inaczej w oczach człowieka, który – przynajmniej na papierze – był szefem Leona Panetty.

Dennis Blair zakończył karierę wojskową jako admirał dowodzący siłami amerykańskimi na Pacyfiku. Oznaczało to nadzór nad niemal połową powierzchni kuli ziemskiej.

Blair, już po odejściu z wojska, przyjął stanowisko szefa Wywiadu Narodowego. Stanowisko to powołała do życia administracja Busha pod presją Kongresu i komisji w sprawie 11 września. Miało ono uchronić Amerykę przed wpadkami wywiadowczymi takimi jak zignorowanie sygnałów, które mogły uchronić Stany Zjednoczone przed atakami na Nowy Jork i Pentagon. Jednak przez cztery lata od stworzenia nowej funkcji zakres jej kompetencji nadal nie były skonkretyzowane. Niektórzy z pomysłodawców zakładali, że szef Wywiadu Narodowego będzie miał pełny dostęp do prawdziwej wiedzy na temat operacji wywiadowczych, co umożliwi mu kontrolę nad wszystkimi grupami działającymi wewnątrz różnych agencji szpiegowskich. Jednak zwolennicy Donalda Rumsfelda z Kongresu skutecznie blokowali tego rodzaju plany. Przeciągająca się biurokratyczna walka na noże doprowadziła do sytuacji, że aż do czasu przejścia stołka przez Blaira na początku 2009 roku zarówno Pentagon, jak i CIA uważały, że szef Wywiadu Narodowego to po prostu kolejny figurant.

Blair nie patrzył przychylnym okiem na prowadzone przez Agencję tajne operacje. Uważał, że prezydenci zbyt często korzystali z usług CIA w chwilach, gdy ich doradcy nie wiedzieli, jak uporać się z kłopotami poza granicami Ameryki. Uważał, że tajne programy ciągną się zbyt długo i po pewnym czasie stają się po prostu zbędne i szkodliwe. Dlatego też kiedy prezydent Obama w pierwszym roku kadencji zlecił ocenę tajnych przedsięwzięć CIA – od ataków z użyciem dronów do kampanii sabotażowych dotyczących irańskiego programu nuklearnego – Blair liczył, że będzie to okazja do przeanalizowania zasadności kontynuowania owych misji. Jednak w czasie serii spotkań w lecie 2009 roku wszystkie te operacje zostały pozytywnie zweryfikowane. Stephen Kappes wytrwale udowadniał, że każdy z omawianych programów to sukces, więc nie należy z nich rezygnować. Do czasu ustalenia terminu jesiennego spotkania „komitetu kierowniczego”, kiedy najwyżsi doradcy prezydenta Obamy podjęli ostateczne decyzje na temat tajnych operacji, żaden program sekretnych misji nie został ani zamknięty, ani nawet skierowany do wnikliwszej analizy.

Blair patrzył na to wszystko z rosnącą frustracją. Zwrócił się do sekretarza obrony Roberta Gatesa, który większość kariery w Waszyngtonie spędził w CIA. Blair wiedział, że cieszy się on poważaniem w Białym Domu. Ale przede wszystkim Gates widział już parę tajnych operacji, które wzięły w łeb. Dlatego zgadzał się z Blairem, że trzeba ułożyć listę podstawowych wytycznych, według których powinny być podejmowane decyzje odnośnie tajnych misji. Końcowy efekt wydawał się dość niewinnym zestawem sześciu zasad – pośród nich znalazł się zapis, że wszelkie programy muszą być poddawane

ciągłej ocenie pod kątem ich przekwalifikowania na operacje jawne. A także klauzula mówiąca, że nie mogą one naruszać „rozwoju stabilnego, nieskorumpowanego i demokratycznego rządu, który respektuje prawa swoich obywateli”.

Kiedy najwyżsi rangą doradcy prezydenta Obamy zebrali się w Białym Domu, aby przedyskutować program operacji specjalnych, Blair przekazał im swoją listę. On i Gates mieli nadzieję, że spotkanie przemieni się w forum dyskusyjne, podczas którego zostanie poruszona kwestia ogólnych zasad dotyczących sekretnych działań CIA. Zebranie ciągnęło się godzinami, gdyż Blair próbował przeforsować debatę na temat poszczególnych misji. Wspominał potem, że „CIA chciała po prostu przepchnąć programy tajnych operacji”. Z każdym zadaniem przez niego pytaniem Leon Panetta i Tom Donilon, zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, denerwowali się coraz bardziej.

Nie chodziło tylko o to, że Panetta uważał Blaira za populistę. Myślał, że próbuje on odebrać CIA to, czego Agencja zazdrośnie strzegła od 1947 roku – bezpośredni kontakt z prezydentem, który akceptował tajne operacje. Panetta wierzył, że lista stworzona przez Blaira i Gatesa nakładała niepotrzebne restrykcje na prezydenta Obamę i utrudnia mu zlecenie sekretnych misji. Starania Blaira spaliły więc na panewce i administracja Obamy zdecydowała o kontynuowaniu wszystkich operacji, które otrzymała w spadku po prezydenturze Busha. Kolejne zwycięstwo CIA na stałe okaleczyło Blaira.

Nawet kiedy ludzie Obamy dyskutowali nad przyszłością tajnych programów, nie padło ani słowo na temat końca programu egzekucji za pomocą dronów. Wręcz przeciwnie – doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego James Jones w pierwszych miesiącach urzędowania nowej administracji kierował tworzeniem skompilowanej „listy zleceń” – celów zabójczych operacji poza strefami wojen, głównie w Pakistanie, Afryce i Jemenie. Dokumentem, znanym potem jako „memorandum Jonesa”, opiekowała się Rada Bezpieczeństwa Narodowego. Niektórzy jej członkowie starali się pilnować surowych kryteriów co do tego, kto może zostać wciągnięty na listę. W niektórych przypadkach kryteria te łagodzano.

Dobrym przykładem z początków urzędowania Obamy był brak zgody na eliminację Bajtullaha Mehsuda. Od czasu, gdy Art Keller w jednej z baz na terytoriach plemiennych usłyszał po raz pierwszy jego imię, wyrósł on na przywódcę pakistańskich talibów. Jego ugrupowanie – znane w kraju jako Tehrik-i-Taliban (TTP) – przypuszczało brutalne ataki na pakistańskie instalacje militarne i budynki rządowe. Tamtejsze władze zaczęły naciskać na administrację Obamy, żeby wydała na Mehsuda wyrok i urządziła na niego polowanie z dronami – tak jak w przypadku jego poprzednika Neka Muhammada. Odpowiedź brzmiała: „nie”. Podczas prywatnego spotkania w pierwszej połowie 2009 roku wicedyrektor CIA Stephen Kappes powiedział Husajnowi Hakkaniemu, pakistańskiemu ambasadorowi w Waszyngtonie, że póki Mehsud i jego poplecznicy nie zaatakują Stanów Zjednoczonych, CIA nie otrzyma pozwolenia na jego zabicie.

Niektórzy zwolennicy teorii spiskowych w Pakistanie byli nieco bardziej cyniczni co do powodów, dla których USA nie spieszyły się z eliminacją Mehsuda – w rzeczywistości miał on być tajnym hinduskim agentem, a Amerykanie obiecali

rządowi w Dehli, że Mehsudowi nie spadnie włos z głowy. Pakistańczycy wciąż jednak naciskali i prawnicy CIA zaczęli przekazywać sobie memoranda na temat ukrywania agentów Al-Kaidy przez pakistańskich talibów. Nie było łatwo odróżnić jedno ugrupowanie od drugiego i czasem nie wiadomo było, kto zajmuje się działalnością terrorystyczną wewnątrz Pakistanu, a kogo interesuje wojna z Zachodem. Dlatego przywódcy TTP mogli zostać wciągnięci na listę pod byle pretekstem. Załatwienie kwestii prawnych ułatwiał fakt, że część Białego Domu uważała „odstrzelenie” największego wroga Pakistanu za rzecz, która może przynieść korzyści dyplomatyczne.

Dlatego pewnego ciepłego wieczoru na początku sierpnia 2009 roku należący do CIA dron, krążący nad wioską Zanghara w Waziristanie Południowym, skierował kamerę na dach budynku, gdzie Bajtullah Mehsud i paru innych członków jego rodziny delektowali się nocnym powietrzem. Mehsud chorował na cukrzycę i akurat przyjmował zastrzyk insuliny, kiedy dron wystrzelił w jego kierunku raketę i zabił wszystkich na dachu. Pakistańscy oficjele cieszyli się z efektu, zaś w Waszyngtonie mówiono o zabójstwie dokonanym „w dobrej wierze”.

Leon Panetta wczuł się w nową rolę dowódcy wojskowego. Czas jego rządów w Langley podsumowano jako krwawą – niektórzy powiedzą nawet, że brawurową oraz nierozważną – kampanię. Pod koniec kadencji Panetta, zagorzały katolik, żartował, że przez ostatnie dwa lata zmówił „więcej wiecznych odpoczynków niż przez całe swoje życie” .

Dwa miesiące po zabiciu Mehsuda Leon Panetta pojawił się w Białym Domu z długą listą operacji, które CIA planowała przeprowadzić. Chciał zintensyfikować ataki z użyciem dronów i miał zamiar pozyskać od Pakistanu stosowne pozwolenie na infiltrację większych połaci terytoriów plemiennych. Przy okazji załatwił, że prezydent Obama, pod naciskiem wiceprezydenta Joego Bidena, zgodził się na zwiększenie liczby tajnych agentów działających na terenie Pakistanu – często bez wiedzy ISI.

Tylko niektórych dziwiły prośby CIA o rozbudowę floty dronów. Ledwie paru oficjeli otwarcie pytało, czemu agencja szpiegowska odchodziła od swoich podstawowych zadań – zbierania i gromadzenia informacji. Podczas jednego ze spotkań w Białym Domu generał James Cartwright, zastępca szefa Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, zapytał: – Czy możecie mi powiedzieć, po co nam drugie siły powietrzne? Pozostali uważali z kolei, że CIA tak pokochała zabójcze drony, iż nie zadawała swoim analitykom podstawowego pytania: czy przypadkiem ataki z użyciem bezzałogowych samolotów nie tworzą więcej nowych terrorystów, niż zabijają starych?

Pod koniec spotkania w pokoju dowodzenia prezydent Obama zgodził się na wszystkie prośby Panetty. – CIA dostanie to, czego chce – powiedział.

Mimo że Agencja dysponowała nowym sprzętem, to i tak prowadzona przez CIA wojna w pakistańskich górach wciąż angażowała mnóstwo dronów, satelitów szpiegowskich i agentów. Nie zostawało więc zbyt wiele sił i środków na działania w innych miejscach. Tymczasem doradcy prezydenta Obamy mieli problem z krajem leżącym prawie dwanaście tysięcy kilometrów dalej na zachód. Sierpniowy nieudany

zamach na księcia Najefa i groźba nowych ataków ze strony powiązanej z Al-Kaidą grupy terrorystów z Jemenu zmusiły Waszyngton do podjęcia stanowczych działań.

Pod koniec 2009 roku w amerykańskiej ambasadzie w Sanie pozostała już tylko garstka amerykańskich żołnierzy i agentów. Jednak w obliczu nadciągającego końca działań w Iraku JSOC dysponowało liczniejszą ekipą Navy SEALs, którą mogło wykorzystać w operacjach w innych krajach.

Generał David Petraeus, dowódca wojsk amerykańskich na Środkowym Wschodzie, od czasu przejścia stanowiska niepokoił się rosnącą w siłę Al-Kaidą Półwyspu Arabskiego^[20]. Pod koniec września 2009 roku podpisał tajny rozkaz intensyfikacji działań szpiegowskich na terenie Jemenu i innych obszarach – ten sam, którym posługiwał się Michael Furlong, aby usprawiedliwić swoje operacje w Pakistanie. Zezwalał on wojsku na prowadzenie niekonwencjonalnych misji w Jemenie – od zakrojonej na szeroką skalę akcji podsłuchowej po opłacanie lokalnych informatorów.

Lecz JSOC chciało więcej. Jego szef admirał William McRaven chciał zastosować w Jemenie podobną taktykę, jaką komandosi stosowali w Iraku w trakcie walk z Al-Kaidą – chwywanie członków siatki terrorystycznej, poddawanie ich przesłuchaniom, a potem wykorzystywanie zdobytych w ten sposób danych w kolejnych akcjach. Model ten korzystał z – jak to określali dowódcy – „cyklu wywiadowczego”, który wdrażano również w Afganistanie. McRaven uważał, że wprowadzenie do Jemenu kolejnych żołnierzy zdławi Al-Kaidę Półwyspu Arabskiego, zanim organizacja zdąży przeprowadzić skuteczny atak na Stany Zjednoczone.

Jego ambitny plan został jednak odrzucony w Waszyngtonie – Biały Dom uznał go za nierealistyczny i niepotrzebnie ryzykowny. Prezydent Salah nigdy nie pozwoliłby amerykańskim wojskom lądowym na założenie na terenie Jemenu tajnego więzienia, w którym przetrzymywano by i przesłuchiowano podejrzanych o członkostwo w terrorystycznej siatce. Nie mówiąc już o zgodzie na prowadzenie w jego kraju operacji polegających na eliminacji podejrzanych. Biały Dom zmagał się w tym czasie z polityczną opozycją sprzeciwiającą się planom zamknięcia więzienia w zatoce Guantanamo. Tym bardziej ludzie prezydenta nie byli zachwyceni pomysłem przetrzymywania kolejnych osób gdziekolwiek. McRaven został więc zmuszony do wymyślenia alternatywnego planu prowadzenia walki w Jemenie.

Efektom była dziwaczna i niedopracowana kampania – *quasi*-tajna wojna, której skuteczność osłabiały często absurdalne próby ukrycia udziału w niej amerykańskiej armii. Sztabowcy mieli do dyspozycji niewielu ludzi i szczątkowe informacje wywiadu na temat miejsc pobytu kluczowych bojowników. Byli do tego ograniczeni zakazem jemeńskiego prezydenta, który nie zgodził się na wykorzystanie uzbrojonych dronów. Pozostawały więc rakiety dalekiego zasięgu wystrzeliwane z okrętów zakotwiczonych u wybrzeży Jemenu oraz naloty. Rezultat był niezadowolający – w wyniku amerykańskich działań w ciągu kilku lat zginęło w Jemenie więcej cywilów niż ważnych rangą osób powiązanych z Al-Kaidą Półwyspu Arabskiego.

Do pierwszego ataku doszło 17 grudnia 2009 roku. Amerykanie przejęli komunikaty z obozu terrorystycznego w prowincji Abjan – odległej połaci pustyni z rozrzuconymi wzdłuż wybrzeża wioskami. Podczas wideokonferencji admirał McRaven przedstawił

Białemu Domowi, Pentagonowi i Departamentowi Stanu plan ataku na obóz. O ile CIA miała ogólne pozwolenie na przeprowadzanie ataków z użyciem dronów na terenie Pakistanu, bez konieczności zwracania się za każdym razem do Białego Domu, to wojsko musiało czekać na zielone światło z Waszyngtonu. A konkretnie od grupy zwanej „Zarządem Antyterrorystycznym”, której szefem był John Brennan. Rada podejmowała decyzję, czy dany plan powinien zostać zrealizowany, i kierowała rekomendacją na biurko Obamy. Prezydent musiał zatwierdzić każdy atak.

Prezydent zaakceptował operację. Nazajutrz wysłano zaszyfrowaną wiadomość do niewielkiej floty amerykańskich okrętów patrolujących Morze Arabskie. Po kilku godzinach rakiety Tomahawk uderzyły w pustynny obóz w Abjanie. Tego samego dnia jemeński rząd opublikował informację, w której opiewano sukces operacji. Podano, że miejscowe siły powietrzne zabiły „około trzydziestu czterech” bojowników Al-Kaidy.

Następnego dnia prezydent Obama zatelefonował do Alego Abdallaha Salaha, żeby podziękować mu za współpracę, choć wojska jemeńskie posłużyły amerykańskiej misji wyłącznie jako listek figowy. Nagrania zarejestrowane przez tubylców po ataku na obóz oraz odnalezione szczątki rakiet z amerykańskimi oznaczeniami dowodziły, że pociski Tomahawk wyposażono w ładunki rozpryskowe – broń przeznaczoną do rażenia na stosunkowo dużych obszarach za pomocą odłamków. Dlatego w akcji zginęło też wielu cywilów, a na YouTube krążyły zdjęcia zakrwawionych ciał kobiet i dzieci. Podczas protestów zorganizowanych po ataku i transmitowanych przez Al-Dżazirę jeden z bojowników Al-Kaidy, z karabinem AK-47 na ramieniu, zwrócił się z apelem do wojsk jemeńskich: – Żołnierze, to nie z wami chcemy walczyć. Jesteśmy przeciwko Ameryce i jej agentom. Dobrze pomyślcie, zanim się z nimi sprzymierzycie!

Trzy tygodnie po ataku generał Petraeus przybył do Sany, żeby spotkać się z prezydentem Salahem i jego doradcami w sprawie kolejnego etapu wojny. Znow bowiem zdarzyło się coś niepokojącego – w Boże Narodzenie 2009 roku młody Nigeryjczyk wsiadł na pokład samolotu lecącego z Amsterdamu do Detroit z wszytym w bieliznę najnowszym diabolicznym wynalazkiem Ibrahima as-Asiriego, jemeńskiego specjalisty od bomb. Kiedy samolot schodził do lądowania, Umar Farouk Abdulmutallab próbował odpalić ładunek, na który składało się osiemdziesiąt gramów materiału wybuchowego – mieszając go z zawartością strzykawki wypełnionej kwasem. Raz jeszcze pracę Asiriego pogrzebała niekompetencja zamachowca – Abdulmutallab nie tylko podpalił sobie nogawkę i poparzył nogę, ale został szybko powalony na ziemię przez współpasażerów. Niedoświadczony samobójca został zapuszkowany w Detroit, a Stany Zjednoczone uniknęły pierwszego zamachu terrorystycznego na dużą skalę za administracji Obamy.

O ile próba zamachu na księcia bin Najefa była zaledwie pierwszą oznaką rosnących ambicji Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego, która chciała zainicjować ataki poza terytorium Jemenu, tak nieudana próba wysadzenia samolotu dowiodła, że grupa była prawdziwie oddana ideom Osamy ben Ladena. Zamierzała kontynuować „misję” zainicjowaną przez niego i członków Al-Kaidy ukrywających się na terenie Pakistanu. Dlatego kiedy na początku stycznia 2010 roku samolot wiozący generała Petraeusa wylądował w stolicy Jemenu, administracja Obamy była o krok od podjęcia decyzji w sprawie eskalacji

działań wojennych w tym kraju.

Prezydent Salah od dawna był niezwykle drażliwy na punkcie prób uczynienia z Jemenu placu zabaw zachodnich służb wywiadowczych. Stąd dyskusje pomiędzy nim a amerykańskimi oficjelami przypominały częstokroć rozmowę przekupek na targu. Petraeus rozpoczął dziewięćdziesięciminutowe spotkanie, próbując zmiękczyć prezydenta – pochwalił go za zwieńczone sukcesem operacje wojskowe przeciwko Al-Kaidzie Półwyspu Arabskiego i dodał, że złożył podanie o zwiększeniu dotacji dla Jemenu z sześćdziesięciu siedmiu do stu pięciu milionów dolarów za wkład kraju w zwalczanie terroryzmu.

Przebiegły autokrata nie dał się jednak zbyć tak łatwo. Kiedy zaczęła się rozmowa na temat niedawnych amerykańskich nalotów, Salah powiedział, że „popelniono błędy”, w wyniku których ginęli cywile. Rakiety typu Tomahawk nie nadawały się – jego zdaniem – do walki z terrorystami. Podobnych strat można by uniknąć, gdyby Stany Zjednoczone udostępniły Jemenowi kilkanaście śmigłowców, które wojska Salaha mogłyby wykorzystać w atakach na obozy terrorystów. Jemeński przywódca dodał, że pozwoliliby to na ukaranie winnych bez niepotrzebnych ofiar. Zasugerował, że jeśli Waszyngton nie zaakceptuje jego żądań, być może generałowi uda się namówić Arabię Saudyjską i Zjednoczone Emiraty Arabskie na przysłanie helikopterów. Petraeus skontrolował to własnym żądaniem: oddziały specjalizujące się w tajnych operacjach i amerykańscy szpiedzy mają zostać dopuszczeni bliżej frontu w Jemenie. Tym sposobem, ciągnął Petraeus, jemeńscy wojskowi będą mieli możliwość wykorzystywania informacji prosto z dronów i satelitów szpiegowskich w celu zwiększenia skuteczności swoich ataków na kryjówki terrorystów.

Salah odrzucił tę prośbę. Odpowiedział Petraeusowi, że Amerykanie muszą trzymać się swojego centrum operacyjnego, które nie tak dawno CIA i JSOC założyły pod Saną. Lecz, dodał, ataki z powietrza mogą być kontynuowane. Przy okazji niektórych misji wywiadowczych pozwoli amerykańskim bombowcom na przekraczanie jemeńskiej przestrzeni powietrznej od strony wybrzeża. Ale pod warunkiem, że wcześniej zostanie ustalone miejsce pobytu dowódców Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego. Powiedział też, że nadal będzie komunikował swoim obywatelom i światu, że Stany Zjednoczone nie prowadzą akcji wojskowych na terytorium Jemenu: – Nadal będziemy mówić, że bomby są nasze, nie wasze.

Ameryka powoli wkręcała się w wojnę toczoną w kraju długo ignorowanym przez Waszyngton, którego Biały Dom praktycznie nie rozumiał. Administracja Obamy nie miała zbyt wielkiego pojęcia o tym, kto pomaga bojownikom w Jemenie i gdzie się oni ukrywają. Trudno było odróżnić rzetelne informacje wywiadowcze od dezinformacji, którymi jemeńskie źródła karmiły amerykańskich szpiegów, działając zgodnie z własnymi planami.

Pięć miesięcy po spotkaniu Petraeusa z Salahem amerykańskie rakiety uderzyły w samochód Dżabera asz-Szabwaniego, zastępcy gubernatora prowincji Marib i zarazem człowieka, którego prezydent Salah wskazał jako łącznika pomiędzy rządem a Al-Kaidą. Kiedy asz-Szabwani i jego ochroniarze zostali wysadzeni w powietrze, jechali akurat na spotkanie z przedstawicielami Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego,

by przedyskutować rozejm. Polityczni przeciwnicy asz-Szabwaniego opowiedzieli Amerykanom zupełnie inną historię – ich zdaniem jemeński polityk trzymał z Al-Kaidą. Tym sposobem Amerykanie zostali wykorzystani jako narzędzie do rozwiązania politycznego sporu za pomocą wysoce zaawansowanej technologii.

Przeprowadzony w maju 2010 roku atak wywołał w Jemenie falę oburzenia. Prezydent Salah domagał się wstrzymania nalotów, zaś mieszkańcy prowincji Marib podpalili rurociąg naftowy, który płonął przez cztery dni. Amerykańska wojna w Jemenie została wstrzymana na czas nieokreślony.

Najwięksi amerykańscy prezydenci są uwieczniani w Waszyngtonie na wielkich pomnikach, a ich najsłynniejsze słowa ryje się w blokach białego marmuru. Tych gorszych honoruje się, nadając ich imiona pokojom konferencyjnym w hotelach w centrum Waszyngtonu. 6 kwietnia 2010 roku Dennis Blair zszedł po schodach do podziemi hotelu Willard, gdzie znajdowały się sale imienia Millarda Fillmore'a, Zachary'ego Taylora, Franklina Pierce'a i Jamesa Buchanana. Tam wygłosił swoją ostatnią mowę jako szef wywiadu.

Frustracja Blaira rosła z każdym dniem. Wiedział, że traci poparcie zarówno w Białym Domu, jak i wśród ludzi wywiadu. Tego ranka był zdeterminowany, aby opowiedzieć o swoich obawach dotyczących CIA i tajnych operacji. I choć wyraził się w słowach, które można uznać za dyplomatyczne, jego przekaz był jasny. Powiedział, że Stany Zjednoczone zbyt często polegają na tajnych akcjach, bowiem w dzisiejszym świecie coraz trudniej jest je ukryć. Dlatego ręka amerykańskiego rządu staje się aż nazbyt widoczna. Dodał też, że „istnieje więcej jawnych dróg, którymi możemy podążać, by uporać się z problemami w tych częściach świata, gdzie wcześniej możliwe były jedynie tajne operacje”.

Podczas wystąpienia ani razu nie wspomniał o CIA, lecz nie było wątpliwości, że jego słowa odnosiły się właśnie do Agencji, która, jak zaobserwował, podczas kadencji Obamy urosła w siłę. Poprzez publiczne afiszowanie się ze swoimi zastrzeżeniami złamał kardynalną zasadę obecnej administracji: wewnętrzne walki o sprawy bezpieczeństwa narodowego muszą pozostać w rodzinie. Co jeszcze bardziej znamienne, ośmielił się skrytykować jeden z filarów polityki zagranicznej prezydenta Obamy – korzystanie z CIA jako narzędzia tajnej wojny. Jak można było przewidzieć, Leon Panetta i pozostali starsi oficjele CIA byli oburzeni, słysząc przemowę Blaira. Niecały miesiąc później został zwolniony – zdecydował o tym prezydent Obama.

Rozdział trzynasty

AFRYKAŃSKA SZAMOTANINA

„To manna z niebios!”

Amira

Wrzesień 2008 roku. Ukraiński statek handlowy MV „Faina” zbliżał się do wybrzeża Somalii. Płynął z kenijskiej Mombasy. Nie dotarł do miejsca przeznaczenia. Kiedy przedzierał się przez wyjątkowo zdradliwy odcinek, kilkunastu uzbrojonych mężczyzn podpłynęło motorówkami i wdarło się na pokład. Wzięli zakładników: siedemnastu Ukraińców, trzech Rosjan i jednego Łotysza.

Po otwarciu ładowni piraci nie mogli uwierzyć we własne szczęście – statek przewoził tajny ładunek, w skład którego wchodziły trzydzieści trzy rosyjskie czołgi T-72, kilkadziesiąt skrzyń z granatami oraz działa przeciwlotnicze. Nie mogli wiedzieć, że była to tajna pomoc Kenii dla bojówek walczących w Sudanie przeciwko rządowi, co było oczywiście pogwałceniem embarga nałożonego przez ONZ. Somalijscy piraci byli mistrzami w wycenie skradzionego ładunku i szybko ustalili wysokość okupu – trzydzieści pięć milionów dolarów za wypuszczenie załogi oraz zwrot ładunku.

Po kilku dniach okręty amerykańskiej marynarki otoczyły „Fainę”. Nad statkiem krążyły helikoptery. Ich załogi miały za zadanie ocenić, jak się mają zakładnicy. Negocjacje ciągnęły się tygodniami, bo właściciele ukraińskiej jednostki nie mieli zamiaru podporządkować się żądaniom. Piraci, sfrustrowani bezowocnym przebiegiem rozmów, ustalili między sobą, że potrzebny jest nowy mediator – na prześcieradle wywieszonym na burcie statku napisali tylko jedno słowo: „Amira”.

Już po upływie kilku dni Michele „Amira” Ballarin była na miejscu i natychmiast wpadła w wir intensywnej negocjacji z piratami. Jeszcze zanim sprecyzowali swoje żądania, Ballarin pracowała już ze starszyzną somalijskich klanów, próbując ustalić wysokość okupu i zakończyć impas. Później wyparła się, jakoby zgodziła się wziąć udział w rozmowach z powodów finansowych. Twierdziła, że zrobiła to ze względów czysto humanitarnych. Dostarczyła piratom telefony satelitarne, żeby mogli komunikować się ze starszyzną na lądzie; dzięki nim załoga mogła też zadzwonić do swoich rodzin. Jednak właściciele statku wściekli się, że do ich spraw miesza się dziwna kobieta z Wirginii. Jej obecność uznali za niepożądaną i krytykowali, bo ponoć podbijała cenę za wypuszczenie załogi i zwrot ładunku. – Musi zrozumieć, że proponowanie kryminalistom dużych pieniędzy, których się nie posiada, to dawanie wszystkim fałszywej nadziei – powiedział rzecznik firmy.

Interweniował też rząd ukraiński – w pierwszej połowie lutego 2009 roku, parę tygodni po przejściu rządów przez ludzi Obamy, tamtejszy minister spraw zagranicznych

Wołodymyr Ohryzko napisał list do sekretarza stanu Hillary Clinton na temat kobiety, która, jak się kwieciście wyraził, „mianowała się pośrednikiem korsarzy”. Według niego działania Ballarin „zachęcały piratów do bezpodstawnego zawyżania wysokości okupu” i poprosił Clinton o „odsunięcie pani Golden-Ballarin od rozmów z piratami”.

Hillary Clinton nie zetknęła się wcześniej z Michele Ballarin, lecz wielu amerykańskich oficjeli dobrze ją znało. Zanim prezydent Obama objął urząd, Ballarin podpisała kontrakt z Pentagonem – miała świadczyć dla wojska usługi wywiadowcze na terenie Somalii. Był to tylko jeden z wielu jej projektów, którymi chciała zyskać przychylność rządu amerykańskiego – z różnym powodzeniem.

Nie potoczyły się po jej myśli plany zorganizowania sufickiego ruchu, który miałby walczyć z Asz-Szabab. Jednak to jej nie zraziło. Korzystając z licznych firm krzaków o mętnych i nadętych nazwach – BlackStar, Archangel czy Gulf Security Group – udało się jej podłapać kilka nowych zleceń. Chciała za ich pomocą uzależnić od swoich usług zarówno wojsko, jak i wywiad. Historyczny hotel w Plains w stanie Wirginia przerobiła na istną twierdzę ze wzmocnionymi ścianami i zamkami szyfrowymi. Miała nadzieję, że CIA lub Pentagon będą z niego korzystać jako magazynu dla tajnej dokumentacji. W końcu nikomu nie udało się jej go wynająć.

Ballarin zatrudniła emerytowanych amerykańskich oficerów wojska i agentów wywiadu. Był wśród nich były oficer CIA Ross Newland, który odszedł z Agencji i rozpoczął pracę konsultanta. Mieli oni pomóc Ballarin w ustawieniu spotkań ze starszymi członkami waszyngtońskich komórek zajmujących się sprawami bezpieczeństwa narodowego. Pracując z byłym starszym sierżantem Perrym Davisem, krępyim żołnierzem zielonych beretów na emeryturze, który miał za sobą lata służby w Azji Południowo-Wschodniej, Ballarin przez jakiś czas rozważała pomysł znalezienia odpowiedniego miejsca na założenie bazy na jednej z odległych wysep Indonezji albo Filipin. Chciała ją potem wykorzystać jako poligon dla miejscowych oddziałów, które planowała zaangażować w misje antyterrorystyczne. Jednak jej uwaga wciąż koncentrowała się na Afryce.

Ballarin w sierpniu 2007 roku napisała list do CIA, w którym przedstawiła się jako szefowa Gulf Security Group, firmy z siedzibą w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Przyświecał jej tylko „jeden cel”: wytropienie i całkowita likwidacja „siatek terrorystycznych Al-Kaidy, ich infrastruktury i bojowników działających na terenie Rogu Afryki”.

List brzmiał następująco: „Gulf Security Group należy do niżej podpisanych obywateli Stanów Zjednoczonych i jest przez nich zarządzane bez żadnych zobowiązań wobec obcych państw. Mamy powiązania z somalijskimi, kenijskimi i ugandyjskimi klanami oraz przywódcami politycznymi; nasze kontakty rozsiane są po całym Rogu Afryki, posiadamy też znajomych w Związku Sądów Islamskich, a są to ludzie zdolni kontrolować zapędy dżihadystów i podżegaczy. Dzięki naszym kontaktom będziemy w stanie przeprowadzić operacje wywiadowcze bez zostawiania po sobie odcisków palców i śladów stóp, dzięki czemu będziemy mogli wszystkiemu wiarygodnie zaprzeczyć”.

John L. McPherson, zastępca głównego doradcy prawnego CIA, miał gotową

odpowiedź na takie zapierające dech propozycje: „Agencja nie jest zainteresowana niezamówionymi przez nas zleceniami i nie może autoryzować żadnych działań podejmowanych w jej imieniu. Jestem więc zmuszony odrzucić przedstawioną ofertę”. Propozycję zatrudnienia prywatnych grup uderzeniowych McPherson zbył jako naruszającą ustawę o neutralności, która zabrania obywatelom organizowania własnych sił militarnych poza granicami kraju.

O ile oferta faktycznie wyglądała na mocno przesadzoną, prawda jest taka, że Ballarin zapewne trafiła na nieodpowiedni moment. Jeszcze rok wcześniej CIA płaciła Erikowi Prince’owi i Enrique’owi Pradzie za ich pracę przy programie przewidującym jak najszybszą eliminację osób zaangażowanych w działania terrorystyczne, który miała realizować firma Blackwater. Jednak w połowie 2006 roku Agencja zdecydowała o zamknięciu programu z tych samych powodów, które McPherson wymienił w liście – wątpliwości prawnych dotyczących legalności zatrudniania prywatnych firm w celu planowania zamachów na terrorystów. CIA nie miała więc zamiaru rozmyślać nad podobną ofertą, w dodatku pochodzącą od tajemniczej kobiety bez żadnego doświadczenia w prowadzeniu tajnych operacji.

Po odrzuceniu jej propozycji przez CIA Ballarin zwróciła się do wojska. Wiosną 2008 roku wraz z Perrym Davisem pojawiła się w nieoznakowanym budynku naprzeciwko siedziby Pentagonu, gdzie odbywało się spotkanie zwołane przez Biuro Wsparcia Technicznego Walki z Terroryzmem (CTTSO). Była to stosunkowo niewielka komórka dysponująca skromnym budżetem przeznaczonym głównie na tajne programy antyterrorystyczne. Kontakt Ballarin w Pentagonie pomógł jej umówić się na rozmowę z ludźmi z CTTSO. Niewielu jednak wiedziało, co myśleć o gustownie ubranej kobiecie z torebką od Gucciego przewieszoną przez jedno ramię i kolejną od Louisa Vuittona przez drugie. Przedstawiła się bezceremonialnie jako szefowa firmy BlackStar. – Załatwię Somalię – powiedziała.

Ballarin i Davis opracowali wstępny plan pomocy humanitarnej, który byłby przykrywką dla prawdziwej operacji szpiegowskiej. Palety z żywnością miały być transportowane drogą morską do somalijskiego portu, załadowywane na ciężarówki i wiezione do odpowiednich placówek, które ekipa Ballarin miała założyć na terenie całego kraju. Zgodnie z planem Somalijczycy, którzy zgłoszą się po jedzenie, musieli podać swoje imię oraz inne konieczne dane, a w zamian dostawali karty identyfikacyjne. Informacje zbierane w placówkach Ballarin przekazywałyby wojskowym, którzy wprowadzaliby je do swoich baz danych. Mogłyby być potem wykorzystane do analizy skomplikowanej somalijskiej struktury plemiennej oraz, być może, do namierzenia przywódców Asz-Szabab.

Ballarin zapewniła, że dużą część kosztów żywności pokryje z własnej kieszeni, lecz oczekiwała od Pentagonu błogosławieństwa oraz dofinansowania. Razem z Davisem nie poinformowała wojskowych o szczegółach planowanych działań, ale i tak udało jej się przepchnąć swoją ofertę. Niedługo potem Pentagon obiecał BlackStar sto dziewięćdziesiąt dwa tysiące dolarów, zobowiązując się do przekazania większej kwoty, jeśli program przyniesie spodziewane rezultaty. Po raz pierwszy Michelle Ballarin otrzymała od amerykańskiego rządu *imprimatur* na tajną operację w Afryce.

Michelle Ballarin utorowała sobie drogę do operacji wywiadowczych w Somalii dzięki szczęśliwemu zbiegowi paru czynników. Pierwszym, najbardziej oczywistym, był brak konkretnych informacji na temat sytuacji w Somalii, która, czego obawiano się w Waszyngtonie, może się przeistoczyć w państwo wspierające terroryzm na kształt Afganistanu sprzed 11 września. CIA była pochłonięta atakami z użyciem dronów i wspieraniem działań militarnych w Iraku i Afganistanie, nie miała więc zbyt wielu środków, które mogła wykorzystać w Afryce. Poza tym Agencja nadal boleśnie odczuwała skutki katastrofalnej kampanii przeciwko tamtejszym watażkom z 2006 roku. Mało komu w Langley spieszno było do powrotu w somalijskie błoto. Nie miano też pewności, czy wznowienie działań w tym kraju w ogóle się opłaca – w trakcie ostatniego wywiadu udzielonego reporterom pod koniec urzędowania administracji Busha dyrektor CIA Michael Hayden nazywał członków Asz-Szabab „bandą idiotów”.

Mniej więcej w tym samym czasie Pentagon planował jednak intensyfikację tajnych działań w Afryce – poczynając od Somalii, przez kraje arabskie na północy, aż do państw na zachodzie kontynentu – przede wszystkim w Nigerii. Utworzenie jesienią 2008 roku Afrykańskiego Dowództwa Stanów Zjednoczonych, pierwszej militarnej komórki Pentagonu zajmującej się wyłącznie operacjami w Afryce, było kolejnym sygnałem zainteresowania Amerykanów drugim pod względem wielkości i populacji kontynentem. Skończyła się epoka jego ignorowania. Pentagon miał do dyspozycji Dowództwo lśniący nowością budynek w niemieckim Stuttgarcie, lecz nie dysponował służbami wywiadowczymi, które mogłyby wesprzeć planowane operacje.

Armia nie miała też pojęcia, jakie osoby i frakcje należy wspierać. Zaledwie kilka miesięcy po przejściu urzędu przez prezydenta Obamę nowa administracja ogłosiła decyzję o przekazaniu czterdziestu ton broni i amunicji Tymczasowemu Rządowi Federalnemu. Miał wsparcie ONZ, choć sami Somalijczycy uważali go za mało znaczący i skorumpowany. Do 2009 roku zdołał on objąć kontrolę nad zaledwie kilkoma milami kwadratowymi w samym Mogadiszu, więc ludzie Obamy obawiali się, że ofensywa Asz-Szabab może przegonić władze ze stolicy. Embargo nałożone na transporty broni do Somalii zmuszało administrację do zdobycia odpowiedniego pozwolenia od ONZ. Pierwszy transport broni przybył w czerwcu 2009 roku, lecz wojska somalijskiego rządu nie nacieszyły się nią długo – została bowiem sprzedana na rozmaitych bazarach w Mogadiszu. W ten sposób Asz-Szabab miał do dyspozycji świeżą dostawę taniej broni. Pod koniec lata można było dostać na bazarze amerykańskie karabiny M16 za jedyne dziewięćdziesiąt dolarów, zaś bardziej pożądane AK-47 za tylko pięć dolarów więcej.

Kampania w Rogu Afryki nadal była prowadzona chaotycznie, szczególnie że Stany Zjednoczone traktowały ją jako wojnę zastępczą, prowadzoną rękami miejscowych watażków. Somalia została uznana za zagrożenie, ale nie na tyle poważne, by usprawiedliwić amerykańską interwencję wojskową. To z kolei otworzyło drzwi osobom takim jak Ballarin, które zaproponowały wypełnienie odpowiedniej luki; tak samo postąpił niegdyś Dewey Clarridge w przypadku Pakistanu.

Somalia powoli przeistaczała się w bezpieczną przystań dla różnych tajnych działań: od sekretnych operacji prowadzonych przez rządy państw zachodnich do szalonych obław na piratów organizowanych przez firmy kontraktowe. *De facto* działania te służyły

zajęciu jak największych obszarów dla koncernów naftowych, które rozpoczynały odwierty w Afryce Wschodniej, na nietkniętych dotąd złożach. Jeden z takich planów przewidywał udział Erika Prince'a, byłego szefa niesławnej firmy Blackwater, który wyjechał z USA i rozpoczął kolejny rozdział życia w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Mówił, że tam będzie trudno „szakalom” – prawnikom oraz osobom prowadzącym dochodzenie z ramienia Kongresu – dopaść go i położyć łapę na jego pieniądzach. Poza tajnym projektem, który miał pomóc Zjednoczonym Emiratom Arabskim w utworzeniu armii składającej się z kolumbijskich żołnierzy (arabscy oficjele potrzebowali zbrojnego ramienia, które będzie mogło położyć kres niepokojom w kraju, a nawet odstraszyć Iran od ewentualnego ataku), Prince pracował też z najemnikami z Ameryki Południowej przy organizacji oddziałów antypirackich w północnej Somalii.

Emiraty obawiały się szczególnie piratów działających w Rogu Afryki. Wyłapywali oni statki płynące z albo do Zatoki Perskiej. Tamtejsi oficjele pracowali więc wraz z Prince'em nad opracowaniem nowej strategii walki z piractwem – zamiast ganiać za bandytami na otwartym morzu, nowe oddziały miały robić naloty na kryjówki kryminalistów na lądzie.

Prince nie dbał o kontrowersje, które wzbudzał, więc nie dziwi jego spotkanie z południowoafrykańskim Saracen International, prywatną firmą ochroniarską prowadzoną przez Lafrasa Luitingha, byłego oficera z działającego w erze apartheidu Biura Współpracy Obywatelskiej (CCB). Organizacja ta cieszyła się złą sławą z powodu brutalnych zamachów oraz represji wobec czarnoskórych mieszkańców RPA. Po upadku apartheidu wielu byłych członków CCB przekwalifikowało się na najemników i walczyło w niezliczonych wojnach domowych na kontynencie afrykańskim. Luitingh i południowoamerykańscy najemnicy mogli przeprowadzić cichą operację polowania na piratów jedynie w tej części świata, którą zazwyczaj powszechnie ignorowano.

Nie licząc wysiłków prywatnych firm, także Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych (JSOC) zaczęło przykładać większą wagę do prowadzonej w Somalii tajnej wojny przeciwko islamskim radykałom. Tak jak w przypadku Jemenu admirał William McRaven przedstawił Białemu Domowi szeroko zakrojony plan stworzenia wykwalifikowanej grupy uderzeniowej do zadań specjalnych, która miałaby działać na terenie Somalii. Przy opracowywaniu jej struktury i działań skorzystano z modelu wypracowanego w Iraku przez Navy SEALs: pochwycić i aresztować podejrzanych, a potem przeprowadzić odpowiednie przesłuchania w celu rozmontowania Asz-Szabab i położenia kresu dominacji organizacji terrorystycznej na określonych terenach.

Somalia w porównaniu z Jemenem i Pakistanem była z jednej strony łatwiejszym, ale z drugiej trudniejszym obszarem do prowadzenia tajnej wojny. Nie było tutaj scentralizowanego rządu, z którym Amerykanie mogliby współpracować, ani lokalnej służby wywiadowczej, która mogłaby penetrować Asz-Szabab. Z drugiej strony Somalia nie wywoływała bólu głowy koniecznością kierowania ciągłych pytań o pozwolenie, zanim Stany Zjednoczone przeprowadzą jakąkolwiek akcję. Nie było tam żadnego prezydenta Salaha czy Muszarrafa, którego trzeba było błagać lub przekupywać; żadnych utrzymywanych w tajemnicy przelewów w zamian za prawo do wprowadzenia wojsk na dane terytorium. Somalia była, jak powiedział jeden ze starszych stopniem

oficerów zaangażowanych w planowanie operacji w Rogu Afryki, „strefą wolnego ognia”.

Tak jak w przypadku Jemenu administracja Obamy była jednak niechętna kolejnej kampanii. Nad dyskusjami na temat interwencji w Somalii nadal wisiało widmo bitwy w Mogadiszu. Biały Dom odrzucił więc ambitne propozycje admirała McRavena, upierając się, że każda operacja wojskowa musi być osobiście zaakceptowana przez prezydenta^[21]. Prawnicy Obamy debatowali nawet, czy Asz-Szabab, która przecież nie dopuściła się żadnych aktów terroru wobec USA, może być celem misji. Czy organizacja była zagrożeniem dla Ameryki, czy raczej dla miejscowych sił porządkowych i powinno się ją zignorować?

Niektórzy ludzie Obamy nie traktowali ugrupowania poważnie. Nawet kiedy Asz-Szabab próbowała wprowadzić w Mogadiszu prawo szariatu, często działania te wyglądały na bardziej śmieszne niż groźne. Przywódcy Asz-Szabab organizowali na przykład specyficzne talent show w stylu *Idola* czy teleturnieje dla dzieci od dziesięciu do siedemnastu lat, gdzie uczestnikom zadawano pytania w stylu: „W której wojnie zabito naszego przywódcę Szejka Timajilica?”. Pierwszą nagrodą był karabin AK-47.

Gdy amerykański Departament Stanu zaoferował nagrody pieniężne za informacje o miejscu pobytu przywódców Asz-Szabab, jeden z nich poinformował tysiące zgromadzonych na piątkowych modłach Somalijczyków, że grupa będzie sownie płaciła za każdy cynk dotyczący „kryjówek” amerykańskich oficjeli. Osoba, która pomogłaby doprowadzić Asz-Szabab do „tego idioty Obamy”, miała otrzymać w zamian dziesięć wielbłądów, zaś dziesięć kurczaków i dziesięć kogutów powędrowałoby do tego, kto będzie dysponował wiarygodną informacją o ukrywającej się „staruszce Hillary Clinton”.

Ponieważ nie było zbyt wielu możliwości chwymania podejrzanych o terroryzm i nikt nie spieszył się z rozpoczęciem kolejnej operacji lądowej w Somalii, zabijanie potencjalnych bandytów było znacznie bardziej kuszącą opcją. JSOC we wrześniu 2009 roku odebrało informację o dokładnym miejscu pobytu Saleha Alego Saleha Nabhana, kenijskiego członka wschodnioafrykańskiej komórki Al-Kaidy, która w 1998 roku zorganizowała ataki na amerykańskie ambasady. Teraz był on łącznikiem pomiędzy organizacją ben Ladena a Asz-Szabab. Po miesiącach wędrówek od miasta do miasta Nabhan miał udać się wraz z konwojem z Mogadiszu do nadmorskiej miejscowości Barawe.

Podczas wideokonferencji z Białym Domem, Pentagonem, CIA i kwaterą główną JSOC w Fort Bragg admirał McRaven przedstawił kilka wariantów ataku. Najmniej ryzykowny przewidywał odpalenie pocisków Tomahawk z zacumowanego przy wybrzeżu okrętu lub raket z samolotu. Alternatywnie, jak mówił McRaven, oddział Navy SEALs mógł dogonić helikopterami konwój, zabić Nabhana i pobrać próbkę jego DNA jako dowód, że nie żyje. Ostatnia opcja była wariacją na temat planu numer dwa – przewidywała, że zamiast zabijać Nabhana, Navy SEALs przechwycą go, zapakują na pokład jednego ze śmigłowców i zabiorą na przesłuchanie. Prezydent Obama wybrał najmniej ryzykowny wariant: atak raketowy na konwój.

Operacja nie poszła jednak zgodnie z planem. Podczas ostatnich przygotowań

do misji o kryptonimie „Niebiańska równowaga” popsula się wyrzutnia raket zamontowana w samolocie, który został wyznaczony do udziału w operacji. Czas uciekał, zaś Nabhan był już w drodze. McRaven zarządził więc, że trzeba wdrożyć plan awaryjny: oczekujących na jednym ze statków zacumowanych u wybrzeży Somalii komandosów załadowano do śmigłowców AH-6 i wysłano na zachód, w somalijską przestrzeń powietrzną. Helikoptery zaatakowały konwój, zabijając Nabhana i trzech bojowników Asz-Szabab.

Był to jeden z nielicznych sukcesów odniesionych przez Amerykanów w Somalii. Ale dla zaangażowanych w planowanie misji osób cała akcja była bardzo kłopotliwa, gdyż prowokowała niewygodne pytania. Plan A nie wypalił, więc Stany Zjednoczone były zmuszone podjąć nadzwyczajne kroki i wykorzystać swoje oddziały w akcji na terenie jednego z najbardziej nieprzyjaznych krajów świata. Kiedy już żołnierze byli na miejscu, czemu nie aresztowali Nabhana, tylko go zabili? Jednym z powodów było z pewnością ryzyko, które niosła ze sobą podobna misja, lecz chodziło nie tylko o to. Preferowano proste wyeliminowanie celu, bo, jak powiedziała jedna z osób zaangażowanych w operację: „Nie pojмалиśmy Nabhana, bo nie dysponowaliśmy miejscem, w którym moglibyśmy go osadzić”.

Pentagon zatrudnił Michele Ballarin i Perry’ego Davisa właśnie po to, by dostarczali na bieżąco informacji podobnych do tych, które doprowadziły do zabicia Nabhana. Poparcie wojska dało Ballarin większą siłę przebicia w trakcie częstych wyjazdów do Afryki Wschodniej. Podczas prywatnych spotkań z różnymi somalijskimi ugrupowaniami mogła się chlępić swoimi powiązaniem z amerykańskim rządem. Każda taka podróż była dla niej okazją do zrobienia interesu. Somalia jawiła się jej jako światowe epicentrum międzynarodowego piractwa i Ballarin wyczuła, że może zarobić niezłe pieniądze jako osoba pośrednicząca w negocjacjach z porywaczami.

Kontakt Ballarin z biura Pentagonu, który pomógł jej w załatwieniu pierwszego kontraktu, popychał ją do zbudowania odpowiednio bliskich więzi z somalijskimi klanami, które z kolei szczytą się znajomościami z grupami pirackimi. Do dnia, w którym na burcie statku „Faina” wywieszono prześcieradło z napisem „Amira”, Ballarin miała już opracowane wszystko to, co było jej potrzebne do zostania negocjatorką. Publicznie oświadczyła, że kierowały nią tylko i wyłącznie pobudki humanitarne, lecz kilku swoim pracownikom powiedziała, iż ma zamiar uszczknąć część okupu dla siebie – szczególnie że piracka plaga panoszy się coraz bardziej. „Marzyło jej się nadzorowanie wszystkich negocjacji i wzbogacenie się na tym”, mówił Bill Deininger, były pracownik Ballarin. Podczas jednego z wywiadów powiedział, że jej celem było „doprowadzenie do uwolnienia wszystkich siedemnastu statków i czterystu pięćdziesięciu ludzi przetrzymywanych przez piratów”^[22].

Deininger był tylko jednym z całej rzeszy sfrustrowanych ekspracowników Ballarin, którzy srodze rozczarowali się szefową i odeszli z firmy, kiedy nie udało jej się dotrzymać złożonych wcześniej obietnic. Niektórzy emerytowani oficerowie wojska, których zatrudniła, zainwestowali w interes własne pieniądze i nigdy ich nie odzyskali. Gdy Pentagon przekazał jej w 2008 roku pieniądze przeznaczone na rozruch projektu wywiadowczego, dbała o ciągłość rządowych zleceń, a co za tym idzie – przelewów,

i zerwała kontakt z wieloma swoimi partnerami biznesowymi.

Udało jej się przy tym zachować pozory wystawnego życia, które miała prowadzić na wirginijskich wzgórzach za waszyngtońską obwodnicą. Nadal kokietowała starszych amerykańskich oficerów i agentów wywiadu, często zapraszając ich do wielkiej posiadłości wyglądającej jak sklep z antykami, położonej na stu dziesięciu akrach ziemi będącej niegdyś domeną końskich stadnin, lecz w ostatnich czasach przyłączonej do rozległych przedmieść stolicy. Tam zabawiała zgromadzonych w jadalni amerykańskich i afrykańskich oficjeli pośród antycznych waz, obrazów ze scenami myśliwskimi i sporej galerii fotografii Ronalda Reagana i papieża Jana Pawła II. Obwieszona biżuterią, czasem trzymając w ręku różaniec, przewodziła spotkaniom, siedząc u szczytu dużego zabytkowego stołu. Podczas przerw Davis uzupełniał filiżanki gości słodką mieszanką kenijskich czarnych herbat z dodatkiem kardamonu, goździków i innych przypraw.

Nadal wyjeżdżała do Afryki, gdzie nawiązywała kolejne znajomości w Somalii, głównie wśród ugrupowań wyznających sufizm. Ukuła też termin określający to, co tam robiła – zapewniała „rozwiązania organiczne”. Istne panaceum na istniejące od lat kłopoty, którymi z różnych przyczyn nie mogły zająć się zagraniczne rządy lub którymi nikt poza ONZ nie chciał zawracać sobie głowy. Podczas wywiadu udzielonego Głosowi Ameryki Ballarin mówiła jedynie o rozwiązaniach pokojowych. „Somalijszczyk widzieli już zbyt wiele konfliktów, zbyt wiele prywatnych armii, byli świadkami rozlewu krwi i widzieli niejedną strzelaninę, uchylali się przed setką kul – powiedziała. – Te wszystkie rzeczy zrodziły pokolenie młodych ludzi, którzy nie znają innego życia. Czy ktoś, kto dba o tę kulturę, pozwoliłby, żeby ten stan rzeczy się utrzymał? To nie jest krok naprzód. Naprawdę”.

Jej definicja „rozwiązania organicznego” okazała się jednak elastyczna. W 2009 roku Ballarin próbowała na przykład pomóc grupie somalijskich zabójców w wyeliminowaniu pięciu prominentnych członków Asz-Szabab, którzy mieli zebrać się na spotkaniu w Mogadiszu. Uznała potem, że potrzebowali jedynie tłumików.

Ballarin rezydowała w Djibouti Palace Kempinski, jedynym pięciogwiazdkowym hotelu w tym niewielkim zubożałym kraju. To tam odbyła się międzynarodowa konferencja, która miała wyłonić nowych przywódców anemicznego somalijskiego rządu tymczasowego – w rzeczywistości było to po prostu spotkanie głów klanów. W wyniku rozmów, które odbywały się w salach konferencyjnych i przy basenie, Szarif Szejik Ahmed, niegdyś stojący na czele Związku Sądów Islamskich, został skazany na banicję.

Którejś nocy do drzwi Ballarin zapukali nieznajomi Somalijszczyk i zabrali ją na spotkanie z jednym z liderów nowego somalijskiego rządu tymczasowego. Dowiedziała się, że jej gospodarz jest w stałym kontakcie z wysoko postawionym członkiem Asz-Szabab, którego interesowało przejście na stronę legalnej władzy. Informator ten miał podać termin nadchodzącego spotkania przywódców organizacji i proponował – otrzymując uprzednio błogosławieństwo Stanów Zjednoczonych – zabicie ich wszystkich.

Lista żądań nie była długa – jego ludzie musieli mieć zapewniony trening we władaniu bronią oraz mieli zostać zaopatrzeni w tłumiki, żeby przeprowadzić

operację tak cicho, jak to możliwe. Dezerter chciał też zapewnienia, że strona amerykańska udzieli wszelkiej pomocy finansowej dzieciom i wdowom po zamordowanych przez niego ludziach Asz-Szabab.

Kiedy Ballarin wróciła do USA wraz z Perrym Davisem, skontaktowała się z niewielką grupą oficerów, których poznała w Pentagonie. Wspominała potem, że kiedy opowiedziała wojskowym o swoim niedawnym spotkaniu, zareagowali nieoczekiwanym wybuchem niezadowolenia.

– To manna z niebios! Bierzcie ją! – mówiła.

Jednak Amerykanie zwlekali. Jeśli JSOC miało pobłogosławić podobną operację, wołało przeprowadzić ją samodzielnie. Ballarin uważała jednak, że jeśli to właśnie Somalijczycy – a nie amerykańscy komandosi lub zagraniczni najemnicy – wymordują najwyższych rangą członków Asz-Szabab, będzie to wyjątkowo bolesny cios dla tej siatki terrorystycznej. – To jest rozwiązanie organiczne – przekonywała. – Nie wysyłajcie tam SEALs. Zróbmy to po somalijsku.

Kiedy parę lat później przywoływała z pamięci szczegóły planowanej operacji, opowiadała tęsknie o tym, co mogłoby się stać, gdyby doszło do jej realizacji:

– Potrzebowali jedynie tłumików...

Ballarin nie czuła się dobrze w roli biernego zbieracza informacji. Chciała być sprawcą wielkiego sufickiego przebudzenia i zachować nadzór nad sojuszem rozmaitych grup w północnej i wschodniej Afryce. Więcej: chciała dowodzić kampanią przeciwko wahhabizmowi. Kiedy bojownicy Asz-Szabab przejęli rozgłośnie radiowe w Mogadiszu, zabraniając puszczania muzyki oraz zmuszając ludzi odpowiedzialnych za ramówkę do emitowania specjalnych wydań programów informacyjnych, gdzie za tło robiły dźwięki wystrzałów z broni maszynowej, beczenie kóz i gdakanie kur, Ballarin napisała piosenkę, która miała stać się hymnem ruchu oporu somalijskich sufitów. Napisany po angielsku utwór zaśpiewał brazylijski piosenkarz popowy. Był to istny bojowy okrzyk. Tytuł: *Nigdy nie pokonają sufitów!*

Wzniescie okrzyki... Stawcie opór!

Walczcie o nasz honor i naszą ziemię

Wydrzyjcie ją z obcych, żadnych władzy rąk

Bracia i siostry, stawcie opór!

Wzniescie okrzyki... Stawcie opór!

Brońcie nas przed zbrojnymi kordonami... zakazami z zewnątrz

Bracie, chodź ze mną...

Bracia i siostry... stawcie opór!

Ballarin wierzyła, że wielkie przebudzenie powinno rozpocząć się właśnie w Somalii, gdzie zdążyła już nawiązać kontakt z Ahlu Sunna Waljama'a (ASWJ) – suficką grupą paramilitarną, która kontrolowała spore terytorium w środkowej Somalii. ASWJ miało za sobą burzliwą historię. Podczas wojny domowej w latach dziewięćdziesiątych grupa związała się z tym samym watażką, który dowodził somalijskimi strzelcami podczas walk z oddziałami rangersów i Delta Force w trakcie bitwy w Mogadiszu. Przed sięgnięciem

Asz-Szabab po władzę ASWJ nie miało zbyt wielkiego wpływu na somalijskie intrygi klanowe. Kiedy bojownicy tej pierwszej organizacji zaczęli zajmować miasta w południowej i środkowej części kraju, wahhabijscy strzelcy niszczyli sufickie groby i meczety, które spotkali na swojej drodze. Powyciągane z mogił kości rozrzucali po rozgrzanej ziemi, zaś opiekunów poszczególnych cmentarzy aresztowali lub zakazywali im powrotu do pracy. Członkowie Asz-Szabab twierdzili, że wystawne ich zdaniem miejsca pochówku są czystym bałwochwalstwem, które jest zakazane przez islam. Szejk Hassan Yaqub Ali, przedstawiciel Asz-Szabab w portowym mieście Kismaju, powiedział BBC: – Nie wolno z mogił robić miejsc kultu.

Bezczeszczenie grobów rozpałiło bojową iskrę w szeregach zazwyczaj pokojowego ASWJ. Grupa rozpoczęła mobilizację, przeradzając się w istną przeciwwagę dla Asz-Szabab. Zauważając potencjał sufickiego powstania, Ballarin zaczęła zachęcać przywódców poszczególnych grup do stworzenia strategii, która przerwałaby triumfalny marsz Asz-Szabab. Razem z Perrym Davisem rozmawiała z sufickimi szekami i przywódcami ASWJ. Zachowywali się jak dwuosobowy sztab. Ballarin i Davis chwalili się Amerykanom, że ASWJ było niczym ich prywatny oddział. Już nawet poinstruowali tamtejszych żołnierzy, jak przechowywać amunicję i odzyskiwać broń z pola bitwy.

Po paru miesiącach bezowocnych działań oddziałom ASWJ udało się wkroczyć do El Buur, twierdzy Asz-Szabab w środkowej Somalii. Ballarin rozpromienia się, kiedy wspomina wiadomość otrzymaną w środku nocy od przywódców ASWJ.

Ale kiedy siedząc przed telewizorem w swojej posiadłości w Wirginii, oglądała na kanale Fox News transmisję z walk, które rozgorzały w Afryce Północnej, Michele Ballarin nie widziała żadnych oznak arabskiej „odwilży”. To nie była dla niej arabska wiosna, ale początek koszmaru – oto radykałowie torowali sobie drogę przez północną Afrykę do zachodniego wybrzeża. Do tej pory miała autorytarne rządy Egiptu czy Libii za wały obronne zdolne osłonić resztę kontynentu przez ekspansją wahhabizmu. Jednak fortyfikacje wydawały się kruszeć. Była pewna, że bogaci patroni z Arabii Saudyjskiej zadbają teraz, by bojownicy mieli za co wybudować szkoły i meczety. Zaś Stany Zjednoczone tracą kolejnych sojuszników w walce z radykalnym islamem. Dla niej Muammar Kaddafi może i był bezwzględny łotrem oraz wrogiem jej bohatera Ronalda Reagana. Lecz jednocześnie libijski dyktator w kluczowej dla najbliższej przyszłości batalii dobra ze złem okazał się sojusznikiem.

Rewolta rozprzestrzeniała się po Afryce Północnej jak pustynna burza. Dziesiątki lat autorytarnych rządów odchodziły w zapomnienie. Ale cała sytuacja dowiodła też niezdarności CIA. Oficjele z Białego Domu przekonali się bowiem, że wydawane co roku przez Stany Zjednoczone na potrzeby Agencji miliardy dolarów szły w błoto. Przecież Agencja miała zbierać informacje na temat nadchodzących kluczowych wydarzeń politycznych w newralgicznych obszarach świata. A jeśli chodzi o arabską wiosnę, amerykańscy agenci byli zupełnie nie w temacie.

– CIA nie wiedziała nic o tym, co dzieje się w Tunezji. Nie wiedziała nic o Egipcie. O Libii też nie miała pojęcia – powiedział jeden z wyższych rangą urzędników administracji Obamy. Dlatego też w ciągu kilku tygodni po wybuchu rewolt w krajach arabskich setki analityków z CIA i innych amerykańskich agencji szpiegowskich zostało

przydzielonych do zbierania istotnych informacji na temat przyczyn, przebiegu i możliwych skutków całego zamieszania. Mieli sporo do nadrobienia.

Była to pierwsza tak szeroko zakrojona rebelia w erze mediów społecznościowych, więc rewolucja rozgorzała równocześnie na Twitterze i Facebooku. Langley nigdy wcześniej nie widziało czegoś podobnego, a dawne wydarzenia – jak upadek komunizmu – nie przygotowały CIA na obecną sytuację. Szefowie Agencji próbowali wskazywać Białemu Domowi i Departamentowi Stanu, który z satrapów skapitułuje jako pierwszy. Ale nie było to łatwe. Na jednym ze spotkań na wysokim szczeblu dyrektor Leon Panetta naciskał na swoich ludzi, żeby zebrali informacje, przede wszystkim te z portali społecznościowych, do kupy. – Czy ktoś jest w stanie przenieść to wszystko w jedno miejsce? – pytał skołowany sposobem działania nowego, facebookowego pokolenia.

Problem sięgał jednak głębiej i CIA miała wkrótce przekonać się, jak bolesny mógł być dla Agencji pełny zwrot w stronę walki z terroryzmem. Organizacja powstała, gdyż założono, że prezydenci i ludzie odpowiedzialni za stanowienie prawa potrzebują aktualnych informacji o bieżących wydarzeniach kształtujących sytuację polityczną na świecie. Jednak prezydenci George W. Bush i Barack Obama uznali, że to łapanie i zabijanie terrorystów powinno być priorytetem Agencji. CIA nie dysponowała ani wystarczającą liczbą szpiegów, którzy faktycznie zajmowali się szpiegowaniem, ani oficerów prowadzących na terytorium krajów takich jak Egipt czy Tunezja, których zadaniem byłoby zbieranie danych na temat fermentu panującego na ulicach czy niepokojach przywódców obcych państw, drżących o swoją pozycję.

CIA sprzymierzyła się z bezwzględnymi służbami wywiadowczymi ze Środkowego Wschodu i Afryki Północnej, wchodząc w komitwę z ludźmi pokroju Hosniego Mubaraka i Muammara Kaddafiego, co pomogło Agencji przygotować się do wojny z terrorem. Szefowie CIA mówili sobie po imieniu z Mussą Kussą, który stał na czele brutalnych służb szpiegowskich Kaddafiego, zaś agenci amerykańscy i libijscy wspólnie wyłapywali ludzi podejrzanych o związki z Al-Kaidą, dokonywali aresztowań i umieszczali ich w cieszącym się złą sławą libijskim więzieniu Abu Salim. Po upadku Kaddafiego rebelianci splądrowali siedzibę libijskich służb wywiadowczych. Znalezione tam dokumenty ujawniły bliskie związki tamtejszych szpiegów z amerykańskimi służbami. Był wśród nich nawet list do Mussy Kussy od Portera Gossa – były dyrektor CIA dziękował libijskiemu szpiegowi za bożonarodzeniowy prezent w postaci świeżych pomarańczy.

I na tym właśnie polegał problem – libijscy i egipscy agenci w kontaktach z amerykańskimi służbami zawsze zachowywali pełną dyskrecję, jeśli chodzi o aktualną kondycję ich własnych rządów, a do tego nie spuszczały z oczu dysydentów. To utrudniało agentom CIA spotkania z przedstawicielami opozycji w miastach takich jak Kair, a więc i dostęp do prawdziwej wiedzy na temat sytuacji w krajach Afryki Północnej. Mike Hayden, były dyrektor CIA, przyznał później, że decyzja Agencji o podjęciu współpracy z reżimami świata arabskiego wykoślawiła jej zdolność do gromadzenia danych społeczno-politycznych w tych krajach. – Znacznie więcej wiedzielibyśmy o Bractwie Muzułmańskim w Egipcie, gdyby udało nam się odizolować

szefa tamtejszego wywiadu Omara Sulejmana – powiedział Hayden. – Ale wtedy nie bylibyśmy już dla niego partnerem w walce z terroryzmem.

Przywódcy z całego świata patrzyli z satysfakcją na kres skostniałych dyktatur. Ale wiecznie niewyspanych, często neurotycznych oficerów z Centrum Antyterrorystycznego wydarzenia z pierwszej połowy 2011 roku nie napawały optymizmem. Nie chodziło tylko o to, że byli świadkami, jak ich sojusznicy są bezceremonialnie odsuwani od władzy. Większy niepokój wzbudzał fakt, że islamskie ugrupowania – które przez dziesiątki lat były trzymane pod butem tego czy innego dyktatora (egipskie Bractwo Muzułmańskie czy bardziej radykalne organizacje libijskie, które CIA i miejscowy wywiad próbowały spenetrować) – rosły w siłę. Zamieszanie panujące w świecie arabskim, jak obawiało się Centrum Antyterrorystyczne, mogło wylać fundamenty pod odrodzenie się Al-Kaidy i jej popleczników.

Taki był zresztą, dodający otuchy jego ludziom, plan przywódcy Al-Kaidy, który zaszył się na najwyższym piętrze posiadłości w pakistańskim Abbottabadzie. W ostatnich tygodniach życia z pasją pisał do swoich współpracowników kolejne listy. Biła z nich wiara, że początek 2011 roku i arabska wiosna przyniosą upragniony rezultat – ziści się wizja, która przyświecała założeniu Al-Kaidy. Sprawy potoczyły się jednak inaczej, niż zakładał – rządy w Egipcie i Tunezji nie zostały obalone przez członków Al-Kaidy lub zwolenników muzułmańskiego kalifatu, lecz rękoma młodych ludzi, którzy rozniecali rewolucję, korzystając z nowych mediów.

Ale ben Laden i tak w tym chaosie widział nadzieję i wierzył w realizację swoich wizji. Pisał radośnie do jednego z zaufanych ludzi o Hillary Clinton, która wyraziła swoje obawy dotyczące tego, że „region wpadnie w ręce uzbrojonych islamistów”. Jego zdaniem świat musiał uznać, że „pasma powstań zbrojnych to wielkie i doniosłe wydarzenie”, które najprawdopodobniej „obdarzy większość wyznawców Allaha jego łaską”.

„To Amerykanie!

To Blackwater!

To kolejny Raymond Davis!”

Hafiz Muhammad Sajjed

Amerykański szpieg Raymond Davis spędził wiele tygodni w ciemnej celi więzienia na przedmieściach Lahore. Cieszyło się ono nie najlepszą reputacją: osadzeni umierali tam często w niewyjaśnionych okolicznościach. Odseparowany od pozostałych więźniów, przetrzymywany był w tej części rozpadającego się kompleksu, gdzie strażnikom nie wolno było nosić broni. Tyle zdołali wymusić na Pakistańczykach amerykańscy oficjele. Miejscowy konsul Stanów Zjednoczonych wynegocjował jeszcze jedno ustępstwo – jedzenie dla Davisa podawane było najpierw psom. Chodziło o pewność, że nie została do niego dodana trucizna.

Dla wielu starszych rangą pakistańskich oficerów wywiadu człowiek siedzący w więziennej celi wydawał się pierwszym solidnym dowodem na to, że CIA zbudowała w Pakistanie małą armię do zadań specjalnych, grupkę nieunikających pociągania za spust kowbojów. Z kolei z punktu widzenia CIA afera z Davisem była dowodem na to, że Agencja scedowała niektóre naprawdę delikatne zadania na ludzi, którzy często nie posiadali odpowiedniego doświadczenia ani predyspozycji do pracy w ogarniętym wojną świecie islamskim.

Raymond Allen Davis, trzecie dziecko murarza i kucharki, dorastał w niewielkim drewnianym domu w sześciotysięcznym górniczym miasteczku Big Stone Gap w stanie Wirginia – nazwa miejsciny pochodziła od przełęczy w pobliskich górach przeciętych przez rzekę Powell.

Nieśmiały i wycofany Davis był niespotykanie silny i w miejscowej szkole średniej szybko stał się gwiazdą futbolu i zapasów. Po uzyskaniu dyplomu w 1993 roku wstąpił do piechoty i wyjechał do Macedonii jako członek kontyngentu pokojowego ONZ. Kiedy minął pięcioletni okres służby, zaciągnął się ponownie, tym razem do 3. Grupy do Zadań Specjalnych, czyli zielonych беретów, z siedzibą w Fort Bragg. Odszedł z armii w 2003 roku i, jak setki emerytowanych Navy SEALs i zielonych беретów, znalazł zatrudnienie w firmie Blackwater Erika Prince’a. Wkrótce potem, na podstawie kontraktu z CIA, trafił do Iraku.

Niewiele wiadomo o jego pracy dla Blackwater. W 2006 roku odszedł i wraz z żoną założył w Las Vegas własną firmę zajmującą się usługami ochroniarskimi. Niedługo potem został zatrudniony przez CIA jako prywatny pracownik kontraktowy, co Agencja

– ze względu na kolor dokumentu identyfikacyjnego, który zatrudnieni muszą okazać przed wejściem do budynku CIA w Langley – określa mianem „Zielonej odznaki”.

Tak jak i Davis wielu współpracowników zewnętrznych zostało zatrudnionych, by zasilić szeregi jednostki reagowania globalnego – grupy ochroniarzy, których wysyłano za granicę wraz z oficerami prowadzącymi. Ich zadaniem było dbanie o bezpieczeństwo szpiegów, ocena poziomu zagrożenia na niepewnych obszarach, a nawet nawiązywanie kontaktu z informatorami, by upewnić się, że agenci nie wpadną w zasadzkę. To właśnie oficerowie CIA zatrudnieni w ochronie wdadzą się rok później w strzelaninę na dachu bazy Agencji w libijskim Bengazi. Konflikty w Iraku i Afganistanie tak mocno nadwerzęły kadrę CIA, że musiała ona płacić wygórowane stawki prywatnym firmom ochroniarskim. Kiedy Davis w 2008 roku po raz pierwszy został wysłany do Pakistanu, pracował w bazie w Peszawarze i zarabiał dwieście tysięcy dolarów rocznie. Plus dodatkowe świadczenia oraz zwrot kosztów.

Po kilku tygodniach od aresztowania, w połowie lutego 2011 roku, nic nie wskazywało na to, że Davis w najbliższym czasie wyjdzie z więzienia. Sprawa morderstwa podsycała nastroje antyamerykańskie w Pakistanie i wstępniaki w gazetach nawoływały rząd do nieulegania naciskom Waszyngtonu. Żądano dla niego wyroku śmierci. Dowody wskazywały na to, że ludzie, których zastrzelił, tego samego dnia dopuścili się jedynie kilku drobnych kradzieży. Sprawę komplikował jeszcze trzeci mężczyzna zabity przez nieoznakowany amerykański samochód, który uciekł z miejsca zdarzenia.

Sytuację, w której znalazł się Davis, pogarszał fakt, że był przetrzymywany w Lahore, gdzie lokalną sceną polityczną trzęsła rodzina Nawaza Szarifa. Były premier nie krył planów ponownego objęcia władzy w kraju, co czyniło z niego głównego przeciwnika prezydenta Asifa Alego Zardariiego i jego politycznego zaplecza działającego w leżącym mniej więcej trzysta kilometrów dalej Islamabadzie. Gdy amerykańska ambasada rozpoczęła naciski na rząd w sprawie Davisa, dyplomaci szybko zdali sobie sprawę, że Zardari nie ma zbyt wielkiego wpływu na policjantów i sędziów z miasta, którym rządził jego zaciekle rywal.

Jednak najbardziej istotnym czynnikiem, niepozostawiającym wątpliwości, że Davis długo będzie gnął w więzieniu, było potwierdzenie przez administrację Obamy podejrzeń, które Pakistan miał od dawna – niezwykła celność oddanych przez Raymonda Davisa strzałów jasno wskazywała, że nie jest on zwyczajnym gryziptórkiem. Davis dotknął więc odsłoniętego nerwu w i tak już nadwrażliwym związku CIA i ISI.

Od dnia, kiedy pakistańska bojówka Laszkar-e Taiba („Armia Pobożnych”) wysłała grupy zamachowców do luksusowych hoteli w indyjskim Bombaju (w wyniku ataku z listopada 2008 roku zginęło lub odniosło rany ponad pięćset osób, zaś akcja trwała cztery doby), analitycy CIA ostrzegali, że ugrupowanie zamierza zorganizować inne spektakularne operacje, by zaznaczyć swoją obecność. I że najprawdopodobniej „Armia Pobożnych” nie ograniczy się do Azji Południowej, ale zaatakuje stolicy europejskie bądź jedno z amerykańskich miast. Sprowokowało to CIA do przydzielenia znacznej części swojej stopniowo powiększającej się kadry w Pakistanie do zbierania informacji na temat działań planowanych przez Laszkar. Decyzja ta wywołała konflikt pomiędzy Agencją a ISI. Chodziło bowiem już nie tylko o zachodnich agentów wężących

na terytoriach plemiennych w poszukiwaniu ludzi Al-Kaidy, ale o CIA działające w pakistańskich miastach w celu rozbicia grupy uznawanej przez ISI za użyteczną siłę w zastępczej wojnie z Indiami.

Laszkar powstała w latach osiemdziesiątych jako sojusz różnych ugrupowań, które podczas wojny ze Związkiem Radzieckim w Afganistanie wspierał pakistański wywiad. Grupa niemal natychmiast skoncentrowała swoją uwagę na Indiach i pakistański prezydent Muhammad Zia ul-Hak zaczął wysyłać należących do Laszkar bojowników do Kaszmiru jako przeciwwagę dla tamtejszych grup walczących o niepodległość. Prezydent obawiał się, że ich działania mogą doprowadzić do wydzielenia osobnego państwa w spornym regionie górskim, do którego prawa rościły sobie i Indie, i Pakistan.

ISI wspierało Laszkar jako poręczne narzędzie w walce z Indiami, choć fakt, że jej przywódcy działali otwarcie, na widoku, było jawnym złamaniem zakazu wydanego w 2002 roku przez prezydenta Muszarrafa. „Rozwiązał” on bowiem Laszkar po ataku na budynek indyjskiego parlamentu w New Delhi.

Kwatera główna organizacji mieściła się w Muridke na przedmieściach Lahore, przy słynnej Grand Trunk Road, gdzie znajdowały się też radykalna medresa, bazar, szpital, a nawet gospodarstwo rybne. Kompleks ten został zbudowany za pieniądze otrzymane od zamożnych darczyńców z Arabii Saudyjskiej i innych krajów Zatoki Perskiej. Laszkar organizowała również kampanie zbierania funduszy na rzecz ubogich. Pomoc socjalną świadczyła poprzez zaprzyjaźnioną organizację Dżamat-ud-Dawa (Partia Prawdy).

Na charyzmatycznego przywódcę grupy Hafiza Muhammada Sajjeda nałożono areszt domowy, lecz w 2009 roku Sąd Najwyższy w Lahore oddalił ciężące na pięćdziesięciodziewięcioletnim mężczyźnie oskarżenia o terroryzm. Puszczono go wolno. Sajjed, krępy, z nieokiełznaną brodą, w każdy piątek w otoczeniu ochroniarzy wygłaszał kazania skierowane do swoich popleczników. Skupiały się one na krytyce imperialistycznych zapędów Stanów Zjednoczonych, Indii i Izraela. Nawet po wyznaczeniu przez Amerykanów nagrody za głowę Sajjeda (dziesięć milionów dolarów) kontynuował on publiczne występy, umacniając wizerunek pakistańskiego Robin Hooda.

Gdy Raymond Davis pod koniec 2010 roku trafił do kryjówki CIA w Lahore, większość agentów była zaangażowana w gromadzenie informacji na temat Laszkar. Spora część szpiegów przeniknęła do kraju pod przykrywką, żeby uniknąć kontroli ze strony ISI, więc pakistański wywiad mógł jedynie zgadywać, co planują Amerykanie.

Żeby przemycić do Pakistanu swoich ludzi, CIA wykorzystywała pakistańskie przepisy rządzące przyznawaniem wiz obywatelom amerykańskim. Wszystkie aplikacje lądowały na biurku Husajna Hakkaniego, proamerykańskiego ambasadora Pakistanu w Waszyngtonie. Hakkani, były polityk i wykładowca na Uniwersytecie Bostońskim, otrzymał z Islamabadu list, w którym nakazywano mu wyrozumiałość w przyznawaniu wiz, gdyż wielu Amerykanów przylatywało do Pakistanu – przynajmniej oficjalnie – żeby załatwiać wartą miliony dolarów pomoc dla tego kraju. Do czasu rozróby w Lahore na początku 2011 roku w Pakistanie działało tak wielu Amerykanów – zarówno pod prawdziwymi imionami, jak i pod przykrywką – że nawet ich własna ambasada nie była w stanie prowadzić rzetelnej dokumentacji na temat ich tożsamości i miejsca pobytu.

Amerykańska ambasada w Islamabadzie przypominała fortecę wewnątrz fortecy – składała się z kilku budynków otoczonych murem z drutem kolczastym i zainstalowanymi na nim kamerami. Wokół nich ciągnęło się jeszcze jedno murowane ogrodzenie, wewnątrz którego rozciągała się enklawa dyplomatyczna. Jeśli chowanie się za betonem i stałą wydawało się przesadą, do tego mało poprawną politycznie, to Amerykanie mieli poważny powód – poprzednia ambasada została doszczętnie spalona w 1979 roku przez protestujących studentów, którzy wściekli się po ogłoszeniu sfalszowanego raportu na temat rzekomego udziału Stanów Zjednoczonych w okupacji Wielkiego Meczetu w Mekce. W rzeczywistości do meczetu wkroczyli bowiem radykalni islamiści i wzięli za zakładników pielgrzymów, którzy przybyli na hadż. Amerykańska ambasada oddzielała pracę dyplomatów od pracy szpiegów – placówka CIA mieściła się w kilku pomieszczeniach biurowych w osobnym skrzydle budynku. Można się tam było dostać jedynie przez drzwi zabezpieczone szyfrowym zamkiem.

Po aresztowaniu Raymonda Davisa przez policję w Lahore podział w ambasadzie zaostrzył się jeszcze bardziej. Zaledwie na dwa dni przed strzelaniną CIA wysłała do Islamabadu nowego szefa placówki – robiono to z zatrwającą regularnością, choć była to główna placówka Agencji w Pakistanie. „Nowy” przyleciał z Rosji, gdzie CIA w latach zimnej wojny wysyłała najsprytniejszych i najlepiej wyszkolonych agentów, zaś ostatnio kierowała tam twardzieli zdolnych wziąć się za bary ze Służbą Wywiadu Zagranicznego Rosji (SWR), czyli postsowieckim wcieleniem KGB.

Nowy szef wyznawał staroświeckie zasady, był szalenie uparty i nie miał zamiaru zacieśniać więzów przyjaźni z ISI. Jego celem była rekrutacja pakistańskich agentów do pracy w CIA pod nosem ISI, rozbudowa systemu obserwacji elektronicznej w biurach pakistańskiego wywiadu i dzielenie się z tamtejszymi oficerami jedynie strzępkami informacji. Takie buńczuczne podejście do spraw szpiegowskich od dawna miało w CIA swoją nazwę: „zasady moskiewskie”. Strategię wypróbowaną w Rosji stosowano ostatnio i w Pakistanie, więc nowy szef czuł się jak w domu.

Ostentacyjnie demonstrowana hardość od razu poróżniła go z amerykańskim ambasadorem w Islamabadzie Cameronem Munterem. Pochodzący z Kalifornii dyplomata z doktoratem z historii zdobytym na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa wspinał się po szczeblach kariery w biurowatycznych komórkach Departamentu Stanu zorientowanych na Europę, potem zaś przyjął stanowisko w Iraku, a następnie, pod koniec 2010 roku, w Islamabadzie. Urząd ambasadora w Pakistanie traktowany był przez Departament Stanu jako jedno z najważniejszych, ale i najtrudniejszych zadań. Ponadto Munter musiał dorównać Anne Patterson, agresywnej dyplomatce, która przez trzy lata przed jego przyjazdem doskonale dogadywała się wprawdzie z administracją Busha, a potem Obamy. Zdobyła też szacunek CIA, wspierała bowiem ataki z użyciem dronów na terytoriach plemiennych.

Munter miał jednak inne spojrzenie na wiele spraw – był sceptyczny odnośnie długoterminowych korzyści, które miała przynieść prowadzona przez CIA wojna w Pakistanie. Zjawił się w Islamabadzie w okresie, kiedy relacje pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Pakistanem szybko się pogarszały. Munter zastanawiał się, czy to przypadkiem nie coraz szybsze tempo operacji z użyciem dronów podminowywało

relacje z ważnym sojusznikiem. Wkrótce przekonał się, że jego poglądy na temat programu dronów nie były zbyt istotne – jeśli chodziło o kwestie dotyczące wojny i pokoju w Pakistanie, administracja Obamy nie miała wątpliwości tylko co do tej jednej sprawy.

Raymond Davis nadal siedział w celi, więc Munter uznał za stosowne w trybie pilnym umówić się na spotkanie z szefem ISI generałem Ahmedem Szudzą Paszą, żeby ubić z nim interes. Stany Zjednoczone miały przyznać, że Davis pracował dla CIA, i obiecać wypłacenie odpowiedniej rekompensaty dla rodzin ofiar z Lahore – choć fakt ten miał zostać utrzymany w tajemnicy – a następnie zabrać ze sobą więźnia i wywieźć go z kraju, do którego miał już nigdy nie wrócić.

Plan nie doszedł jednak do skutku. Davis szpiegował ugrupowanie blisko związane z ISI i CIA nie chciała się do tego przyznać. Najwyżsi rangą oficerowie Agencji obawiali się, że zdanie się na łaskę pakistańskich służb będzie dla Davisa niczym wyrok śmierci. Mógł zostać zabity w więzieniu, zanim administracja Obamy zdołałaby wywrzeć odpowiednie naciski na Islamabad i złożyć wniosek o zwolnienie Davisa na podstawie jego statusu dyplomatycznego oraz chroniącego go immunitetu, który powinien być wzięty pod uwagę nawet w przypadku morderstwa. W dniu, w którym aresztowano Davisa, szef placówki CIA wszedł do gabinetu Muntera i oświadczył, że zostaje nałożona blokada na kontakty z Pakistańczykami. Ostrzegł Muntera przed jakimikolwiek układami, dodając, że Pakistan to wróg.

Strategia ta oznaczała, że amerykańscy oficjele, od najniższych do najwyższych stanowisk, musieli zarówno w kontaktach prywatnych, jak i publicznie ukrywać informacje o tym, co Raymond Davis robił w Pakistanie.

15 lutego, ponad dwa tygodnie od strzelaniny, prezydent Obama po raz pierwszy odniósł się do tych wydarzeń podczas konferencji prasowej. Sprawa była prosta – prezydent USA powiedział, że Davis był „naszym dyplomatą w Pakistanie” i powinien być zwolniony na podstawie immunitetu. – Nasi dyplomaci przebywający za granicą – dodał prezydent – nie podlegają tamtejszemu prawu i nie mogą zostać skazani.

Nazwanie Davisa „dyplomatą” niekoniecznie było kłamstwem. W końcu wjechał do Pakistanu z paszportem dyplomatycznym, który w normalnych okolicznościach uchroniłby go przed więzieniem w obcym państwie. Jednak po strzelaninie w Lahore Pakistańczycy nie mieli ochoty na szczegółowe deliberowanie nad wybranymi punktami prawa międzynarodowego. Mieli Davisa za amerykańskiego szpiega, który nie zgłosił się do ISI i do którego nie chciała przyznać się CIA. Niedługo po konferencji Obamy generał Pasza, szef ISI, poleciał do Waszyngtonu na spotkanie z Leonem Panettą, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie. Praktycznie przekonany, że Davis był pracownikiem CIA, zasugerował ciche i szybkie załatwienie sprawy. Zapytał więc Panettę wprost: – Czy Davis pracuje dla CIA?

– Nie, to nie nasz człowiek – usłyszał w odpowiedzi.

Panetta dodał, że nie jest w stanie nic w tej materii zrobić, zaś wszystkim zajmuje się Departament Stanu. Pasza sądził z kolei, że jest okłamywany, i obaj mężczyźni byli o krok od głośnej sprzeczki. Szef ISI, kiedy wychodził z budynku CIA, był wściekły. Zdecydował, że pozostawi los Raymonda Davisa w rękach pakistańskich sędziów.

Powiedział swoim ludziom, że Stany Zjednoczone straciły jedyną szansę na uwolnienie Davisa, i w ten sposób zakończył sprawę.

Sytuacja, w której dyrektor CIA nadzoruje ogromną tajną siatkę amerykańskich szpiegów w Pakistanie i kryje się z tym faktem przed szefem ISI, nie informując o skali podjętych przez Amerykanów działań, pokazywała jasno, jak bardzo relacje obu służb zmieniły się od 2002 roku, a więc od czasu, gdy Asad Munir sprzymierzył się z CIA w Peszawarze, by wspólnie polować na Osamę ben Ladena. Było nawet gorzej niż w 2006 roku, gdy ISI zezwoliło Artowi Kellerowi i innym agentom CIA na korzystanie z pakistańskich baz wojskowych na terytoriach plemiennych. Kiedy doszło do tego gwałtownego pogorszenia wzajemnych relacji?

Agencjom wywiadowczym nie układało się mniej więcej od rozpoczęcia wojny w Afganistanie. Jednak prawdziwy przełom nastąpił w lipcu 2008 roku, kiedy oficerowie CIA w Islamabadzie złożyli wizytę dowódcy pakistańskiej armii, generałowi Aszfakowi Perwezowi Kajaniemu. Poinformowali go o decyzji prezydenta Busha, który podpisał nowe tajne rozkazy, autoryzując tym samym strategię prowadzenia wojny z wykorzystaniem dronów. CIA nie musiała już ostrzegać Pakistanu z wyprzedzeniem o odpaleniu rakiet z predatora czy reopera na terytoriach plemiennych. Jak powiedziano Kajaniemu, kampania CIA w jego kraju będzie wojną jednostronną.

Decyzja została podjęta w Waszyngtonie parę miesięcy po ożywionej debacie na temat rosnących w siłę ugrupowań zbrojnych na terytoriach plemiennych. Wewnętrzna ocena sytuacji dokonana przez CIA porównywała Pakistan do bezpiecznej przystani dla Al-Kaidy, jaką był Afganistan przed atakami z 11 września. Ścisłe tajny dokument CIA datowany na 1 maja 2007 roku mówił, że Al-Kaida stanowi zagrożenie nie mniejsze niż w 2001 roku z uwagi na posiadanie baz operacyjnych w Waziristanie Północnym, Bajaurze i innych regionach na terytoriach plemiennych.

Raport ten stanowił przyczynek do trwającej rok dyskusji na temat problemu pakistańskiego. Niektórzy eksperci z Departamentu Stanu ostrzegali, że intensyfikacja działań CIA w Pakistanie spowoduje wzrost nastrojów antyamerykańskich i doprowadzi do sytuacji kryzysowej. Jednak ludzie z Centrum Antyterrorystycznego optowali za zwiększeniem zasięgu kampanii z użyciem dronów i odseparowanie od niej ISI. Twierdzili, że od zabicia Neka Muhammada w 2004 roku przeprowadzono w Pakistanie mniej niż dwadzieścia pięć ataków z powietrza i tylko w trzech z nich zginęli bojownicy znajdujący się na opracowanej przez CIA liście „wysokowartościowych celów”. Pozostałe potencjalne ataki zostały odwołane w ostatniej chwili z powodu opieszałości Pakistańczyków w wydawaniu pozwoleń lub podejrzeń, że cel dostał cynk i zdołał zbiec. Ludzie z Centrum Antyterrorystycznego, odpowiedzialni za planowanie ataków, gromadzili informacje, że to agenci ISI z Dyrektoriatu S ostrzegali powiązanych z nim bojowników. Nie znaleziono jednak pewnych dowodów, by poprzeć nimi oskarżenie.

Jeszcze parę lat wcześniej agenci CIA wyśmiewali się z pracowników Centrum Antyterrorystycznego, nazywając ich „chłopaczkami z zabawkami”. W roku 2008 różne komórki wewnątrz Agencji były już jednomyślne co do poszerzenia zakresu kampanii z wykorzystaniem dronów. Od drugiej połowy 2005 roku CIA udawało się znaleźć informatorów na terytoriach plemiennych, którzy byli w stanie dostarczyć precyzyjnych

informacji na temat miejsc pobytu przywódców Al-Kaidy. Co więcej, General Atomics, firma z branży zbrojeniowej, przyspieszyła produkcję dronów Predator i Reaper, co pozwoliło CIA za pomocą bezzałogowych maszyn prowadzić niemal stały nadzór nad budynkami i obozami treningowymi prawdopodobnie należącymi do Al-Kaidy.

Analitycy z Dyrektoriatu Wywiadu ocenili, że rozpoczęcie jednostronnych operacji w Pakistanie nie doprowadzi do upadku świeckiego rządu i przejęcia władzy przez islamistów, czego przez wiele lat bała się administracja Busha. Ponadto analitycy uznali, że cywilny rząd w Islamabadzie, na którego czele stał Asif Ali Zardari (wybrany po ustąpieniu z urzędu generała Muszarrafa), miał na tyle mocną pozycję, że był w stanie uporać się z protestami przeciwko dronom.

Zmiana na najwyższych stanowiskach w Pentagonie też nie pozostała bez znaczenia dla zaostrzenia polityki administracji Busha wobec Pakistanu. Donald Rumsfeld, choć cały czas starał się o poszerzenie swoich kompetencji, by móc angażować oddziały specjalne w misje poza strefami wojen, był ostrożny jeśli chodzi o Pakistan. Uważał, że prowadzenie tam zbyt wielu operacji naraz mogłoby zwrócić opinię publiczną przeciwko prezydentowi Muszarrafowi. Następca Rumsfelda Robert Gates wierzył, że Stany Zjednoczone mogą podjąć większe ryzyko. Gates, były dyrektor CIA, pomagał w tajnych akcjach wymierzonych w walczących w Afganistanie Sowieców i potrafił ocenić realne korzyści płynące z sojuszu z Pakistanem. Nie miał złudzeń co do metod i celów działania pakistańskiego wywiadu i wiedział, że Islamabad nie wykona zdecydowanych kroków przeciwko bojownikom kryjącym się na terytoriach plemiennych, bo albo nie chciał tego robić, albo nie był do tego zdolny.

Podczas pierwszej podróży do Afganistanu w roli sekretarza obrony Gates wziął udział w tajnej odprawie w pokoju konferencyjnym w bazie lotniczej Bagram. Kontradmiral Robert Harward, zastępca szefa JSOC, mówił o obozowiskach znajdujących się na terytoriach plemiennych, w których mieli się ukrywać agenci Al-Kaidy. – No to czemu nie polecicie tam i się nimi nie zajmiecie? – zapytał Gates.

Kiedy w lipcu 2008 roku dyrektor CIA Michael Hayden zjawił się w Białym Domu wraz ze swoim zastępcą Stephenem Kappesem, by przedstawić George'owi W. Bushowi i jego gabinetowi plan jednostronnej wojny w pakistańskich górach, nie mieli problemów z przekonaniem prezydenta do swojej wizji. – Nie będziemy się z nimi cackać – powiedział Bush. – Te sukinsyny zabijają Amerykanów, a ja mam tego serdecznie dość.

Tak zaczęła się wieloletnia kampania na terenach plemiennych, którą kontynuował prezydent Obama. A skoro stosunki CIA i ISI uległy przy okazji znacznemu pogorszeniu, Langley słało do szefów placówki w Islamabadzie wytyczne, by nie poświęcali zbyt wiele energii i czasu na zacieśnianie więzi z pakistańskimi szpiegami, jak robili to ich poprzednicy. Richard Blee, były szef jednostki odpowiedzialnej za obławę na ben Ladena i były dowódca placówki w Islamabadzie, narzekał, że w CIA rządziła teraz frakcja „pierdol się”.

Od 2008 roku Agencja regularnie wymieniała zahartowanych w bojach szefów placówek na kolejnych i każdy z nich wyjeżdżał z kraju jeszcze bardziej zgorzkniały niż poprzedni. Okres służby jednego z nich został niespodziewanie przerwany, kiedy jego

nazwisko pojawiło się w pakistańskiej prasie. CIA podejrzewała, że za przeciek odpowiada ISI, które odgrywa się za posadzenie generała Paszy na ławie oskarżonych podczas nowojorskiego procesu sądowego wytoczonego przez ofiary ataków w Bombaju z 2008 roku.

Inny szef placówki, John Bennett, ze swojego gabinetu w Nairobi kierował operacjami CIA w Somalii, a potem szefował placówce Agencji w RPA. Jako oficer z pokolenia, które rozpoczęło służbę już po sensacjach komisji Churcha, przybył do Pakistanu z podobnymi obawami co do organizowanych przez CIA zamachów jak większość jego kolegów. Jednak pobyt tam stopniowo weryfikował jego poglądy. Przekonywał się, że drony były właściwie jedynym rozsądnym sposobem na ściganie Al-Kaidy w Pakistanie, szczególnie że CIA i ISI nie wymieniały się już informacjami wywiadowczymi. Chłodne stosunki z pakistańskimi służbami przerodziły się w jawną wrogość, gdy Bennett rozkazał swoim ludziom przyjrzeć się ISI bliżej, podejrzewając ją o sabotowanie amerykańskiej kampanii.

Kiedy w 2010 roku wyjeżdżał z Islamabadu, był otwarcie cyniczny w stosunku do ISI. Kolegom mówił, że praca w Pakistanie, stojąca pod znakiem użerania się z tamtejszymi służbami, to „zmarowane lata, których nikt mi nie zwróci”. Następca Bennetta, który weszyl z jeszcze większym zacięciem, wierząc, że ISI uprawia propagandę i podlega do wrogości wobec amerykańskich operacji, musiał w trybie natychmiastowym wyjechać z kraju, kiedy jego tożsamość ujawniła pakistańska prasa.

I choć wiele operacji wydawało się zwiastować nową erę dobrych relacji CIA i ISI, zawsze wszystko kończyło się na wzajemnych oskarżeniach i wytykaniu palcami. Tajna grupa agentów CIA w styczniu 2010 roku wraz z oddziałem do zadań specjalnych z Karaczi namierzyła telefon komórkowy w szemranej dzielnicy w zachodniej części Baldia Town. CIA nie prowadziła samodzielnych operacji w większych miastach pakistańskich, więc Amerykanie poinformowali o swoim planie ISI. Pakistańskie oddziały uprzedziły ich ruch i w asyście policji dokonały niespodziewanego nalotu na wskazany dom.

CIA nie wiedziała wówczas, że komórka należała do mułły Abdula Ghaniego Baradara – drugiego po mulle Mohammadzie Omarze człowieka afgańskich talibów. Dopiero kiedy ISI go przesłuchała, zdradziła jego tożsamość CIA. Nie dała jednak Agencji dostępu do więźnia. – Nasze stosunki naprawdę się skomplikowały – wspomina jeden z oficerów CIA.

Czy operacja była ustawiona? Krążyły plotki, że Baradar chciał pójść na układ z Amerykanami i spróbować namówić talibów na rozpoczęcie negocjacji. Czy ISI udało się zmylić CIA, żeby dokonać aresztowania i tym samym usunąć Baradara ze sceny oraz zdusić nadzieje na pokój? Czy pakistańskie służby zagrały CIA na nosie? Odpowiedzi na te pytania szukano w Langley bezskutecznie jeszcze przez kilka miesięcy. Agencja podejrzewała, że ISI gra na dwa fronty. Na relacje służb kładły się cieniem powiązania pakistańskiego wywiadu z afgańskimi talibami. Mimo to przeprowadzono wspólnie kilka owocnych operacji.

Osiem miesięcy przed dniem, w którym świat po raz pierwszy usłyszał o Raymondzie Davisie, w czerwcu 2010 roku, obie agencje prowadziły nasłuch telefonów

komórkowych należących do Arabów podejrzanych o udzielanie logistycznej pomocy przywódcom Al-Kaidy ukrywającym się na terytorium Pakistanu. Operacja była „wspólna” tylko do pewnego stopnia. CIA nie poinformowała bowiem ISI, że jedna z komórek należała do człowieka ukrywającego się pod pseudonimem Abu Ahmed al-Kuwaiti. Pojmani agenci Al-Kaidy parę lat wcześniej zidentyfikowali go jako osobistego kuriera Osamy ben Ladena. Odkąd amerykańskie służby dowiedziały się o al-Kuwaitim, dotyczące go tropy ciągle prowadziły na manowce. Dopiero w 2007 roku CIA otrzymała wiarygodny cynek od zaprzyjaźnionego wywiadu, że prawdziwe imię poszukiwanego brzmi Ibrahim Sajjed Ahmed. Nie było ono co prawda rzadkie w świecie muzułmańskim, lecz nowe informacje pozwoliły Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) na stopniowe namierzenie numeru, z którego korzystał kurier, i przekazanie go CIA.

Latem 2010 roku zadzwoniła komórka al-Kuwaitiego. Telefonował jego przyjaciel z regionu Zatoki Perskiej. Cała rozmowa została podsłuchana przez amerykańskich agentów.

– Brakowało nam ciebie. Gdzieś ty był? – pytał dzwoniący.

Odpowiedzi al-Kuwaitiego były niejasne, ale dające do myślenia:

– Jestem z powrotem, i to z ludźmi, z którymi byłem wcześniej.

Zakodowana wiadomość wydawała się znacząca: sugerowała bowiem, że al-Kuwaiti ponownie pracował z Al-Kaidą, a może nawet miał bezpośredni kontakt z Osamą ben Ladenem.

Agencja Bezpieczeństwa Narodowego namierzyła telefon al-Kuwaitiego – odebrał rozmowę gdzieś w okolicach Peszawaru. Miało to sens przy założeniu, że podejrzany podróżował na terytoria plemiennie, gdzie miała się ukrywać większość najwyższych rangą przywódców Al-Kaidy.

Część analityków CIA podejrzewała jednak, że ben Laden może przebywać gdzie indziej, może nawet w którymś z pakistańskich miast. Było to jedynie przeczucie, oparte w pewnym stopniu na metodzie eliminacji: CIA spędziła całe lata na obserwacji terytoriów plemiennych i nie natrafiła na najmniejszy ślad przywódcy Al-Kaidy. Rozpoczęcie poszukiwań w innym miejscu miało więc sens.

Przezucie okazało się trafne. Dwa miesiące po tamtym telefonie jeden z Pakistańczyków pracujących dla CIA zauważył al-Kuwaitiego w Peszawarze. Siedział za kierownicą białego suzuki z kołem zapasowym zamontowanym na drzwiach bagażnika. Informator śledził go aż do wyjazdu z miasta. Jednak al-Kuwaiti nie skręcił na zachód, w dzikie górskie ostępy. Przez prawie dwieście kilometrów jechał na wschód. Zatrzymał się w cichym miasteczku na północ od Islamabadu, gdzie mieściła się prestiżowa akademia wojskowa. Była to również spokojna przystań dla emerytowanych oficerów, którzy spędzali całe dni na grze w golfa na jednym z najlepszych pakistańskich pól. Miasteczko nazywało się Abbottabad. Suzuki zatrzymało się przy kompleksie ogrodzonym wysokim na cztery metry betonowym murem, nad którym górował wielki dom. Na jego najwyższym piętrze zamiast okien znajdowały się jedynie wąskie szparki. Dom nie miał podpiętej linii telefonicznej ani połączenia z internetem. Ktokolwiek w nim mieszkał, na własne życzenie odciął się od świata zewnętrznego.

Przez kolejnych parę miesięcy Leon Panetta naciskał na Centrum Antyterrorystyczne, proponując kilka istic egzotycznych planów, dzięki którym udało się ustalić tożsamość lokatora. Niektóre przywozły na myśl minioną epokę, jeszcze zanim Agencja dysponowała flotą predatorów.

Oficerowie Centrum przyszedli do biura Panetty z ogromnym teleobiektywem i zaproponowali umieszczenie go w pobliskich górach. Z kryjówki, którą CIA założyła po cichu nieopodal domu, agenci nie mieli zbyt dobrej widoczności, więc montaż urządzeń optycznych w tym punkcie mijał się z celem. Satelity szpiegowskie w ciągu kilku tygodni zrobiły tysiące zdjęć domu, lecz żadna z fotografii nie była w stanie dowieść bezspornie, że ben Laden ukrywał się właśnie tam. CIA wytrwale czekała więc na znak, dzięki któremu byłaby w stanie zakończyć dziesięcioletnią obławę.

Tak czy inaczej, to był najbardziej obiecujący ślad w sprawie ben Ladena od 2001 roku – a dokładniej od chwili, gdy przywódca Al-Kaidy uciekł z kryjówki w afgańskim kompleksie Tora Bora i przekroczył granicę z Pakistanem. Ale sytuację komplikował fakt, że jeden z tajnych współpracowników Agencji siedział w celi w Lahore z zarzutem podwójnego morderstwa. Pakistańskie partie islamistyczne zorganizowały protesty uliczne i groziły zamieszkami, jeśli Raymond Davis nie zostanie osądzony, skazany i powieszony. Amerykańscy dyplomaci w Lahore regularnie odwiedzali Davisa, lecz administracja Obamy nadal nie wyjawiała pakistańskiemu rządowi prawdziwej roli, jaką odgrywał mężczyzna. Niedługo potem sprawa pochłonęła kolejną ofiarę.

Rozpaczająca po jednym z mężczyzn zastrzelonych przez Davisa wdowa połknęła 6 lutego śmiertelną dawkę trutki na szczury. Została przewieziona do szpitala w Fajsalabadzie, gdzie lekarze zrobili jej płukanie żołądka. Szumajla Fahim była pewna, że Stany Zjednoczone i Pakistan umówiły się po cichu na wypuszczenie zabójcy jej męża z więzienia, o czym powiedziała lekarzom: – Traktują tego mordercę jak gwiazdę zatrzymaną przez policję i jestem pewna, że puszczą go wolno pod międzynarodową presją. Ten człowiek zabił mojego męża i domagam się sprawiedliwości. Nieważne, że jest Amerykaninem. Nie można pozwolić, aby uszło mu to na sucho.

Zmarła niedługo potem i z miejsca dla wielu pakistańskich ugrupowań stała się męczennicą.

Zamieszanie wokół incydentu z udziałem Davisa przybierało na sile, co groziło koniecznością zakończenia przez CIA większości operacji w Pakistanie. Oznaczałoby to przede wszystkim natychmiastowe fiasko kampanii w Abbottabadzie. Jednak CIA nie złożyła broni. Agencja wysłała do Islamabadu swoich przedstawicieli. Spotkali się z ambasadorem Munterem i poinstruowali go w sprawie nowo przyjętej strategii – trzeba zmusić Pakistańczyków do zwolnienia Davisa i zagrozić poważnymi konsekwencjami. Jeśli będą się opierać, należy przykręcić im śrubę aż do momentu, gdy pójda po rozum do głowy.

Munter sądził jednak, że plan CIA może skończyć się katastrofą, i wysłał wiadomość do Departamentu Stanu z nową propozycją. Po ożywionych dyskusjach przedstawicieli Białego Domu, Departamentu Stanu i CIA został on zaakceptowany. Munter spotkał się więc z generałem Paszą, szefem ISI, i przyznał wprost: Davis pracował dla CIA. Stany Zjednoczone muszą wywieźć go z kraju tak szybko, jak to możliwe.

Pasza nie miał zamiaru odpuścić tak łatwo. Był wściekły, że Panetta go okłamał. Chciał patrzeć, jak Amerykanie przebierają nogami, kiedy Davis gnije w więzieniu, a on – niespiesznie, w swoim tempie – znajdzie najlepsze wyjście z sytuacji.

Ponad tydzień później Pasza zgłosił się do Muntera i przedstawił mu dziwny plan. Rozwiązanie oparto na wiekowej pakistańskiej tradycji, która pozwalała na załatwienie sprawy poza systemem sądowym. Pasza wpadł na ten pomysł po rozmowach z wieloma oficjelaми, w tym z ambasadorem Hakkanim. Rekompensatą za czyny Davisa miały być „krwawe pieniądze”, czyli *diyāt* – zgodnie z tradycją wypłacano je rodzinom zabitych ofiar. Oczywiście wszystko miało się odbyć po cichu – CIA przeleje pieniądze, a Davis zostanie zwolniony z więzienia.

ISI przejęło kontrolę. Pasza rozkazał agentom w Lahore spotkać się z rodzinami trzech zabitych w styczniu mężczyzn i wynegocjować rekompensatę. Niektórzy krewni z początku się opierali, lecz negocjatorzy wysłani przez ISI nie mogli pozwolić, by położono tę operację. Po paru tygodniach zainteresowane strony zgodziły się na łączną kwotę dwieście milionów rupii, czyli około 2,34 miliona dolarów, za „przebaczenie” uwięzionemu mordercy.

Jedynie niewielka część gabinetu Obamy wiedziała o prowadzonych rozmowach. Trwała walka z tykającym zegarem, którego wskazówki odliczały czas do podjęcia przez Sąd Najwyższy w Lahore decyzji, czy powinno się uznać immunitet dyplomatyczny Davisa. W CIA spodziewano się wyroku niekorzystnego dla Stanów Zjednoczonych. Obawiano się przy tym, że może zostać ustanowiony niebezpieczny precedens.

Raymond Davis nie miał pojęcia o tym, co działo się wokół niego. Kiedy 16 marca pojawił się w sądzie, spodziewał się, że zostanie tam podana data właściwej rozprawy. Pod eskortą, skutego kajdankami, wprowadzono go do sali i zamknięto w niewielkiej metalowej klatce obok ławy sędziowskiej. Na tyłach usiadł agent ISI, który wyciągnął telefon komórkowy i pisał wiadomości tekstowe do generała Paszy, na bieżąco informując go o przebiegu postępowania sądowego. Ten z kolei przekazywał wszystko ambasadorowi Munterowi. Pasza był jednym z najpotężniejszych ludzi w Pakistanie, ale i tak ISI nie miało kontroli nad nieprzewidywalnymi sądami w Lahore, więc nie miał pewności, jak wszystko ostatecznie się potoczy.

Pierwsza część przesłuchań przebiegła zgodnie z oczekiwaniami. Sędzia powiedział, że jego decyzja odnośnie immunitetu dyplomatycznego zapadnie w najbliższych dniach. Pakistańscy reporterzy z zacięciem notowali, że szykuje się mocny cios dla Ameryki, dodając, iż Davis najwyraźniej spędzi w więzieniu jeszcze sporo czasu. Ale nagle sędzia poprosił dziennikarzy o opuszczenie sali rozpraw; sekretny plan generała Paszy został wcielony w życie.

Przez boczne drzwi do sali weszło łącznie osiemnastu krewnych ofiar strzelaniny i sędzia zarządził zmianę – od tego momentu obradował będzie sąd szariatu. Każdy z nowo przybyłych podchodził do Davisa – niektórzy mieli w oczach łzy lub otwarcie płakali – i udzielał mu przebaczenia. Pasza wysłał do Muntera kolejną wiadomość: sprawa została załatwiona. Davis był wolnym człowiekiem. Prawa boskie zatriumfowały nad prawami ludzkimi.

Podczas rozprawy mówiono tylko w urdu, więc Raymond Davis przez cały ten czas

siedział bez słowa w stalowej klatce. Zrobiło się jeszcze dziwniej, kiedy agenci ISI wyprowadzili go z budynku tylnym wyjściem i wepchnęli do czekającego na ulicy samochodu, który zabrał go na lotnisko w Lahore.

Całą operację zaaranżowano tak, by wywieźć Davisa z kraju jak najszybciej. Jednak i tak czekający na niego przy samolocie amerykańscy oficjele – wśród których był także i Munter – byli niespokojni. W końcu ich człowiek zastrzelił dwóch mężczyzn, którzy mieli mu grozić. Więc jeśli uzna, że wiozą go na śmierć, może próbować ucieczki lub nawet unieszkodliwienia eskortujących go agentów ISI. I nie pomylili się zbyt – kiedy samochód się zatrzymał i Davisa wpakowano do samolotu, który miał wywieźć go z Pakistanu, współpracownik CIA był mocno zaskoczony. Wyznał Munterowi, że był niemal pewny, że jedzie do lasu, gdzie agenci ISI wpakują mu kulę w tył głowy.

Raymond Davis wsiadł do samolotu i poleciał nad górami na zachód, do Afganistanu, gdzie został przekazany oficerom CIA z Kabulu. Po raz pierwszy od stycznia mógł opowiedzieć o wydarzeniach z Lahore i pobycie w więzieniu bez stojących mu nad głową pakistańskich szpiegów.

Po powrocie do Stanów Zjednoczonych próbował ułożyć sobie życie, ale koniec końców nie potrafił trzymać się z dala od celi. 1 października 2011 roku, zaledwie siedem miesięcy po wylocie z Pakistanu, podjechał do miejsca parkingowego przed piekarnią z bajglami w Highland Ranch w stanie Kolorado, na przedmieściach Denver.

Pech chciał, że to samo miejsce upatrzył sobie Jeff Maes, pięćdziesięcioletni pastor, któremu towarzyszyły żona i dwie córki. Kiedy zaparkował auto, Davis zatrzymał się za nim i przez otwarte okno zaczął wykrzykiwać obelgi. Po chwili wysiadł z samochodu. Krzyczał do pastora, że czekał, aż właśnie to miejsce się zwolni. – Niech pan ochłonie i nie gada głupot – odparł Maes. Davis uderzył go w twarz. Cios powalił Maesa na chodnik. Mężczyzna zeznał później, że kiedy próbował wstać, Davis znowu zaczął go bić. Napastnika aresztowano za napaść trzeciego stopnia i zakłócanie porządku publicznego. Ale kiedy obrażenia Maesa okazały się poważniejsze, niż początkowo sądzono, Davis został oskarżony o czynną napaść. Żona pastora powiedziała później, że nigdy w życiu nie widziała człowieka tak przepełnionego gniewem.

Sprawa Davisa zmotywowała Langley do wywiezienia kilkunastu kolejnych tajniaków z Pakistanu w nadziei, że obniży to nieco temperaturę stosunków CIA i ISI. Ambasador Munter wkrótce po dziwacznej rozprawie sądowej wydał oświadczenie, w którym mówił o „wdzięczności względem rodzin ofiar, które wykazały się wyrozumiałością i hojnością”, oraz wyraził żal z powodu „ogromu cierpienia wywołanego całym zajściem”.

Ale tajny układ rozwścieczył pakistańską opinię publiczną. Wszystkie większe miasta – łącznie z Islamabadem, Karaczi i Lahore – zasypała lawina protestów. Demonstranci podpalali barykady z opon i ścierali się z policyjnymi oddziałami szturmowymi, wymachując tablicami z napisem „Jestem Raymond Davis, zabójca z CIA, więc dajcie mi spokój”.

Davis został postrachem Pakistanu, istnym diabłem wcielonym, amerykańskim zabójcą czającym się w mroku podświadomości Pakistańczyków. Stał się przedmiotem śmiałych teorii spiskowych, zaś jego imię pojawiało się regularnie na antyamerykańskich wiecach. Gdy CIA zredukowała liczbę prowadzonych w Pakistanie operacji, jedna

z gazet jako powód zmniejszenia się częstotliwości ataków terrorystycznych na terenie kraju podała właśnie wycofanie się tajnej amerykańskiej armii.

Następnego lata, pewnej upalnej nocy, Hafiz Muhammad Sajjed – dowódca Laszkar-e-Taiba i główny powód, dla którego Raymond Davis i jego drużyna zostali wysłani do Lahore – stał na platformie samochodu ciężarowego zaparkowanego zaledwie kilometr od budynku pakistańskiego parlamentu. Przemawiał do tysięcy radujących się ludzi, choć za jego głowę Amerykanie wyznaczyli dziesięć milionów dolarów nagrody. Podjął jednak ryzyko i podburzał tłum, nawołując do „zakończenia amerykańskiej niewoli” podczas wiecu mającego być istną kulminacją marszu, który wyruszył z Lahore do Islamabadu w ramach protestu przeciwko ingerencji Stanów Zjednoczonych w wewnętrzne sprawy kraju. Nocą, zanim maszerujący dotarli do stolicy, sześciu pakistańskich żołnierzy zostało zabitych przez ludzi jadących na motocyklach niedaleko miejsca, w którym demonstranci spędzili noc, co wywołało podejrzenia, że za atakiem stoi Sajjed.

On sam nie wziął odpowiedzialności za strzelaninę. Według niego zabójcami byli, o czym nie omieszkał poinformować tłum, obywatele obcego państwa wysłani z tajną misją destabilizacji kraju i wykradzenia jego arsenału atomowego. Drżącym od emocji głosem powiedział wprost, kto stał za śmiercią sześciu mężczyzn.

– To byli Amerykanie – wrzeszczał ku uciesze tłum. – To było Blackwater! – krzyczał, a ludzie wiwatowali jeszcze głośniej. Najlepsze zachował jednak na koniec: – To następny Raymond Davis!

Rozdział piętnasty

LEKARZ I SZEJK

„Nie chcę być ambasadorem”

szef placówki CIA w Islamabadzie

Doktor Szakil Afridi współpracował z CIA już od ponad roku, kiedy dostał nowe instrukcje.

Był styczeń 2011 roku. Z wyznaczonego punktu – zwykle była to stacja benzynowa Shell albo zatłoczony bazar – odebrało go dwóch mężczyzn. Przeszukali go i nakazali położyć się na tylnym siedzeniu auta, a następnie przykryli kocem. Samochód krążył później po ulicach Islamabadu. W końcu zatrzymał się. Afridemu kazano wysiąść. Przesiadł się do toyoty land cruiser, gdzie czekała na niego Amerykanka, którą znał pod imieniem Sue.

Usłyszał od niej, że powinien przygotować się do przeprowadzenia programu szczepień na wirusowe zapalenie wątroby typu B dla kobiet w wieku od piętnastu do czterdziestu pięciu lat. Poinstruowała go, by zaczął w dwóch miastach w Kaszmirze – Baghu i Muzaffarabadzie – oraz w regionie Chajber Pasztunchwa. Tam miał skupić się na garnizonowym Abbottabadzie. Kampania, jak powiedziała Sue, miała trwać pół roku i zostać podzielona na trzy etapy. Afridi szybko dokonał obliczeń, wyceniając koszt projektu z uwzględnieniem sporej marży, którą zawsze nakładał na operacje wykonywane dla CIA. Powiedział, że potrzebuje pięćdziesięciu trzech milionów rupii, czyli pół miliona dolarów.

Afridi zdążył już przyzwyczać się do pracy z Amerykanami i wiedział, że CIA nie będzie kłóciła się z nim o pieniądze. Przecież potrzebowali go bardziej niż on ich – był niezastąpionym agentem, który mógł łatwo przemieszczać się pomiędzy pakistańskimi miastami i wioskami bez wzbudzania podejrzeń ze strony wojska czy wywiadu. Był szpiegiem idealnym, za co Amerykanie skłonni byli płacić bez kręcenia nosem.

Sue została świeżo przydzielona przez CIA do pracy z Afridim. Ale doktor pomagał Agencji od 2009 roku. Wtedy to z lekarzem z burzliwą przeszłością skontaktowano się po raz pierwszy. Miał wówczas czterdzieści parę lat i zdążył dorobić się pozycji najlepszego pakistańskiego medyka działającego w prowincji Chajber na terytoriach plemiennych. Nawet jeśli oskarżano go o branie łapówek od firm farmaceutycznych, zlecanie zbędnych operacji chirurgicznych oraz handel lekami na czarnym rynku.

Afridi był wysmienitym rozmówcą, który lubił opowiadać koleżankom sprośne dowcipy i nie wahał się zapomnieć na moment o etyce lekarskiej, kiedy w grę wchodziło zarobienie pieniędzy. Niewielu wątpiło jednak w jego oddanie sprawie polepszenia warunków opieki zdrowotnej w jednym z najuboższych regionów świata.

Oskarżenia przeciwko niemu nie uszły uwadze lokalnego watażki Mangala Bagha, byłego kierowcy autobusu, który kierował handlem narkotykami w Chajberze i szefował mało znanej grupie działającej w ramach Laszkar-e Islam. Jego ludzie regularnie leczyli się właśnie u Afridiego, ale kacyk wezwał doktora do siebie i zażądał od niego miliona rupii, czyli około dziesięciu tysięcy dolarów. Kiedy odmówił, Bagh trzymał go przez tydzień w odosobnieniu, aż lekarz zgodził się zapłacić.

Afridi w listopadzie 2009 roku brał udział w konferencji lekarskiej w Peszawarze i to właśnie tam, jeśli wierzyć zeznaniom, które złożył później prowadzącym śledztwo Pakistańczykom, podszedł do niego pewien mężczyzna. Powiedział, że jest dyrektorem krajowego oddziału międzynarodowej organizacji charytatywnej Save the Children. Przedstawił się jako Mike i wyraził zainteresowanie pracą Afridiego. Zaprosił go do Islamabadu na kolację. Trudno powiedzieć, czy doktor zdawał sobie sprawę, że pod tym zaproszeniem może kryć się coś więcej. W każdym razie przyjął je, zjawił się w stolicy Pakistanu wyznaczonego dnia i został przewieziony do domu Mike'a w snobistycznej dzielnicy Islamabadu. Tam, jak opowiadał, został przedstawiony wysokiej blondynce po trzydziestce, o, jak powiedział, „brytyjskich rysach”, która przedstawiła się jako Kate. Okazała się pierwszą opiekunką doktora Szakila Afridiego z ramienia CIA.

Nie jest jasne, czy Mike, którego poznał Afridi, faktycznie pracował dla Save the Children. Sama organizacja zaprzecza, jakoby cokolwiek łączyło ją z CIA. Amerykańscy oficjele również ucinają wszelkie sugestie odnośnie współpracy z Save the Children, mówiąc, że gdyby Agencja wykorzystywała instytucje charytatywne do rekrutacji, naraziłaby ich pracowników i wszystko obróciłoby się przeciwko niej. Tak czy inaczej, kiedy Pakistańczycy przygotowali raport na temat pracy Afridiego dla CIA i jego spotkanie z Mikiem wyszło na jaw, oficjele z Islamabadu zdecydowali o zakończeniu wszystkich akcji charytatywnych, które Save the Children prowadziła w ich kraju.

Amerykanie nie zaprzeczali jednak, że przez ostatnią dekadę CIA wysyłała swoich ludzi do Pakistanu pod przykrywką – jako pracowników organizacji dobroczynnych, inżynierów i innych specjalistów, co pozwalało im na w miarę swobodne poruszanie się po kraju. Podczas „napływu” oficerów CIA do Pakistanu w latach 2005–2006, kiedy między innymi Art Keller został wysłany na terytoria plemienne, amerykańscy agenci rozpaczliwie szukali tropu Osamy ben Ladena i do granic możliwości naginali zasady rządzące międzynarodowym szpiegostwem.

Po ujawnieniu rewelacji Komitetu Churcha w latach siedemdziesiątych CIA wprowadziła zasadę nieangażowania amerykańskich dziennikarzy, duchownych oraz wolontariuszy z Korpusu Pokojowego w operacje szpiegowskie, co do tej pory było normą. Jednak szefowie Agencji podkreślali, że nie będą się tego postanowienia kurczowo trzymać. Zeznając przed senacką komisją do spraw wywiadu, dyrektor CIA John Deutch powiedział, że w razie „sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa narodowego” Agencja zastrzega sobie prawo odstąpienia od tej zasady. Deutch dodał, że w pewnych okolicznościach „należy dopuścić możliwość korzystania z każdego dostępnego źródła informacji”.

CIA nigdy nie zrezygnowała z rekrutowania zagranicznych dziennikarzy

i pracowników organizacji charytatywnych, nawet jeśli amerykańscy oficjele od dawna zdawali sobie sprawę z zagrożeń, jakie niesie wykorzystywanie pracowników akcji humanitarnych jako szpiegów. Agencja w następstwie ataków z 11 września sięgała po rozmaite środki – łącznie z podtapianiem zatrzymanych w sekretnych więzieniach i zabijaniem bojowników przy pomocy dronów – usprawiedliwiając się chęcią zapewnienia krajowi maksymalnego bezpieczeństwa. Rozwinięcie wachlarza profesji uznanych za użyteczne w działaniach szpiegowskich było kolejną z taktyk CIA na czas przedłużającej się wojny.

W ciągu dwóch lat, które minęły od pierwszego spotkania Afridiego z wysoką blondynką z CIA, pakistański lekarz przeprowadził kilka kampanii zdrowotnych. Służyły one za pretekst do zbierania informacji o planowanych przez bojowników działaniach na terenach plemiennych. Za szczególnie efektywne uznano szczepienia – z igieł można było bowiem pobrać materiał DNA i na tej podstawie spróbować określić miejsce pobytu bojowników Al-Kaidy, których dane genetyczne już znajdowały się w bazie.

Afridi kierował paroma takimi kampaniami w Chajberze, za co CIA zapłaciła mu osiem milionów rupii. Jak mówił, co parę miesięcy wyznaczano mu nowego opiekuna – po Kate przyszedł Tony, potem Sara, wreszcie Sue, która przejęła jego sprawę w grudniu 2010 roku. Miał do dyspozycji laptop oraz transponder, dzięki któremu mógł komunikować się z Agencją. Został też poinstruowany, że urządzenie zacznie piszczeć, kiedy CIA spróbuje nawiązać z nim kontakt.

Miesiąc po przeprowadzeniu szczepień w Abbottabadzie Sue powiedziała Afridemu, żeby skupił się na Bilal Town, dzielnicy zamieszkannej przez wyższą klasę średnią, położonej niedaleko prestiżowej pakistańskiej akademii wojskowej, odpowiednika słynnej West Point. Ale chaotyczny program szczepień przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu B już działał. Jednak z pominięciem wymaganych procedur. Afridi nie nabył nawet wystarczającej liczby szczepionek dla całej grupy docelowej, dlatego niektórzy miejscowi oficjele odmówili współpracy, zarzucając mu, że nie posiada odpowiednich zezwoleń.

Szahina Mamraiz, która odpowiadała w Abbottabadzie za zdrowie publiczne, była wstrząśnięta grubiaństwem Afridiego, kiedy ten wparował do jej gabinetu w marcu 2011 roku. Dopiero po ponagleniach swego zwierzchnika zgodziła się współpracować z lekarzem.

Opiekunów Afridiego nie obchodziły szczegóły całej operacji i nie chcieli zagłębiać się w to, kto dostanie szczepionkę, a kto nie. Wiosną 2011 roku oficerowie z Centrum Antyterrorystycznego w Langley i placówki CIA w Islamabadzie interesowali się jedynie Bilal Town, a w szczególności sporym, ogrodzonym murem kompleksem budynków na ulicy Pathan, który od miesięcy był pod obserwacją amerykańskich satelitów. Opiekunowie Afridiego nie poinformowali doktora o swoich podejrzeniach co do tożsamości lokatora. Lekarz nie miał też pojęcia, że CIA założyła nieopodal kryjówkę.

Trwała intensywna burza mózgów – amerykańscy oficjele próbowali dociec, czy faktycznie mieszka tam Osama ben Laden ze swoją świtą. Mieli nadzieję, że wkraczając do środka, rozwieją wszelkie wątpliwości. Korzystając z kampanii zdrowotnej jako

przykrywki CIA chciało, aby Afridi wprowadził za mury kompleksu jednego z agentów jako swojego asystenta. Miał on zdobyć to, czego od blisko dziesięciu lat bezskutecznie poszukiwali amerykańscy żołnierze i szpiedzy – twardych dowodów jednoznacznie wskazujących miejsce, gdzie ukrywa się Osama ben Laden.

Jednak ani Afridi, ani żaden członek jego ekipy nie zdołał dostarczyć takich dowodów. W dniu, w którym doktor szczepił mieszkańców ulicy Pathan, jedynymi osobami, które odmówiły przyjęcia zastrzyku, byli rezydenci tajemniczego kompleksu. Zresztą w ogóle rzadko wychodzili z domu i zakopywali śmieci, zamiast wyrzucać je do pojemnika. Afridemu powiedziano, że w interesującym Amerykanów domu mieszkają wraz z rodzinami dwaj bracia, odludki z Waziristanu, i że nie interesuje ich utrzymywanie znajomości z sąsiadami. Po dalszym dochodzeniu jedna z pracownic ekipy Afridiego zdołała zdobyć numer telefonu jednego z braci. Zadzwoiła do niego z komórki doktora. Od rozmówcy dowiedziała się, że mężczyzna wyjechał i będzie dopiero wieczorem.

Kiedy ludziom Afridiego nie udało się wejść na teren kompleksu, doktor uznał, że dalsze naciski mogą wzbudzić podejrzenia, zmusić mieszkańców do zmiany rozkładu dnia lub nawet ucieczki. Po zakończeniu swojej pracy w Bilal Town Afridi pojechał do Islamabadu z pustymi opakowaniami po szczepionkach, gdzie w umówionym miejscu czekała na niego Sue w toyocie land cruiser. Powiedział jej wszystko, co wiedział o ludziach mieszkających w budynkach za ogrodzeniem, i wręczył strzykawki, zaś ona odwdzińczyła się pięćdziesięcioma trzema milionami rupii gotówką.

Z prowizorycznej bazy we wschodnim Afganistanie poderwały się do lotu cztery amerykańskie śmigłowce. Na tle bezkłęzycowego nieba odbiły na wschód i zaniósły kilkudziesięciu uzbrojonych mężczyzn do walki w kraju, z którym Stany Zjednoczone nie prowadziły wojny. Drużyna Navy SEALs przygotowała się na krwawą jatkę z lojalnymi aż po grób ludźmi stojącymi na straży Osamy ben Ladena. A nawet z oddziałami pakistańskiej armii. Dziesięć lat tajnych amerykańskich operacji tak popsulo relacje pomiędzy nominalnymi sojusznikami, że komandosi nie wykluczali starcia z pakistańskimi żołnierzami w Abbottabadzie po lądowaniu na terenie otoczonego murem kompleksu.

Jeszcze zanim śmigłowce dotarły na miejsce, wszystkie znaki na ziemi i niebie zapowiadały katastrofę. Nagły podmuch wiatru wepchnął jedną z lądujących maszyn na budynek. Śmigłowiec zahaczył o niego ogonem i rozbił się o ziemię. Wszyscy przy tej okazji mieli jedno skojarzenie: nieudaną operację odbicia zakładników z 1980 roku w Iranie. Lecz kiedy Navy SEALs, używając materiału wybuchowego, sforsowali drzwi i wkroczyli do domu przy ulicy Pathan, misja przebiegła już sprawnie. Amerykanie dostrzegli przywódcę Al-Kaidy na szczycie schodów na trzecim piętrze. Wychylał się ze swojego pokoju. Jeden z komandosów strzelił mu w twarz. Ben Laden upadł na podłogę sypialni. Dogorywał, leżąc w kałuży krwi. SEALs zrobili zdjęcia jego zwłok, zapakowali ciało do worka i wynieśli je z domu. Niecałe czterdzieści minut po lądowaniu helikopterów w Abbottabadzie najdroższa i wymagająca największego nakładu środków oblawa w dziejach dobiegła końca.

SEALs zniszczyli unieruchomiony śmigłowiec, żeby uniemożliwić Pakistańczykom

dostęp do tajnego sprzętu nawigacyjnego, który znajdował się wewnątrz. Przetrawiał jedynie uszkodzony ogon. Komandosi stłoczyli się w sprawnych helikopterach – blackhawku i chinooku. Polecieli na zachód, do Afganistanu, wioząc ze sobą ciało ben Ladena i kilkadziesiąt twardych dysków, telefonów komórkowych i pendrive'ów, które znaleziono na terenie kompleksu.

Informacje na temat szczegółów akcji wypłynęły w Pakistanie dopiero następnego dnia. Asad Munir siedział przed telewizorem jak zahipnotyzowany. Był przekonany, że w tej historii kryje się coś więcej. Dawny szef placówki ISI w Pakistanie, który zawsze z szacunkiem wypowiadał się na temat pracy z CIA, po atakach z 11 września uważał, że amerykańska Agencja nie zdołałaby przygotować operacji wojskowej na terenie jego kraju bez pomocy pakistańskich żołnierzy lub ISI. „To niemożliwe – rozmyślał. – Przecież CIA nie dysponuje żadnymi oddziałami”.

Tamtej nocy jednak dysponowała.

Parę miesięcy przed rozpoczęciem misji, kiedy satelity szpiegowskie nadal robiły zdjęcia domu przy ulicy Pathan, zaś doktor Afridi i jego ekipa kombinowali, jak dostać się do środka, wojsko i wywiad Stanów Zjednoczonych przedstawiły Białemu Domowi dwa możliwe rozwiązania. Opcja uznana za najmniej ryzykowną wymagała użycia niewykrywalnego dla radarów bombowca B-2, który miał prześlizgnąć się niezauważenie do Pakistanu i zetrzeć kompleks z powierzchni ziemi. Jednak takie rozwiązanie wykluczono z jednego powodu: nie można by wtedy zdobyć dowodu, że ben Laden faktycznie został zabity. Pakistańskie władze otoczyłyby rumowisko kordonem i Stany Zjednoczone dysponowałyby jedynie informacjami przefiltrowanymi przez ISI.

Prezydent Obama zdecydował się więc na bardziej ryzykowną opcję i posłał do Pakistanu oddział SEALs. Do tej pory wszystkie operacje bojowe w tym kraju amerykańskie wojsko przeprowadzało na terytoriach plemiennych, w bliskim sąsiedztwie granicy z Afganistanem. W razie nieprzewidzianych komplikacji pozwalało to na szybką ewakuację. Teraz takiej opcji nie było. Pojawiło się za to pytanie, które od lat męczyło amerykańskich przywódców: jakim prawem Stany Zjednoczone mogą wysłać żołnierzy na terytorium kraju, z którym nie prowadzą wojny?

Kilka dni po atakach z 11 września zadał je Donald Rumsfeld, z zazdrością spoglądając na CIA, która prowadziła tajne operacje w każdym zakątku świata. Przez kolejne lata prawnicy i decydenci wytrwale obalali mur oddzielający żołnierzy od szpiegów, zaś zacięta rywalizacja pomiędzy Pentagonem a CIA doprowadziła do uzgodnienia nowego projektu, dzięki któremu jednostki do zadań specjalnych tymczasowo przeistaczały się w oddziały agentów CIA.

Kiedy więc prezydent Obama podejmował ostateczne decyzje w sprawie operacji zabicia ben Ladena, postępy poczynione w ostatniej dekadzie w sposobie prowadzenia przez Stany Zjednoczone tajnych wojen pozwoliły mu na więcej niż poprzednim amerykańskim głowom państwa. Stało na tym, że misją zajmie się wojsko za pośrednictwem drużyn Navy SEALs, jednak cała drużyna będzie działała z ramienia CIA i podlegała rozdziałowi 50 Kodeksu Stanów Zjednoczonych [„Wojna i obrona narodowa”]. Dowódcą operacji prezydent Obama mianował więc Leona Panette.

Od momentu, kiedy helikoptery Blackhawk oderwały się od ziemi w bazie

w afgańskim Dżalalabadzie, przez kolejne pełne napięcia minuty, gdy SEALs wspinali się na pogrążone w ciemnościach schody domu przy ulicy Pathan, aż do ostatnich chwil, kiedy śmigłowce wzniosły się ku niebu ze zwłokami ben Ladena, Panetta na bieżąco informował o przebiegu misji Obamę i jego współpracowników stłoczonych w pokoju dowodzenia Białego Domu. Ten liberalny demokrat z Kalifornii, człowiek, który na krótko przed przyjazdem do Langley dowiedział się, że będzie musiał wydawać wyroki śmierci na wrogów narodu amerykańskiego, kontrolował teraz całą śmiercionośną maszynę. Przez cały czas trwania operacji Panetta ścisnął paciorki ukrytego w kieszeni spodni różańca.

Ciężką atmosferę w pokoju dowodzenia rozładowała wieść, że śmigłowce przewożące drużynę SEALs opuściły pakistańską przestrzeń powietrzną nie niepokojone przez tamtejsze lotnictwo. Jednak w Abbottabadzie nadal płonął wrak specjalnej wersji Blackhawka, zaś na podłodze domu leżało kilka trupów – makabryczny ślad pozostawiony przez komandosów.

Ktoś musiał powiedzieć Pakistańczykom o tym, co się wydarzyło.

Zadanie spadło na admirała Mike'a Mullen, przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, który pełnił funkcję swoistego rozjemcy i negocjatora w czasie, kiedy Stany Zjednoczone i Pakistan borykały się z jednym kryzysem za drugim. Jako syn hollywoodzkiego specja od PR już od najmłodszych lat wiedział, ile znaczy pielęgnowanie relacji z odpowiednimi ludźmi. Mullen nawiązał bliski kontakt z Kajanim – byłym szefem ISI, który został dowódcą armii – w trakcie niekończących się kolacji w domu generała w Islamabadzie. Dwaj mężczyźni rozmawiali do późna w nocy o niepewnej sytuacji Pakistanu w regionie zdominowanym przez Indie, Chiny i Rosję. Kajani odpalał jednego papierosa od drugiego nawet podczas jedzenia. Mullen w samolocie do Islamabadu czytał *Freedom at Midnight*, wydaną w 1975 roku książkę o niepodległości i uniezależnieniu się Indii od Imperium Brytyjskiego oraz tworzeniu się niepodległego Pakistanu.

Jeden z członków ekipy Mullen'a zauważył, że dwaj wojskowi są podobni do siebie fizycznie – mniej więcej ten sam wzrost, kolor włosów, lekko pomięty mundur khaki i ospały, ciężki chód. Odróżnia ich od siebie jedynie smużka papierosowego dymu unosząca się nad głową pakistańskiego generała.

Mullen zadzwonił do Kajaniego z telefonu zainstalowanego w pokoju dowodzenia i opowiedział mu o tym, co przed chwilą zaszło. Kajani znał już niektóre fakty. Kilka godzin wcześniej odebrał telefon od jednego ze swoich ludzi, który powiedział mu o niesprawdzonych jeszcze wieściach o katastrofie helikoptera w Abbottabadzie. Z początku generał myślał, że kraj został zaatakowany przez Indie, i natychmiast nakazał dowódcom sił powietrznych przygotować eskadrę myśliwców F-16, która miała odeprzeć inwazję. Szybko jednak opuściły go te obawy. Jeszcze zanim zadzwonił do niego Mullen, pakistański generał domyślił się, że Amerykanie przeprowadzili w jego kraju tajną operację wojskową.

Podczas pełnej napięcia rozmowy Mullen potwierdził, że wojska amerykańskie faktycznie wylądowały w Abbottabadzie, ben Laden został zabity, a na terenie kompleksu tli się wrak śmigłowca. Potem poruszono temat, nad którym ludzie Obamy

debatowali, odkąd potwierdzono, że pośród zabitych znajduje się Osama ben Laden: czy prezydent powinien wydać publiczne oświadczenie jeszcze tej nocy, czy poczekać do rana? Jako że w Islamabadzie świtało, Kajani powiedział Mullenowi, że Obama powinien zrobić to jak najszybciej – chociażby po to, aby wyjaśnić, skąd w środku Pakistanu wziął się amerykański wojskowy śmigłowiec. Rozmowę zakończono po paru minutach i obaj mężczyźni odłożyli słuchawkę.

Kajani, którego stanowisko dowódcy pakistańskiego wojska uczyniło bodaj najsilniejszym człowiekiem w państwie, musiał zmierzyć się z kryzysem, z jakim jeszcze nie miał do czynienia podczas długiej kariery. W ciągu kilku następnych dni pakistańscy generałowie nie pozostawili na nim suchej nitki, krytykując go za pozwolenie Stanom Zjednoczonym na naruszenie suwerenności kraju. Generał nieprzypadkowo jednak rozmawiał tamtej nocy z Mullenem pojednawczym tonem – w końcu ben Laden został zabity w odległości zaledwie kilometra od prestiżowej pakistańskiej akademii wojskowej. Zbyt głośne pretensje mogły wzbudzić podejrzenia, że Pakistan udzielił terrorystyce schronienia, a to z kolei skończyłoby się zerwaniem stosunków pomiędzy krajami.

Kajani był człowiekiem dumnym, który u szczytu swojej kariery wojskowej stanął przed trudnym wyborem – mógł albo wyjść na kogoś, kto udzielił pomocy Osamie ben Ladenowi, albo wziąć na siebie winę za niekompetencję służb, które nie potrafiły złapać najbardziej poszukiwanego człowieka na świecie, choć ukrywał się pod ich nosem. Zdecydował się na to drugie.

Ostatnie iskry efektywnej współpracy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Pakistanem zostały wygaszone wraz ze śmiercią ben Ladena. Ale już incydent z Raymondem Davisem zatruł stosunki Leona Panetty z generałem Paszą, szefem ISI. W konsekwencji coraz mniej ludzi skupionych wokół Obamy nalegało na poprawę relacji z Islamabadem. Ambasador Cameron Munter słał do Białego Domu cięte informacje o tym, jak CIA szaleje ze swoimi dronami. Z większością jego uwag zgadzał się admirał Mullen – uważał, że Agencja prowadzi wojnę w próżni, nieświadoma konsekwencji, które niesła ze sobą jej kampania.

CIA otrzymała od Białego Domu pozwolenie na kontynuowanie ataków z użyciem dronów, choć agenci nie byli do końca pewni, kogo właściwie zabijają ich pociski. Działając zgodnie z zasadą eliminacji potencjalnych ognisk zapalnych, decyzje o wystrzeleniu rakiet mogły zostać podjęte na podstawie zwyczajnych podejrzeń; śmiertelne ataki prowadziło się coraz łatwiej. Któregoś razu zaobserwowano grupę młodych „ludzi w wieku poborowym”, którzy regularnie odwiedzali podejrzany obóz, być może, by przemycać do niego broń. Na tej podstawie zostali uznani za cel podlegający eliminacji. Amerykanie przyznawali, że trudno ocenić czyjś wiek z odległości tysięcy kilometrów, zaś w Pakistanie „wiek poborowy” mógł oznaczać nawet piętnaście lub szesnaście lat.

Podobnie szerokie definicje służące określeniu, kto jest bojownikiem, pozwoliły ludziom Obamy takim jak John Brennan mówić publicznie, że w atakach dronów w Pakistanie nie został zabity żaden cywil. Była to pokretna logika – na obszarach plemiennych praktycznie każdy młody mężczyzna zdolny do walki był uznany

za wrogięgo żołnierza. Tak więc wszystkich zabitych w nalotach klasyfikowano jako bojowników, chyba że pojawiły się niezbitę dowody, iż któryś faktycznie był niewinnym cywilem.

Podobne podejście było jednak niebezpieczne – 17 marca 2011 roku, zaledwie dwa dni po wypuszczeniu Raymonda Davisa z więzienia, zapłaceniu „krwawych pieniędzy” i wywiezieniu go z kraju, drony CIA przypuściły atak na wioskę Datta Chel w Waziristanie Północnym, gdzie odbywało się spotkanie rady plemiennej. W wyniku nalotu zginęło kilkadziesiąt osób. Ambasador Munter i paru oficjeli z Pentagonu uważali termin ataku za wielce niefortunny. Pojawiły się nawet podejrzenia, że w ten sposób CIA wyładowała swoją wściekłość, niezadowolona z tego, jak potoczyła się sprawa Davisa. Munter uważał, że generał Pasza, szef ISI, sporo ryzykował, wspierając starania o jak najszybsze zakończenie afery z Raymondem Davisem i atak na Datta Chel był jak wymierzony mu siarczasty policzek. Ponadto, tak jak i wielu innych wojskowych i dyplomatów, Munter sądził, że nalot został spartaczony i wielu ludzi zginęło niepotrzebnie.

Niektórzy amerykańscy oficjele stanęli jednak po stronie CIA, przekonując, że narada plemienna tak naprawdę była przykrywką dla spotkania bojowników, więc atak można uznać za usprawiedliwiony. Nalot wywołał jednak w Pakistanie prawdziwą furję. Generał Kajani wystosował publiczne oświadczenie, w którym powiedział, że operacja została przeprowadzona „bez poszanowania ludzkiego życia”. Na ulice Lahore, Karaczi i Peszawaru wyszli protestujący, co wymusiło tymczasowe zamknięcie amerykańskich konsulatów w tych miastach.

Munter nie był przeciwny programowi CIA. Uważał jednak, że Agencja zaczyna działać lekkomyślnie, co miało wpływ także i na jego pracę. Jego relacje z szefem placówki CIA w Islamabadzie – i tak już mocno napięte z powodu różnicy zdań odnośnie załatwienia sprawy Raymonda Davisa – pogorszyły się jeszcze bardziej, kiedy Munter zażądał od Agencji, aby powiadamiała go o każdym planowanym ataku raketowym i dała mu czas na ewentualne odwołanie takiej operacji.

Podczas jednej z pyskówek Munter próbował pokazać szefowi placówki, kto pociąga za sznurki. Został jednak upomniany i przekonał się, kto naprawdę dzierży władzę w Pakistanie.

– Nie jesteś ambasadorem! – krzyczał Munter.

– Masz rację. I nie chcę nim być – odparł szef placówki.

Bitwa dosięgła i Waszyngtonu. Miesiąc po śmierci ben Ladena, w czerwcu 2011 roku, doradcy prezydenta Obamy otwarcie klócili się na spotkaniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego, kto faktycznie rządzi w Pakistanie. Munter uczestniczył w dyskusji za pośrednictwem tajnego łącza internetowego i zaczął udowadniać, że przysługuje mu prawo weta wobec ataków z użyciem dronów.

Leon Panetta przerwał mu, mówiąc, że CIA ma prawo robić w Pakistanie, co jej się żywnie podoba, i nie potrzebuje ambasadora, żeby mówił Agencji, co wolno, a czego nie.

– Nie pracuję dla ciebie – powiedział Munterowi.

Sekretarz stanu Hillary Clinton stanęła po stronie Muntera. Powiedziała Panetcie,

że nie ma prawa twierdzić, iż ambasador nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie.

– O nie, Hillary – odpowiedział Panetta – grubo się mylisz.

Zapadło niezręczne milczenie. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Tom Donilon próbował odzyskać kontrolę nad spotkaniem, zmieniając temat rozmowy. Po paru tygodniach od tej kłótni Donilon opracował kompromis – Munter będzie mógł wyrazić sprzeciw względem niektórych akcji, lecz CIA nadal mogła odwołać się do Białego Domu i w ten sposób uzyskać pozwolenie na przeprowadzenie nalotu bez względu na obiekcje ambasadora. CIA Obamy wygrała kolejną bitwę.

Izolacja Muntera pogłębiała się w kolejnych miesiącach. Nawet admirał Mullen, niegdyś jeden z zagorzałych zwolenników utrzymania chociażby poprawnych stosunków z Islamabadem, zaczął inaczej patrzeć na Pakistan po zastrzeleniu ben Ladena. Mullen miał podejrzenia, że ktoś z wysoko postawionych pakistańskich wojskowych lub starszych stopniem oficerów ISI mógł ukrywać ben Ladena. Wszedł też w posiadanie niezwyklej informacji – amerykańscy szpiedzy podsłuchali kilka rozmów telefonicznych, które wydawały się potwierdzać, że za zabójstwem Sajeda Saleema Szahzada, pakistańskiego dziennikarza prowadzącego własne śledztwo w sprawie powiązań ISI z bojownikami, stoją właśnie tamtejsze tajne służby. Szahzad został pobity na śmierć i wrzucony do kanału irygacyjnego sto dwadzieścia kilometrów od Islamabadu. Amerykańscy szpiedzy ustalili, że zginął na zlecenie samego generała Ahmeda Szudżai Paszy.

Niedługo potem wypłynął kolejny cynk – ostrzegano, że dwie podejrzane ciężarówki z nawozem będą przejeżdżać szlakami, którymi NATO wysyła zaopatrzenie z Pakistanu do Afganistanu. Informacja była mało precyzyjna i sugerowała jedynie, że oba pojazdy mogą zostać użyte jako mobilne bomby i wykorzystane w ataku na amerykańską bazę w Afganistanie. Wojskowi oficjele zatelefonowali do generała Kajaniego, a on obiecał, że ciężarówki zostaną zatrzymane, zanim dotrą do granicy z Afganistanem.

Pakistańczycy nie kiwnęli jednak palcem.auta stały w Waziristanie Północnym jeszcze przez dwa miesiące i przez ten czas agenci Hakkaniego przerobili je na bomby tak potężne, że ich wybuch mógł pochłonąć setki ludzkich istnień. Amerykański wywiad nie potrafił określić dokładnego położenia ciężarówek, lecz admirał Mullen był pewien, że – biorąc pod uwagę bogatą historię kontaktów ISI i Hakkaniego – pakistańscy szpiedzy byliby w stanie zapobiec każdemu zamachowi.

9 września 2011 roku samochody ruszyły w stronę Afganistanu i najwyższy stopniem oficer amerykański w regionie, generał John Allen, naciskał na generała Kajaniego, żeby zatrzymał obie ciężarówki w drodze do Islamabadu. Kajani odparł, że „wykona odpowiedni telefon”, zapobiegnie nadciągającemu nieszczęściu. Gest ten wywołał zdumienie, bowiem dawał do zrozumienia, że pakistański aparat szpiegowski i grupę Hakkaniego łączą niezwykle zażyłe stosunki.

Jednak w dziesiątą rocznicę ataku na World Trade Center i Pentagon pod mur amerykańskiej bazy wojskowej w prowincji Wardak we wschodnim Afganistanie podjechała ciężarówka, a jej kierowca zdetonował znajdujące się w środku materiały wybuchowe. Eksplozja zniszczyła część ogrodzenia i zraniła ponad siedemdziesięciu marines znajdujących się w bazie, zaś odłamki zabiły stojącą niemal kilometr dalej

ośmioletnią afgańską dziewczynkę.

Atak rozwścieczył Mullen'a i upewnił go, że generał Kajani nie ma najmniejszego zamiaru zrywać więzi z grupą Hakkaniego i, co za tym idzie, z innymi ugrupowaniami. Pozostali najwyżsi rangą amerykańscy oficjele od lat byli o tym święcie przekonani, lecz Mullen nadal wierzył, że Kajani różni się od innych pakistańskich generałów i uważa związki ISI z talibami, siatką Hakkaniego i Laszkar-e Taiba za samobójstwo. Zamach w Wardak był dla Mullen'a dowodem, że Pakistan prowadzi zwichrowaną i śmiercionośną grę.

Kilka dni po wybuchu – i niedługo po kolejnym śmiałym ataku siatki Hakkaniego, tym razem na amerykańską ambasadę w Kabulu – admirał Mullen złożył w Kapitolu ostateczne oświadczenie jako szef Połączonego Kolegium Szefów Sztabu. Przyszedł z zamiarem dostarczenia bezceremonialnej wiadomości, której oficjele z Departamentu Stanu nie zdołali złagodzić w ciągu kilku godzin przed jego pojawieniem się przed senacką komisją sił zbrojnych.

Powiedział, że pakistańskie służby dążą do nasilenia działań powstańczych w Afganistanie i że mają na rękach krew amerykańskich żołnierzy oraz afgańskich cywilów. – Siatka Hakkaniego przeistoczyła się w komórkę podlegającą ISI – powiedział przed komisją.

Nawet po burzliwej, pełnej niesnasek pomiędzy Ameryką i Pakistanem dekadzie żaden z wysokich rangą oficjeli nie rzucił podobnych oskarżeń publicznie. Oświadczenie miało tym mocniejszy wydźwięk, że wystosował je admirał Michael Mullen, którego Pakistańczycy uważali za jednego z nielicznych sojuszników w Waszyngtonie, którzy im pozostali. Żaden z tamtejszych wojskowych nie był bardziej oburzony jego wystąpieniem niż stary przyjaciel, generał Perwez Aszfak Kajani.

Zerwali ze sobą wszelkie kontakty i już nigdy ze sobą nie rozmawiali. Każdy myślał, że zdradził go ten drugi.

Parę dni po śmierci Osamy ben Ladena doktor Szakil Afridi otrzymał pilny telefon od Sue. Jeszcze nie opadł w Pakistanie kurz po amerykańskiej operacji – zaś szczegóły przeprowadzonego przez Navy SEALs nalotu na dom w Abbottabadzie wciąż nie były znane – i z lekarzem nie kontaktował się wcześniej nikt z ramienia CIA. On jednak powiązał fakty i domyślił się, czemu Agencja była tak zainteresowana Bilal Town i stojącym przy ulicy Pathan domem. To dlatego kazano mu skupić się właśnie na tej części miasta. Sue kazała Afridemu przyjechać do Islamabadu w trybie natychmiastowym i zobaczyć się z nią w jednym z ich zwyczajowych miejsc spotkań.

Powiedziała doktorowi, że dla własnego bezpieczeństwa powinien wyjechać z Pakistanu. ISI zagięło parol na wszystkich podejrzanych o pomoc Amerykanom w ujęciu ben Ladena i było tylko kwestią czasu, nim jego współpraca z CIA wyjdzie na jaw. Opiekunka poinstruowała Afridiego, by wsiadł do autobusu jadącego na zachód i tam przekroczył granicę z Afganistanem. Podała mu numeru telefonu i powiedziała, że ma na niego zadzwonić, kiedy dotrze na dworzec w Kabulu; wówczas miał otrzymać dalsze instrukcje.

Nigdy tam nie dojechał. Afridi założył, że skoro CIA nigdy nie poinformowała go,

że jest zaangażowany w obławę na ben Ladena, będzie bezpieczny we własnym kraju i nie wpadnie w sieć rozciągniętą przez pakistańskie służby wywiadowcze po akcji w Abbottabadzie. Przeliczył się. Został aresztowany i osadzony w więzieniu.

Po latach przepychanek pomiędzy CIA i szefami Inter-Services Intelligence, po wielu świństwach wyrządzonych jednej stronie przez drugą, po incydencie, w którym współpracownik amerykańskiej Agencji zabił w Lahore dwóch ludzi i uchylił rąbka tajemnicy prowadzonej po cichu przez Stany Zjednoczone wojny w Pakistanie, sprawa Szakila Afridiego pokazała, jak bardzo popsuly się stosunki pomiędzy obu państwami. ISI dokonała aresztowania głównego informatora CIA, człowieka, który odegrał niebagatelną rolę w namierzeniu najbardziej poszukiwanego terrorysty świata, i posadziła go w więziennej celi w Peszawarze.

Żaden kraj nie patrzył życzliwie na swoich obywateli, którzy zostali przyłapani na współpracy z obcym wywiadem. Tym bardziej może dziwić, że Afridemu nie postawiono zarzutów o zdradę stanu czy szpiegostwo ani nie był sądzony zgodnie z pakistańskim prawem. Sąd w Peszawarze oskarżył go za pogwałcenie niejasnych przepisów prawa pogranicza, datujących się jeszcze na erę panowania brytyjskiego. Z powodu jego związku z grupą Laszkar-e Islam, której przywódca, kierowca autobusu i samozwańczy kacyk porwał go w 2008 roku, stwierdzono, że lekarz brał udział w „spisku mającym na celu wywołanie wojny przeciwko krajowi”. Ponieważ Afridi udzielał pomocy medycznej żołnierzom Bagha oraz z powodu jego, jak to określił sąd, „miłości do Mangala Bagha”, lekarz został skazany na trzydzieści trzy lata więzienia. Gdy zapadł wyrok, Laszkar-e Islam wystosowało oświadczenie, w którym wypierało się jakichkolwiek związków z „tak bezczelnym człowiekiem”. Napisano w nim również, że lekarz nie był przyjacielem ugrupowania, ponieważ żądał zbyt dużych honorariów za swoje usługi.

„*Wszystko jest na opak*”

W. George Jameson

Pod koniec lata 2011 roku, kilka dni przed przejściem stanowiska dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, generał David Petraeus złożył wizytę Michaelowi Haydenowi. Był on trzecim i ostatnim szefem CIA za kadencji George’a W. Busha. Obaj mężczyźni wspinali się po szczeblach wojskowej kariery w tym samym czasie, lecz podążyli innymi ścieżkami i nigdy nie byli sobie szczególnie bliscy.

Zanim Hayden objął najwyższe stanowisko w Langley, pracował jako spec od wywiadu w szeregach armii. Dowodził ściśle tajnymi działaniami Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Petraeus robił karierę w jednostkach bojowych i brał udział w wojnach w Iraku i Afganistanie; kierował też Centralnym Dowództwem Stanów Zjednoczonych. Okazał się jednym z najbardziej szanowanych generałów w historii Ameryki.

Mężczyźni jedli śniadanie w domu Haydena. Gospodarz dał Petraeusowi parę rad na temat panujących w Langley reguł i podziałów – na przykład oficerów prowadzących i analityków określił mianem oddanych, ale kaśliwych; zawsze robią to, co się im każe, choć mają w poważaniu łańcuch dowodzenia. Dyskusja jeszcze w trakcie śniadania zeszła na poważniejsze tematy i Hayden udzielił Petraeusowi ostrzeżenia. Powiedział, że CIA się zmieniła, być może na zawsze. Pojawiło się prawdziwe niebezpieczeństwo, że Agencja może przeistoczyć się w mniejszą, działającą zakulisowo wersję Pentagonu.

– Nigdy wcześniej CIA nie przypominała bardziej OSS – powiedział Hayden, odnosząc się do agentów dywersantów działających pod auspicjami Williama Donovana. – Dziesięć lat prowadzenia tajnej wojny – ciągnął – organizowania obław i zamachów na terrorystów wysało z CIA całą energię. Niedługo więc może nie być w stanie wykonywać swojego podstawowego zadania – szpiegostwa.

– CIA nie powinna być jak OSS – mówił dalej Hayden. – To narodowa służba wywiadowcza. Ale będziesz musiał wziąć się ostro do pracy, żeby mieć czas na cokolwiek innego poza działaniami antyterrorystycznymi.

Jednak to sam Hayden przyłożył rękę do przyspieszenia krytykowanej przez niego transformacji. Agencja, która 11 września 2001 roku dostała się pod ostrzał krytyki z powodu zachowawczości i unikania ryzyka, pod okiem czterech kolejnych dyrektorów wdała się w krwawą wojnę. Ta wojna trwała również w upalne lato po śmierci Osamy ben Ladena, gdy CIA udało się wyeliminować w Pakistanie paru agentów Al-Kaidy, w tym Atiyaha Abd al-Rahmana, łącznika ben Ladena, gdy ukrywał się on

w Abbottabadzie. Ktoś z Waszyngtonu porównał nawet prezydenta Obamę do Michaela Corleone z ostatnich minut *Ojca chrzestnego*, który ze stoickim spokojem, według wykalkulowanego na chłodno planu, zleca podwładnym wykonanie egzekucji na wrogach rodziny.

Trzydzieści pięć lat wcześniej – gdy na światło dzienne wyszły toksyczne szczegóły planów CIA uśmiercania przywódców obcych państw – prezydent Gerald Ford zakazał planowania i przeprowadzania zamachów, co, jak miał nadzieję, odwiedzie jego następców od uciekania się do „czarnych operacji”. Jednak przez całą dekadę po 11 września legion amerykańskich rządowych prawników nieustannie próbował udowodnić, że przeprowadzanie przez CIA i JSOC operacji mających na celu eliminację wroga poza strefami wojennymi nie łamie zakazu wydanego przez prezydenta Forda. Tak jak adwokaci prezydenta Busha przeddefiniowali pojęcie tortur, by umożliwić CIA i wojsku brutalne przesłuchania, tak prawnicy Obamy zawężili definicję zamachu. W ten sposób amerykańskie tajne służby mogły planować śmiertelne działania na ogromną skalę.

Jednym z owych prawników był Harold Koh, który przybył do stolicy ze Szkoły Prawniczej Yale, gdzie pełnił funkcję dziekana. Od początku dawał się poznać jako zajadły krytyk prowadzonej przez administrację Busha wojny z terrorem i potępiał sposoby przesłuchań, z których korzystała CIA. Waterboarding uważał po prostu za nielegalny. Kiedy jednak dołączył do rządu jako główny prawnik Departamentu Stanu, całymi godzinami przebijał się przez tomy ściśle tajnych dokumentów, by móc podjąć decyzję, czy ktoś powinien zginąć, czy nie. Zaś w swoich wystąpieniach bronił decyzji gabinetu Obamy odnośnie tajnych operacji. Utrzymywał przy tym, że w czasie trwania wojny w Afganistanie rząd amerykański nie miał obowiązku stosowania żadnych procedur prawnych, by móc wciągać podejrzanych na listę przeznaczonych do odstrzału.

Mimo to chwilami miał odwagę mówić publicznie o psychicznym ciężarze, jaki niesie ze sobą lektura życiorysów młodych mężczyzn, o których losie debatowały Stany Zjednoczone. – Jako dziekan w Yale spędziłem wiele, wiele godzin, studiując podania dwudziestolatków i nieco starszych studentów, głowiąc się nad tym, którego z nich przyjąć – powiedział podczas jednego z wystąpień. – Dzisiaj spędzam mniej więcej tyle samo czasu na lekturze teczek terrorystów, którzy są mniej więcej w tym samym wieku. Czytam, jak zostali zwerbowani. Czytam o ich pierwszych misjach. Czytam o ich kolejnych misjach. Często poznaję ich równie dobrze co swoich studentów.

Kiedy wzrosła częstotliwość ataków z użyciem dronów, prezydent Obama nakazał wprowadzenie zmian personalnych w ekipie odpowiedzialnej za kwestie bezpieczeństwa narodowego. Był to finał trwającego dziesięć lat procesu zacierania granicy pomiędzy żołnierzami i szpiegami. Leon Panetta, który jako dyrektor CIA zrobił wiele, by upodobnić Agencję do organizacji wojskowej, przejmował we władanie Pentagon. Generał Petraeus, który w 2009 roku podpisał tajne rozkazy dające armii większe kompetencje w zakresie prowadzenia operacji szpiegowskich na Środkowym Wschodzie, stanął na czele CIA.

Zanim Petraeus złożył rezygnację ze stanowiska z powodu romansu ze swoją

biografią, podczas czternastu miesięcy spędzonych w Langley przyspieszył proces, przed którym ostrzegwał go Hayden. Naciskał na Biały Dom, by wydobyć fundusze na rozbudowanie floty dronów, i chwalił się członkom Kongresu, że pod jego okiem CIA prowadziła większą liczbę tajnych operacji niż kiedykolwiek w swojej historii. Po zaledwie kilku tygodniach pobytu w Langley generał Petraeus podjął decyzję, na którą nie odważył się do tej pory żaden dotychczasowy szef Agencji – o zamachu na obywatela USA.

Jeszcze zanim Petraeus przejął szefostwo CIA, pewien brodaty kaznodzieja w okularach, głoszący pełne złości kazania, trafił na szczyt amerykańskiej listy śmierci, którą układano w mieszczącym się w podziemiu gabinecie Johna Brennana, doradcy Białego Domu do spraw walki z terroryzmem. Skoro ben Laden został zabity, a kampania z użyciem dronów przetrzebiała szeregi Al-Kaidy w Pakistanie, waszyngtońscy oficjele poświęcali coraz więcej uwagi zagrożeniom płynącym z Jemenu oraz Al-Kaidzie Półwyspu Arabskiego. Kluczowe było w tym wypadku zainicjowanie obławy na Anwara al-Awlakiego.

Al-Awlaki przeszedł dziwną drogę, zanim zaczął walczyć ze Stanami Zjednoczonymi. Urodzony w Nowym Meksyku w 1971 roku, spędził wczesne lata życia w USA. Jego ojciec Nasser al-Awlaki, prominentny obywatel Jemenu, który potem zostanie ministrem rolnictwa w rządzie prezydenta Salaha, studiował w tamtym czasie ekonomię na Uniwersytecie Stanowym w Nowym Meksyku. Nasser przeniósł się z rodziną do Jemenu siedem lat później. Anwar wrócił do Stanów Zjednoczonych dopiero w 1990 roku, kiedy rozpoczął naukę w college'u.

Na Uniwersytecie Stanowym w Kolorado stanął na czele Stowarzyszenia Muzułmańskich Studentów, lecz nie czuł się zbyt dobrze w towarzystwie konserwatywnych kolegów, którzy brali sobie do serca zakazy dotyczące seksu i alkoholu. Po zdobyciu dyplomu osiadł w Kolorado i ku rozgoryczeniu ojca zaczął głosić kazania w meczecie w Fort Collins. Nasser wymarzył dla syna bardziej dochodową posadę. Ale Anwar nie zmienił zdania. Zmienił za to miejsce pobytu – po kilku latach przeniósł się do San Diego, gdzie został imamem w meczecie na obrzeżach miasta.

Z czasem jego poglądy stawały się coraz bardziej konserwatywne. Głosił między innymi kazania o trwaniu w czystości, choć sam prowadził życie dalekie od własnych nauk; policja wielokrotnie zatrzymywała go za nagabywanie prostytutek.

Bardziej znaczący wydaje się fakt, że w 1999 roku FBI wpadło na trop powiązań al-Awlakiego z bojownikami działającymi na terenie San Diego i okolic. Podejrzenia agentów federalnych wzbudziła między innymi działalność imama na rzecz niewielkiej islamskiej organizacji charytatywnej. Al-Awlaki nawiązał w tym czasie również kontakt z dwoma przyszłymi zamachowcami z 11 września Chalidem al-Mihdharem i Nawafem al-Hazmim – przychodzili do jego meczetu na modły. Jednak FBI nie dopatrzyło się w jego działalności znamion przestępstwa. Al-Awlaki mieszkał teraz w północnej Wirginii, gdzie był kaznodzieją w sporym meczecie na przedmieściach Waszyngtonu. W swoje kazania wplatał bogate nawiązania do amerykańskiej popkultury, dzięki czemu po 11 września zainteresowały się nim media. Otrzymywał telefony od reporterów proszących o pomoc w wyjaśnieniu podstaw islamu amerykańskim czytelnikom. Uznano

go nawet za umiarkowany głos rozsądku – wziął udział w internetowym czacie o ramadanie na zaproszenie „Washington Post” i był obecny na śniadaniu modlitewnym w Pentagonie.

– Przybyliśmy budować, a nie niszczyć – mówił w jednym z kazań, nazywając siebie i innych imamów „mostem łączącym Amerykanów i blisko miliard muzułmanów na świecie”. Przekaz ten wkrótce przesiał goryczą. Po serii policyjnych nalotów w 2002 roku na muzułmańskie organizacje charytatywne i inne instytucje zarządzane przez muzułmanów al-Awlaki publicznie ogłosił, że wojna Busha z terroryzmem jest w rzeczywistości wojną z islamem. Niedługo potem przeniósł się do Londynu, gdzie jego płomienne kazania inspirowały młodych muzułmanów, którzy przychodzili go posłuchać bądź kupowali jego mowy na sprzedawanych przez al-Awlakiego płytach CD.

I choć jego nazwisko stało się rozpoznawalne, nie mógł związać końca z końcem. Dlatego w 2004 roku wrócił do Jemenu, gdzie, korzystając z internetowych chatów, a potem serwisu YouTube, głosił kazania już globalnie. Sam fakt, że nagrywał je w języku angielskim, ograniczał jego zasięg w świecie muzułmańskim, lecz jadowna antyamerykańska retoryka, którą się posługiwał, pchnęła część jego popleczników do czynu.

Jednym z nich był Umar Faruk Abdulmutallab, młody nigeryjski student, który w Boże Narodzenie 2009 roku próbował odpalić bombę ukrytą w bieliźnie na pokładzie samolotu lecącego do Detroit. Parę miesięcy wcześniej Abdulmutallab napisał esej na temat tego, co kierowało nim, kiedy podejmował decyzję o rozpoczęciu własnego dżihadu, i wysłał go do al-Awlakiego. Amerykańscy śledczy zaczęli dopasowywać kolejne elementy układanki związane z nieudanym zamachem i lepiej zrozumieli rolę, którą al-Awlaki odgrywał w Al-Kaidzie Półwyspu Arabskiego.

Trzydziestoosmioletni urodzony w Ameryce mężczyzna, który jeszcze niedawno mówił o budowaniu mostów pomiędzy USA i światem muzułmańskim, nie był jedynie inspirującym tłumy prorokiem epoki cyfrowej ani internetowym podżegaczem. Jego słowa przechodziły w czyny: pomagał terrorystom zaplanować zamach wymierzony w Stany Zjednoczone.

John Brennan, który utrzymywał bliskie kontakty z saudyjskim wywiadem i prowadził tajną wojnę w Jemenie głównie ze swego gabinetu w Białym Domu, uważał, że to właśnie al-Awlaki był odpowiedzialny za zmianę strategii Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego. O ile grupa od dawna myślała globalnie, jej działania miały zasięg raczej lokalny – skupiała się na celach w Arabii Saudyjskiej. Kiedy jednak ben Laden i jego sojusznicy w Pakistanie znaleźli się pod ostrzałem, Al-Kaida Półwyspu Arabskiego dostrzegła szansę na przejęcie sztandaru głównego ciemżyciela Ameryki. Brennan wierzył, że w tym kierunku popchnął grupę właśnie al-Awlaki.

Interpretacja Brennana znacznie upraszczała to, co działo się w Jemenie. Nie przeszkadzało mu to jednak przekonywać Rady Bezpieczeństwa Narodowego, że prezydent Obama powinien podjąć bezprecedensową decyzję – przeprowadzenia zamachu na amerykańskiego obywatela, bez uprzedniego aresztowania i procesu sądowego.

Harold Koh i pozostali rządowi prawnicy zaczęli wgrzyzać się w materiały dotyczące

roli al-Awlakiego w jemeńskim ugrupowaniu. Wreszcie po kilku miesiącach od nieudanej akcji wysadzenia samolotu rejsowego przez Abdulmutallaba Biuro Doradztwa Prawnego Departamentu Sprawiedliwości wystosowało memorandum. Zezwalało w nim administracji Obamy na zabicie amerykańskiego renegata. Skoro al-Awlaki piastował wysokie stanowisko w Al-Kaidzie Półwyspu Arabskiego i głosił idee wojny ze Stanami Zjednoczonymi – mówił dokument – nie przysługuje mu konstytucyjne prawo do uczciwego procesu.

Ale na razie Stany Zjednoczone nie miały pojęcia, gdzie ukrywa się al-Awlaki czy inni przywódcy Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego. JSOC dopiero niedawno podjęło wzmożone działania wywiadowcze w Jemenie, zaś gabinet Obamy był niemal całkowicie zależny od szpiegów umieszczonych w kraju przez prezydenta Alego Abdallaha Salaha oraz tajne służby Arabii Saudyjskiej. Po nieudanym amerykańskim ataku z maja 2010 roku, w którym przez przypadek zginął zastępca jemeńskiego gubernatora, Salah wprowadził dodatkowe obostrzenia dotyczące amerykańskich działań na terenie kraju. W praktyce wstrzymało to tajną wojnę.

Jemeński mocarz tracił jednak powoli władzę. Prezydent Salah przez dziesiątki lat nie pozwalał strącić się z piedestału dzięki sprawnemu manipulowaniu różnymi działającymi w kraju frakcjami, często nastawiając je przeciwko sobie, co gabinet Busha nazywał „tańcem z węzami”. Ale w pierwszej połowie 2011 roku arabska wiosna dotarła do Jemenu i rząd, który jeszcze niedawno ledwie potrafił kontrolować terytoria wokół stolicy, teraz nie mógł już nawet opanować sytuacji w mieście. Podczas czerwcowego ataku na pałac prezydencki kilka rakiet trafiło w pomieszczenie, gdzie ukrywał się Salah; wybuch powalił go na podłogę. Doznał krwotoku do jamy czaszki, 40 procent powierzchni jego ciała uległo poparzeniom. Ochroniarze Salaha przetransportowali ранego prezydenta na lotnisko, skąd odleciał do Arabii Saudyjskiej, gdzie przeszedł kilkugodzinną operację. Udało mu się ująć z życiem, ale oznaczało to koniec jego władzy. Ali Abdallah Salah zniknął i nie mógł dłużej dyktować Stanom Zjednoczonym, co im wolno, a czego nie.

JSOC i CIA wykorzystały wymuszoną roczną przerwę w działaniach wojennych w Jemenie, która nastąpiła po śmierci zastępcy gubernatora Dzabera al-Szabwaniego, i przez ten czas rozbudowały swoje siatki szpiegowskie. Kontynuowały też program podsłuchów elektronicznych. Do monitorowania telefonów komórkowych i penetrowania sieci komputerowych w nadziei przejęcia cennych e-maili przydzielono dodatkowych analityków z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w stanie Maryland.

Po cichu CIA rozpoczęła też budowę bazy na pustyni na południu Arabii Saudyjskiej. Miała ona posłużyć jako lądowisko dla dronów oraz centrum operacyjne dla ekipy zajmującej się obławą na członków Al-Kaidy działających w Jemenie. Arabia Saudyjska wydała pozwolenie, na mocy którego CIA mogła założyć na terytorium kraju swoją placówkę, ale pod warunkiem że amerykańscy szpiegowie nigdy nie ujawnią informacji, iż królestwo zgodziło się odgrywać rolę sponsora. Było to – biorąc pod uwagę trudności w utrzymaniu w tajemnicy szczegółów amerykańskich operacji z wykorzystaniem

dronów – wymaganie dość nierealistyczne. Jak powiedział jeden z amerykańskich oficjeli zaangażowanych w rozmowy o budowie bazy: – Saudyjczycy nie chcieli, żeby ich łączono z naszymi operacjami.

Póki nowa baza nie była w pełni gotowa, za wojnę w Jemenie nadal odpowiedzialne było JSOC. Pentagon w maju 2011 roku wysłał tam uzbrojone drony, które wyleciały z Etiopii i z Camp Lemonnier w Dżibuti. Niegdyś mieściła się tam niewielka baza francuskiej Legii Cudzoziemskiej, zaś w 2002 roku przejęła ją grupa amerykańskich marines i oddziały do zadań specjalnych. Buczenie dronów stało się często słyszonym dźwiękiem nawet w najdalszych zakątkach jemeńskiej pustyni. Rozpoczęła się gra w kotka i myszkę pomiędzy dżihadystami a śmiercionośnymi maszynami.

Jeden z jemeńskich dziennikarzy po dwóch tygodniach spędzonych z przywódcami Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego opisał procedury bezpieczeństwa obowiązujące w razie ataku z powietrza. Gdy zbliżał się jemeński odrzutowiec, wszyscy zostawali na swoich miejscach, gdyż, jak mówił reporterowi jeden z bojowników: – Jemeńskie samoloty nigdy nie trafiają w cel. Jeśli jednak słyszano bzyczenie amerykańskiego drona, postępowano odwrotnie – wyłączano komórki, wskakiwano do ciężarówek i uciekano, bo „trudno jest bombardować ruchome cele”. Bojownicy odkryli bowiem słabą stronę dronów – maszynami sterowano przecieź za pośrednictwem satelity. Ponieważ pilota i samolot dzieliły tysiące kilometrów, więc to, co operator widział na monitorze w Stanach Zjednoczonych, pojawiała się z kilkusekundowym poślizgiem. Oficerowie z CIA i Pentagonu, odpowiedzialni za likwidację celu, przez całe lata nie potrafili uporać się z tą trudnością. Kłopot wyjaśniał poniekąd przypadkowe ofiary cywilne i chybione strzały.

Al-Awlaki uszedł z życiem właśnie dzięki ucieczce ciężarówką z miejsca majowego nalotu. Było to zaledwie kilka dni przed akcją komandosów, w wyniku której zastrzelono ben Ladena. Jeden ze szpiegów pracujących dla Amerykanów dostarczył im informację, że al-Awlaki znajduje się w ciężarówce jadącej przez prowincję Szabwa. Ekipa JSOC posłała tam drony i myśliwce Harrier, lecz pierwsza rakietą nie trafiła w auto. Chmury pyłu przesłoniły widoczność, dzięki czemu al-Awlakiemu udało się przesiąść do innego samochodu i uciec w przeciwnym kierunku. Amerykańskie samoloty poleciały śladem pierwszej ciężarówki – rakiety zabiły dwóch znajdujących się w pojeździe członków Al-Kaidy, zaś mężczyzna będący obiektem ataku ukrył się w jaskiniach. Według Gregory’ego Johnseny, znawcy Jemenu, al-Awlaki miał powiedzieć później przyjaciółom: „[Wrogi nalot] upewnił mnie, że żadna istota ludzka nie umrze, póki nie dopełni się jej ziemski żywot i nie nadejdzie odpowiedni czas”.

W Białym Domu prezydent Obama i John Brennan niecierpliwili się, że JSOC nadal nie zlikwidowało al-Awlakiego i pozostałych wysokich rangą członków Al-Kaidy. Od półtora roku – czyli od czasu, kiedy Obama poszerzył wachlarz amerykańskich tajnych działań w Jemenie – żaden przywódca Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego nie został zabity, a kilka nalotów zepsuły wpadki niedoinformowanych tajnych służb. W sumie w atakach zginęło więcej cywilów niż ważniejszych bojowników. Ale uzbrojone drony latające nad Jemenem i tak stanowiły krok naprzód w stosunku do ракет dalekiego zasięgu, nawet jeśli rząd w Dżibuti nie zezwalał Stanom Zjednoczonym

na organizowanie śmiertelnych misji z Camp Lemonnier bez uprzedniego uzyskania jego zgody. Szefostwo JSOC drażniły podobne ograniczenia.

CIA cieszyła się większą swobodą. Budowę i doprowadzenie do pełnej funkcjonalności bazy na saudyjskiej pustyni ukończono we wrześniu 2011 roku. David Petraeus, już jako dyrektor Agencji, nakazał przetransportowanie floty predatorów i reaperów z Pakistanu do Arabii Saudyjskiej. Służby przemieściły też swoje satelity i dokonały odpowiedniej konfiguracji sieci baz danych, by umożliwić dronom komunikację z pilotami w Stanach Zjednoczonych.

Ale CIA dysponowała czymś więcej niż dronami przy jemeńskiej granicy. Miała też informatora w Al-Kaidzie Półwyspu Arabskiego, który regularnie dostarczał wiadomości na temat posunięć al-Awlakiego. Z innego źródła Agencja już wcześniej dowiedziała się sporo o strukturze siatki terrorystycznej. Na bieżąco Amerykanie dostawali też materiały przeznaczone do publikacji w internetowym magazynie „Inspire”. Al-Kaida Półwyspu Arabskiego korzystała z anglojęzycznego periodyku, żeby podnieść swój prestiż, a także zachęcić potencjalnych dżihadystów ze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii do wszczęcia świętej wojny. Lektura magazynu miała inspirować ataki podobne do tego, którego dopuścił się major Nidal Hassan – psychiatra, który zabił trzynaścioro ludzi w zatłoczonym kompleksie wojskowym w Fort Hood w Teksasie w listopadzie 2009 roku. Albo Fajsal Szahzad, młodszy analityk finansowy z Connecticut, który siedem miesięcy później usiłował zdetonować furgonetkę pełną materiałów wybuchowych na samym środku nowojorskiego Times Square. Jeden z artykułów opublikowanych w „Inspire” i napisanych przez pakistańsko-amerykańskiego wydawcę Samira Chana nosił tytuł *Jak zrobić bombę u mamy w kuchni*.

Za każdym razem, kiedy mieli okazję rzucić okiem na teksty przeznaczone do „Inspire”, ludzie Obamy debatowali, czy powinni sabotować magazyn, zanim nowy numer zostanie opublikowany w sieci. Mogli przecież nawet zmieniać treść niektórych tekstów tak, aby skompromitować Al-Kaidę Półwyspu Arabskiego. To mogłoby jednak zaalarmować członków grupy, że w jej szeregach ukrywa się kret. Dlatego zawsze głosowano przeciwko takiej ingerencji – obawy, że informator zostanie złapany i uśmiercony, były silniejsze.

Istniał jeszcze inny powód. Skoro „Inspire” było czytane w sieci w Stanach Zjednoczonych, manipulowanie treścią mogło pogwałcić przepisy zabraniające CIA prowadzenia działalności propagandowej wymierzonej w obywateli amerykańskich. Kierując się podobnymi wątpliwościami, od czasu upowszechnienia się internetu Agencja porzuciła większość operacji propagandowych.

Zachwyceni wynikami zabójstw dokonanych przez CIA w Pakistanie oficjele z Białego Domu przekazali Agencji będące dotychczas w gestii Pentagonu zadanie namierzenia Anwara al-Awlakiego. Flota amerykańskich dronów oderwała się od ziemi w bazie w Arabii Saudyjskiej 30 września. Samoloty przekroczyły granicę z Jemenem i podążyły śladem grupy mężczyzn podróżujących konwojem przez prowincję Al Dżauf – połać pustyni przy granicy saudyjskiej, niegdyś słynącą z hodowli koni. Kiedy zatrzymali się na śniadanie, jak mówią świadkowie, dostrzegli zbliżające się drony i zerwali się, by pobiec do aut. Cele zostały już jednak namierzone i to, co stało się potem, można

określić mianem perfekcyjnie zaaranżowanej symfonii destrukcji.

Dwa drony typu Predator skierowały na samochody wiązki laserowe, co zwiększało precyzję ataku raketowego, zaś reaper wystrzelił pociski, które dosięgły celu. Zabici zostali wszyscy jadący w konwoju łącznie z obywatelem amerykańskim Anwarem al-Awlakim i Samirem Chanem, diabolicznym propagandzistą i motorem napędowym „Inspire”.

Dwa tygodnie wcześniej Abdulrahman al-Awlaki – chudy jak tyczka, urodzony w Denver szesnastoletni syn imama – wymknął się ze swego domu w Sanie przez okno kuchenne. Mieszkał tam praktycznie przez całe życie, bo jego ojciec przeniósł się do Jemenu, gdy płomienne kazania zwróciły na niego uwagę najpierw w Stanach Zjednoczonych, a potem w Zjednoczonym Królestwie. A także spowodowały, że imam wciąż awansował w rankingu gabinetu Obamy na najbardziej poszukiwanego człowieka na świecie. Al-Awlaki uciekł więc do Sany, by móc ukryć się na jemeńskiej prowincji.

Jego syn Abdulrahman żył jednak jak zwyczajny nastolatek. Poszedł do szkoły średniej, interesował się sportem i muzyką, regularnie korzystał z Facebooka. W połowie września 2011 roku zdecydował, że musi odszukać ojca bez względu na to, gdzie się ukrywa. Zanim wymknął się z domu, zostawił list: „Przepraszam, że uciekam, ale mam zamiar odnaleźć ojca”.

Poszukiwania rozpoczął od prowincji Szabwa, regionu Jemenu, gdzie miał zaszyć się Anwar al-Awlaki i gdzie amerykańskie odrzutowce i drony były o krok od zabicia go w maju. Abdulrahman nie mógł wiedzieć, że jego ojciec zdążył już uciec do Al Dżauf. Kręcił się więc po okolicy, nie bardzo wiedząc, co robić. Usłyszał wówczas o ataku raketowym, w którym zginął imam. Zadzwoił do rodziny w Sanie i oświadczył, że wraca do domu.

Nie zrobił tego od razu. 14 października, dwa tygodnie po śmierci ojca, siedział z przyjaciółmi w ogródku restauracji nieopodal Azzan, miasta w prowincji Szabwa. Z oddali dobiegł go bzyający dźwięk. Po chwili rakiety przecięły powietrze i uderzyły w restaurację. Kilka sekund później na ziemi leżało kilkanaście ciał; jedno z nich należało do Abdulrahmana al-Awlakiego. Parę godzin po podaniu informacji o jego śmierci facebookowy profil nastolatka przekształcił się w tablicę pamięci.

Amerykańscy oficjele nigdy nie mówili o tej operacji publicznie, lecz w swoich kręgach przyznawali, że chłopak nie został nigdy wciągnięty na żadną z list jako podejrzany o działania terrorystyczne i został zabity przez pomyłkę. Rakiety miały dosięgnąć Ibrahima al-Banne, egipskiego przywódcę Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego, który, według otrzymanych przez służby informacji, jadł w restauracji obiad. Cynk okazał się jednak nieprawdziwy. Al-Banny nie było w miejscu nalotu, zaś Abdulrahman al-Awlaki znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

I choć szczegóły ataku pozostają tajne, kilku amerykańskich oficjeli przyznało, że drony, które zabiły chłopca – w przeciwieństwie do tych z nalotu na jego ojca – nie były sterowane przez CIA. Abdulrahman al-Awlaki był ofiarą kampanii równoległe prowadzonej przez JSOC. Kontynuowano ją nawet po przyłączeniu się CIA do obławy w Jemenie. CIA i Pentagon rozpętały więc niezależne od siebie wojny z użyciem latających robotów w jednym z najuboższych i odludnych krajów świata, dysponując

innymi listami terrorystów przeznaczonych do eliminacji, choć w gruncie rzeczy obydwie instytucje zajmowały się tą samą misją i miały ten sam cel. Dziesięć lat po tym, gdy Donald Rumsfeld próbował wyrwać z rąk szpiegów kontrolę nad przebiegiem nowej, dziwnej wojny, i Pentagon, i CIA angażowały się w te same tajne operacje gdzieś na krańcach świata.

Dwa miesiące po śmierci syna i wnuka Nasser al-Awlaki oplakiwał ich w mowie pogrzebowej, którą nagrał na wideo i opublikował na YouTube. Przez siedem minut czystą angielszczyzną nawoływał lojalnych muzułmanów do pielęgnowania nauk Anwara i rozpowszechniania słów syna wśród tych, którzy jeszcze ich nie słyszeli. Złożył także złowieszczą przysięgę: obiecał, że krew jego syna „nie została przelana na próżno”.

Al-Awlaki opisał Amerykę jako „kraj, który zwariował” i zachłysnął się możliwością przeprowadzania łatwych zamachów w każdym zakątku świata. Ataki rakietowe tak weszły Stanom Zjednoczonym w krew, mówił, że śmierć jego syna i wnuka została niemal niezauważona.

Nie była to jednak do końca prawda. Kiedy został zabity Anwar al-Awlaki, prezydent Obama wspominał o tym podczas przemowy, określając udany nalot mianem „kolejnego dużego kroku naprzód w naszych staraniach o pokonanie Al-Kaidy i jej sojuszników”. Jednak już następnego dnia żaden wieczorny serwis informacyjny nie wspominał o śmierci słynącego z kontrowersyjnych kazań imama, bądź co bądź obywatela amerykańskiego, którego likwidację za pośrednictwem tajnego memorandum autoryzował Departament Sprawiedliwości. Dwa tygodnie później mało kto napomknął też o nalocie, w którym zginął Abdulrahman al-Awlaki, chuderlawy amerykański nastolatek.

Jednak oficjalnie naloty pozostawały sprawą utajnioną. Po ujawnieniu dokumentów związanych z dronami CIA i JSOC gabinet Obamy musiał odpiierać przed sądem zarzuty dotyczące samych operacji oraz opinii prawnych, które je sankcjonowały. Pod koniec września 2012 roku trzech sędziów zasiadło przed ścianą z zielonego marmuru w federalnej sali rozpraw w Waszyngtonie, gdzie wysłuchali zarzutów z ust przedstawiciela Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich, domagającego się przekazania przez CIA dokumentów dotyczących realizowanego przez Agencję programu zamachów.

Prawnik reprezentujący CIA odmówił przyznania, że Agencja ma cokolwiek wspólnego z dronami, i nawet krzyżowy ogień pytań sceptycznych sędziów, którzy dociskali go w sprawie publicznych wystąpień Leona Panetty, nie zmusił go do zmiany stanowiska. Podczas wizyty w jednostce w Neapolu Panetta rzucił żartem do stacjonujących tam żołnierzy, że chociaż sekretarz obrony „ma do dyspozycji od cholery broni, więcej niż CIA”, to i tak nie ma co narzekać, bo „predatory nie są takie złe”.

Podczas postępowania sądowego zmęczony sędzia Merrick Garland podkreślił absurdalność stanowiska CIA w świetle wystąpień prezydenta Obamy i doradcy Białego Domu do spraw antyterroryzmu Johna Brennana, którzy publicznie mówili o dronach. – Jeśli CIA jest cesarzem – powiedział prawnikowi Agencji – to pan każe nam mówić, że ów cesarz ma na sobie szatę, choć nawet jego szefowie przyznają, że jest nagi.

Trwała więc gra pozorów, choć wojna z użyciem dronów została już zinstytucjonalizowana. Dlatego CIA i Pentagon musiały rywalizować o finanse na tajne misje. Czasem, jak w Jemenie, zdarzało się, że prowadziły równoległe kampanie. Kiedy indziej dzieliły pomiędzy siebie poszczególne części świata i inicjowały zdalnie sterowane operacje bez oglądania się na siebie – jak na przykład CIA w Pakistanie, a Pentagon w Libii.

Komisja do spraw 11 września uznała w lipcu 2004 roku, że CIA nie powinna zajmować się działaniami militarnymi – według jej członków nie było sensu, aby zarówno Agencja, jak i Pentagon zwracały sobie głowę tajnymi operacjami. „Jakkolwiek określimy cenę, w pieniądzu czy w ludziach – mówił ostateczny raport komisji – Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić na finansowanie dwóch osobnych organizacji zajmujących się tajnymi operacjami wojskowymi, odpalających w sekrecie rakiety i po kryjomu szkolących oddziały specjalne”.

Administracja Busha odrzuciła sugestie komisji i w kolejnych latach Stany Zjednoczone obrały przeciwny kierunek. CIA i Pentagon zazdrośnie strzegły swoich narzędzi służących do prowadzenia wojny cieni – chociażby bazy w Arabii Saudyjskiej. Nie miały też zamiaru zrzec się kontroli nad żadnym z nich, skoro politycy zgodzili się wreszcie na finansowanie zamachów i zaakceptowali podobne operacje jako przyszłość amerykańskiej tajnej wojny. Do tego pieniądze na rozbudowę floty dronów popłynęły wreszcie szerokim strumieniem.

Tymczasem Pentagon inwestował równoległe w szpiegostwo. Agencja Wywiadu Obronnego zaczęła formowanie tajnych oddziałów liczących setki żołnierzy, które miały zająć się misjami na terenie Afryki, Środkowego Wschodu i Azji. – Wszystko jest na opak – powiedział W. George Jameson, prawnik, który spędził w CIA trzydzieści trzy lata. – Agencja wywiadowcza walczy na wojnie, a organizacja wojskowa zajmuje się działalnością wywiadowczą.

Podczas wyczerpującej kampanii prezydenckiej w 2012 roku prezydent Obama często odnosił się do tajnych operacji jako dowodu siły i hartu ducha swojej administracji, co przypominało fanfaronady prezydenta Busha z dni po atakach z 11 września. Zapytany przez jednego z dziennikarzy o oskarżenia rzucane przez republikańskich kandydatów, jakoby jego polityka zagraniczna oparta była na ustępstwach, Obama odciął się: – Proszę zapytać Osamę ben Ladena i dwudziestu trzech z trzydziestu przywódców Al-Kaidy, których udało nam się wyeliminować, zanim zostanie mi zarzucone coś podobnego. Proszę też zapytać tych, którzy pozostali przy życiu.

Mimo że podczas kampanii z 2012 roku nie zgadzali się ze sobą w wielu kwestiach, Obama i Mitt Romney myśleli podobnie w kwestii nalotów wymierzonych w terrorystów. Romney zapowiedział nawet, że jeśli zostanie wybrany, będzie kontynuował na tym polu politykę Obamy. Rządowi oficjele zaś w ostatnich tygodniach przed wyborami spieszyli się z wprowadzeniem nowych i klarownych przepisów określających taktykę prowadzenia tajnej wojny, w razie gdyby odsunięto ich ze stanowisk i nie pociągiliby już dłużej za sznurki.

Ich wysiłki na rzecz skodyfikowania procedur zamachów przeprowadzanych za pomocą dronów ujawniły, że wiele operacji było wcześniej przygotowywanych bez

jasnych procedur. Jednak podstawowe pytania o to, kto może zostać zabity, gdzie może zostać zabity i jak może zostać zabity, wciąż nie znalazły odpowiedzi. Determinacja, by w końcu na nie odpowiedzieć, zmała 6 listopada 2012 roku, kiedy wynik wyborów zapewnił prezydentowi Obamie kolejne cztery lata urzędowania. Próby uporządkowania regulacji dotyczących prowadzenia tajnych wojen zostały więc odłożone na później.

Naród zmęczony długimi, krwawymi i kosztownymi konfliktami w Iraku i Afganistanie pod koniec pierwszej kadencji Obamy powinien być mało zainteresowany eskalacją tajnych działań wojennych, ale nic bardziej mylnego. Ankieta przeprowadzona na zlecenie Amy Zegart z Uniwersytetu Stanforda jasno wskazywała, że Amerykanie żywo reagowali na sprawy dotyczące antyterroryzmu. Spora większość – 69 procent respondentów – wspierała decyzje amerykańskiego rządu dotyczące eliminacji terrorystów.

CIA stała się dla gabinetu Obamy niezbędnym narzędziem, zaś udane zamachy poprawiły reputację Agencji. Według wspomnianej ankiety 69 procent respondentów wyraziło pewność, że amerykańskie agencje szpiegowskie są w posiadaniu dokładnych informacji o tym, co dzieje się w Iranie i Korei Północnej. Jest to wynik wyższy o 20 procent w porównaniu z podobnym badaniem z 2005 roku, kiedy CIA była krytykowana za niewłaściwą ocenę irackiego programu zbrojeniowego. Co ciekawe, ankieta z 2012 roku została przeprowadzona kilka miesięcy po śmierci północnokoreańskiego dyktatora Kim Dzong Ila; agenci CIA sami dowiedzieli się o tym dopiero po paru dniach, kiedy wiadomość podała tamtejsza telewizja. Stopniowo jednak ryzyko i dodatkowe koszty ponoszone przez Agencję w związku z tajną wojną stawały się coraz bardziej oczywiste.

Gdy pierwsze tygodnie arabskiej wiosny zaskoczyły CIA, szefostwo zdecydowało o przydzieleniu kilkudziesięciu agentów i analityków, by przyglądali się rozwojowi wydarzeń w Afryce Północnej i na Środkowym Wschodzie. Jednak i tym razem administracja Obamy zwróciła się do CIA z prośbą nie o szpiegowanie, ale przeprowadzenie operacji wojskowej. Kiedy rewolucja w Libii przerodziła się w regularną wojnę domową, CIA posłała do kraju oddziały specjalne i prywatnych agentów, by nawiązali kontakt z grupami rebeliantów i pomogli upewnić się, że tony karabinów maszynowych i działek przeciwlotniczych wysyłanych do Libii trafią we właściwe ręce. Prezydent Obama upierał się, by w wojnie mającej na celu usunięcie Kaddafiego nie uczestniczyły żadne amerykańskie siły lądowe. Wolał polegać na sprawdzonej formule, której ufał jego gabinet: drony, tajni oficerowie, kadra pracowników kontraktowych z pozwoleniem na wykorzystanie libijskich rebeliantów w wojnie zastępczej.

CIA nie posiadała jednak zbyt wielu pewnych informacji na temat rewolucjonistów. Niektórzy z nich, mimo amerykańskiej pomocy, obrócili się przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Był 11 września 2012 roku, zaraz po dwudziestej drugiej, gdy w niewielkiej bazie CIA w Libii odezwał się telefon. Dzwoniono w sprawie amerykańskiej ambasady oddalonej o zaledwie półtora kilometra. Leżała w innej części Bengazi, portowego miasta nad Morzem Śródziemnym w północno-wschodniej Libii, gdzie amerykański rząd po upadku Muammara Kaddafiego osadził swoją placówkę dyplomatyczną. Dzwoniący

urzędnik Departamentu Stanu informował, że ambasada znalazła się pod ostrzałem, a napastnicy wyposażeni w AK-47 przedostali się za główną bramę. Tłumowi niosącemu kanistry z benzyną udało się już podpalić jeden z budynków.

Agenci z bazy CIA przybyli do Bengazi z misją zapobieżenia przejściu arsenału raketowego Kaddafiego przez grupy rebeliantów powstałe w wyniku rozpadu frontu, który obalił w Libii Kaddafiego i przejął władzę. Teraz mieli zająć się czymś zupełnie innym. Zabrali broń i dwoma samochodami ruszyli w kierunku amerykańskiej ambasady. Nie udało się im przekonać libijskich bojowników do przyłączenia się do akcji ratunkowej. Kiedy dotarli na miejsce, walka nadal trwała, zaś ambasador amerykański w Libii Christopher Stevens był uwięziony w budynku, nad którym zawalił się dach. Drużyna wysłana przez CIA nie była w stanie dotrzeć do niego – zginął zaczadzony dymem. Nad głowami walczących krążył wojskowy dron, pierwotnie wysłany z inną misją, który transmitował wymianę ognia prosto do kwatery głównej stacjonującego w Niemczech Dowództwa Afrykańskiego Sił Zbrojnych USA (AFRICOM). Predator był jednak nieuzbrojony, a co za tym idzie niezdolny do udzielenia pomocy Amerykanom.

Nie mogąc dłużej utrzymać swoich pozycji, agenci CIA i oficerowie ochrony z Departamentu Stanu ewakuowali placówkę do pobliskiej bazy. Niedługo później i ona znalazła się pod ostrzałem z kałasznikowów i ręcznych granatników przeciwpancernych. Dopiero o piątej nad ranem pojawiły się amerykańskie posiłki z Trypolisu. Do tej pory jednak napastnicy zdążyli przygotować się do kolejnego etapu ataku i wycelowali moździerz w dach bazy, gdzie stali agenci CIA. Zginęli Tyrone Woods i Glen Doherty, byli członkowie Navy SEALs. Do świtu Amerykanom udało się ewakuować placówkę i wyruszyć w stronę lotniska; konwój obserwował z góry dron. Cały personel, również ciała czterech ofiar ataku, został przetransportowany do Trypolisu. Amerykańska operacja wywiadowcza w Bengazi, gdzie mieściła się główna baza CIA na Libię, została brutalnie zakończona.

Atak ten niemalże dosłownie oślepił libijską komórkę CIA. Pośród byłych i obecnych szpiegów zrodziło to obawy, że po dekadzie przestrajania się Agencji na prowadzenie operacji specjalnych CIA może utracić swoją pozycję także i w innych miejscach. Jednak ze zgoła odmiennych powodów. Pozamykane dotąd towarzyskie kręgi wewnątrz Agencji otworzyły się szeroko, a kolejne pokolenie oficerów CIA spotykało się na wojnie, nawiązując w trakcie walki znajomości i przyjaźnie.

Rówieśnikom Rossa Newlanda mówiono podczas zajęć szkoleniowych, że CIA powinna za wszelką cenę wystrzegać się zabijania jako sposobu rozwiązywania problemów. Ale nowi pracownicy, ci, którzy rozpoczęli służbę już po 11 września 2001 roku, stykali się niemal wyłącznie z obławami oraz zamachami. Nowe pokolenie zaznało adrenaliny na linii frontu, a nie siedząc za biurkiem i zajmując się pracą wywiadowczą oraz szpiegowską. Zbieranie informacji mogło wydawać im się nużące, wręcz nudne. – Jak chcesz zatrzymać ich na wsi, skoro widzieli już światła wielkiego miasta? – powiedział jeden z wyższych stopniem oficerów CIA.

Niektórzy starsi oficjele z Agencji z dumą opowiadali o atakach dronów, dzięki którym zgnieciono w Pakistanie Al-Kaidę, zmuszając popleczników Osamy ben Ladena

do odwrotu i szukania nowych kryjówek w Jemenie, Somalii, Afryce Północnej i wszędzie tam, gdzie lokalne rządy nie miały kontroli nad własnym terytorium. I dzisiaj znalazłoby się wielu, którzy wierzą, że kampania z wykorzystaniem dronów jest najbardziej efektywnym tajnym programem w historii CIA. Choć trzeba przyznać, biorąc pod uwagę całkowity bilans Agencji w podobnych operacjach, że konkurencja nie jest zbyt mocna.

Sporo się jednak zmieniło od 2001 roku, kiedy to uruchamiano program dronów. Zaś ci, którzy wówczas przyklaskiwali temu pomysłowi i cieszyli się z przekazania CIA tak dużej mocy, teraz są nieco bardziej powściągliwi.

Ross Newland nadal chwali broń, która pozwala Stanom Zjednoczonym na prowadzenie wojny bez nalotów dywanowych na terytorium wroga lub bombardowania pakistańskich wiosek pociskami artyleryjskimi. Uważa jednak, że CIA powinna była zaprzestać używania predatorów i reaperów już lata temu. Kusząca łatwość zabijania na odległość mogła, jak mówi, podziałać na niektórych niczym „kocimiętka”. Ponadto sam fakt korzystania z dronów sprawił, że w Pakistanie CIA była postrzegana wyjątkowo źle. A przecież jednym z zadań Agencji było pielęgnowanie dobrych relacji z obywatelami kraju, w którym prowadzi operacje, by ułatwić sobie zbieranie informacji. – Predatory działają na szkodę CIA. To już nie są misje wywiadowcze – podsumował Newland.

Richard Blee jest jeszcze bardziej krytyczny wobec „ery dronów”. Jako szef „Alec Station”, jednostki działającej w ramach Centrum Antyterrorystycznego i mającej za cel odnalezienie Osamy ben Ladena, należał do niewielkiej grupy gorliwych zwolenników walki na śmierć i życie z terrorystami poirytowanych ograniczeniami nałożonymi na Agencję po atakach z 11 września. Do spółki ze swoim szefem J. Coferem Blackiem naciskał, aby CIA otrzymała zgodę na zabicie ben Ladena i jego zauszników.

Tym bardziej że już latem 2001 roku znalazł się w samym środku kalifornijskiej pustyni Mojave i obserwował rakiety wystrzeliwane z predatora, które trafiają w sam środek makiety przedstawiającej Tarnak Farms, obóz treningowy ben Ladena. Kilka tygodni później, 11 września, musiał patrzeć z rozdartym sercem, jak giną tysiące ludzi, i zastanawiał się, czy on i jego koledzy mogli zrobić coś, żeby temu zapobiec. Na swoim biurku nadal trzyma kawałek zniszczonej makiety Tarnak Farms.

Nawet po odejściu z CIA czuł się jednak przygnieciony ciężarem wątpliwości dotyczących zabójczych operacji. Kiedy obniżono poprzeczkę i Agencja mogła odpalać rakiety na terytoriach Pakistanu i Jemenu, nawet jeśli amerykańscy szpiedzy nie byli pewni, kogo dosięgną pociski, przeraził się. Blee uznał, że narzędzie, które miało służyć Stanom Zjednoczonym do selektywnej eliminacji określonych celów, było nieodpowiednio wykorzystywane.

– Niegdyś sumienie nie pozwalało nam pociągnąć za spust, zanim nie dowiedzieliśmy się, kim jest osoba, którą mamy zabić. Dzisiaj kosimy wszystkich, jak leci – mówi Blee. – Tryby maszyny do zabijania kręcą się bez przerwy. Każdy nalot był jak egzekucja – ciągnie. – Ale jeśli mamy lekką ręką wydawać wyroki śmierci, musimy wziąć za takie decyzje odpowiedzialność przed ludźmi i w końcu wszcząć publiczną debatę na ten temat. Po krótkiej pauzie dodaje: – Debatę, którą Amerykanie będą w stanie zrozumieć.

Godzinę drogi od Las Vegas, gdy zostawi się już za sobą stiukowe domy na przedmieściach i krajobraz wypełni się krzewami kreozotu oraz kolczastymi drzewami Jozuego, autostrada zbacza na zachód i wgryza się w dolinę. Na horyzoncie wyrasta rząd niskich beżowych budynków, a nad nimi unosi się niewielki samolocik, który przypomina leniwie kręcącego się w powietrzu insekta. Maszyna wzbija się ponad wzgórza ciągnące się po prawej stronie drogi, skręca w lewo i osiada na pasie startowym wyłobionym w pustynnym piasku.

Leżące na wysokości dziewięciuset pięćdziesięciu metrów nad poziomem morza miasteczko Indian Springs w stanie Nevada staje się doskonale widoczne po kolejnych trzech minutach jazdy. Składa się ono głównie z zaparkowanych gęsto kamperów i przyczep; ponadto znajdują się tam dwie stacje benzynowe, motel i sklep Auntie Moe's Trading Post. Billboard nad urzędem pocztowym informuje o najbliższych przybytkach, gdzie można odpocząć, najeść się i napić: U Denny'ego, Subway, Motel 6 – godzina drogi stąd.

Niewielkie kasyno, w którym Curt Hawes i jego drużyna zjedli uroczyste śniadanie w lutym 2001 roku, po historycznym odpaleniu pierwszej rakiety z predatora, nadal stoi na obrzeżu miasteczka, ale – tak jak i reszta Indian Springs – jest praktycznie puste. Odkąd zbudowano nową obwodnicę, turyści zmierzający z Las Vegas do Doliny Śmierci nie muszą już zatrzymywać się w Indian Springs.

Samotne miasteczko nie zbiło kapitału na tym, co działo się zaraz po drugiej stronie autostrady, za ciągnącym się przez parę kilometrów ogrodzeniem, w którym co jakiś czas była budka strażnicza. Stojący w nich uzbrojeni żołnierze odganiaли ciekawskich. Gdzieś w połowie ubiegłej dekady Zapasowe Lotnisko Sił Powietrznych w Indian Springs zostało przemianowane na Bazę Sił Powietrznych Creech. Rozlatująca się, smagana wiatrem baza, gdzie pierwsi piloci predatorów uczyli się nowej sztuki prowadzenia wojny, zaczęła przeradzać się w kluczowy punkt zabójczych operacji. Rozciągająca się na obszarze dwudziestu trzech tysięcy akrów pustyni baza Creech działa dzisiaj tak prężnie, że amerykańskie lotnictwo ma nadzieję ją rozbudować i odkupić w tym celu ziemię od lokalnych przedsiębiorców. Ruch ten może przemienić Indian Springs w martwe miasto. Bowiem zarówno Pentagon, jak i CIA obsługują misje z udziałem dronów właśnie z Creech, ale personel wojskowy i pracownicy cywilni zaangażowani w program nadal dojeżdżają do bazy z Las Vegas, spędzając godziny pracy w długich przyczepach koloru piasku ustawionych schłodzone jedna przy drugiej.

Czasem w Creech odbywają się misje treningowe – predatory i reaperzy latają w okolicach bazy, testując śmiertelne możliwości na samochodach ciężarowych i osobowych namierzanych wzdłuż samotnych dróg. Piloci zajmują się jednak głównie wojną toczącą się tysiące kilometrów dalej – w Afganistanie, Pakistanie, Jemenie i bezkresnych pustyniach Afryki Północnej. Po ataku na amerykańską placówkę dyplomatyczną w Libii we wrześniu 2012 roku niebo nad Bengazi rozbrzmiało bzyknięciem dronów wysłanych tam właśnie z Creech, aby wyśledziły winnych napaści.

Na skraju położonej w Nevadzie bazy, na wyblakłym murze z czerwonego cementu, dumnie widnieją takie oto słowa: „Baza lotnicza Creech: dom myśliwych”.

„To tutaj się wszystko odbywa”

Dewey Clarridge

Dewey Clarridge upadł. Rok po tym, gdy Pentagon zakończył jego prywatną operację szpiegowską, potknął się w swoim domu pod San Diego i złamał nogę. Trafił do szpitala, gdzie zachowywał się jeszcze bardziej niezdolnie niż zazwyczaj, i wymusił przeniesienie go na Wschodnie Wybrzeże, gdzie mógł być bliżej rodziny. Siedemdziesięciodziewięcioletni były agent CIA – a także założyciel Centrum Antyterrorystycznego, jeden z głównych wrogów publicznych w skandalu Iran–contras i człowiek, który niegdyś chwalił się, że wpadł na pomysł zaminowania nikaraguańskich przystani, kiedy popijał sobie gin – przeniósł się do Leisure World.

Wynajął mieszkanie w jednym z wieżowców, które górują nad pełnym zieleni osiedlem dla emerytów odległym czterdzieści kilometrów od Waszyngtonu i próbującym ściągnąć do siebie powojenne pokolenie baby boomers hasłem „Miejsce dla wiecznie młodych”. Clarridge, jankeski republikanin urodzony w czasie wielkiego kryzysu, nie należał jednak do tej generacji i, co więcej, nie cierpiał wszystkiego, co sobą reprezentowała.

Wybrałem się na spotkanie z nim w czerwcu 2012 roku, niepewny tego, jak zostanie przyjęty. Napisałem sporo o Clarridge’u i wiedziałem, że niezbyt mu się to podobało. Powitał mnie jednak ciepło. We włoskiej restauracji na terenie osiedla Clarridge był chyba jedynym klientem. Siedząc przy stoliku i rozkoszując się popołudniowym słońcem, wyglądał jak każdy emeryt. Nosił łososiową koszulę, której rozpięte przy szyi guziki odślaniały połyskujący złoty łańcuch. Na nogach miał adidasy i białe skarpetki. Co dziwne, mógł pochwalić się mocniejszą opalenizną niż w San Diego. Powiedział mi, że zdążył już przywyknąć do nowego otoczenia, ale narzekał na zły humor swoich niezadowolonych z przeprowadzki kotów: „Tutaj wszyscy mają psy, malutkie pieski”.

Clarridge mieszkał teraz zaledwie parę kilometrów od siedziby CIA, którą gardził. Ale nie wydawał się tęsknić za Kalifornią lub lamentować nad swoim powrotem na wschód. – To tutaj wszystko się decyduje – mówił.

Miał na myśli prywatne działania wywiadowcze. I miał rację. Droga wyjazdowa z podmiejskiego osiedla dla emerytów przecinała dzielnicę lśniących szklanych wież i rozległe kompleksy biurowe, które w ciągu ostatnich kilku lat wyrosły w północnej Wirginii z niczego. Amerykański przemysł obronny i wywiadowczy, niegdyś rozrzucony i mający swoje centra zarówno w południowej Kalifornii, jak i na Środkowym Zachodzie, stopniowo skonsolidował się i przeniósł w okolice Waszyngtonu. Firmy

wolały być blisko swojej „klienteli”: Pentagonu, CIA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i pozostałych organizacji wywiadowczych. Mniejsi i więksi przedsiębiorcy, mający chrapkę na rządowe kontrakty, tworzą dzisiaj krąg skupiony wokół stolicy niczym średniowieczna armia przygotowująca się do oblężenia miasta.

Biznes wojskowy i wywiadowczy kwitnie. Prowadzone globalnie wojny wyczerpały amerykańską tajną armię. CIA i pozostałe agencje zajmujące się wywiadem przekazały część prowadzonych przez siebie misji firmom prywatnym, które zatrudniono do zadań szpiegowskich i pracy analitycznej. Działania te – obejmujące obsługę naziemnych stacji kontroli lotów w Nevadzie, a także wylądowywanie rakiet i bomb w tajnych bazach w Afganistanie i Pakistanie – miały wspierać operacje z wykorzystaniem dronów.

Jeffrey Smith, były główny doradca prawny CIA, obecnie partner w prestiżowej waszyngtońskiej agencji adwokackiej reprezentującej kilka firm, które wygrały przetargi na tajne kontrakty, powiedział mi, że to niesamowite, jak wiele podstawowych zadań szpiegowskich amerykański rząd przekazał prywatnym przedsiębiorcom. Spora część firm prowadzona jest przez byłych oficerów CIA i żołnierzy z oddziałów do zadań specjalnych, którzy obiecują lepszą jakość pracy.

Erik Prince sprzedał Blackwater i przeniósł się do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, lecz pojawiło się wielu chętnych, by zająć jego miejsce. K2 czy Blackbird Technologies udawało się jednak unikać medialnego rozgłosu i wzmianki o nich nie pojawiały się na pierwszych stronach gazet. Ameryka nie prowadziła już wojen za pomocą opancerzonych kolumn, wyniosła się ze stref otwartego konfliktu i ukryła w cieniu. Chałupniczy przemysł wywiadowczy i wojskowy stał się nieodłączną częścią wielkiej maszyny rządowej.

Smith wzdryga się, słysząc niezmiennie niepochlebne komentarze na temat prywatnych firm kontraktowych. Jednak dostrzega potencjalny problem polegający na konflikcie między wynikami finansowymi przedsiębiorstw a specyfiką realizowanych przez nie na zlecenie rządu misji. – Pytaniu, po której stronie leży lojalność pracownika kontraktowego, towarzyszy nieuniknione napięcie – powiedział. – Czy jest wierny fladze, czy może raczej wynikom finansowym swojej firmy?

Mniej więcej w połowie 2012 roku Michele Ballarin wszelkimi możliwymi sposobami nadal próbowała zagwarantować dla siebie kolejny długoterminowy kontrakt w Afryce. Dostrzegła szansę w zamieszanym, które ogarnęło północną część kontynentu. Po przejściu przez islamistów kontroli nad sporym fragmentem pustyni w Mali stało się oczywiste, że Waszyngton raz jeszcze będzie próbował przeprowadzić operację wywiadowczą w kraju, który wcześniej ignorował. Ballarin powiedziała mi, że nawiązała kontakt z Tuaregami ze wschodniej części Mali. Kreśliła już plan przepędzenia z kraju aktualnie rządzących upartych polityków.

Ballarin nie ograniczała się do Afryki. Szukała inwestorów gotowych sfinansować nowy projekt: budowy floty hydroplanów wzorowanych na modelu Grumman G-21 Goose. Takie samoloty, jak sądziła, amerykańskie wojsko mogłoby wykorzystywać do transportu piechoty w odległe miejsca niewyposażone w pasy startowe. Rozglądała się nawet za możliwością ubicia interesu na Kubie, który mógłby przynieść jej pieniądze po śmierci Fidela Castro.

W tym samym czasie wydawało się wielce nieprawdopodobne, że Dewey Clarridge raz jeszcze uszczknie coś dla siebie z rządowych pieniędzy przeznaczonych na kontrakty z firmami prywatnymi, zawierane w ramach operacji wywiadowczych. Jego współpraca z Michaelem Furlongiem dobiegła końca w skandalicznych okolicznościach – Furlonga zmuszono do wycofania się z branży, zaś Clarridge nadal wściekał się o to, jak zakończyła się cała sprawa. Według niego winni byli – jak zwykle – waszyngtońscy biurokraci, chroniący swoje poletko kosztem życia żołnierzy rozpaczliwie potrzebujących informacji, które on mógł im zapewnić. Choćby tylko po to, żeby wojskowi mogli się uniezależnić od CIA.

Clarridge był zdeterminowany i nie uważał, że wypadł z gry. Powiedział mi o swojej pakistańskiej siatce informatorów, którą nadal opłacał – niektórzy pracowali dla niego za marne grosze. – Skoro Waszyngton jest zbyt dumny, żeby umiejętnie wykorzystać swoich ludzi, może kolejny rząd będzie bardziej oświecony – dodał. Potem zapalił cygaro i wpadł w filozoficzny nastrój.

– Zapomnijmy o pokoju westfalskim – mówił, odnosząc się do układu zawartego w XVII wieku w Europie, kończącego wojnę trzydziestoletnią. Były to trzy dekady krwawych walk pomiędzy królami i cesarzami, którzy w głównych bitwach posługiwali się najemnikami jako mięsem armatnim. Pokój westfalski, jak zgodnie twierdzi większość historyków, doprowadził do narodzin współczesnych państw, regularnych armii, narodowych tożsamości.

– Państwo nie ma już monopolu na wojskowość – powiedział, dodając, że myśli o korporacjach i przedsiębiorstwach prywatnych, które mogą stać się przyszłością amerykańskiej wojny. – Przypatrz się naszemu systemowi. Jedyne, czego nie zlecamy na zewnątrz, to palec pociągający za spust.

Była to jedna z nielicznych chwil, kiedy Dewey Clarridge właściwie interpretował fakty. Choć nie do końca trafnie, bo po 11 września 2001 roku Stany Zjednoczone czasem wynajmowały również i „palec pociągający za spust”. Czy był to Erik Prince, Enrique Prado i Blackwater zatrudnieni przez CIA do polowania na terrorystów, czy zwyczajni mięśniacy jak Raymond Davis kręcący się po ulicach Lahore z półautomatycznym glockiem w schowku na rękawiczki, czy prywatni żołnierze uchylający się przed pociskami wystrzeliwanymi z moździerzy podczas całonocnego ataku na bazę CIA w Bengazi, już chaotyczne pierwsze lata amerykańskiej tajnej wojny udowodniły, że USA chętnie scedują na kogoś innego podstawowe zadanie rządu: obronę kraju.

Robiło się późno i musiałem już jechać. Clarridge powiedział, że zostanie jeszcze chwilę i dokończy palić cygaro. Podaliśmy sobie ręce i poszedłem do auta. Odjeżdżając, odwróciłem się i spojrzałem na samotnego mężczyznę siedzącego przy stoliku pustej restauracji na osiedlu dla emerytów. Cienka smużka dymu unosiła się ku ciemniejszemu niebu.

PODZIĘKOWANIA

Pisanie książki wymagało podjęcia setek decyzji, a kiedy chodzi o debiut, autorowi trudno jeszcze ocenić, ile z nich będzie właściwych. Mam niesamowite szczęście, że jedna z pierwszych, którą podjąłem, okazała się zarazem jedną z najlepszych – a było to zatrudnienie Adama Ahmada jako mojego researchera. Od naszej pierwszej wspólnie wypitej kawy w Chicago, gdzie kończył studia magisterskie, miałem pewność, że Adam jest bystrym, wnikliwym i oddanym pracy facetem. Dowiedział, że się nie myliłem, a właściwie uczynił o wiele więcej. Uczestniczył w pracach nad książką na każdym etapie i stał się jej integralną częścią. Ślęczał nad dokumentami, pisał dla mnie objaśnienia, porządkował przypisy, a nawet udało mu się namierzyć tłumacza z urdu, który mógł przełożyć niezrozumiałe dla nas dokumenty i nagrania.

Kiedy trafiłem do Międzynarodowego Centrum Naukowego Woodrowa Wilsona, do projektu dołączyła Jessica Schulberg, która zapewniła mi pomoc nie mniejszą niż Adam. Jessica zajmuje się przede wszystkim Afryką i jej umiejętność znalezienia informacji na temat Somalii i Afryki Północnej może budzić podziw. Ma jasny umysł i posiada niesamowitą, jak na swój młody wiek, wiedzę. Podczas pisania tej książki nauczyłem się cenić nie tylko ich pomoc, ale również i przyjaźń. Oboje mają przed sobą długie i pełne sukcesów kariery, bez względu na to, jaką ścieżkę obiorą.

Skoro już mowa o Centrum Wilsona, muszę dodać, że miałem niezwykle szczęście, mogąc spędzić piętnaście miesięcy w najlepszym ośrodku badawczym w Waszyngtonie. Centrum stało się moim drugim domem, poznałem tam fascynujących i wielce pomocnych ludzi, no i miałem dostęp do przepastnej biblioteki zarządzanej przez niesamowitą ekipę.

Dziękuję Jane Harman i Michaelowi Van Dusenowi, którzy przyjęli mnie jako stypendystę; prowadzony przez nich program działa jak marzenie. Chciałem też specjalnie podziękować Robertowi Litwakowi za celne uwagi i poczucie humoru, które pomogło mi przeżyć bolesny proces pisania pierwszego szkicu tej książki.

Jestem zaszczycony, że mogę pracować dla „New York Timesa” i chciałbym wyrazić swoją wdzięczność Jill Abramson, Deanowi Baquetowi i Davidowi Leonhardtowi, którzy pozwolili mi wziąć urlop, bym mógł skupić się na książce. Kiedy jeszcze był moim szefem w Waszyngtonie, Dean zachęcał mnie do zainteresowania się często pomijanymi aspektami tajnych wojen, do pisania o tym, o czym inni nie pisali. Niektóre rzeczy, którymi wówczas zajmowałem się w gazecie, rozwinąłem właśnie tutaj. Moi przyjaciele i koledzy – Helene Cooper, Scott Shane i Eric Schmitt – zachęcali mnie do dalszej pracy i udzielali cennych wskazówek; Scott i Eric wzięli na siebie sporo dodatkowej roboty, kiedy ja byłem na urlopie, i za to jestem im do zgonnie wdzięczny.

Prócz tej trójki chciałbym również podziękować ekipie reporterów z waszyngtońskiego biura zajmujących się kwestiami dotyczącymi bezpieczeństwa narodowego – jesteście najlepsi w branży. Dziękuję w szczególności Peterowi Bakerowi, Elisabeth Bumiller,

Michaelowi Gordonowi, Billowi Hamiltonowi, Markowi Landlerowi, Ericowi Lichtblauowi, Ericowi Liptonowi, Steve'owi Myersowi, Jimowi Risenowi, Davidowi Sangerowi, Charliemu Savage'owi i Thomowi Shankerowi. Mam ogromne szczęście, że mogę pracować z nimi i z całym biurem. Dziękuję także Philowi Taubmanowi i Douglasowi Jehlowi, dwóm byłym szefom gazety, ogromnie doświadczonym w temacie, którzy pomogli mi wydatnie, kiedy zaczynałem pracować nad nowym zagadnieniem.

Ta książka nigdy nie powstałaby bez Scotta Moyersa – w swoim poprzednim wcieleniu agenta literackiego namówił mnie do zgłębienia tematów, którymi zajmowałem się w swoich artykułach pisanych dla „New York Timesa”. Potem Scott został wydawcą w The Penguin Press i miałem szczęście pracować z nim przy tej książce. Jako redaktor dostrzegał obraz całości i zachęcał mnie do opisanja zmieniającej się natury amerykańskich tajnych wojen i ich skutków możliwie jak najszerzej. Doceniam czas, który mi dał, aby upewnić się, że wszystkie zawarte w książce informacje są poprawne, i to, że podczas mozolnego nanoszenia poprawek był skrupulatny i cierpliwy. Dowiódł, że można świetnie uporać się z redakcją nawet, gdy czas nagli.

Dziękuję także Ann Godoff, szefowej i redaktor naczelnej Penguin Press, która czuwała nad tym, żeby proces wydawniczy przebiegł gładko, choć bywało, że niektóre kwestie wymagały ponownego przedyskutowania. Mally Andreson z Penguin Press pilnowała terminów i jestem jej niezwykle wdzięczny, że cierpliwie prowadziła mnie za rączkę przez bardzo dla mnie tajemniczy proces. Jej spokojny głos w telefonicznej słuchawce działał na mnie kojąco.

Rebecca Corbett, przyjaciółka i redaktorka z „New York Timesa”, najpewniej nie ma pojęcia, że jej wskazówki, cierpliwość i doświadczenie wydatnie pomogły tej książce. Ślęczała nad paroma wersjami każdego rozdziału, zachęcając mnie, bym kopał jeszcze głębiej i pisał jaśniej, żeby klarownie przekazać moje myśli. Ma świetne oko do detali i potrafi powołać postacie do życia. Nasze lunche w The Bottom Line nie tylko pomogły mi poukładać posiadane informacje, ale także przemyśleć odpowiednią strukturę samej narracji. Dyskusje były o wiele lepsze niż samo jedzenie.

Mój agent Andrew Wylie towarzyszył mi od samego początku, jeszcze przy pisaniu propozycji wydawniczej, i jestem mu wdzięczny, że przyjął mnie jako swojego klienta. Jest prawdziwym profesjonalistą i cenię sobie jego rady: udało mu się podtrzymać mnie na duchu, szczególnie tego nerwowego dnia spędzonego w Nowym Jorku, kiedy musiałem zdecydować się na wydawcę. Powiedział mi, żebym posłuchał swojego przeczucia. „Przestań się martwić – powtarzał. – Życie jest na to zbyt krótkie”. Miał rację.

Declan Walsh z Islamabadu, mój kolega z „New York Timesa”, był na tyle życzliwy, że pozwolił mi się u siebie zatrzymać na czas mojego pobytu w Pakistanie. Jest świetnym reporterem o niesamowitej wiedzy o kraju z bodaj najbardziej skomplikowaną historią na świecie oraz prowadzi najlepszy pensjonat w tamtej części świata. Dziękuję wszystkim z biura w Islamabadzie za to, że moja wyprawa do Pakistanu okazała się tak bardzo owocna.

Jestem też sporo winien moim przyjaciółom zajmującym się sprawami bezpieczeństwa

narodowego w innych mediach. Ich praca rzuciła światło na wiele kwestii, które poruszyłem w swojej książce. Szczególnie dziękuję Gregowi Millerowi, Joby'emu Warrickowi, Peterowi Finnowi, Julie Tate, Danie Priest z „Washington Post”, Adamowi Goldmanowi, Mattowi Apuzzo i Kimberly Dozier z Associated Press oraz Siobhan Gorman, Julianowi Barnesowi i Adamowi Entousowi z „Wall Street Journal”. Może i wszyscy ze sobą ostro konkurujemy i przeklinamy jeden drugiego, kiedy o dwudziestej drugiej musimy napisać materiał, który przebiję tekst rywala, ale koniec końców, stoimy po tej samej stronie barykady.

Dług, który zaciągnąłem u swojej rodziny, okaże się zapewne niemożliwy do spłacenia. Moi rodzice Joseph i Jeanne Mazzetti nauczyli mnie, jak być wnikliwym, ale i pokornym. Przede wszystkim jednak wpoili mi uczciwość i mam nadzieję, że są ze mnie dumni, tak jak ja jestem dumny z nich. Moje siostry Elise i Kate to najlepsze przyjaciółki, jakie można mieć, i są dla mnie – wraz ze swoimi mężami Sudeepem i Chrisem – wzorami rodzinnego szczęścia.

Jednak osobą, bez której wkładu ta książka by nie powstała, jest Lindsay, moja wspaniała żona. Od naszej pierwszej rozmowy na temat pomysłu napisania przeze mnie książki, podczas spaceru w Riverside Park w Nowym Jorku, pomoc Lindsay była nieoceniona. Czytała i redagowała poszczególne części książki, zasypywała mnie różnorodnymi sugestiami, wytrzymywała moje napady bezsenności i zapewniała mi oparcie wtedy, kiedy sądziłem, że wziąłem na siebie zbyt dużo. Nie ukończyłbym tego projektu bez niej. Kocham ją bardzo.

Dziękuję też Maxowi, mojemu synowi – urodził się, kiedy zaczynałem pracę nad książką, i zmienił moje postrzeganie pewnych spraw w sposób, który dopiero zaczynam rozumieć. Nie mogę się doczekać, kiedy będzie już wystarczająco duży, żeby przeczytać tę książkę. Z radością wspominam poranki, które spędziliśmy wspólnie podczas tych kilku pierwszych miesięcy, jego uśmiech, kiedy wracałem do domu po wyjątkowo męczącym okresie pisania – to wszystko daje zupełnie nową perspektywę. Świat z Maxem, choć nadal pełen bólu i cierpienia, jest miejscem o wiele lepszym.

O ŹRÓDŁACH

Nie jest łatwo pisać relację z wojny, która, przynajmniej oficjalnie, nie ma nawet miejsca. Ta książka jest wynikiem setek wywiadów przeprowadzonych przeze mnie w Stanach Zjednoczonych i za oceanem w czasie, kiedy byłem reporterem zajmującym się kwestiami bezpieczeństwa narodowego, oraz w okresie pracy nad książką, podczas urlopu udzielonego mi przez „New York Timesa”. Tych, z którymi rozmawiałem, próbowałem przekonać, żeby mówili oficjalnie, i ci, którzy na moją prośbę przystali, zacytowani są z nazwiska. Część wywiadów przeprowadziłem nieoficjalnie i pozwoliłem swoim kontaktom mówić anonimowo w zamian za – często ściśle tajne – materiały na temat amerykańskich operacji wojskowych i wywiadowczych. I choć nie jest to rozwiązanie idealne, wierzę, że wybieram mniejsze zło, zapewniając pewnym źródłom anonimowość.

Jest to oczywiście zawsze pewne ryzyko i jako reporter nauczyłem się, że jednym można ufać bardziej niż innym. Pisząc tę książkę, polegałem na informacjach pozyskanych od ludzi, z którymi współpracowałem od lat, i dzięki temu mogłem, chociaż w ograniczonym stopniu, podać, od kogo pozyskałem to i owo, nawet mimo że nie rzucam nazwiskami. Nieraz – kiedy materiał jest zbyt delikatny – nie podaję źródła; w takich przypadkach upewniłem się wcześniej, że mogę taką informację zweryfikować w kilku miejscach. Kiedy relacjonowałem rozmowy dwóch lub więcej ludzi, korzystałem z cudzysłowu tylko, jeśli byłem pewien, że mój kontakt był w stanie powtórzyć mi słowo w słowo to, co zostało powiedziane.

Próbowałem – w miarę możliwości – korzystać z ogólnodostępnych materiałów i jawnych dokumentów rządowych, w czym pomogło mi kilka różnych organizacji. Archiwum Bezpieczeństwa Narodowego na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona pracuje wytrwale nad zdobyciem dokumentów odtajnionych na mocy ustawy o wolności informacji i jestem niesamowicie wręcz wdzięczny za ich trud. SITE Intelligence Group jest najlepszym źródłem, z którego można pozyskać manifesty i treści publicznych wystąpień bojowników z Pakistanu, Somalii, Jemenu i innych państw, więc polegałem na ich pracy. Spora część amerykańskich dokumentów, które cytuję w książce, została ujawniona przez WikiLeaks, portal walczący z rządowymi tajemnicami; ich baza danych stała się nieocenionym źródłem dla dziennikarzy i historyków próbujących zrozumieć lepiej mechanizmy działania amerykańskiego rządu.

Zaciągnąłem też ogromny dług u wielu ludzi w różnych innych krajach, którzy poświęcili dla mnie niezliczone godziny, żebym mógł zadać im kilka pytań. Zaufali mi na tyle, aby opowiedzieć mi swoje historie, i ta książka jest w tej samej mierze ich, co moja.

Mark Mazzetti
Waszyngton, D.C.

BIBLIOGRAFIA

KSIĄŻKI

- Orger, Peter L., *The Longest War: The Enduring Conflict Between America and Al Qaeda*, Free Press, New York 2011
- Orger, Peter L., *Manhunt: The Ten Year Search for Bin Laden from 9/11 to Abbottabad*, Crown Publishing Group, New York 2012
- Osmonette, Matt (a.k.a. Mark Owen), *No Easy Day: The Firsthand Account of the Mission That Killed Osama Bin Laden*, Dutton Adult, New York 2012
- Rucek, Christopher, and Marina Ottaway, *Yemen on the Brink*, Carnegie Endowment for International Peace, Washington, D.C. 2010
- Rowden, Mark, *Guests of the Ayatollah: The Iran Hostage Crisis: The First Battle in America's War with Militant Islam*, Grove Press, New York 2006
- Sarke, Richard, *Against All Enemies: Inside America's War on Terror*, Simon & Schuster, New York 2004
- Stratridge, Duane R. with Digby Diehl, *A Spy for All Seasons: My Life in the CIA*, Scribner, New York 1997
- Toll, Steve, *Ghost Wars: The Secret History of the CIA, Afghanistan, and Bin Laden from the Soviet Invasion to September 10, 2001*, Penguin Books, New York 2004
- Thompson, Henry A., *The Art of Intelligence: The Lessons from a Life in the CIA's Clandestine Service*, The Penguin Group, New York 2012
- Wernerson, Steven, *Secret Warriors: Inside the Covert Military Operations of the Reagan Era*, Putnam Adult, New York 1988
- Wardner, Richard N., *Mission Italy: On the Frontlines of the Cold War*, Rowman & Littlefield Publishers, New York 2005
- Whitman, Bradley, *By His Own Rules: The Ambitions, Successes, and Ultimate Failures of Donald Rumsfeld*, Public Affairs, New York 2009
- Wismaratna, Rohan and Khuram Iqbal, *Pakistan: Terrorism Ground Zero*, Reaktion Books, London 2011
- Will, Edmund J., *High Value Target: Countering al Qaeda in Yemen*, Potomac Books, Washington, D.C. 2011
- Yassin, Zahid, *Frontline Pakistan: The Struggle with Militant Islam*, Columbia University Press, New York 2008
- Yassin, Zahid, *The Scorpion's Tail: The Relentless Rise of Islamic Militants in Pakistan and How It Threatens America*, Free Press, New York 2010
- Zhinsen, Gregory D., *The Last Refuge: Yemen, al Qaeda, and America's War in Arabia*, W.W. Norton & Company, New York 2012
- Zines, Seth, *Hunting in the Shadows: The Pursuit of al Qaeda Since 9/11*, W.W. Norton & Company, New York 2012

Can et al., *The 9/11 Commission Report*, U.S. Government Printing Office, Washington, D.C. 2004

Clayman, Daniel, *Kill or Capture: The War on Terror and the Soul of the Obama Presidency*, Houghton Mifflin Harcourt, New York 2012

Cooper, Matt J., and Charles W. Sasser, *Predator: The Remote-Control Air War over Iraq and Afghanistan: A Pilot's Story*, Zenith Press, Minneapolis 2010

Day, Jane, *The Dark Side: The Inside Story of How the War on Terror Turned into a War on American Ideals*, Doubleday, New York 2008

Dehghanian, Pervez, *In the Line of Fire: A Memoir*, Simon & Schuster, New York 2006

Dehghanian, Timothy, *Blind Spot: The Secret History of American Counterterrorism*, Basic Books, New York 2005

Dehghanian, Shuja, *Crossed Swords: Pakistan, Its Army, and the Wars Within*, Oxford University Press, Oxford 2008

Dehghanian, Pat, *Watching Earth from Space: How Surveillance Helps Us and Harms Us*, Praxis, New York 2010

Dehghanian, Joseph, *Casey: From the OSS to the CIA*, Penguin, New York 1995

Dehghanian, Paul R., *Intelligence and U.S. Foreign Policy: Iraq, 9/11, and Misguided Reform*, Columbia University Press, New York 2011

Dehghanian, Dana and William M. Arkin, *Top Secret America: The Rise of the New American Security State*, Little Brown and Company, New York 2011

Dehghanian, John, *The Agency: The Rise and Decline of the CIA*, Simon & Schuster, New York 1986

Dehghanian, Ahmed, *Taliban: Militant Islam, Oil and Fundamentalism in Central Asia*, Yale University Press, London 2001

Dehghanian, Ahmed, *Descent into Chaos: The U.S. and the Disaster in Pakistan, Afghanistan, and Central Asia*, Penguin Press, New York 2008

Dehghanian, Bruce, *Deadly Embrace: Pakistan, America, and the Future of the Global Jihad*, Brookings, Washington, D.C. 2011

Dehghanian Jr., Jose A. and Bill Harlow, *Hard Measures: How Aggressive CIA Actions After 9/11 Saved American Lives*, Threshold Editions, New York 2012

Dehghanian, David and Kristen Mulvihill, *A Rope and a Prayer: A Kidnapping from Two Sides*, Viking, New York 2012

Dehghanian, Donald, *Known and Unknown: A Memoir*, Sentinel, New York 2011

Dehghanian, David E., *The Inheritance: The World Obama Confronts and the Challenges to American Power*, Crown Publishing Group, New York 2009

Dehghanian, David E., *Confront and Conceal: Obama's Secret Wars and Surprising Use of American Power*, Crown Publishing Group, New York 2012

Dehghanian, Rowan, *Rumsfeld's War: The Untold Story of America's Anti-Terrorist Commander*, Regnery Publishing, New York 2004

Dehghanian, John, *The Unraveling: Pakistan in the Age of Jihad*, Farrar, Straus and Giroux, New York 2011

Dehghanian, Eric and Thom Shanker, *Counterstrike: The Untold Story of America's Secret Campaign Against Al Qaeda*, Times Books, New York 2011

ultz, Richard, *The Secret War Against Hanoi: The Untold Story of Spies, Saboteurs, and Covert Warriors in North Vietnam*, HarperCollins Publishers Inc., New York 1999

nger, Peter W., *Wired for War: The Robotics Revolution and Conflict in the 21st Century*, Penguin Books, New York 2009

nith, Michael, *Killer Elite: The Inside Story of America's Most Secret Special Operations Team*, St. Martin's Press, New York 2007

ider, Britt L., *The Agency and the Hill: CIA's Relationship with Congress 1946–2004*, Center for the Study of Intelligence, Washington, D.C. 2008

net, George, *At the Center of the Storm: My Years at the CIA*, HarperCollins, New York 2007

aller, Douglas, *Wild Bill Donovan: The Spymaster who Created the OSS and Modern American Espionage*, Free Press, New York 2011

arrick, Joby, *The Triple Agent: The Al Qaeda Mole Who Infiltrated the CIA*, Vintage Books, New York 2011

einer, Tim, *Legacy of Ashes: The History of the CIA*, Anchor Books, New York 2007

oodward, Bob, *Veil: The Secret Wars of the CIA*, Simon & Schuster, New York 1987

oodward, Bob, *Bush at War*, Simon & Schuster, New York 2002

oodward, Bob, *Obama's Wars*, Simon & Schuster, New York 2011

right, Lawrence, *The Looming Tower: Al-Qaeda and the Road to 9/11*, Random House, New York 2006

WYBRANE ARTYKUŁY PRASOWE

cker, Aryn, „The Murky past of the Pakistani Doctor Who Helped the CIA”, „Time” (June 13, 2012)

umford, James, „He's in the backseat!”, „The Atlantic” (April 2006)

resney, Robert, „Military-Intelligence Convergence and the Law of the Title 10/Title 50 Debate”, „Journal of National Security Law and Policy” (2012)

ralsky, Adam, „Tycoon, Contractor, Soldier, Spy”, „Vanity Fair” (January 2010)

ir, Christine C. and Seth Jones, „Pakistan's War Within”, „Survival”, 51, no. 6 (December 2009–January 2010)

bbe, Jennifer D., „The Rise of the Shadow Warriors”, „Foreign Affairs” (March/April 2004)

ayer, Jane, „The Predator War”, „The New Yorker” (October 26, 2009)

cChrystal, Stanley A., „It Takes a Network”, „Foreign Policy” (March/April 2011)

lton, Robert Young, „An American Commando in Exile”, „Men's Journal” (December 2010)

am, Peter J., „Somali Instability Still Poses Threat Even After Successful Strike on Nabhan”, „World Defense Review” (September 17, 2009)

chelson, Jeffrey T., „Truth Conquers All Chains: The U.S. Army Intelligence Support Activity, 1981–1989”, „International Journal of Intelligence and Counterintelligence”, 12, no. 2 (1999)

chelson, Jeffrey T., „The US Navy's Secret Intelligence Service 1966–77”, „Intelligence and National Security” 11, no. 1 (January 1996)

Mague, Matthew, „Black Ops and Blood Money”, „Men’s Journal” (June 1, 2011)
Hittle, Richard, „Predator’s Big Safari”, „Mitchell Institute for Airpower Studies”, Paper
7 (August 2011)
Musafzai, Sami, „The Doctor’s Grim Reward”, „Newsweek” (June 11, 2012)
Slikow, Philip, „Codes of Conduct for a Twilight War”, „Houston Law Review” (April
2012)

Przypisy

- [1] Przed 2005 rokiem dyrektorom CIA nadawano tytuł dyrektora Centrali Wywiadu (DCI).
- [2] Black i Pavitt praktycznie ze sobą nie rozmawiali. Na początku 2002 roku, według relacji kilku byłych oficjeli CIA, Black cieszył się taką popularnością w Białym Domu, że poczuł się na tyle pewnie, by ignorować swoich bezpośrednich zwierzchników z Langley i mówić, iż „pracuje dla prezydenta”. Po zakończeniu kadencji objął wysokie stanowisko w Blackwater USA.
- [3] Rząd Pakistanu zmienił później nazwę prowincji na Chajber Pasztunchwa.
- [4] Restrykcje te, które znano jako „Porozumienia Caseya”, weszły w życie w 1986 roku, lecz mleko już się rozlało – kilka miesięcy wcześniej prezydent Reagan autoryzował tajne przewiezienie rakiet do Iranu, co zainicjowało skandal Iran–contras.
- [5] Polecam esej Roberta Chesneya *Military-Intelligence Convergence and the Law of the Title 10/Title 50 Debate*, który ukazał się w 2012 roku w „Journal of National Security Law and Policy”. To znakomita praca skupiająca się na przepisach regulujących działania CIA oraz Pentagonu i opisująca, jak granica pomiędzy kompetencjami żołnierza i szpiega zaczęła się po atakach z 11 września zacierać.
- [6] Vincent Cannistraro, oficer operacyjny, powiedział, że „Casey, kiedy objął stanowisko w CIA, uważał, że to zły Związek Radziecki jest winny światowemu terroryzmowi”. Cannistraro tłumaczył, że według tej pokrętej logiki wystarczył jeden telefon z Moskwy, aby zlecić atak terrorystyczny.
- [7] Biały Dom naciskał na Caseya, aby „uporał się” z terroryzmem, zlecono więc Clarridge’owi, żeby wymyślił nową strategię dla CIA. Jak zwykle Clarridge próbował zapewnić sobie tyle swobody, ile tylko mógł, i zaczął ubiegać się o możliwość pokierowania dwoma zespołami, które zajmą się zakrojonym na skalę globalną polowaniem na terrorystów, do tego przy założeniu, że jeśli mogłoby to zapobiec potencjalnemu zamachowi, będą dysponowały wolną ręką i decydowały o ich życiu lub śmierci. Jeden miał składać się z obcokrajowców, którzy mogliby poruszać się swobodnie po bazarach i zatłoczonych ulicach miast Środkowego Wschodu, drugi z obywateli amerykańskich. Członkowie obu ekip mieli zostać wybrani na podstawie znajomości języków obcych, umiejętności władania bronią i innych specjalistycznych umiejętności.
- [8] Słynny słoń, który zabił swojego tresera i został uśmiercony prądem.
- [9] Centralna Agencja Wywiadowcza miała sporo szczęścia, bowiem jeden z jej funkcjonariuszy usiadł w samolocie lecącym z Teheranu obok pakistańskiego kucharza, który niedawno pracował dla amerykańskiej ambasady. To on przekazał Amerykanom istotną informację, że wszyscy zakładnicy przetrzymywani byli w budynku kancelarii.
- [10] Jedną z bardziej znaczących operacji było utworzenie tajnej jednostki marynarki nazwanej oddziałem specjalnym 157. Korzystając z floty luksusowych jachtów wyposażonych w specjalistyczny sprzęt podsłuchowy, szpiegzy z oddziału 157 ustawili

się u wylotu Kanału Panamskiego, w Cieśninie Gibraltarskiej i innych „przewężeniach”, gdzie mieli obserwować ruchy radzieckich wojsk. Pentagon nigdy nie ujawnił publicznie istnienia oddziału i kiedy w 1973 roku zastępca szefa operacji morskich zeznawał przed Kongresem, posłużył się mętными sformułowaniami, mówiąc o „rozszerzeniu zasięgu operacji mających na celu gromadzenie przez marynarkę informacji w rejonach wymagających szczególnej uwagi”. Jako szef posterunku CIA w Stambule Dewey Clarridge pracował ze szpiegami z oddziału 157, którzy monitorowali ruch w Bosforze.

[11] Choć, technicznie rzecz ujmując, każda agencja rządowa może przeprowadzić tajną operację, zawsze były one domeną CIA, ponieważ organizacja szpiegowska była postrzegana jako najlepiej przygotowana do wykonania misji, której amerykański rząd mógł się oficjalnie wyprzeć.

[12] Polecam książki Henry’ego Crumptona *The Art of Intelligence* oraz Steve’a Colla *Ghost Wars: The Secret History of the CIA, Afghanistan, and Bin Laden, from the Soviet Invasion to September 10, 2001*, gdzie pisze się więcej o wyjeździe Blee do Afganistanu w 1999 roku; w obu pozycjach mówi się o nim „Rich”.

[13] Ostatni fragment pracy Kajaniego, rozdział „Polityczna ugoda”, jest szczególnie pouczający, jeśli słowa „Sowieci” i „Moskwa” czytać odpowiednio jako „Amerykanie” oraz „Waszyngton”: „Nie jest wykluczone, że Sowieci będą skłonni negocjować sprawę Afganistanu. Ich obecność w kraju może być kartą przetargową lub skuteczną metodą wywarcia nacisku, aby wywalczyć jak najlepsze warunki umowy. Głównym problemem Moskwy będzie niemożność utrzymania afgańskiego reżimu bez obecności radzieckich wojsk. Sowieci gotowi będą pójść na ustępstwa, jeśli dzięki nim zachowają swój wpływ na rząd Afganistanu. Nie zgodzą się na mniej niż podział władzy z Kabulem, przy czym reżim będzie tym słabszym partnerem”.

[14] T.S. Eliot, *Gerontion*, tłum. Cz. Miłosz, [w:] T.S. Eliot, *Wybór poezji*, wstęp i opracowanie: W. Rulewicz, BN s. II, nr 230, Wrocław 1989, s. 60–64.

[15] Konflikty wybuchały także pomiędzy funkcjonariuszami CIA stacjonującymi w Afganistanie a tymi z Pakistanu; bitwy te odzwierciedlały animozje pomiędzy dwoma krajami przeciętymi nieszczelną granicą. Przez większość 2005 roku szef stacji w Kabulu, Greg, pisał raporty o wybuchach przemocy w Afganistanie i obwinił o to Pakistan, który nie kontroluje swoich bojowników, przenikających do ościennego kraju z terytoriów plemiennych. Funkcjonariusze CIA w Kabulu również otrzymywali alarmujące raporty od Amrullaha Saleha, szefa afgańskich tajnych służb i byłego żołnierza Sojuszu Północnego, który nienawidził Pakistanu i historycznych związków tego kraju z talibami, na temat udziału Pakistanu w atakach na Afganistan. Greg miał szczególnie dobre stosunki z prezydentem Hamidem Karzajem, który wierzył, że zawdzięcza mu życie. Greg w 2001 roku był członkiem oddziału specjalnego, który przeniknął do Afganistanu na początku amerykańskiej inwazji i uratował Karzaję przed wybuchem bomby. Szef stacji CIA w Islamabadzie, Sean, uważał, że bliskie relacje Grega z Karzajem mają niepokojący wpływ na obiektywizm analizy CIA, i oskarżał Grega o „sympatyzowanie z miejscowymi” oraz dawanie wiary w teorie spiskowe rozpowszechniane przez afgański wywiad na temat złowieszczych pakistańskich

planów. Sean sądził również, że tajne misje prowadzone na pakistańskich terytoriach plemiennych zarówno przez JSOC, jak i przeszkolone przez ludzi z Centralnej Agencji Wywiadowczej bojówki afgańskie, które CIA mianowała antyterrorystycznymi oddziałami pościgowymi, były niepotrzebnie ryzykowne i z ich powodu amerykańscy szpiedzy zostaną wydaleny z Pakistanu. Sytuacja skomplikowała się na tyle, że musiał interweniować Porter Goss, który skontaktował się zarówno z Seanem, jak i Gregiem i w lipcu wezwał obu na spotkanie w katarskiej siedzibie Centralnego Dowództwa, co było jedynym sposobem, aby skonfrontować obu mężczyzn i zażegnać spór pomiędzy placówkami CIA.

[16] Mike nadal jest tajnym agentem, dlatego posługuję się jedynie jego imieniem.

[17] W 2008 roku, niedługo po przejęciu przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego komunikatów wskazujących na udział ludzi ISI w zamachu na indyjską ambasadę zorganizowanym przez siatkę Hakkaniego, prezydent Asif Ali Zardari obiecał, że „zajmie się” ISI. Zapewnił Amerykanów, że w przeciwieństwie do swojego poprzednika nie miał zamiaru korzystać z ISI jako łącznika z grupami terrorystycznymi. „Nie wyznaję, tak jak Muszarraf, zasady »Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek«”, powiedział.

[18] Pierwsze próby były zniechęcające i w 2004 roku, w raporcie spisany przez działającą przy Pentagonie radę naukową obrony – organ doradczy sekretarza obrony – wyciągnięto wnioski, że amerykańskie wysiłki nawiązania kontaktu „spełzły na niczym”. Wojna z terroryzmem, jak napisano dalej, nie musi polegać na zrzucaniu bomb na lepianki, zamykanie podejrzanych za kratami i zabijanie ludzi za pomocą rakiet Hellfire odpalanych na odległość po naciśnięciu odpowiedniego przycisku. Musi istnieć też inne oblicze wojny, które będzie kontrą dla „brutalnego ekstremizmu”, i znalezienie złotego środka jest szczególnie ważne tam, gdzie Stany Zjednoczone nie są popularne. Kongres przyznał Pentagonowi pieniądze na rozwiązanie tej kwestii.

[19] Niektórzy agenci Clarridge’a nadal pracują pod przykrywką w Pakistanie i Afganistanie, czasem dla amerykańskiego rządu. Zgodziłem się nie publikować ani ich nazwisk, ani piastowanych przez nich funkcji.

[20] Petraeus szukał rady u Edmunda Hulla, byłego ambasadora amerykańskiego w Jemenie. Hull śledził wzrost nastrojów militarystycznych przez parę lat i wściekł się, że po sukcesach odnoszonych przez walczących z terrorystami po 11 września kraj wydawał się pogrążyć w chaosie. Powiedział Petraeusowi, że jeśli Stany Zjednoczone nadal będą ignorować Jemen, stanie się on kolejnym Afganistanem, spokojną przystanią dla organizatorów zamachów na terytorium innych państw. Podjęta kilka miesięcy później próba zabójstwa księcia Najefa dowiodła, że słowa te były prorocze.

[21] Szczegóły dyskusji na ten temat można prześledzić w książce Erica Schmitta i Thoma Shankera *Counterstrike: The Untold Story of America's Secret Campaign Against Al Qaeda*. Według autorów większość oficjeli uważała, że atak na obozy nie jest opłacalny z uwagi na niewielką korzyść zabicia co najwyżej paru przywódców Asz-Szabab.

[22] Załoga statku „Faina” została uwolniona kilka dni po przesłaniu przez ukraińskiego ministra listu do sekretarza stanu Hillary Clinton, choć nie istnieje żaden dowód na wkład Ballarin w negocjacje z piratami, którzy odebrali okup w wysokości trzech

milionów dolarów, zapłacony przez właścicieli okrętu.

SPIS TREŚCI

Dedykacja

Najważniejsze osoby występujące w książce

Prolog. Wojna od środka

Rozdział 1. Licencja na zabijanie

Rozdział 2. Szpiegowski węzeł małżeński

Rozdział 3. Płaszcz i sztylet

Rozdział 4. Szpiedzy Rumsfelda

Rozdział 5. Wściekły ptak

Rozdział 6. Prawdziwy Pasztun

Rozdział 7. Konwergencja

Rozdział 8. wojna zastępcza

Rozdział 9. Baza

Rozdział 10. Gry bez granic

Rozdział 11. Powrót starucha

Rozdział 12. Ostrze skalpela

Rozdział 13. Afrykańska szamotanina

Rozdział 14. Rozwiązanie

Rozdział 15. Lekarz i szejk

Rozdział 16. Ogień z nieba

Epilog. Szpieg w Leisure World

Podziękowania

O źródłach

Bibliografia

Przypisy